





---

# SOCYALISTA NA USTRONIU



B E R N A R D S H A W

SOCYALISTA  
NA USTRONIU

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ  
ROMAN JAWORSKI

L W Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „ATENEUM”

<http://rcin.org.pl>



1-25,694

---

I.

O zmroku, w październikowe podwieczere, weszła przez odrzwia dębowe do przestronnej sieni, okalającej pierwsze piętro starego, angielskiego dworku wiejskiego czterdziestoletnia kobieta, o wyglądzie, który zdradzał nerwowe usposobienie. Kosmyk włosów spadł na jej czoło, jak gdyby spędziła była dłuższy przeciąg czasu schylona przy czytaniu lub pisaniu. Przystanąła na chwilę w ciszy, odgarnęła natrętne włosy i zapatrzyła się z poważnym namysłem — bez cienia jednak jakiegokolwiek zadumy — przez wysokie, wąskie okno. Nie spostrzegła nic z przepychu, jaki rozpościerał zachód słońca, gdzie okno zwrócone było na wschód, gdzie krajobraz ze swymi wygonami i rozpadlinami, wśród których pasły się owce, zapadał zwolna w odmęt ponurego, szarego mroku.

Dama zatrzymała się przez chwilę w sieni, niezdecydowana, jak ktoś, komu zbyt rzadko dany jest wypoczynek i spokój. Niebawem zwróciła się w stronę innych drzwi, nad którymi widniał w białych czcionkach napis: „Sala klasy Nr. 6“.

Już u samego progu jednak przystanąła znowu, albowiem usłyszała na górnem piętrze tajemniczy szept głosu. Patrzyła więc ostrożnie wzdłuż szero-

kiej, zaokrąglonej poręczy schodów, które we wdzięcznej linii krętej i w umiarkowanym spadzie przebiegały przez wszystkie piętra domu.

Głos młodociany, który najwidoczniej kogoś przedrzeźniał, zabrzmiał obecnie u dołu.

— Proszę, moje panie, przechodzimy do: „Etudes de la vélocité“.

W tej samej chwili zesunęło się pędem strzały wzdłuż poręczy młode dziewczę w płóciennej sukience. Owinęła się jak fryga w zawadyackim rozpędzie około skrętu i zniknęła w ciemności.

Tuż za nią zjawiała się dorodna dziewczyna w zielonej sukni, która przy zesuwanii się po poręczy wstrzymywała trwożliwie oddech, a w końcu nadciągnęła prawie już dorastająca dama w czerni, która przygryzała dolną wargę i z trwogi szeroko rozwierała swe piękne, piwne oczy. Pęd zesuujących się dziewcząt wywołał coś w rodzaju miniaturowej trąby powietrznej, co ponownie spowodowało pewien nieład we fryzurze u damy, która czaiła się w sieni. Z zapartym oddechem i w podnieceniu oczekiwała ona, aż dwukrotny odgłos skoku i ciężkie stąpięcie dorosłego dziewczęcia przekonały ją, że wszystkie żeglarki szczęśliwie wylądowały w dolnej sieni.

— Nieba! — zawołał głos, który już przedtem dolatywał z dołu: „Zuzanna“!

— Podziękujcie Bogu, że nie skręciłyście karku — odparł inny głos wzburzony. — Tym razem opowiem wszystko miss Wylie! Naprawdę, uczynię to. Dziwię się pani, miss Carpenter, że w twym wieku i przy twym wzroście nie rozporządzasz większym zasobem rozsądku! Wszak miss Wilson



musi usłyszeć, kiedy tak ciężko zeskakujesz. Cały dom drży w posadach.

— Ach, głupstwo! — odrzekła miss Wylie. — Lady Abbes nie jest tak skora, by nam lada szmeru zabronić. Obecnie — „Panienki!“ — ucięła dalsze wywody głosem spokojnym, ale nielitościwie stanowczym dama z górnej sieni.

Zapanowało milczenie, a za niem przyszło krańcowe zmieszanie. W końcu odpowiedziała miss Wylie w miódowo-słodkim brzmieniu. — Czy wołałaś nas, kochana miss Wilson?

— Tak jest. Proszę wszystkie trzy do mnie na górę.

Zawahały się przez chwilę, albowiem jedna drugiej starały się ustąpić pierwszeństwa.

Wkońcu wyszły wszystkie trzy na górę, w tym samym porządku, w jakim zbiegły na dół, tylko z odmienną cokolwiek szybkością. Weszły za miss Wilson do klasy i stanęły przed nią w jednym szeregu, podczas gdy od strony zachodu, po przez trzy okna, zalały je potoki pomarańczowego światła. Miss Carpenter, najwyższa ze wszystkich trzech, zapłonila się ze zmieszania. Opuściła ramiona i kończynami paluszków targała falbany sukienki. Miss Gertruda Lindsay, odziana w jasno seledynową suknię, odznaczała się małą głową, delikatną figurą i drobnymi, jak małe perły, zębami. Stała wyprostowana z wyrazem zimnej pogardy dla wszystkiego rodzaju zarzutów.

Należąca do trzeciej grzesznicy płócienna sukienka, która w załamującym się szarem półświatle klatki schodowej wydawała się żółtą, przybrała obecnie na tle rozpylonego w pokoju gorącego światła

wieczornego, barwę białą. Twarzyczka jej właścicielki nosiła połyskujący, oliwny odcień i można było przypuszczać, że pokrywa ją złocisty puszek. Jej oczy i włosy miały barwę ciemnego orzecha, a zęby, których górny rząd był widoczny, były jakby wykute z najcenniejszego marmuru; wystawały one właściwie cokolwiek na zewnątrz i niewątpliwie szpeciły usta, gdyby nie okolenie pełnej wargi dolnej i subtelny rysunek wytwornie i cokolwiek śmiało zaokrąglonej brody. Jej, na poły ujmującemu, na poły drwiącemu wyrazowi twarzy, nie można było z łatwością przeciwstawić surowej powagi. Miss Wilson wiedziała o tem i dlatego nie chciała spojrzeć jej w oczy, nawet wówczas nie, kiedy zauważyła kurczowy wstrząs i pełne gniewu ukośne spojrzenie u miss Lindsay, którą uszczypnęła jej sąsiadka.

— Wiecie o tem, że dopuściłyście się naruszenia przepisów — rzekła spokojnie miss Wilson.

— Nie było to naszym zamiarem. Rzeczywiście nie było — oświadczyło w ujmującym tonie dziewczę w płóciennej sukience.

— Proszę więc, powiedz miss Wylie, co było waszym zamiarem?

Miss Wylie przyjęła nieoczekiwanie te słowa jako rodzaj żartu, a nie jako zarzut. Wydała ze siebie komiczny okrzyk, który przeszedł w długą kaskadę wesołego śmiechu.

— Agato, proszę się uspokoić! — upomniała surowo miss Wilson. Agata przybrała wyraz twarzy zmiażdżonej, podczas gdy miss Wilson zwróciła się szybko w stronę najstarszej z trzech dziewcząt.

— Pani dziwię się najbardziej, miss Carpenter. Nie zdradzasz pani najmniejszej ochoty, by mi dotrzymać danego słowa i stosować się do obowiązujących przepisów, jakkolwiek jesteś wystarczająco dojrzałą, by tych przepisów konieczność zrozumieć. Nie będę cię dręczyła wyrzutami czy też prośbami, albowiem przekonałam się obecnie, że lekceważysz sobie wszystko.

Przy tych słowach wybuchła płaczem miss Carpenter (po niemych proteście).

— Powinnaś pani jednak wziąć przynajmniej pod rozwagę niebezpieczeństwo, w jakie wtrącasz młodsze dziewczęta wskutek twego lekkomyślnego dzieciństwa. Ciekawa jestem, co powiedziałybyś, gdyby Agata skrzyła była kark?

— Och! — krzyknęła Agata i schwyciła się szybko ręką za kark.

— Nie przypuszczałam, że zabawa połączona jest z niebezpieczeństwem—oświadczyła miss Carpenter, tłumiąc łzy. — Agata tak często już to robiła — ach, Boże mój! rozdarłaś mi suknię!

Miss Wylie pociągała swą koleżankę ku sobie za brzeg jej sukni, obecnie szarpnięcie było zbyt gwałtowne.

— Miss Wylie — odrzekła z lekka zaróżowiona miss Wilson — muszę panią prosić, byś opuściła tę salę.

— Nie! — zawołała Agata i splotła dłonie ze zmartwienia. — Proszę, nie czyń tego, kochana miss Wilson. Sprawia mi to prawdziwą przykrość. Proszę panią o przebaczenie.

— Ponieważ nie chcesz pani uczynić, o co cię proszę, muszę sama wyjść — zawyrokowała surowo

miss Wilson. — Proszę przyjść do mego gabinetu — dodała, zwracając się do dwóch pozostałych. — Gdybyś usiłowała udać się za mną, miss Wylie, będę to poczytywała pani za natręctwo.

— Ależ odejdę, skoro pani sobie tego życzy. Wcale nie pragnęłam być nieposłuszną.

— Nie myślę pani przeszkadzać. Proszę wy dwie za mną!

We trzy wyszły ze sali a miss Wylie pozostawiona w niełasce, przystroiła twarz w groźny grymas, kiedy miss Lindsay odchodząc obejrzała się za nią raz jeszcze. Pozostawszy sama spowaźniała nagle. Podeszła zwolna w stronę okna i spojrzeniem pełnem rozpaczki objęła krajobraz. Raz ożywiły się oczy na odgłos rozmowy dolatującej z oddali i zadrgały żywo wargi. Lecz wnet nastąpiła cisza, a z nią ogarnęła dziewczynę zgryźliwa obojętność aż po chwilę, kiedy weszły obie jej towarzyszki z wysoce spowaźniałym wyrazem na dziecięcych obliczach.

— A więc — zapytała nagle z ożywieniem — zapewne zastosowała się przekonywających moralów? Niezawodnie musicie wpisać się do księgi przewinień?

— Cicho, Agato! — rzekła miss Carpenter. — Powinnaś się wstydzić sama siebie.

— Przeciwnie, ty gąsko powinnaś to uczynić. Wpakowałaś mię w ładną matnię!

— Jesteś sama sobie winna. Rozdarłaś moją suknię.

— Tak, ale dopiero wówczas, kiedy zafagasowałaś, że od czasu do czasu zjeżdżam na dół po poręczy.

— Ach! — cedziła słowa powoli miss Carpen-

ter, jak gdyby nigdy nie zastanawiała się nad tą sprawą. — Czyżby dlatego szarpałaś mię za suknię?

— Mój Boże! dopiero teraz staje ci się to jasne? Wiesz, Jane, jesteś przeraźliwie idyotycznym stworzeniem. Cóż ci powiedziała lady Abbes?

Miss Carpenter zaczęła ponownie ronić łzy i nie była w stanie wykrztusić słowa.

— Jest na nas oburzona, co zupełnie zrozumiałe — zdawała sprawę miss Lindsay.

— Twierdzi, że ty jesteś wszystkiemu winna — wyznała wśród szlochania miss Carpenter.

— Ach, moja kochana, to najmniejsze—oświadczyła Agata dobrotliwie. — Możesz to śmiało wpisać do księgi przewinień.

— Ani słowa nie wpiszę do księgi, dopóki ty sama najpierw tego nie uczynisz — zawyrokowała rozniewana miss Lindsay. — Ty ponosisz lwią część winy.

— Ależ naturalnie, najdroższa — odparła Agata — jestem skłonna zapisać całą stronę.

— Zdaje mi się, że ty bardzo chętnie wpisujesz się do księgi przewinień — zauważyła zgryźliwie miss Carpenter.

— Masz słuszość, Jane. Jest to najlepsza heca, na jaką pozwolić sobie można w tej norze.

— Dla ciebie może to być heca — odcięła surowo miss Lindsay — ale ja nie widzę w tem nic zaszczytnego, jeżeli, jak to właśnie zauważyła miss Wilson, otrzymuję pierwsze odznaczenie z filozofii moralności, a bezpośrednio po tem muszę własnoręcznie wpisywać, że nie umiem poprawnie zachować

wać się. Poza tem niechętnie spotykam się z zarzutem, że jestem źle wychowana.

Agata parsknęła śmiechem.

— Jaka to przemądra osoba ta stara dama! Umie zawsze uderzyć w najslabszą naszą stronę, którą zna dokładnie. Czy ty myślisz, że usiłowałaby ona kiedykolwiek coś prawić o złem wychowaniu mnie lub tej oto tutaj Jane?

— Nie rozumiem ciebie — rzekła miss Lindsay z odcieniem dumy.

— Naturalnie, że nie rozumiesz. Wszak i z filozofii moralności nie rozumiesz tyle, co ja, jakkolwiek nie otrzymałam nigdy żadnego odznaczenia z tego przedmiotu.

— Wogóle nigdy nie uzyskałaś jeszcze żadnego odznaczenia — zauważyła miss Carpenter.

— I według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy w przyszłości żadnego nie uzyskam, stwierdziła wesoło Agata. — Raczej rozbijałabym się o miedziaki na śnieg ciskane, jak to czynią ulicznicy, aniżeli miałabym ubiegać się o najpokaźniejszą liczbę trafnych odpowiedzi. Mnie wystarcza filozofia moralności doktora Wattsa. Ale obecnie postarajmy się przedewszystkiem o księgę przewinień.

Podeszła do półki, wydobyła z niej ciężką księgę, w czarną skórę oprawną. Na księdze widniał czerwony napis: *M o j e p r z e k r o c z e n i a*. Rzuciła księgę z widocznym brakiem szacunku na pulpit i zajęła się kartkowaniem; zatrzymała się wkońcu nad stronicą, która tylko częściowo zapisaną była wyznaniem.

— Rzecz dziwna — zauważyła — widzę tu aż

dwa cyrography, które nie wyszły z pod mojej ręki. Ach, Sara Gerram! Z czegoż ta się spowiada?

— Nie czytaj tego — energicznie zaprotestowała miss Lindsay. — Wiesz przecież, że nic nędzniejszego żadna z nas popełnić nie może.

— Tak! Zaraz takie uroczyste wrzaski z powodu naszych drobnych grzeszków. Z mej strony oświadczam, iż sprawia mi przyjemność, gdy drudzy rozczytują się w moich zapiskach. Wydaje mi się wówczas, że jestem literatką. Naturalnie, że i ja przez wrodzoną mi chrześcijańską miłość bliźnich chętnie odczytuję zeznania drugich. A więc przyznanie się do winy biednej Sary: „1 października. Niezmiernie ubolewam nad tem, że dzisiaj rano w łazience wymierzyłam miss Chambres klapsa, przy której to sposobności wybiłam jej zęba. Było to bardzo nieładnie z mej strony, ale właściwie ząb wyleciał sam przez siebie, a ona przebaczyła mi, ponieważ nowy narasta. Ona zaś cygała twierdząc w pierwszej chwili, że ząb połknęła. Sara Gerram“.

— A to owca! — osądziła miss Lindsay. — I oto w towarzystwie samych takich dzieci trzeba się wpisywać do jednej i tej samej księgi!

— Inne rzewne zeznanie. „4 października. Ze szczerem ubolewaniem wyznaje Helena Plantagenet, że niesłusznie uzyskała wczoraj pierwszy stopień z algebry. Miss Lindsay podpowiadała mi i...“

— Ach! — zawołała z oburzeniem miss Lindsay — w ten sposób odwdzięcza mi się ona za podpowiadanie? Jakiem prawem wpisuje ona moje wykroczenia do księgi?

— Spotyka cię zasłużona nagroda za podpowiadanie tej dziewczynie — orzekła miss Carpenter.

— Ona zawsze zdradzała właściwości fałszywej kotki i powinna byłaś lepiej poznać się na niej.

— Bądź przekonana, że nie uczyniłam tego dla niej — odrzekła miss Lindsay. — Chciałam jedynie zapobiedz, by Jackson nie otrzymała pierwszego odznaczenia. Nie znoszę Heleny Plantagenet, ale ona to przynajmniej dama.

— Nonsens Gertrudo — strofowała z należytą powagą w głosie Agata. — Gdy się słucha ciebie, odnosi się niekiedy wrażenie, że twoja babka musiała być kucharką. Nie bądźże tak nedorzeczna!

— Miss Wylie! — rzekła groźnie Gertruda zarumieniwszy się gwałtownie. — Jesteś bardzo — och! och! Przestań Ag... och! Powiem miss W... och!

Agata wśrubowała jej palec między żebra i łaskotała ją niemiłosiernie.

— Pst — upomniała szeptem trwożliwa miss Carpenter. — Drzwi otwarte.

— A więc jaka jestem, ja „miss Wylie?“ — dopominała się Agata nie ustając w okrucieństwie.

— Czy rzeczywiście jestem taką, jak ty chciałaś to powiedzieć? Jestem? Czy jestem? Czy jestem?

— Nie, nie — ledwie dysząc zaprzeczała Gertruda i niemal wśród kurczów upadła na krzesło. — Jesteś bardzo niedobra Agato. To boli.

— Zasłużyłaś sobie. Jeśli jeszcze raz odwązysz się gniewać na mnie lub też przewiesz mi „miss Wylie“, zabiję cię. Piórem pięty łechtać ci będę.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął miss Lindsay, gdy usłyszała te groźby. Mimowoli wciągnęła swe nogi pod krzesło.



Agata kończyła swój wywód:

— Zadam ci męki, od których osiwiejesz. Jeżeli jednak w istocie doznajesz obecnie uczucia skruchy, wpisz się do księgi.

— Ty pierwsza musisz to uczynić. Ponosisz winę za wszystko, co się stało.

— Jestem jednak najmłodszą z pomiędzy was — broniła się Agata.

— A więc dobrze, niechaj Jane Carpenter zrobi początek jako najstarsza — oświadczyła Gertruda z zamiarem przyspieszenia całego procederu, zdecydowana jednak w głębi duszy za żadną cenę jako pierwsza nie wpisać się do księgi.

— Naturalnie — skarżyła się Jane na pół płaczliwie, na pół ironicznie. — Jane ma być pierwszą we wszystkim, co przykre i brzydkie. Niesłychanie to uprzejmie z waszej strony. Wyobrażasz sobie, że Jane służyć wam będzie za koziołka ofiarnego, czy błazenka, ale mylicie się srodze.

— Z pewnością nie jesteś tak ograniczoną, jak się przedstawiasz — uspokoiła ją Agata z należytą powagą. — Skoro więc życzycie sobie, jestem skłonna wpisać się jako pierwsza do księgi.

— Nie powinnaś uczynić tego — zawołała Jane, wrywając jej pióro z ręki. — Jestem najstarsza i nie dam się zepchnąć z należnego mi miejsca.

Stanowczym ruchem ręki ujęła pióro, zamazała w atramencie i szykowała się do pisania. Nagle zatrzymała się przez chwilę, rozważała i na twarzy jej zjawił się wyraz silnego zakłopotania. W końcu zwróciła się do Agaty z pokorną prośbą:

— Co ja mam właściwie pisać? Ty umiesz to zgrabnie wyrazić!

— Umieść przedewszystkiem datę — dyktowała Agata.

— Ależ naturalnie, byłabym zapomniała, no, ale co dalej?

— Teraz pisz: Ubolewam, iż dane było miss Wilson widzieć, jak dzisiaj wieczorem zesuwałam się po poręczy na dół. — Jane Carpenter.

— I to już wszystko?

— Wszystko. Albo możesz ewentualnie dodać jeszcze coś urojonego.

— Spodziewam się, że to, co mi podyktowałaś, nie zawiera nic niestosownego — upewniała się Jane, nieufnym wzrokiem badając Agatę. — W każdym razie niema nic złego we wpisanym ustępie, albowiem zawiera on szczerą prawdę. Jeżeli ty jednak znowu płatasz mi figle, wówczas jesteś istotą brzydką, nikczemną i więcej nawet nie spojrzę na ciebie. A teraz kolej na ciebie Gertrudo. Proszę, racz przejrzeć, czy też nie popełniłam jakiego błędu.

— Nie jestem twoim nauczycielem ortografii — szorstko zauważyła Gertruda, przystępując do pisania. Podczas gdy Jane pomrukiwała pod nosem na temat braku wszelkiej ogłady u swej koleżanki, wpisywała ona do księgi śmiałemi, dużemi literami: „Dopuściłam się przekroczenia przepisów, a mianowicie zsuwałam się na dół po poręczy schodów w towarzystwie miss Carpenter i miss Wylie. Miss Wylie uczyniła to pierwsza.

— Podła! — krzyknęła Agata tuż za jej plecami.

— I jej ojciec jest admirałem!

— Zdaje mi się, że byłam tylko szczerą — tłumaczyła się zastraszona miss Lindsay, starając się

jednak zachować powagę sędziego moralności. — Wszystko, co napisałam, odpowiada prawdzie.

— Cały mój majątek zawdzięczam kupiectwu — rzekła Agata — a jednak wstydziłabym się przed samą sobą, gdyby mi przyszło moją winę zepchnąć na twoje arystokratyczne barki. Ach, ty marne stworzonko. Dawaj mi pióro.

— Wykreślę, skoro sobie tego życzysz! Uważam jednak...

— Dosyć, pozostanie tak, jak jest i będzie świadczyło o tobie i przeciw tobie. A teraz uważajcie, w jaki to sposób ja czynię moje zeznania.

Pisała pismem zgrabnem, delikatnem: „Dziś wieczorem spotkałam się z Gertrudą Lindsay i Jane Carpenter na górze na schodach. Oświadczyły mi, że chętnie zsunęłyby się po poręczy schodów na dół, gdybym zechciała zaświecić przykładem. Zwróciłam im uwagę, że przyjemność ta sprzeciwia się przepisom zakładu, ale one stwierdziły, że to drobnostka. Wobec tego dałam się im wciągnąć do tej zabawy, tembardziej, że obie są starsze odemnie“.

Agata położyła niezamkniętą księgę i zapytała koleżanki wprost:

— I cóż wy o tem?

Przeczytały dokładnie i podniosły hałaśliwy protest.

— A jednak to czysta prawda, co napisałam — upierała się przy swoim Agata.

— Brudne, nikczemne postępowanie! — oburzyła się Jane. — Najsamprzód wytykasz Gertrudzie jej wady, a za chwilę postępujesz przynajmniej podwójnie tak brzydko! Czegoś podobnego nie widziałam jeszcze w mem życiu.

— Ha! kto sieje wiatr, ten zbiera grad — zauważyła Agata i dołączyła do swej spisanej spowiedzi jeszcze następujący ustęp:

— Wszystkiemu jednak ja byłam winna. Zachowałam się również nieprzyzwoicie wobec miss Wilson i wzbraniałam się na jej rozkaz opuścić pokój. Świadomość złego posiadałam. Jednak właściwie tylko przy zesuwanu się po poręczy. Lubię tę zabawę tak bardzo, że nie umiałam się oprzeć pokusie“.

— Przestrzegam cię Agato przed wpisywaniem do księgi bezczelnych uwag, albowiem łatwo możesz z zakładu wylecieć — upominała Jane z naciskiem w głosie.

— W każdym razie wstrzymaj się z twemi uwagami aż do chwili, kiedy miss Wilson twoje zeznania przyczyta — z dwuznacznym uśmiechem odcięła się Agata.

Jane opanował nagły lęk.

— Gertrudo — zawołała — czyżby Agata miała mnie nakłonić do napisania czegoś nieodpowiedniego? Agato, zaklinam cię, powiedz sama, jeżeli...

Zabrział dzwonek. Dziewczęta zatrzymały się przez chwilę w miejscu, nadśluchując, a zrozumiawszy wołanie dzwonka, ze zgodnym okrzykiem: żarcie! — pędem opuściły salę.

## II.

W słoneczne południe pędził elegancki „hansom“\*) przez Belsine Avenue, wzdłuż St. Johns Wood i zatrzymał się przed wielkim, wytwornym

---

\*)Ekwipaż na dwóch kołach.

domem. Z powoziku wyskoczyła młoda dama, wybiegła na schody i zadzwoniła niecierpliwie. Odznaczała się ona ciemną, niemal brązową cerą. Jej rysy były ostre, ciemne oczy kryły się w cieniu długich rzęs, głowa zarysowała się delikatnie, nogi małe, ręce zakończone wydłużonymi palcami. Wysmukła i gibka jej postać poruszała się z wdziękiem, właściwym żmijom. Dobór barw w jej stroju wskazywał na upodobania, właściwe rasie wschodniej. Miała na sobie obcisłą białą suknię, ożywioną niebieskawym deseniem. Na głowie kapelusz ze żółtej słomki, ozdobiony sztucznymi, czerwonymi jagodami. Jasno-żółte rękawiczki sięgały aż po same łokcie i pokryte były przesadną ilością złotych branzolet.

Ponieważ nie otworzono drzwi natychmiast, zadzwoniła ona gwałtownie po raz wtóry, poczem wpuściła ją pokojówka, która powitała ją źle ukrytem zdziwieniem. Nie rzuciwszy żadnego zapytania, wbiegła dama po schodach do salonu na górze. Siedziała tu, zajęta lekturą, czerstwa matrona, której rysy wskazywały na żydowskie pochodzenie. Piękny chłopak, w czarnem, aksamitnem ubraniu, bawił się opodal w pokoju.

— Matko — zawołał — przyszła Henryeta!

— Arturze — rzekła wzburzona młoda dama — proszę, wyjdź natychmiast. Nie przychodź z powrotem, dopóki nie otrzymasz na to zezwolenia.

Zgasł dobry humor chłopczyka, który odszedł zachmurzony, nie bąknąwszy ani słówka.

— Czy wydarzyło się co niezwykłego? — zagadnęła matrona, odkładając na bok książkę z gestem beztroskiej obojętności, właściwej ludziom do-

świadczonym, którzy umieją przewidywać burzę w szklance wody.

— Gdzie podziewa się Sidney?

— Zniknął — zniknął, opuścił mię! Ja... Słowa odmówiły młodej damie posłuszeństwa. Wybuchnęła gwałtownym płaczem i upadła złamana cierpieniem na sofę.

— Głupstwo! Wyobrażałam sobie, że Sidney jest rozsądniejszy. Nie bądź dziecinną Henryeto. Przyznaj: pokłóciliście się.

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — krzyczała Henryeta, tupając w dywan. — Ani marnego słówka nie powiedzieliśmy sobie.

Od chwili naszego ślubu, ani razu nie miałam najmniejszego powodu, by pozbyć się mego dobrego humoru, mogę to zaprzysiąc uroczyście. Ale obecnie popełnię samobójstwo i nie widzę innego wyjścia. Cięży na mnie jakaś klątwa, widocznie przeznaczone jest, że mam być nieszczęśliwa. On.

— Uspokój się! Co się właściwie wydarzyło, Henryeto? Od sześciu tygodni jesteś już zamężna, więc nie możesz się dziwić, że mogło wkońcu przyjść do drobnego nieporozumienia między wami. Należysz do natur gwałtownych, a dziwną byłaby pretensya, by horyzont waszego pożycia pozostał stale niezachmurzony.

— Najprawdopodobniej sama ponosisz winę całego zajścia, albowiem Sidney jest o wiele rozsądniejszy od ciebie. Zaniechaj płaczu i zachowaj się, jak roztropna kobieta.

Udam się osobiście do Sidney'a i zaprowadzę z powrotem ład i porządek.

— Ależ on zniknął i nawet nie mam pojęcia, w jakim kierunku. Och! cóż ja teraz pocznę?

— Ale cóż właściwie się stało?

Henryeta poruszyła się zniecierpliwiona. Ale wnet przymusiła się do względnego spokoju i wszczęła opowieść tej niezwykłej historii:

— Umówiliśmy się w poniedziałek, że mam wyjechać na dwa dni w odwiedziny do ciotki Judyty, podczas gdy on będzie bawił w Birmingham na tym potwornym zjeździe rękodzielników. Rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie. Trudno sobie wyobrazić czulszego męża od niego w chwili pożegnania. Ale dziś już tylko śmierć mię oczekuje, więc wszystko mi obojętne i próżno rzecz wspominać. Gdy wróciłam we środę, już go nie było, tylko ten list.

Wyjęła list z torebki i rozplakała się gorzko, jeszcze gwałtowniej niż przedtem.

— Pozwól, przeczytam.

Henryeta zawahała się przez chwilę, ale matka wyrwała jej list przemocą, usiadła w pobliżu okna i czytała uważnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozpacz córki. List opiewał:

Poniedziałek wieczorem.

Jedyna moja, ukochana!

Odchodzę przesycony miłością, by żyć własnym życiem i poświęcić się mej pracy.

Mógłbym być przygotować Cię na to, co mi nastąpić, stopniowo przez udaną obojętność niona na czne zaniedbywanie Twojej osoby. Nie byłoby w stanie uczynić tego, jak długo działałaś, byczar Twojej obecności. Dlatego musiałem na koniec świat uratować samego siebie. Ale nie, on nie

Obawiam się, że nie będę umiał podać powodów, wystarczająco i należycie tłumaczących ten mój krok! Jesteś piękną i drogocną istotką, a życie zadowala cię w pełni tylko wówczas, gdy jest czemś w rodzaju karnawału miłości. Ze mną ma się rzecz zupełnie odwrotnie. Zanim zdobędę się choćby na trzy bardziej czułe słowa, już czynię sobie wyrzuty z powodu mej głupoty i nieszczerości. Zanim jeszcze ciepło pieśczoły zdoła we mnie ostygnąć, już zjawia się uczucie wręcz przeciwne i to w silnym stopniu. Muszę powrócić do mego dawnego, ściśle samotnego życia pustelniczego, do moich zeszlęch ksiąg, do mojej propagandy socjalistycznej, moich wypraw odkrywczych w pustynię myśli.

Ożeniłem się z tobą z tem bezsensownem przekonaniem, że nie brak mi tej naturalnej skłonności do życia rodzinnego, która pozwala innym mężczyznom poddawać się bezwzględnie nakazom związku małżeńskiego, aż po chwilę śmierci. Rozpoznałem jednak moją pomyłkę. Stanowisz dla mnie najbardziej miłą kobietę na całym świecie.

Oto żyłem całych pięć tygodni wspólnie z tą bardzo miłą kobietą, gawędziłem z nią i stroiłem żarty, a koniec tego wszystkiego jest ten, że ją opuszczam i udaję się do pustelni, by tam kiedyś umrzeć. Miłość nie może mną owładnąć. Wszystkie pierwiastki mej duszy buntują się przeciw niej i przeciwstawiają ją. Wybacz, że piszę Ci te głupstwa, roztropna kob. Nie rozumiesz i nie wydawaj zbyt surowe-  
 Udam się o. Dobroć moja wobec Ciebie sięgała z powrotem ład i jak tylko na to zdobyć się mogła moja  
 ota. Nie usiłuj wypłoszyć mię z me-



go ukrycia, w którym chcę pozostać i muszę. Mój adwokat odniesie się pisemnie do twojego ojca i uporządkuje wszystkie nasze interesa. Zaznaj tyle szczęścia, ile Ci go tylko dostarczyć mogą: dobrobyt i wolność. Zobaczymy się, gdzieś, kiedyś — w przyszłości.

Bądź zdrowa Ty ostatnia, którą kochałem.

Sidney Trefusis.

— I cóż? — zagadnęła mrs. Trefusis, która poprzez łzy zauważyła, że matka ukończyła czytanie listu i popadła w pełną roztargnienia zadumę.

— Istotnie! — wzburzonym głosem odezwała się mrs. Jansenius.

— Czy ty myślisz, Henryeto, że u niego w głowie wszystko jest w porządku? Albo też może byłaś wobec niego zbyt wymagająca? Mężczyźni niechętnie powierzają całą swą istotę kobietom, nie czynią tego nawet w miodowe miesiące.

— Ależ on wyraźnie oświadczył, że jedynie w mojej obecności czuje się szczęśliwy — szlochając, zauważyła Henryeta. — Nigdy dotąd nie zaszło nic tak poważnego. Tęskniłam często za zmianą w naszym stosunku, ale obawiałam się, że przez wyjawienie tego pragnienia zadrasnę jego utajone uczucia. Obecnie wyzbył się uczuć. Mamo, on jednak musi do mnie powrócić. Nieprawdaż, mamo?

— Naturalnie, że musi. Spodziewam się, że nie umknał z inną jakąś kobietą?

Henryeta zerwała się z miejsca, zapłoniona na twarzy od wzburzenia.

— Gdybym coś podobnego przypuszczała, byłabym podążyła za nimi choćby na sam koniec świata i byłabym... tę... zamordowała. Ale nie, on nie

jest tak pospolity, jak inni. On tylko nienawidzi mnie. Wszyscy nienawidzą mnie. Ty, matko również nie wzruszasz się z tego powodu, czy ja jestem opuszczona, czy też nie, a i ojciec również i nikt w całym tym domu.

Mrs. Jansenius zachowywała stałą obojętność wobec wzburzenia swej córki. Myślała przez chwilę i rzekła w końcu głosem spokojnym i przekonywającym:

— Nie możesz nic przedsięwziąć, dopóki nie otrzymamy wiadomości od jego adwokata. Tymczasem możesz zamieszkać tutaj razem z nami, jeżeli tylko sobie tego życzysz. Nie spodziewałam się, że odwiedzisz nas już tak rychło, a jednak pókj twój pozostał nietknięty od chwili, kiedy go opuściłaś.

Mrs. Trefusis przestała płakać. To pierwsze upomnienie, że dom jej ojca nie jest już jej domem, zmroziło ją. Doznała szczerego wrażenia, że jest opuszczona. Pod wpływem tego wrażenia odzyskała pełną równowagę, a pobudzona duma ułożyła się jak cień przegrody między córką a matką.

— Nie pozostanę tutaj długo — oznajmiła Henryeta oschle. — Jeżeli adwokat nie wyjawi mi miejsca jego pobytu, przeszukam za nim całą Anglię. Przykro mi, że chwilowo wam tutaj przeszkadzam.

— Nie przeszkadzasz nam dzisiaj bardziej, aniżeli przyzwyczajona jesteś czynić to stale — odpowiedziała mrs. Jansenius spokojnie i cieszyła się w duszy, że córka aluzyę zrozumie.

— Najlepiej będzie, jeżeli udasz się obecnie na górę i tam obmyjesz twarz. Może ktoś zjawić się w odwiedziny i nie mogłabyś w tym stanie przyj-

mować gości. Na wypadek, gdybyś spotkała Artura na schodach, powiedz mu, proszę, by tutaj przyszedł.

Na ustach Henryety zjawił się złośliwy grymas.

Wnet opuściła pokój. Niemal równocześnie zjawił się Artur z powrotem i w ponurem pogrążony milczeniu, stanął przy oknie, rozmyślając nad tem, z jakiego to właściwie powodu wyrzucono go przed chwilą z pokoju.

Nagle zawołał: — Ojciec idzie, choć niema jeszcze piątej!

Dzięki temu okrzykowi został po raz wtóry skazany na wysłanie z pokoju.

Mr. Jansenius przedstawiał typ mężczyzny o poważnym wyglądzie. Nie przekroczył jeszcze lat pięćdziesięciu, ale już zbliżał się do granicy tego wieku. Poruszał się ze spokojem ściśle obliczonym i przybierał taki wyraz twarzy, jak gdyby w cieniu jego krzaczastych brwi ukrywały się cenne myśli. Piękny, orli nos i bystre ciemne oczy wskazywały na żydowskie pochodzenie, którego skądinąd wstydził się.

Ludzie, którzy o tem nie wiedzieli, byli naturalnie przekonani, że mąż ten jest dumny ze swego pochodzenia i nie umieli sobie wytłumaczyć powodów, dla których wychowywał swoje dzieci w duchu chrześcijańskim.

Rozporządzał mr. Jansenius bogatym doświadczeniem w sprawach handlowych i nie odznaczał się żadnymi zgubnymi namiętnościami poza miłością dla rodziny, dążnościami do znaczenia i wpływów, oraz stałą skłonnością do dobrobytu i wygody. Tą drogą udało mu się nie tylko utrzymać odziedziczo-

ny po ojcu majątek, ale i powiększyć go jeszcze w znacznej mierze.

Był bankierem i jako taki wychodził zawsze z założenia, że rzeczą jego jest wydobywać i natychmiast zgarnąć do kieszeni wszystkie te niezmiernie zyski, jakie przynoszą zazwyczaj interesy bankierskie, a że rzeczą natomiast całego poniekąd świata jest nie ustawać w wyteżającej pracy z tym samym nakładem sił, jak to miało jeszcze miejsce wówczas, kiedy nie było nawet mowy o bankowych systemach. Ponieważ jednak wśród podobnych warunków ludzie nie potrzebowaliby banku, starał się zwracać im część drobną swych zysków, aby w ten sposób zwabić ich do siebie. Tak więc i drudzy mieli pewną małą korzyść, a on upewniał się w miłej świadomości, że jest równocześnie i zamożnym obywatelem kraju i społecznym dobroczyńcą, cokolwiek ociężałym w pobudliwości uczuciowej z powodu nadmiaru pieniędzy, ale lekkim na duchu wobec czystego sumienia.

Przyspieszonym krokiem wszedł do pokoju, z czego małżonka jego natychmiast wywnioskowała, że coś go poruszyło.

— Czy wiesz Rutu, co się wydarzyło? — zagadnął.

— Wiem, ona jest na górze.

Mr. Jansenius szeroko rozwarł oczy.

— Co? Ona już powróciła? Co ją spowodowało, by się tutaj zjawiała?

— Zdaje mi się, że to zupełnie zrozumiałe? Dokąd właściwie miała się udać?

Mr. Jansenius, który nigdy nie ufał swym za-

patrywaniom, skoro odbiegały one od poglądów małżonki, odrzekł cedząc z wolna słowo za słowem:

— Dlaczegoż jednak nie udała się do swej matki?

Mrs. Jansenius omal, że nie zdziwiła się, usłyszawszy to zapytanie. Zmierzyła męża spojrzeniem wyniosłym i zauważyła z odcieniem urazy:

— Wszak jestem jej matką, lub może przeczysz temu? Pierwszy raz słyszę. Ze zdumieniem dowiaduję się o tem.

— Ruto, czy i ty również otrzymałaś list?

— List czytałam. Ale właściwie, co to ma znaczyć, jeżeli twierdzisz, iż nie wiesz, czy ja jestem matką Henryety? Czy to ma być rodzaj żartu?

— Henryeta! Ona tutaj? Więc to ma być również powodem do zmartwienia?

-- Nie rozumiem. O czem ty mówisz właściwie?

— Mówię o Agacie Wylie.

— Ach, a ja miałam na myśli Henryetę.

— Cóż się więc stało z Henryetą?

— A co z Agatą Wylie?

Mrs. Jansenius wypadł z równowagi, ale gniew jego nie mógł rozwinąć się w pełni, gdy żona uznała właśnie ten moment za najodpowiedniejszy, by go zająć sprawozdaniem o przejściu Henryety. Gdy wkońcu wręczyła list Trefusisa, oświadczył cokolwiek spokojnym głosem:

— Jedno nieszczęście zjawia się przeważnie w towarzystwie drugiego. Czytaj! — Wręczył również żonie list i równocześnie oboje pograżyli się w czytaniu.

Mrs. Jansenius następujące odczytywała pisanie:

Do Mrs. Wylie

Acacia Lodge, Chiswick.

Alton College, Lyvern.

Wielce Szanowna i Łaskawa Pani,  
z prawdziwem ubolewaniem przychodzi mi prosić Panią, by zechciała natychmiastowo odebrać miss Wylie z Alton College. Rzeczą nieodzowną jest, by w zakładzie tego typu, jak mój, w którym uczennice możliwie mało ogranicza się w osobistej ich wolności, zastosowywały się one do nielicznych a nieodzownych przepisów bez szemrania i oporu. Miss Wylie nie poddała się tym warunkom. Oświadcza ona, że pragnie stąd odejść i przybiera w zachowaniu się wobec mnie i swoich nauczycielek ton, na który przez wzgląd na nas same, oraz na koleżanki córki Pani nie możemy się zgodzić. Jeżeliby miss Wylie mogła nam cokolwiek zarzucić oraz oskarżyć nas za sposób odnoszenia się do niej i za ten dzisiejszy krok, do którego nas formalnie zmusiła, nie omieszka ona uczynić tego wobec Pani.

Proszę uprzejmie o porozumienie się z opiekunem miss Wylie — mr. Jansenius. Gdy się to stanie, załatwię z nim sprawę opłaty szkolnej, którą Pani uiściła z góry.

Z głębokiem poważaniem

Marya Wilson.

— Miła damulka! — zauważyła mrs. Jansenius.

— Wprost nie rozumiem — rzekł mr. Jansenius, któremu krew napływała do mózgu, gdy ukończył odczytywanie listu od zięcia. — Nie mogę pojąć, co to wszystko ma znaczyć?

— Również nie pojmuję. Najprawdopodobniej jest Sidney umyślowo chory, a choroba ta rozwinęła się w ciągu miodowych tygodni i ujawniła się. Nie możesz jednak pozwolić na to, by mi znowu spychano na kark Henryetę.

— Waryat! On waryat? Czy uważa, że wolno mu uchylić się od obowiązków wobec żony, ponieważ ona jest równocześnie moją córką? Czy zdaje mu się, że skoro dziad jego matki był baronem, jest to już wystarczającym powodem, by mógł Henryetę odtrącić z chwilą, kiedy się znudził jej towarzystwem?

— Ale nie o to chodzi. O nas zupełnie nie myślał.

— W takim razie postaram się o to, by pomyślał! — krzyczał mr. Jansenius donośnym, podrażnionym głosem. — Musi dać zadośćuczynienie.

W tej samej chwili weszła do pokoju Henryeta i postrzegła, jak ojciec, pieniać się od złości, biegał po pokoju i powtarzał uporczywie kilkakrotnie: — Zapłaci mi on za to, musi zapłacić!

Mrs. Jansenius dała niemy znak córce, by milczała, a sama starała się uspokoić męża.

— John, nie unoś się!

— Właśnie, że chcę, wściekły jestem. Pies, nikczemnik, łotr przeklęty!

— Nieprawda! — szlochała Henryeta.

— Skończmy już z tem! — postanowiła energiczna mrs. Jansenius. — Napłakałaś się dosyć, nie chcę już więcej ani słowa słyszeć o tem.

Nagle zerwała się Henryeta i nie poskramiając namiętnego wzburzenia, oświadczyła stanowczo:

— Mówię i czynię, co mi się podoba. Jestem

mężatką i nie pozwolę, by mi rozkazywano. Życzę sobie odzyskać utraconego męża, choćby miał się ukrywać Bóg wie gdzie. Ojczy, czy nie możesz go nakłonić do powrotu? Inaczej umrę, ojczy. Obiecay mi, że go sprowadzisz z powrotem.

Rzuciła się ojcu na szyję i nie dopuściła do dalszych wywodów, gdyż dostała gwałtownych spazmów i wypełniając lamentem dom cały, zaniepokoiła wszystkich jego mieszkańców.

### III.

Mrs. Miller, wychowawczyni starej daty, była jedną z tych nauczycielek w Alton College, które nie uznawały edukacyjnego systemu pani Wilson, polegającego na stosowaniu moralizującej dyalektyki. Gdy więc musiała niekiedy nagiąć się do obowiązującej zasady, nie czyniła tego nigdy bez formalnego protestu. Usposobienie jej pozbawione było cech złośliwości, natomiast dopuszczała się ona niekiedy małostkowych uczynków dzięki wrodzonej małoduszności i posądzała zazwyczaj wszystkich ludzi na świecie, że ją lekceważą. Szczególnie skierowywała te swoje podejrzenia w stronę Agaty i odnosiła się do niej w tych rzadkich momentach, kiedy spotykały się ze sobą, z pogardy pełną uprzejmością. Agata pozostawała nieczułą na te obraźliwe wysiłki, albowiem mrs. Miller była osobą niesympatyczną, która posiadała niewiele zwolenniczek wśród uczenic, a wszystkie swe sentymenty przelała na wielkiego kocura, zwanego Grakchusem, a przechrzczonego na Bakchusa dla złagodzenia zbyt surowo brzmiącej pierwszej głoski.



Pewnego popołudnia siedziały mrs. Miller z miss Wilson w sali konferencyjnej zajęte korektą wypracowań egzaminowych. Nagle usłyszały oddalony krzyk, który przypominał koci lament. Mrs. Miller pospieszyła do drzwi i nadśluchiwała. Wkrótce potem ponowił się wydłużony okrzyk bóleści, który wzmagął się przez dwie oktawy, aż w końcu powoli zaginał. Był to rzeczywiście wrzask kota, tylko trudno było oznaczyć, skąd mógł pochodzić. Wnet jednak usłyszano miauczenie, prychnanie, a potem gwałtowne uderzenia, wszystkie zaś te odgłosy dobywały się niewątpliwie z pokoju, położonego na dole, gdzie uczyły się starsze panienki.

— Mój biedny Grakchus! — utyskiwała mrs. Miller i zbiegła po schodach szybko, jak mogła, na dół. Pokój, do którego weszła, zalegała niezwykła cisza. Każda z dziewcząt siedziała zatopiona w nauce, tylko miss Carpenter, która udawała, że podnosi książkę z podłogi, z trudem tłumiała dławiący ją śmiech, a z nachylenia krew napłynęła jej do twarzy.

— Gdzie jest miss Ward? — zapytała mrs. Miller.

— Miss Ward wyszła po rysunki astronomiczne, które są nam potrzebne — odpowiedziała Agata, spoglądając przed siebie poważnie. Równocześnie niemal zjawiła się miss Ward z rysunkami w rękę.

— Czy nie było tu kocura? — zagadnęła ta ostatnia nie zauważywszy obecności pani Miller, a w głosie jej leżał wyraźny odcień niechęci do Grakchusa.

Agata zerwała się z miejsca, zesunęła obie nogi, jak gdyby z obawy, że ją może ktoś ukąsić. Zba-

dała uważnie próżne miejsce pod pulpitem i oświadczyła:

— Nie, niema tu żadnego kocura, miss Ward.

— Gdzieś jednak musi on tu tkwić, wyraźnie słyszałam głos jego — stwierdziła spokojnie miss Ward, rozwijając rulon z rysunkami i przystępując do ich objaśnienia.

Mrs. Miller, zaniepokojona o swego ulubieńca, wybiegła w dalszem poszukiwaniu za nim. W sieni spotkała służącą.

— Zuzanno — pytała — czy nie widziałas Grakchusa?

— Śpi przed kominkiem w pokoju pani.

— Słyszałam jednak przed chwilą, jak lamentował tutaj na dole. Z pewnością wtargnął do domu jakiś kot obcy i pokąsały się oba.

Zuzanna uśmiechnęła się z politowaniem.

— Ależ, proszę pani, to nie był nikt inny, jak tylko miss Wylie we własnej osobie. Ona urządza teatr. Udaje pszczołę brzęczącą na szybie, żołnierza ukrytego w kominie, kota miauczącego pod stołem kuchennym. A wszystko brzmi tak naturalnie, jak gdyby to było naprawdę.

— Żołnierza ukrytego w kominie! — powtarzała w oburzeniu mrs. Miller.

— A tak, proszę pani. Udaje kochankę, który zakradł się do kuchni i chowa się w kominie, gdy nadchodzi pani domu.

Twarz mrs. Miller przybrała wyraz stanowczy. Powróciła do sali konferencyjnej i zdała sprawę przełożonej z tego, co właśnie zaszło. Przy tej sposobności nie powstrzymała się od zgryźliwych uwag na temat wpajania moralnych przekonań, które

doskonale przyczynią się do utrzymania karności w zakładzie. Miss Wilson spochmurniała, namyślała się przez chwilę i oświadczyła w końcu:

— Muszę zastanowić się nad tem. Czy pozwoli pani, że na razie ujmę całą sprawę w moje ręce?

Mrs. Miller odpowiedziała, że obojętną jest dla niej rzeczą, kto się sprawą zajmie, ale pod warunkiem, że jej osoba nie zostanie wystawiona na śmiech przy tej sposobności.

Po tem oświadczeniu przystąpiła do dalszej poprawy zadań. Miss Wilson zaś, odczuwając potrzebę samotności, udała się do pustej sali po drugiej stronie sieni. Zdjęła z pulpitu księgę przewinień i rozpostarła ją przed sobą. Szereg wynurzeń kończył się zeznaniem spisanem ręką Agaty:

„Miss Wilson nazwała mnie bezwstydną i napisała do mojego wuja, że nie stosuję się do przepisów szkolnych. Ale ja wcale nie byłam bezwstydną i nigdy nie odmawiałam posłuszeństwa wobec przepisów. I to się ma nazywać wpajaniem moralnych przekonań!“.

Gniew ogarnął miss Wilson, więc odgrażała się:

— Poczekaj, poznasz ty. — Nagle urwała i trwożliwie spojrzała poza siebie. Przeraziła ją myśl, że Agata mogła niespostrzeżenie wślizgnąć się do sali. Gdy się jednak przekonała, że jest sama, zajęła się badaniem swego sumienia, czy też przypadkowo nie popełniła niesprawiedliwości, nazywając Agatę bezwstydną, ale przyszła w końcu do uspokajającego przekonania, że Agata w istocie była bezwstydną. Przypomniała sobie równocześnie, że niedawno temu nie pozwoliła również i Jane Carpenter, która swą koleżankę nazwała kłamczynią,

usprawiedliwić się w podobny sposób. Czy więc była ona wówczas niesprawiedliwą wobec Jane, czy też jet obecnie bezwzględna w stosunku do Agaty?

Kazuistyczne jej rozmyślania przerwał ktoś, kto nadchodząc pogwizdywał cicho z uwertury Masaniella melodyę w całym pensyonacie popularną, albowiem można ją było wygrać w dwanaście par rąk na sześciu fortepianach. Istniała zaś tylko jedna uczenica wystarczająco pozbawiona właściwości kobiecych i odpowiednio niemuzykalna, by mogła gwizdać. Miss Wilson musiała wstydzić się przed samą sobą, że na myśl o zetknięciu się z Agatą, ogarnął ją nerwowy niepokój. W ponurym nastroju, wciąż jeszcze pogwizdując, weszła do sali Agata. Zauważywszy obecność przełożonej, przeprosiła ją nader uprzejmie i zabierała się do odejścia. Ale zatrzymała ją miss Wilson, która wysiliwszy się na uwyrażnienie swej godności i pewności siebie, spodziewała się, że uda się jej pokonać początkowe zakłopotanie.

— Agato, proszę, zbliż się. Radabym rozmówić się z tobą.

Agata zacisnęła usta, westchnęła głucho rozszerzając nozdrza i zatrzymała się na krok przed miss Wilson, splótłszy na znak poddania obie dłonie.

— Proszę usiąść.

Agata usiadła sztywna, jak lalka.

— Nie rozumiem tego, Agato — mówiła przełożona, wskazując palcem odpowiednie miejsce w księdze przewinień, gdzie Agata spisała swe zeznania.— Co chciałaś przez to wyrazić?

— Dzieje mi się krzywda — wyznała Agata wśród znamion wzrastającego rozdrażnienia.

— Pod jakim względem?

— Pod każdym. Wymaga się odemnie, bym była czemś więcej, aniżeli zwykła śmiertelniczka. Każdemu wolno skarżyć się, ulegać słabostkom, słuchać głupstwa. Tylko ja mam wyzbyć się wszelkich uczuć. Tylko ja mam być zawsze poprawna, zawsze należycie usposobiona. Wszystkim moim koleżankom wolno doznawać uczucia tęsknoty za domem, wolno unosić się gniewem, lub ulegać przygnębieniu. Mnie nie wolno mieć nerwów, ja muszę przez cały dzień dbać o wesołość drugich. Wszystkim wolno nachmurzyć się, gdy je spotka jaki zarzut i to do tego stopnia, że nauczycielki obawiają się wogóle je zganić. Ja zaś muszę cierpliwie znosić, gdy mię lżą nauczycielki, które powinny bardziej panować nad sobą, aniżeli siedmnastoletnia dziewczyna, muszę im schlebiać, dopóki nie przeminie ich zły humor, w który same siebie wprawiły.

— Ależ, Agato!

— O, wiem ja, miss Wilson, że mówię od rzeczy, ale czy może pani spodziewać się po mnie, że będę zawsze rozsądna, zawsze nienaganna?

— W samej rzeczy myślałam, Agato, że nie wymagam zbyt wiele od ciebie, spodziewając się, że zawsze będziesz rozsądna i...

— W takim razie jesteś pani sama pozbawiona wszelkiego rozsądku i uczucia — odpaliła Agata.

Nastąpiła chwila kłopotliwego uciążliwego milczenia. Obie nie wiedziały, jak długo trwała. Agata czuła jedynie, że musi uczynić coś rozpaczliwego lub coś powiedzieć za wszelką cenę, inaczej nie pozostawało jej nic innego, jak uciec. Wykonała gwałtowne poruszenia i wypadła jak oparzona ze sali.

Spotkała swe koleżanki w wielkiej hali, w której gromadziły się uczenice po godzinach nauki na tak zwaną rekreację. Chwile wypoczynkowe miały stale przebieg hałaśliwy, a zgiełk następował regularnie z chwilą, kiedy nauczycielki opuszczały salę wykładową. Agata siadała zazwyczaj podczas rekreacji w towarzystwie dwóch najbliższych przyjaciółek na uszaku wysokiego okna w pobliżu kominika. Miejsce to zajęła tym razem drobna dziewczynka o lnianych włoskach, ale Agata chwyciła ją w pół z pominięciem zasady o wpajaniu moralnych przekonań i posadziła przerażoną na ziemię. Zajęła spokojnie swe miejsce i oświadczyła:

— Dzieci, wiem rzecz zupełnie nową!

Miss Carpenter chciwie rozwarła oczy. Gertruda Lindsay objawiała obojętność.

— Mają kogoś wylać z zakładu—rzekła Agata.

— Wylać! Kogo?

— W sam czas dowiesz się o tem, Jane — odpowiedziała Agata, poważniejąc nagle. Istnieje ktoś, kto dopuścił się bezwstydnego wyznania i wpisał je do księgi przewinień!

Jane opanował nagle lęk i stanęła cała w płomieniach.

— Agato — usprawiedliwiała się — sama mi powiedziałaś, co mam napisać! Wiesz o tem i nie możesz temu zaprzeczyć.

— Nie mogę zaprzeczyć? P r z y s i ą d z mogę, że nigdy w życiu jednego słowa nie podyktowałam tobie.

— Gertruda wie, że to uczyniłaś — rzekła Jane błada, ze łzami w oczach.

— Ach, to dziecko! — zawołała Agata. — Nie,

jej nie wyleją. Czy widział kto w ostatnich dniach księgę przewinień?

— Nie, od ostatniego wpisania do niej, nie widzieliśmy jej więcej — odpowiedziała Gertruda.

— Mikrusie — rzekła Agata do dziewczynki o lnianych włosach — idź pod numer 6-ty i jeśli tam niema miss Wilson, przynieś tu księgę przewinień.

Mała dziewczynka mruzczała coś niewyraźnie i ani ruszała się z miejsca.

— Mikrusie — wołała Agata — czy już kiedy życzyłaś sobie, abyś się nie urodziła?

— Dlaczego sama nie idziesz? — zapytało dziecko upornie, ale widać było, że je opanowywa już lęk.

— Bo wkrótce będziesz sobie życzyła — mówiła Agata dalej, nie zważając na zadane jej pytanie, abyś umarła i pogrzebana została pod najczarniejszymi flizami w piwnicy z węglem, jeśli mi nie przyniesiesz książki, dopóki nie doliczę do szesnastu. Raz — dwa —

— Idź natychmiast i zrób to, co ci nakazano, ty obrzydliwy smarkaczu — rzekła tonem ostrym Gertruda. — Jak możesz się odważyć na to, aby być tak nieposłuszną?

Dziecko objął lęk. Wyszło i wróciło za chwilę, niosąc pod pachą księgę przewinień.

— Jesteś kochanem, rozkosznem dzieckiem, jeśli twoje dobre zalety wydobędzie się na widok przy pomocy ostrego zastosowania systemu wpajania moralnych przekonań — rzekła Agata, śmiejąc się serdecznie. — Przypomnij mi, abym jutro wieczorem schowała dla ciebie rodzynki z mego puddingu. A teraz, Jane, popatrz na to, co tu zapisano i za co

ta najlepsza z dziewcząt ma być ze szkoły wylana. Voilà!

Obie dziewczyny przeczytały to i były wprost przerażone. Jane otworzyła usta i zdawała się chwytać powietrze, jakby jej tchu brakło, Gertruda zacisnęła usta i patrzyła bardzo poważnie.

— Przecież nie powiesz, że miałas tyle strasznej odwagi, aby pokazać to lady Abbess? — zapytała Jane.

— No, to byłaby mi przebaczyła! Ale, gdybyście były słyszały, co jej powiedziałam? Trzy razy zemdlą! —

— To bajka — rzekła Gertruda poważnie.

— Co powiedziałaś? — zapytała Agata, chwytając szybko Gertrudę za kolano.

— Nic! — krzyczała Gertruda, wydzierając się gwałtownie. Daj spokój, Agato?

— Ile razy miss Wilson zemdlą?

— Trzy razy. Daj spokój Agato, bo będę krzyczała.

— Trzy razy powiedziałaś. Dziwię się, jak dziewczyna, która tak, jak wy, przez wpajanie moralnych przekonań bywa wychowywana, może powtarzać taką nieprawdę. Ale my rzeczywiście pokłóciliśmy się bardzo. Ona straciła panowanie nad sobą. Na szczęście, ja go nigdy nie tracę.

— Dyabeł temu uwierzy! — zawołała Jane z powątpiewaniem. — Ale mów dalej!

— Masz pochodzić ze starej rodziny, a jesteś taka sobie zwykła plebejuszka. Nie wiem, co jej powiedziałam, ale znieważenia drogiej jej książki nigdy mi nie przebaczy. Będę tak pewnie wylana, jak tu siedzę!



— Co, myślisz, że rzeczywiście cię wyleją? — zapytała Jane i opanował ją lęk, gdy myślała o skutkach tego wydalenia ze szkoły.

— Naturalnie. Ale co się z tobą stanie, jeśli nie będę już więcej pomagala ci przy zadaniach, albo z Gertrudą, jeśli nie będę oduczała jej tego wrodzonego arystokratyzmu, to rzeczywiście sama nie wiem.

— Ja nie jestem arystokratką — rzekła Gertruda — chociaż nie lubię z każdym się zadawać. Ale przecież przeciw tobie, Agato, nigdy nie wystąpiłam.

— Nie i nie radziłabym ci tego. Hallo, Jane — zawołała, gdy ta nagle rozplętnęła się we łzach. — Co się stało! Sądzę, że nie pozwalasz sobie na tę beczelność, aby z powodu mnie tak beczeć.

— Tak, Agato — mówiła, łkając Jane. — Wiem, że przez moje współczucie staję się śmieszna. Ale ty nie masz serca.

— Rzeczywiście stajesz się śmieszna, płacząc przy lada jakiej okazji — rzekła Agata — i nie zważając na opór Jane, wzięła ją w swe objęcia. — Gdybym w istocie miała choć trochę serca, to ten dowód twojej życzliwości dla mnie musiałby mnie bardzo wzruszyć.

— Nigdy nie powiedziałam, że ty nie masz wcale serca — odparła Jane. — Nie mogę tylko tego ścierpieć, gdy ty mówisz, jak książka.

— Nie możesz tego ścierpieć, gdy mówię jak książka? Moja kochana, głupiutka, stara Jane! Bardzo mi ciebie będzie brakowało!

— Tak, będzie ci mnie brakowało — rzekła

Jane z gorzką ironią. — Ale teraz przynajmniej moje chrapanie nie będzie ci snu psuło.

— Ty wcale nie chrapiesz, Jane. Myśmy się tylko namówiły, aby w ciebie to wmówić. Czy to nie ładnie z mej strony, że ci to mówię?

Na Jane wyjaśnienie to wywarło wielkie wrażenie. Po długiej pauzie rzekła z głębokim przekonaniem:

— Wiedziałam to, że tak robiłyście. Ale sposób, w jaki to zrobiłyście! Oświadczam dziś uroczyście, że odtąd nikomu wierzyć nie będę.

— No, a co sądzisz o całej tej sprawie? — zapytała Agata, która chciała pobudzić uwagę Gertrudy, poważnie zamyślanej.

— Sądzę — w istocie jestem tego zdania, Agato, że ty zupełnie nie miałaś słuszności.

— Proszę bardzo, dlaczego tak sądzisz? — zapytała Agata, nieco podrażniona.

— Tak być musi, gdyż inaczej miss Wilson nie byłaby zła na ciebie! Naturalnie, według tego, co ty mówisz, ty tylko masz zawsze słuszność, a wszyscy inni nie. Ale tego nie powinnaś była wpisywać do książki. Wiesz, że mówię to, jako twoja przyjaciółka.

— O, proszę bardzo, co może twoja uboga, mała dusza wiedzieć o moich myślach i uczuciach?

— Tak znowu niesłuchanie trudno nie jest zrozumieć ciebie — odparła podrażniona Gertruda. — Pyszałkowatość nie jest znowu tak rzadką, by się nie módz na niej poznać. — I jak gdyby podniecona jakimś przykrem wspomnieniem, wywodziła dalej: — Pamiętaj, Agato Wylie, że jeżeli rzeczywiście nas opuścisz, będzie mi obojętne, czy rozstaniemy się ja-

ko przyjaciółki, czy też nie. Nie zapomniałam jeszcze tego dnia, w którym nazwałaś mię złośliwą kotką.

— Ubolewałam nad tem — oświadczyła Agata spokojnie. Usiadłam razu pewnego naprzeciw Bakchusa, by mu się przypatrzeć, jak leżał na przypiecku. Spoglądał marzącemi ślepkami z wyrazem takiej zadumy i takiego spokoju, że zmuszona byłam prosić go o przebaczenie za porównanie z tobą. Gdybym jego nazwała złośliwym kotem, poprostu nie uwierzyłby mi.

— Ponieważ w istocie jest kotem — odparła Janne z uśmiechem, który zazwyczaj zjawia się tuż po płaczu.

— Nie, jedynie z tego powodu, że nie jest złośliwy. Gertruda przechowuje w swej małej główce całą księgę przewinień, która jest wypełniona grzeszkami drugich ludzi, a wszystko spisane wielkimi literami i oglądane przez szkło powiększające, więc nie dziw, że zabrakło jej miejsca na własne przewinienia.

— Wyrażasz się bardzo poetycznie, ale rozumiem, o czem myślisz i nie zapomnę — rzekła Gertruda.

— A ty niewdzięczny nicponiu! — krzyczała Agata, zwracając się gwałtownie w stronę koleżanki, która mimowoli cofnęła się przed nią.

— Jakże często, łaskocząc cię, odpędzałam złego ducha od ciebie z chwilą, kiedy usiłowałaś być bezwstydną wobec mnie lub oszukać mię? Czyż miałaś przed mojem przybyciem tutaj jaką rzetelną przyjaciółkę w zakładzie poza niespełną pół tuzinem dziewcząt wiejskich? Obecnie zaś złością pa-

łasz ku mnie z tego tylko powodu, że zwróciłam ci tu i ówdzie uwagę na twoje błędy i to jedynie z pożytkiem dla ciebie samej. Obecnie oświadczasz, że jest ci to obojętne, czy rozstaniemy się jako przyjaciółki, czy też nie!

— Tego nie twierdziłam.

— Ależ, Gertrudo, wszak sama wiesz najlepiej, że to powiedziałaś — wtrąciła Jane.

— Podejrzujesz mnie zapewne o brak sumienia — tłumaczyła się płacząco Gertruda.

— Wolałabym, żebyś go nie posiadała — rzekła Agata. — Spójrz na mnie, czy opowiadam kiedykolwiek cokolwiek o mojem sumieniu, a jednak wyglądam bardziej zadowolona od ciebie.

— Troszczysz się tylko o siebie samą — zarzucała Gertruda. — Wprost nie wierzysz, by inni ludzie poza tobą mogli żywić jakie uczucia. Moją osobę wogóle wszyscy sobie lekceważą.

— Ach! niezmiernie lubię, jak z tej beczki zaczynasz — zauważyła Jane ironicznie. — Na ciebie zwraca się wogóle daleko więcej uwagi, aniżeli ci to na dobre wyjść może. I czem więcej zwraca się uwagę, tem bardziej wzrastają twoje wymagania.

— Apetyt zjawia się w czasie jedzenia, wiedział o tem już Szekspir — deklamowała z teatralnym gestem Agata.

— Do licha z Szekspirem! — zachnęła się gwałtownie Jane. — Stary dureń, któremu zdaje się, że dokonywa coś niezwykłego, skoro od da do ogólnego użytku kilka omłóconych frazesów. Jeżeli ty jednak, Gertrudo, możesz się skarżyć z tego powodu, że nie zwraca się uwagi na twoją osobę, to cóż dopiero mam ja o sobie powiedzieć, którą wszyscy wy-

prowadzają na dudka? Wcale nie jestem tak głupią, jak...

— Jak wyglądasz — wtrąciła Agata. — Powiedziała ci to, Jane, niezliczoną ilość razy i cieszy mnie prawdziwie, że dałaś się wkońcu przekonać.

— Czem wolałabyś być, czy większym głuptasem, aniżeli już dotąd jesteś...

— Och! daj spokój — przerwała zniecierpliwiona Jane — pytałaś mnie już o to przynajmniej dwa razy w bieżącym tygodniu.

Umilkły wszystkie trzy na krótką chwilę. Agata rozmyślała, Gertruda była markotna, Jane zaś przybrała wyraz bezmyślności i tłumionego niepokoju.

Wkońcu rzekła Agata:

— Ostatecznie i wy obie również cierpicie pod obuchem bezwzględności i samolubstwa osób drugich, które domagają się od was wszystkiego, a nie uznają żadnego usprawiedliwienia dla waszych postępów?

— Nie rozumiem dokładnie, jak ty to pojmujesz, że i my obie cierpimy z tego powodu! — chłodno zauważyła Gertruda.

— Ja również nie rozumiem — rzekła rozdrażniona Jane. — To, co określiłaś przed chwilą, jest niejako systemem, podług którego postępuje się tutaj ze mną. Śmieję się, Agato, dowoli, a ty Gertrudo, pocieraj nosek wiele ci się żywnie podoba, obie wiecie o tem, że to prawda. Zaś pomysł Gertrudy, by nam wmówić, że za mało uwagi zwraca się na nią, zasługuje na miano czułościowego, próżniaczego i idyotycznego.

— Jesteś, miss Carpenter, niezwykle trywialna — rzekła Gertruda.

— Moje wychowanie jest przynajmniej tak dobre, jak twoje, a może i lepsze — odparła Jane. — Rodzina moja jest z pewnością równie dobra.

— Ależ dzieci, dzieci, nie zapominajcież, że przysięgłyście sobie dozgonną przyjaźń — upominała Agata.

— Wcale nie przysięgłyśmy — protestowała Jane.

— Raczej pragnęłybyśmy być dozgonnemi przyjaciółkami we trójkę i zarówno Gertruda, jak i ja zgadzałyśmy się na to, ale ty nie chciałaś przysiąc i w ten sposób sprawa cała spelzła na niczem.

— W istocie — zauważyła Agata — ale obecnie rzecz się tak przedstawia, że muszę nieustannie wszystkim mój czas zużywać na godzenie was obu. Ale, ażeby już raz zmienić temat, czy też żadnej z was nie przyszło nigdy na myśl, że ze mną nikt nigdy się nie liczy?

— Zdaje się, że przyjmujesz to, jako rzecz zabawną i w istocie wszystko czynisz w tym kierunku by zwracano na ciebie uwagę — złośliwie zauważyła Jane.

— Mnie przecież nie możesz uczynić zarzutu, jakobym nie zwracała na ciebie uwagi — upominała się Gertruda.

— O tak, ponieważ nieustannie łaskoczę ciebie.

— A ja liczę się z tobą, jakkolwiek nie mam łaskotek — zauważyła Jane z wyrazem czułości.

— Rzeczywiście! A więc spróbujmy — rzekła Agata, obejmując ramieniem obfitą kibić Jane, przy-

czem udało się jej wymusić na przyjaciółce okrzyki, w których wesołość łączyła się z trwogą.

— Pst — pst — szeptem przestrzegająca Gertruda. — Oto lady Abbess.

Miss Wilson właśnie weszła do pokoju. Agata udawała, że nie zauważa jej obecności. Ukradkiem cofnęła swe ramię i oświadczyła głośno:

— Jak ty możesz, Jane, krzyczeć tak głośno? Cały dom wprowadzasz w poruszenie.

Jane poczerwieniała z gniewu, ale musiała w tej chwili milczeć, albowiem spoczęło na niej spojrzenie przełożonej. Miss Wilson miała kapelusz na głowie i oświadczyła, że musi udać się do wsi sąsiedniej Lyvern. Czy niektóre panienki z szóstej klasy nie miałyby ochoty jej towarzyszyć?

Agata jednym susem zeskoczyła ze swego miejsca, a uczyniła to w sposób, który zmusił Jane do powstrzymywania śmiechu.

— Ależ miss Wylie, miss Wilson wspomniała o klasie szóstej — zauważyła miss Wård, która również znalazła się w sali. — Wszak nie uczęszczasz do klasy szóstej?

— Nie — odrzekła Agata spokojnie — ale chętnie poszłabym, gdyby mi pozwolono.

Miss Wilson spojrzała wokoło. Szósta klasa składała się z czterech żądnych wiedzy młodych dam, dla których na razie celem życia był egzamin wstępny w uniwersytecie, tzn. w szkole Cambridge-egzamin. Wszystkie więc milcząco przyjęły propozycję przełożonej.

— W takim razie może z klasy piątej — wzywała miss Wilson.

Jane, Gertruda i cztery inne zbliżyły się i ustawiły obok Agaty.

— A więc dobrze — oświadczyła miss Wilson — proszę tylko nie zwlekać z ubieraniem się.

Szybko wybiegły i wpadły z hałasem na schody. Agata, która nie miała żadnych ambicyi w kierunku Cambridge-egzaminu przyjęła natomiast za punkt honoru, by pierwsza wybieść po schodach na górę i pierwsza zbieść na dół.

Niebawem zeszyły przebrane do przechadzki i w parach, niby jaka procesya opuściły zakład. Na przodzie kroczyły Jane i Agata, tylną straż stanowiły Gertruda i miss Wilson.

Gościniec do Lyvern prowadził przez pastwiska, które niegdyś uprawiano pod zasiew, a dziś pozostawiono dla użytku bydła, ponieważ bydło przynosiło właścicielowi o wiele większe dochody, aniżeli dzierżawcy. Młode damy z zakładu miss Wilson pobierały również naukę gospodarstwa i ekonomii. Wiedziały one o tem, że każdej rzeczy używa się na ten cel, który jest najkonieczniejszy. Jeżeli więc cały plon tej ziemi przypadał wyłącznie właścicielowi tych obszarów, było to zjawiskiem zupełnie naturalnem, albowiem właściciel ten był najwytworniejszym dżentelmanem w całej okolicy. Sposób użytkowania tej ziemi miał jednak i przykrą stronę, a mianowicie: na polach gromadziło się zbyt wiele bydła rogatego, co utrudniało paniąkom swobodne poruszanie się w przestrzeni, na gościńcach zjawiało się zbyt wiele włośczęgów, których obawiały się pensyonarki, a wkońcu okolica posiadała zbyt mało dżentelmanów, którzyby rozumieli się na uroku kobiecych wdzięków.



Niebo okryte było chmurami. Agata, której było obojętne, czy zabłoci buciki, czy też nie, brodziła przez kupki spadłych liści z zachwytem dziecka, które pluska się w wodzie. Gertruda stawiała stopy nader ostrożnie, a reszta towarzystwa posuwała się powoli rozmawiając półgłosem i czyniła najwyżej tu i ówdzie głośniejsze spostrzeżenia o charakterze naukowym czy filozoficznym w tym celu, aby miss Wilson mogła je usłyszeć i znaleźć w tem swoją przyjemność. Oprócz poganiacza bydlą, który w sylwecie i w wyrazie upodobił się widocznie do stworzeń powierzonych jego pieczy, nie spotkano żadnego człowieka aż po samą wieś. Na pograniczu wsi wyłoniły się z poza pagórka dwa osobniki rodzaju męskiego w postaci dwóch duchownych. Jeden z nich był wysokiego wzrostu i chudy, twarz miał wygoloną, nad karkiem wyrastała wydłużona szyja, pod pachą spoczywała książka. Drugi odznaczał się wzrostem średnim, krępą budową ciała i wyprostowaną postawą. Wyglądał przedsiębiorczo z czarnemi swemi baczkami, a na twarzy jego zarysowywał się energiczny protest przeciwko tym zapatrywaniam, które odmawiały duchownemu prawa do żeniaczki, polowania, gry w krikietu lub innego rodzaju przyzwoitego świeckiego sportu. Ogolony był to niejaki mr. Josephs a towarzysz jego niejaki mr. Fairholme. Agata wynalazła złośliwą, biblijną trawestacyę obu tych nazwisk.

— Oto zbliżają się Farao i Józef — szepnęła do Jane. — Józef zarumieni się, gdy spojrzysz na niego. Farao zaś spłonie dopiero z chwilą, kiedy będzie mijał Gertrudę, jakkolwiek trudno nam dziś będzie stwierdzić te zjawiska.

— Doprawdy, Josephs! — syknęła pogardliwie Jane.

— On kocha ciebie, Jane. Wąтли mężczyźni lubią otyłe kobiety. Faraó, który pochodzi z chłopów, kocha się w błękitnej krwi, według prawa, że przeciwieństwa przyciągają się wzajemnie. Dlatego ujarzmia go wprost arystokratyczna mina Gertrudy.

— Gdyby tylko wiedział, jak ona nim gardzi!

— Jest zbyt próżny, by mógł zdobyć się na podobne przypuszczenie. Zresztą Gertruda gardzi każdym niemal człowiekiem, nie wyłączając nas obie. Albo raczej nie gardzi ona nikim w szczególności i jest tylko z urodzenia nadęta podobnie jak tobie dane jest być pucołowatą.

— Phfi! Wolę już być otyłą, aniżeli zarozumiałą. Jak myślisz, czy należy nam uczynić dyg powitalny?

— Ja uczynię to niewątpliwie. Pragnę wywołać rumieniec na licach Faraona.

Obaj duchowni nadawali sobie pozory, jakoby zajęci byli oglądaniem zachmurzonego nieba i spojrzeli na dziewczęta dopiero z chwilą, kiedy niemal zrównali się z niemi. Jane wypuściła w stronę Josephsa tak szelmowskie spojrzenie, że przecież chciało się na chwilę uwierzyć w jej ulubione zapewnienie, że wcale nie jest tak ograniczona, jak ją o to posądzają ludzie. On zaczerwienił się istotnie i zdjął z głowy swój niski, miękki kapelusz filcowy. Fairholme natomiast witał bardzo uroczyście, albowiem Agata dygnęła przed nim z niezaprzeczoną godnością. Z chwilą jednak, kiedy uroczyście jego powaga i wytworny cylinder ukazały się w pełni blasku, po-

słała mu drwiący uśmieszek, który również spowodował rumieniec i to tem silniejszy, o ile towarzyszył mu gniew pastora świadomego, co się z nim dzieje.

— Czy widziałaś kiedy dwóch takich narwańców? — pytała Jane.

— To są przecież mężczyźni. Mówią oni zawsze, że kobiety są narwane i mają słuszość. Ale tak złe, jak mężczyźni, my, dzięki Bogu, przecież nie jesteśmy. Chciałabym spojrzeć na Faraona w chwili, gdy będzie przechodził koło Gertrudy, ale boję się, bo gdy to spostrzeże, że się za nim oglądam, będzie myślał, że to jego podziwiam. Pod tym względem jest dość zarozumiała.

Obaj pastorzy coraz bardziej rumienili się, gdy przechodzili wzdłuż tej procesyi młodych dziewcząt. Miss Lindsay patrzyła na drugą stronę drogi, a skinienie głową i uśmiech miss Wilson nie były zupełnie szczere. Nie mówiła nigdy z duchownymi, a nawet z proboszczem nie utrzymywała żadnych stosunków, jak tylko te, do których była zmuszona. Proboszcz podejrywał ją, że jest ona niedowiar-kiem, chociaż ani on, ani żaden inny śmiertelnik w Lyvern, nie słyszał z jej ust ani słowa o jej przekonaniach religijnych. Ale proboszcz wiedział, że w zakładzie uczą jakiejś świeckiej „nauki moralności“, a miał to uczucie, że gdy moralność staje się przedmiotem nauki świeckiej, to równocześnie powaga religii musi odpowiednio obniżać się.

— Co tu za życie i co za okolica! — zawołała Agata. — Spotykamy dwie kreatury, które podobne są więcej do ruszających się czarnych kostyumów,

niż do ludzi i to już jest wypadek — ba, budzący nawet wrażenie wypadek w naszym życiu.

— Myślę, że są obaj strasznie komiczni — rzekła Jane—już choćby z tego powodu, że Josephs ma tak wielkie uszy.

Zbliżyli się ku miejscu, gdzie droga wiała się wśród zagajnika kasztanów i drzew morwowych. Gdy weszli na nią, zerwał się wiatr, porwał z ziemi w swój wir zwiędłe liście i poruszył gałęzie drzew.

—Tej części drogi nienawidzę — rzekła Jane i pośpieszyła szybko naprzód. — Na takich właśnie miejscach najczęściej ludzie bywają obrabowywani i mordowani.

— Nie jest to wcale tak złe miejsce do schronienia się przed deszczem, który napewne lunie, zanim wrócimy — rzekła Agata, którą objął lęk, gdy wiatr począł smagać ją po twarzy. — Zmoknę do nitki, szczególnie w tych leciuchnych pantofelkach. Pragnęłabym mieć na sobie swoje ciężkie trzewiki. Gdy deszcz lunie, pobiegnę do tej starej chaty.

— Miss Wilson na to nie pozwoli — to zakazane!

— Co to szkodzi? Przecież nikt tam nie mieszka, a brama otwarta, wisi tylko na zawiasach. Stanę tylko na werandzie—do wnętrza wcale nie wejde. Zresztą właściciel tej chaty zna miss Wilson. Oto spadła już jedna kropla.

Miss Carpenter spojrzała w górę i ciężka kropla deszczu wpadła jej wprost w oko.

— O! — zawołała. — Deszcz pada! Zmokniemy do nitki.

Agata stanęła i cały pochód zgromadził się wo koło niej, tworząc jedną grupę.

— Miss Wilson — rzekła Agata — niebawem lunie deszcz, a ja i Jane jesteśmy w pantofelkach.

Miss Wilson milczała, zastanawiając się widocznie nad położeniem. Jedna z dziewcząt wyraziła zdanie, że jeżeli pobiegną, to dostaną się do Lyvern jeszcze przed ulewą.

— Trwałoby to przeszło 20 minut — rzekła Agata pogardliwie, a deszcz już pada!

Inna radziła, aby powrócić do domu!

— Na to potrzeba trzech kwadransów — rzekła Agata. — Nim dojdziemy możemy się wszystkie potopić.

— Nie pozostaje więc nam nic innego, jak czekać tu pod drzewami — rzekła miss Wilson.

— Gałęzie są zupełnie nagie — rzekła Gertruda lękliwie. — Gdy deszcz się rozpada, to lać się z nich będzie gorzej jeszcze, niż sam deszcz.

— O wiele gorzej — rzekła Agata. — Ja sądzę, że najlepiej będzie, jeśli schronimy się na werandzie w tym starym domku. To stąd zaledwie pół minuty.

— Ależ nie mamy do tego prawa! — Niebo groźnie zachmurzyło się. Miss Wilson przerwała więc sama sobie. — Sądzę, że dom ten nie jest zamieszkały.

— Naturalnie! — odpowiedziała Agata z niecierpliwością, pragnąc się dostać jak najrychlej pod dach. — To jest napół ruina.

— A więc w imię Boże idźmy — rzekła miss Wilson, która wobec widoków przemoknięcia do nitki, nie chciała dalej trwać przy swych skrupałach.

Pospieszyły więc naprzód i niebawem wydo-

stały się na zielony pagórek, położony przy drodze. Na szczycie pagórka stał w opłakanym stanie rodzaj szwajcarskiego dworku, który cały niemal otoczony był werandą wspartą na wysmukłych, drewnianych słupkach. Kilka łąt uschłych roślin zwisało z nich, a szczyty ich, które jeszcze zdawały się poruszać trwożliwie wskutek uderzeń wichru, uspokoiły się obecnie, jakgdyby nadśłuchiwały i oczekiwały nadejścia ulewy. Brama z nieobrobionego drzewa, która tkwiła w ogrodzeniu, prowadziła wprost z gościńca do dworku. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu zauważyła Agata, że brama nie była wytracona z zawiasów, jak to ostatnim razem miało miejsce, kiedy spoczywała jeszcze przymocowana do zwykłego pala przy pomocy zardzewiałego łańcucha; obecnie zawieszono ją z powrotem i zaopatrzone w nowe zasuwę. Niepogoda nie pozwoliła jednak na dłuższe oglądanie tych zmian i naprawek. Otworzyła więc bramę i zaczęła się wspinać na wzgórze w towarzystwie całej gromadki dziewcząt. Musiały po chwili puścić się biegiem, albowiem nagły deszcz spływać zaczął strumieniami.

Gdy się uczuły bezpieczne pod chroniącym nakryciem werandy, jedne stękające i mrukliwe, drugie zaś uśmiechnięte i zadowolone, że udało im się znaleźć ciekawe schronisko, zauważyła miss Wilson z wyrazem szczerego zaniepokojenia nowiuteńką, jak zasuwę w bramie łopate, która tkwiła w świeżo skopanej ziemi.

Właśnie zamierzała wypowiedzieć swoje spostrzeżenia na temat widomego znaku, który wskazywał na fakt, że mieszkali tu ludzie, gdy z rozmachem otworzono drzwi dworku, co spowodowało Jane do

głośnego okrzyku. Z domu wyszedł jakiś mężczyzna i zmierzał wprost do łopaty, której najwidoczniej nie chciał pozostawić na deszczu. Niebawem jednak spostrzegł towarzystwo, siedzące na werandzie i przystanął, oniemiawszy ze zdziwienia. Był to młody robotnik o rudawej brodzie, której zaledwie od tygodnia dane było urosnąć. Miał na sobie ubranie robotników z Manchester, z kamizelką, zakończoną płóciennymi rękawami. Wszystko było nowe, jak łopata i owe haki. Gruba, niebieska koszula oraz pospolity, czerwono-pomarańczowy fontasik na szyi, wszystko zupełnie nowe, dopełniały całości ubioru. Dla ochrony przed deszczem rozpiął nad sobą ten człowiek jedwabny parasol, z rączką z kości słoniowej i srebrnem okuciem, a więc przedmiot, do którego posiadania nie mógł dojść na drodze uczciwej.

Miss Wilson czuła się w usposobieniu chłopca, którego przychwymano w ogrodzie owocowym na nieusprawiedliwionym pobycie mimo to jednak przybrała ona odważny wyraz twarzy i rzekła:

— Czy pozwolicie, byśmy się tu schroniły — na czas trwania ulewy?

— Ależ naturalnie, łaskawa pani — odpowiedział człowiek z gestem, pełnym powagi, odgarniając swe, aż po same brwi spadające włosy, przy której to czynności posługiwał się rękojeścią swej łopaty.

— Łaskawa pani, mogę być dumny z okoliczności, która spowodowała panie do szukania w mej ubogiej chatce ucieczki przed bezlitosną burzą.

Słowa jego dobrane były dziwnie, jego wymowa była sztucznie prostacką, a on, niby jaki lichy

aktor, cieszył się z nieudanej gry. W ciągu rozmowy wszedł również na werandę, oparł łopatę o ścianę i zajął się usuwaniem gliny ze swych ciężkich, gwoździami nabitych butów, które również były nowe.

— Wyszedłem, łaskawa pani — podejmował dalszą rozmowę z niezgorszym wyrazem samozadowolenia — wyszedłem, by zanieść do chaty łopatę, której zawdzięczam mój zarobek dzienny. Czem pióro dla poetów, tem łopata dla robotników.

Zdjął chustkę ze szyi, wytarł nią skronie, jak gdyby przyłgnał do nich pot, pochodzący z uciążliwej pracy i złożył ją ponownie, starannie.

— Proszę wybaczyć prostakowi maleńką uwagę — rzekł — łaskawa pani posiada wcale ładną familijkę, złożoną z tych córek.

— To nie są moje córki — krótko zauważyła miss Wilson.

— A więc może siostrzyczki?

— Nie.

— Myślałem, a nuż może, sam mam jedną siostrę. Nie jakobym ośmielał się porównywać ją choćby w myślach z temi oto paniami, ona — to zwykle kobiecisko, tak pospolite, że trudno spotkać drugie, bardziej pospolite. Ale kobiety rzadko kiedy wyrastają ponad miarę przeciętną. Ostatniej niedzieli słyszałem tam na dole, w kościele wiejskim, jak mówił proboszcz, że prawdziwego mężczyznę znalazł jednego na tysiąc ludzi, a kobiety dziełnej nawet wśród takiej ilości nie znajdziesz. A ja zaraz pomyślałem sobie: Sprawiedliwie mówi! Ale niech mię licho porwie, jeżeli proboszcz ten miał kiedy sposobność widzieć łaskawe panie.

Śmiech zaledwie dosłyszalny, trudny do odróż-



nienia od przymusowego kaszlu, wymknął się z gardziółka miss Carpenter.

— Młoda lady przeziębila się najwidoczniej — zauważył gospodarz z wyrazem szacunku pełnej troski.

— Czy uważa pan, że deszcz potrwa jeszcze długo? — zapytała Agata uprzejmie.

Tajemniczy człowiek spoglądał przez chwilę na niebo spojrzeniem znawcy. Poczem, zwracając się do Agaty, oznajmił pokornie:

— Bóg jeden raczy wiedzieć, łaskawa miss. Zwykłemu człowiekowi nie jest dane przewidzieć wolę niebiosów.

Nastąpiło milczenie, a Agata, która ukradkiem przyglądała się mieszkańcowi chatki, zauważyła, że twarz jego i szyja przedstawiają się o wiele czyściej i są mniej opalone, aniżeli to z reguły miało miejsce u zwykłych robotników z Lyvern. Ręce jego chroniły szerokie rękawiczki, splamione pyłem węglowym. Zazwyczaj mało zwracali uwagi lyverneńscy robotnicy na swe ręce i nigdy nie nosili rękawiczek. Ale Agata pomyślała sobie: dlaczegóżby nie miał nosić tanich rękawiczek robotnik, ulegający najwidoczniej różnym urojeniom, człowiek przy tem wszystkim niemożliwie gadatliwy, mąż, który może sobie pozwolić na porównania tak podniosłe, jak zestawienie łopaty z piórem poety. Tylko jak wytłumaczyć sobie jedwabny, w srebro okuty parasol...

— Młoda dama — zauważył nagle przedmiot rozmyślań Agaty, i skierował w jej stronę parasol — przypatruje się temu oto przedmiotowi. Wiem ja, że nie przystoi najbardziej chudemu z chudopachołków używać parasola, przeznaczonego dla dżentelme-

nów i proszę waszą łaskawość z tego powodu o przebaczenie. Drogą przypadku stałem się jego właścicielem i czułbym się szczęśliwy, gdyby jaki dżentelman, który potrzebuje tego przyrządu, zechciał nabyć go u mnie za cenę, na którą mógłbym się zgodzić.

Podczas jego przemowy wpadło przez bramę dwóch dżentelmanów, którzy bardzo potrzebowali parasola, o ile sądzić można było po ich sukniach, ociekających z deszczu. Przybysze zdążyli wprost do dworku. Pierwszy z nich, jak się okazało, był Fairholme. Wydawszy ze siebie rozpaczliwy okrzyk: okropność! — odwrócił się szybko od dam, przystanął przy samym brzegu werandy i zajął się strzeptywaniem deszczu z sukni i kapelusza. Josephs, który po chwili nadszedł, ulegał co chwila drgawkom, przy każdorazowym dotknięciu przemoczonych szat własnych. Skłonił się przed miss Wilson i wyraził przekonanie, że dama najprawdopodobniej nie przemokła.

— Co to, to nie — odpowiedziała przełożona. — Ale zadaję sobie obecnie pytanie, w jaki sposób przedostaniemy się stąd do domu?

— O, to tylko przemijająca ulewa — rzekł Josephs i wzrokiem pełnym nadziei przenikał ciężko zachmurzone niebo. — Niebawem wyjaśni się.

— Nie przystoi zwykłemu człowiekowi wygłaszać zdania odmiennego od opinii dżentelmana, którego zawodem poniekąd zajęciem jest znawstwo niebiosów, jeśli to w ten sposób określić wolno — wtrącił gospodarz — inaczej założyłbym się o mój parasol wzamian za pański kapelusik, że deszcz nie ustanie przed siódmą godziną.

— Człowiek ten mieszka tutaj i mam wrażenie, że pragnie pozbyć się nas.

— Hm! — zauważył Fairholme. Po chwili zwrócił się do dziwaczного robotnika z miną człowieka, który nie zna żartów i zapytał głosem wyniosłym:

— Czy wy mieszkacie tutaj, kochany człowieku?

— W samej rzeczy, mój panie, z łaskawem jego zezwoleniem, jeśli wolno mi być tak śmiałym.

— Jak się nazywasz?

— Jeff Smilasch, łaskawy panie, mam zaszczyt polecić się łaskawym względom.

— Skąd przybywasz?

— Z Brixtonburg, łaskawy panie.

— Z Brixtonburg, gdzie to leży?

— Ha, mój panie, tego sam nie wiem dokładnie. Jeżeli tego nie wie dżentelman taki, jak pan, który zna geografję i inne sprawy tego rodzaju, skąd ja mam o tem wiedzieć?

— Zdaje mi się, że powinieneś wiedzieć człowieku, gdzie się urodziłeś. Czy pozbawiony jesteś zdrowego rozsądku?

— Skąd takiemu, jak mnie, do rozumu w głowie? Zresztą byłem tylko znajdą. Możliwie, że nie urodziłem się wcale.

— Czy miałem sposobność widzieć cię w kościele w ostatnią niedzielę?

— Nie, panie. Przybyłem dopiero we środę.

— A więc dobrze, w takim razie zjaw się w kościele w najbliższe święto — upomniał Fairholme rozkazująco i odwrócił się od robotnika.

Miss Wilson spoglądała na chmury, z kolei na Josephsa, który rozmawiał z Jane, a wkońcu na

Smilascha, podziwiając go, jak raz w raz godził pięścią we własne czoło, niewiadomo, w jakim celu. Zdawał się nieoczekiwać zupełnie, by ktoś zechciał do niego przemówić.

— Czy nie macie chłopca pod ręką, którego by można posłać do Lyvern, ażeby sprowadził nam jaki wehikuł. Gotowa jestem ofiarować mu za trud całego szylinga.

— Szylinga! — zawołał uradowany Smilasch. — Wasza łaskawość jest szczodłą damą. Dwa dwuosiove wozy. Ba, nawet ośm jestem gotów dostarczyć.

— Istnieje wszystkiego tylko jeden wózek w Lyvern — oznajmiła miss Wilson. — Proszę zanieść ten bilet do mr. Marscha, który wypożycza wozy i opowiedzieć mu, w jakim kłopotliwym znajdujemy się położeniu. Niewątpliwie przyśle zaprzęg.

Smilasch wziął bilet do ręki i odczytał nazwisko przelotnie. Potem udał się do wnętrza domu, skąd wyszedł niebawem w naoliwionym kubraku i deszczowej czapce na głowie. Wybiegł odważnie na deszcz i w ruchach niepozabawionych komicznej elegancyi minął bramę.

Skoro tylko zniknął, stał się przedmiotem ogólnej rozmowy, jak to zresztą zwykle bywa, gdy chodzi o ludzi dziwacznych, niezwyuczajnych.

— Skromny robotnik — stwierdził Josephs. — Posiada wcale niezłe maniery, jak na człowieka, wywodzącego się z jego stanu.

— Urodzony matoł — ocenił Fairholme.

— Albo filut — zauważyła Agata, szeroko otwierając oczy i zuchwale pokazując zęby, podczas gdy

koleżanki stały oniemiałe z przerażenia z powodu jej zuchwalstwa.

— Proszę — dowodziła Agata — pani przełożonej oświadczył, że posiada siostrę i że w ostatnią niedzielę był w kościele. Panu zaś opowiadał, że jest znajdą i że przybył tutaj dopiero we środę. Prostaczką wymowę przybrał sobie tylko sztucznie, umie czytać i wprost nie wierzę, by on miał być robotnikiem. Może to jakiś złoczyńca i zamierza ukraść srebro z zakładu.

— Agato — upominała surowo miss Wilson — powinnaś mieć się na ostrożności, gdy wygłaszasz podobne przypuszczenia.

— W każdym razie wydaje mi się cała sprawa podejrzaną. Jego oświadczenie, złożone w sprawie parasola, zmierzało do usunięcia mych podejrzeń. Sądząc po sposobie używania parasola można było stwierdzić, że obchodził się z nim o wiele sprawniej, aniżeli z łopata, o którą troszczył się na pozór tak bardzo. Ponadto całe jego ubranie jest nowiusieńkie.

— Wszystko to prawda, ale nie przesądza to jeszcze o niczem — odparł Fairholme. — Dzisiejsi robotnicy są niekiedy prawdziwymi dżentelmenami. W każdym razie będę się starał mieć go na oku.

— Bardzo panu dziękuję — uroczyście oświadczyła Agata.

Fairholme, który podejrzywał, że Agata drwi z niego, zmarszczył czoło, a miss Wilson spojrzała na nią surowo. Mówiono teraz bardzo mało, padło tylko kilka uwag o tem, czy deszcz będzie trwał długo, aż wreszcie ujrzano zdala dach dorożki, jakąś starą landarę i trzy kapelusze ociekające deszczem. Smilasch siedział obok woźnicy na koźle. Gdy do-

rożka stanęła, Smilasch zeskoczył z kozła, nie mówiąc do nikogo ani słowa, wszedł do domu i wyniósł stamtąd parasol. Otworzył go ponad głową miss Wilson i rzekł:

— Jeśli łaskawa pani za mną pójść raczy, przeprowadzę ją do powozu, a szanowne kuzynki pani odstawię jedną po drugiej.

— Pójdę ostatnia — odpowiedziała miss Wilson, zmieszana tem, że Smilasch całe to towarzystwo uważał za jedną rodzinę. — Gertrudo, idź pierwsza.

— Proszę, niech pani pozwoli — rzekł Fairholme, który postąpił kilka kroków naprzód i chciał wziąć parasol.

— Dziękuję bardzo, nie chcę pana trudzić — rzekła Gertruda zimno i podreptała przez błotniste pole ze Smilaschem, który z wielką ostrożnością trzymał nad nią parasol. W ten sposób odprowadził wszystkie do powozu, w którym tylko z wielką trudnością się pomieściły. Agata, która szła przedostatnia, dała mu trzy pensy.

— Pani ma szlachetne serce i dzielny wzrok, miss — rzekł i wydawał się bardzo wzruszony. — Niech Bóg cię błogosławi!

Następnie odprowadził Jane, która pośliznęła się na miękkiej trawie i upadła. Musiał użyć całej swej siły, aby ją podnieść.

— Spodziewam się, że pani nie przemokłaś tak bardzo — rzekł. — Pani jesteś na swój wiek bardzo piękną panną, a sędzę, że ważysz 120 do 140 funtów.

Ona spiekła raka i podążyła do dorożki, w której siedziała Agata. Lecz dorożka była pełna. Jane musiała, wbrew swej woli, wsiąść do landary, gdzie

o wiele zmniejszyła objętość miejsca, przeznaczonego dla miss Wilson.

Smilasch tymczasem powrócił do niej.

— No — rzekł — teraz niech pani dobrze uważa, aby się nie pośliznęła i nie upadła. Proszę iść ze mną.

Miss Wilson, która nie zważała na to zaproszenie, wyjęła szylinga z portmonetki.

— Nie, pani — rzekł Smilasch z miną pełną pokory. — Jestem uczciwy człowiek, jeszcze nie zrobiłem znajomości z kryminałem z wyjątkiem czterech razy, ale z których tylko dwa były za kradzież; najmłodsza córka pani, ta z tym tak odważnym wzrokiem — zapłaciła mi więcej, niż sowicie.

— Powiedziałam wam już raz, że te młode damy nie są moimi córkami — rzekła miss Wilson ostro. Dlaczego nie uważacie na to, co się do was mówi?

— Niechajże łaskawa pani nie będzie tak surową dla zwykłego prostaczka — uspokajał uniżenie Smilasch. — Jedna z młodych dam ofiarowała mi właśnie trzy pół-korony.

— Trzy pół-korony! — krzyknęła miss Wilson wprost oburzona taką rozrzutnością.

— Niechaj Bóg błogosławi jej naiwności, nie wie ona, jak należy wynagrodzić takiego człowieka, jak ja. Wcale jednak nie mam zamiaru okradać młodą lady. Pół korony to wystarczające wynagrodzenie za drogę odbytą do wsi, zaś drugą pół-koronę zachowam sobie za pozwoleniem waszej wytwornej wysokości. Pozostałych natomiast pięć szylingów wręczam pani z powrotem dla młodej lady. Czy pani ró-

wniez zauważyła, że młoda lady jest bardzo dzielna istotką?

— Nonsens, inój człowieku, proszę zatrzymać przy sobie wręczone mu pieniądze.

— Co? Miałbymże ja za cenę pięciu szylingów narażać na szwank to wysokie mniemanie, jakie wasza łaskawość o mej osobie nabyła? Nie, droga lady, czegoś podobnego proszę nie oczekiwać odemnie. Ostatnie słowa mego zmarłego rodzica...

— Opowiadaliście przecież przed chwilą, że jesteście znajdą — zauważył Fairholme. — Więc w co właściwie mam wierzyć, he?

— O, w samej rzeczy jestem znajdą, łaskawy panie, ale tylko ze strony matki. Proszę waszą łaskawość przyjąć z powrotem pieniądze, albowiem pod żadnym warunkiem nie zatrzymam ich. Należę wprawdzie do niskiego stanu i słowo moje nie posiada znaczenia, ale skoro już raz co postanowiłem, nie odstąpię od tego.

— Niechaj pani przyjmie zwrócone pieniądze — radził Fairholme. — Może pani przyjąć z czystem sumieniem. Było rzeczą śmieszną ofiarować mu za jego trud siedm i pół szylinga. Mogłaby go tylko ta hojność sprowadzić na drogę pijaństwa.

— Jego wielebność mówi świętą prawdę. Za pół korony, o którą chodzi, mogę się upić i pozostać nieprzytomny aż do niedzieli rano, a niczego mi więcej nie potrzeba.

— Miarkuj cokolwiek twój język, człowiecze — upomniał go Fairholme, przyjmując obie sztuki srebrnej monety i wręczając je miss Wilson. Przełożona pozdrowiła pastora uprzejmem: dobry wieczór i udała się pod parasolem w stronę dorożki.



— Gdyby wasza łaskawość potrzebowała przypadkowo zwinnego człowieka do wykonania jakiejś trudniejszej roboty, wówczas prawdopodobnie nie zapomni pani o mnie — upewniał się Smilasch, podczas gdy schodził z przełożoną z pagórka.

— Oho! a więc wiecie, kto ja jestem? — zagadnęła oschle miss Wilson.

— Cała okolica wie o tem i szanuje panią. W kowalstwie trudno znaleźć mnie równego, a jeżeliby pani życzyła sobie mieć pięknie wykonany medal, jako nagrodę dla uczenic za dobre zachowanie się lub inne zasługi, mam nadzieję, że moja robota odpowiedziałaby wymogom. A jeżeliby wasza łaskawość potrzebowała przypadkowo przemycanych koronek...

— Radzę mieć się bardziej na baczności, ażeby nie spotkała was jaka nieprzyjemność — upominała go surowo miss Wilson. — Proszę dać woźnicy znak do odjazdu.

Powozy ruszyły, a Smilasch z całą swobodą wymachiwał kapeluszem za nimi, poczem powrócił do dworku, wniósł do wnętrza parasol, zamknął drzwi i schowawszy klucz do kieszeni, ruszył w dal przez pagórek wśród rześistego deszczu i nie zwrócił najlżejszej uwagi na oniemiałe ze zdziwienia oblicza obu pastorów.

Równocześnie nie omieszkała miss Wilson dać wyraz swemu niezadowoleniu z powodu rozrzutności Agaty i pouczała na ten temat dziewczęta zamknięte z nią w karecie. Ale Jane oświadczyła, że Agata posiadała wszystkiego razem zaledwie trzy pence, nie mogła więc ofiarować robotnikowi trzydzieści razy więcej pieniędzy. Gdy już przybyły do

domu i miss Wilson zagadnęła o to Agatę, ta otworzyła szeroko oczy i oświadczyła z uśmiechem:

— Dałam mu wszystkiego trzy pence. On zaś najwidoczniej niby w upominku dla mnie dodał jeszcze cztery szylingi i dziewięć pence.

#### IV.

Sobota, która z natury rzeczy posiada charakter pół-święta, była w zakładzie w Alton świętem zupełnem. Rano odbywała się zaledwie nauka gimnastyki, tańców, rysunków i wymowy, a popołudnie spędzano na grze w tenisa. Do tej zabawy spraszano zazwyczaj panie z sąsiedztwa, które mogły przywieźć ze sobą mężów, braci lub ojców, albowiem miss Wilson nie życzyła sobie, by jej wychowanki wydostawały się z zakładu na świat szeroki z wszelkimi znamionami komicznej niezgrabności, która świadczy o typowo szkolarskim braku obycia towarzyskiego.

Z końcem października nastąpiła jedna sobota, która dla miss Wilson pozbawioną została cech święta. O wpół do drugiej po lynchu wyszła przełożona w stronę trawnika, który mieści się pomiędzy południową ścianą zakładu a miejscem sztucznie przez krzewy zalesionem. Tutaj spotkała gromadkę dziewcząt, które przypatrywały się, jak Agata z Jane do spółki ciągnęły walec służący do prasowania trawnika. Jedna z dziewcząt podbiła piłkę rakieta w ten sposób, że piłka upadła w gąszcz krzewów, z pośród których wyłoniła się niebawem ku zdziwieniu całego towarzystwa osoba Smilascha. Trzymał piłkę w rękę, mrużył jedno oko i oznajmił głoś-

no, że doznaje różnych uczuć w tym samym stopniu, co każdy inny człowiek, oraz starał się zebranych przekonać, iż oko jego w gruncie rzeczy nie zostało urobione ani z kamienia ani też z drzewa. Odziany był, jak dawniej z tą różnicą, że ubranie jego splamione gliną i wapnem, straciło wiele z dotychczasowego swego powabu nowości.

— Proszę, czego życzyście sobie tutaj? — zapytała miss Wilson.

— Byłem przekonany, że lady posłała po mnie — odpowiedział.

— Piekarczyk oznajmił mi o tem dzisiaj rano, kiedy nawiedził moją niską chatkę. Nigdy nie przypuszczałem, by mógł mię okłamać.

— W samej rzeczy, posyłałam po was. Dlaczego jednak nie udaliście się drugą stroną do wejścia dla służby?

— Szukam właśnie tego wejścia, łaskawa lady. Właśnie rozglądałem się za niem, kiedy ugodziła we mnie ta piłka — mówiąc to, wskazał na swoje przymrużone oko.—Od takiego ciosu traci się słuch i wzrok i człowiek przyzwoity staje się podobnym do jakiego zbója.

— Agato, proszę zbliżyć się — rozkazała miss Wilson.

— Do usług łaskawej pani — oświadczył Smilach, szarpiąc niemiłosiernie pęk włosów, który spadł mu na czoło.

— Oto jest człowiek, który wręczył mi owych pięć szylingów. Twierdzi, że otrzymał je od ciebie. Czy jest tak istotnie?

— Absolutnie nie. Ofiarowałam mu tylko trzy pence.

—Wszak natychmiastowo pokazałem pieniądze waszej łaskawości — jękał Smilasch, obracając kapelusz niespokojnie w rękach. — Zwróciłem je pani. Skądże miałem wydostać pięć szylingów, jeśli nie dzięki szczodroblewości ludzi bogatych i dostojnych? Jeżeli młoda lady uważa, że nie miałem prawa zatrzymać drugiej pół korony, nie sprzeciwię się, gdy mi ściągniętą zostanie z wynagrodzenia za robotę, którą tu otrzymam. Ale...

— Wszystko razem nie ma najmniejszego sensu — zaopiniowała Agata. — Nigdy nie wręczyłam wam trzech pół-koron.

— Może pani omyliła się. Pence są niemal tak duże, jak pół-korony, a wskutek niepogody, zmrok panował.

— Omyłka tego rodzaju jest wykluczona — zapewniła Agata. — Jane rozporządzała przez cały tydzień moją sakiewką i ona może poświadczyć, miss Wilson, że posiadałam tylko trzy pence. Zresztą wie pani dobrze o tem, że zawsze na pierwszego otrzymuję moje pieniądze, które nie wystarczają nigdy na dłużej ponad jeden tydzień. Posądzenie, że mogłam dnia szesnastego w miesiącu rozporządzać siedmioma i pół szylingami, jest wprost śmieszne.

— Z przeproszeniem młodej lady, ale czy nie jest przynajmniej w równej mierze śmieszne, jeżeli przypuszcza się, że biedny robotnik zwrócił pieniądze, których nigdy nie otrzymał?

Nieokreślony niepokój ogarnął Agatę i doznawała wrażenia, że nie może już wierzyć własnym zmysłom.

— Wszystko, co wiem, da się krótko wyrazić: nie dałam wam tych pieniędzy. Ale w takim razie

trzeba przypuścić, że pence przemieniły się w waszej kieszeni w sposób iście cudowny w pół-korony.

— Mniejsza o to — odpowiedział Smilasch poważnie.

— Słyszałem i uważam tę wieść za pewną, że w kieszeni bogatych ludzi rozmnażają się pieniądze same przez siebie. Dlaczegooby nie miał zająć niekiedy podobny wypadek również w kieszeni jakiego ubogiego? Dlaczego dziwić się rzeczom, które powtarzają się z dnia na dzień?

— Czy mieliście wówczas własne pieniądze przy sobie?

— Skąd miałby mieć własne pieniądze człowiek do mnie podobny? — proszę wybaczyć, iż jestem tak śmiały i wprost stawiam pytanie.

— Nie wiem, skąd je mogłeś otrzymać — rzekła zniecierpliwiona miss Wilson. — Pytam jedynie, czy miałeś przy sobie pieniądze?

— Dziś już nie jestem pewny. Nie chcę oszukać pani, ale nie mogę przypomnieć sobie.

— W takim razie omyliłeś się — rzekła miss Wilson, zwracając mu pieniądze. Proszę, oto pieniądze, które, jeżeli nie są twoje, nie są również i nasze. I dlatego lepiej będzie, jeśli wy je zatrzymacie.

— Zatrzymać! Och, lady, wszak to szczyt wspaniałomyślności! I cóż mi pozostaje uczynić, by móżdż w istocie zasłużyć na tę dobroczynność, która mię ze strony pani spotyka?

— Wcale nie jest to dowodem mej dobroczynności. Daję wam pieniądze, ponieważ nie należą one do mnie i ponieważ, zdaje mi się, że należą do was. Zdaje się, że jesteście bardzo prostodusznym człowiekiem.

— Dziękuję waszej łaskawości, najprawdopodobniej jestem nim. Zaś co do zarobku dziennego, czy nie miałaby pani jakiego zajęcia dla biednego człowieka?

— Nie, dziękuję. Nie mogę korzystać z waszych usług. Dłużną wam jeszcze byłam szylinga, którego obiecałam za sprowadzenie powozów. Proszę, oto on.

— Jeszcze jeden szyling! — wołał uradowany Smilasch.

— Tak jest, jeszcze jeden szyling — z naciśkiem powtórzyła miss Wilson, którą zaczął opanowywać gniew. — Nie życzę sobie, proszę, nic więcej słyszeć w tej sprawie. Czy nie rozumiesz człowieku, że zapracowałeś sobie tego szylinga?

— Jestem prostak i prawdę powiedziawszy, nic prawie nie rozumiem w tej materii — odparł Smilasch z wyrazem pełnego szacunku. — Ale, jeżeli pani udzieli mi zajęcia na jeden dzień, bym mógł cokolwiek zarobić, wówczas zaoszczędzę sobie ten grosz w drewnianej skarbonce, którą mam w domu i zachowam sobie pieniądze na czas późniejszy, gdy kiedyś choroba i starość, jak to mówią, położą na mnie swe ciężkie łapy. Umieję naprzykład wzorowo prasować trawnik. Młode damy zamęczają się ciężkim walcem. Do gry w tenisa umiem tak naprężyć siatkę, że możnaby w nią schwytać nawet rajskiego ptaka. Gdy chodzi o pociągnięcie wapnem białych pasów, potrafię wyrysować linię zdumiewająco prostą. Jestem człowiekiem uczciwym i jeżeli się mnie pilnuje, umiem usługiwać przy stole tak dobrze, jak pierwszy kamerdyner lorda-majora z Londynu.

— Nie mogę was zatrudnić bez obejrzenia waszych świadectw — oświadczyła miss Wilson.

— Posiadam najlepsze świadectwa. Wielce czci-  
godny proboszcz zna mnie jeszcze z czasów mego  
dzieciństwa.

— Rozmawiałam z nim wczoraj o was—rzekła  
miss Wilson, spoglądając na niego surowo.—Utrzy-  
muje, że nie zna was zupełnie.

— Dżentelmeni odznaczają się niekiedy krótką  
pamięcią — rzekł stroskany Smilasch. — Ale ja mia-  
łem właściwie na myśli proboszcza z moich stron ro-  
dzinnych, proboszcza z mojej wsi Auburn. O, słod-  
kie Auburn, najmiłsza wiosko w dolinie, jak zwłkł  
był mawiać mój dżentelman.

— Nie jest to jednak nazwa wsi, którą wymie-  
niliście w obecności mr. Fairholma. Nie wiem już,  
jak opiewała ta nazwa, ale w każdym razie nie było  
to Auburn; przyznam się również, że nigdy nie sły-  
szałam o podobnej miejscowości.

— I nie czytała pani nic nigdy o słodkiem  
Auburn?

— Ani w podręczniku dla geografii, ani w leksy-  
konie. Przypominacie sobie zapewne, że wspomina-  
liście o odbytej karze więziennej?

— Tylko sześć razy — bronił się Smilasch, pod-  
czas, gdy twarz jego kurczyła się i drgała rozpacz-  
liwie.

— Nie wydawaj pani surowego wyroku na głó-  
wę zwykłego prostaczka. Tylko sześć razy, a każ-  
dym razem za pijaństwo. Ale przysięgłem, że pić  
nie będę i dotrzymałem przysięgi przez ośmnaście  
miesiący.

Miss Wilson była już obecnie przekonana, że

ma do czynienia z chłopcem wiejskim, niezbyt rozsądnym, ale wcale sprytnym i dowcipnym, z jednym z tych typów, które mimowoli zjednują dla siebie sympatyę, gdyż umieją pochlebić wymogom zdrowego rozsądku tych, od których są poniekąd zależni.

— Odznaczacie się słabą pamięcią, mój mr. Smilach—rzekła przełożona w przystępie dobrego humoru. — Każdym razem co innego opowiadacie o sobie.

— O, wiem ja, że brak mi ścisłości w wyrażaniu się. Panie i panowie posiadają władzę nad słowem. Są w stanie zawsze to wyrazić, co myślą, ale prostak nie umie tego. Słowa nie składają mu się same przez się. Niekiedy posiada on więcej myśli, aniżeli słów, a słowa nie chcą przystosować się do myśli. Czy nie pozwoli pani, bym wygładził trawnik i zapracował sobie do wieczora dziewięć pensów?

Miss Wilson, która oczekiwała dzisiaj przybycia nie tylko samych zwykłych gości sobotnich, zastanowiła się nad propozycją i przyjęła ją.

— Zapamiętajcie sobie jednak — rzekła — nikt was nie zna w całej okolicy, więc opinia o was w Lyvern zależeć będzie od tego, jak się tu dzisiaj spieszcie.

— Niezmiernie wdzięczny jestem waszej łaskowości.

— Mój portfel, w którym chowam zazwyczaj moje świadectwa, posiada dziurę i dlatego gubię je nieustannie. Ale niechaj dobroć pani załata tę dziurę. Wiem, że niestosowne to miejsce na schowek dla świadectw, ale stosuję się pod tym względem do przyjętego zwyczaju. I z tego to powodu wnoszę



okrzyk: hura! na cześć sławetnego wieku dwudziestego!

Zdjął kurtkę, chwycił rączkę od walca i zaczął ciągnąć z takim nakładem energii, jak tego nigdy nie czyni umiarkowany robotnik zawodowy. Miss Wilson przypatrywała mu się z wyrazem niedowierzania, ale wkrótce musiała pośpieszyć do wnętrza domu i powstrzymała się już od wygłoszenia swych świeżych spostrzeżeń. Agata postanowiła natomiast przypatrzeć się robotnikowi jeszcze raz i to dokładnie. Z rakieta w rękę weszła na trawnik i zbliżyła się do niego w chwili, gdy Smilasch, nie zauważyw-szy jej pobliża, westchnął głośno z wyczerpania i usiadł dla wypoczynku.

— Już tak szybko zmęczyłeś się mr. Smilasch? — zagadnęła go drwiąco.

Spojrzał na nią spokojnie, zdjął skórzaną rękawicę z ręki i chłodził się nią w miejsce wachlarza. Przy tej sposobności odstąpił wypieszczoną, białą rękę. W końcu zdobył się na odpowiedź, ale obecnie już w tonie i z wymową właściwą dżentelmenom:

— Istotnie zmęczyłem się niezwykle.

Agata drgnęła mimowoli. On wachlował się dalej, nie zdradzając w niczem śladu jakiegokolwiek zaniepokojenia.

— Słuchajcie, wy nie jesteście robotnikiem — rzekła po chwili namysłu Agata.

— Naturalnie, że nie.

— Od samego początku myślałam to sobie.

Przyznał jej słuszność spokojnem skinieniem głowy.

— Przyjmijmy obecnie, że rozgłoszę tę wiado-

mość — rzekła Agata, która poczuła się odważniejsza, gdy uświadomiła sobie, że nie jest z nim sama.

— Jeżeli pani to uczynisz, wykręcę się z tego, jak się już zdołałem wykręcić z kwestyi trzech pół-koronówek, a miss Wilson nabierze przekonania, że pani jest niespełna zmysłów.

— Więc przyznajecie, że nie wręczyłam wam śledm i pół szylinga? — zapytała z odcieniem ulgi w głosie.

— A jak pani sobie właściwie wyobraża? — odparł wyjmując z kieszeni trzy pence i pobrzękiwał nimi na dłoni. — Jak się pani nazywa?

— Nie jest konieczne, byście wiedzieli o tem — odpowiedziała Agata z wyrazem godności.

Wzruszył ramionami.

— Może ma pani słuszość... — zauważył. — Nie wymienię również pani mojego nazwiska, gdy zapyta pani o nie.

— Wcale nie mam zamiaru dowiadywać się o nie.

— Nie? W takim razie zadowolili się pani „Smilaschem“, a ja „Agatą“.

— Byłoby dla was wskazane, gdybyście mieli się cokolwiek na baczności.

— Przed czem?

— Przed tem, co wygadujecie. A czy nie obawiacie się, że was odnajdą?

— Wszak pani już mię zdemaskowała. Czuję się jednak mimo to niezgorzej.

— Przyjmijmy jednak, że policya odkryje pana, a wówczas?

— Ach, policya — nie, ona nie! Zresztą nie mam powodów, by obawiać się policyi. Posiadam pełne

prawo noszenia robotniczej kurtki, skoro wolę ją od delikatnego ubrania. A teraz, proszę uprzytomnić so-bie, jakich doznaję korzyści w tem przebraniu. Dzięki niemu dostałem się do wnętrza zakładu i korzystam z przyjemności, jakich mi dostarcza znajomość z panią. Wybacz pani, że przez chwilę będę ciągnął walec, tak tylko dla zachowania pozorów. Zresztą mogę podczas tego rozmawiać.

— O, możesz pan, skoro znajdujesz upodobanie w monologach — oświadczyła Agata dumnie i zbierała się do odejścia z chwilą, kiedy Smilasch podniósł się z ziemi.

— Żart na bok, Agato, ale pani nie śmie nikomu nic o mnie opowiadać.

— Proszę nie nazywać mnie Agatą — upomniała się gwałtownie.

— A jak właściwie mam nazywać panią?

— Wcale nie potrzebuje mnie pan nazywać, nie trzeba wogóle zwracać się do mnie.

— Owszem, trzeba i ja życzę sobie tego. Proszę tylko nie być złośliwą.

— Ależ ja wcale pana nie znam. Dziwię się pańskiej... — Zawahała się z wypowiedzeniem zamierzonego słowa, ale gdy nie znalazła stosowniejszego określenia, dokończyła: — bezczelności.

Roześmiał się głośno, a ona przypatrywała mu się, jak ciągnął walec kilkakrotnie to w tę, to w ową stronę.

Uniósł w końcu głowę z ponad walca i rzucił w jej stronę ukradkiem spojrzenie, a ponieważ schwytał ją na tem, że spogląda na niego, uśmiechnął się radośnie. Uśmiech jego był jednak codzienny, szablonowy w porównaniu z jej uśmiechem, którym

odpowiedziała na radość jego, w którym uczestniczyły jej oczy i zęby i złoty odblask jasnej liców barwy. W okamgnieniu przerwał dalsze prasowanie i przystanął z brodą opartą o rękojeść walcowego pręta.

— Jeżeli pan będzie zaniedbywał robotę, nie uporządzi pan trawnika na czas, w którym zjawia się tu ludzie — zauważyła złośliwie.

— Jacy ludzie? — pytał zmieszany.

— O! mnóstwo ludzi. Prawdopodobnie nawet tacy, którzy pana znają. Przybywają goście z Londynu: mój opiekun z żoną i córką, moja matka i jeszcze przynajmniej sto innych osobistości.

— A więc wszystkiego razem cztery osoby. Po co przyjeżdżają? Czy celem odwiedzenia pani?

— Celem odebrania mnie z zakładu — odpowiedziała i śledziła go, czy wiadomość ta wywrze na nim przykre wrażenie.

Zmieszał się bardzo widocznie. — Dlaczegoż do licha chcą panią zabrać? — zapytał. — Czy pani już ukończyła nauki?

— Nie. Zachowywałam się nieodpowiednio i napędzono mnie.

Roześmiał się. — Jeżeli tak, to wszystko w porządku! — oświadczył — Zapewne zaczyna pani pojmywać manierę Smilascha. Cóż pani takiego zbroiła?

— Nie rozumiem, dlaczego właściwie miałabym opowiadać o tem. A co pan zbroił?

— O, ja właściwie nic nie zbroiłem. Jestem tylko dżentelmanem pozbawionym wszelkich romantycznych właściwości, który ukrywa się przed pewną romantyczną damą, ponieważ ona zakochała się w nim.

— Biedna! — zauważyła drwiąco Agata. — Naturalnie musiała uczynić wobec pana wyznanie, a pan ją precz odsunął.

— Wręcz przeciwnie, ja uczyniłem wyznanie, a ona je przyjęła. I dlatego muszę właśnie ukrywać się przed nią.

— Opowiada pan ładne historye — twierdziła Agata. — Bądź pan zdrow. Oto zbliża się miss Carpenter i pragnie usłyszeć, o czem rozmawiamy.

— Bądź pani zdrowa. Rzeczywiście przykro mi, że panią napędzono. — Czy wolno prostaczkowi dowiedzieć się, gdzie znajduje się tutaj graca?

Słowa te przeznaczone były dla Jane, która zbliżyła się w towarzystwie kilku osób. Agata spodziewała się, że nastąpi natychmiastowe zdemaskowanie Smilascha, albowiem komedia jego stała się aż nadto przejrzysta. Dziwiła się, jak łatwo dawali się drudzy w błąd wprowadzać.

Zegar wydzwonił właśnie drugą godzinę, co przypomniało Agacie, że niebawem spotka się z opiekunem. Naszedł ją lęk, a równocześnie pragnienie, by móżdż się gdzieś skryć w jakim samotnem ustroniu aż do chwili, kiedy usłyszy wołanie. Przyjęła jednak za punkt honoru okazywać stale zupełną obojętność wobec wszelkich możliwych trosk i dlatego pozostała w towarzystwie dziewcząt, śmiejąc się i rozprawiając swobodnie, podczas gdy koleżanki jej przypatrywały się, jak Smilasch starannie odznaczał pole do gry i rozpinał siatki. Agata pobudziła wszystkie towarzyski do śmiechu, a podniecało tę niezwykłą jej wesołość uczucie wewnętrzznego lęku zmagające się z ckliwem rozmarzeniem rodzącem się na widok romantycznego przebrania Smilascha. Wyobraźnia jej

układała już dramat, w którym ona była bohaterką, a Smilasch bohaterem, jakkolwiek trudno jej było na tle żywej i bezpośrednio oglądanej postaci stworzyć charakter o tak silnem napięciu tragicznem, jak to jest możliwe w dziedzinie snu i czystego marzenia.

Gra jej wyobraźni była bardzo prosta, ona jednak w skrytości przed samą sobą znajdowała w niej wielkie upodobanie. Więc: bohaterka kochała bohatera i zmarła ze złamanem sercem, ponieważ ukochany nie odwzajemniał się jej uczuciom.

Agata, która zawsze dbała o to, by smagać nielitośnie wszelkie sentymentalne skłonności swych koleżanek, ona, która zarażała drugich swem stałem psotnem pogotowiem, sama nurzała się skrycie w wyobraźniowej grze, zdążającej w kierunku beznadziejności i śmiertelnej grozy. Przeżywała często ciche męki popularnego kłowna, który wywoływa wśród publiczności prawdziwe burze oklasków, a w gruncie rzeczy uważa, że jest urodzonym tragikiem. Wiedziała ona o tem, że w naturze jej tkwią pierwiastki, które nie dadzą się dobrze wyrazić przy pomocy ulubionego przez nią porównania z żołnierzem w kominie.

O godzinie trzeciej przybyli goście z najbliższego sąsiedztwa i grano w tenisa na czterech boiskach, które Smilasch wzorowo ubił i wyporządził. Przypatrywali się grze obaj pastorowie z kilkoma osobistościami ze stanu świeckiego, przypatrywała się mrs. Miller, proboszcz, kilka matek i szereg dam poważnych. Towarzystwo pokrzepiało się lekkimi napojami i chłodnikami, które Smilasch, ozdobiony wypożyczonym kelnerskim fartuchem, roznosił na tacach,

rozwijając przy tej sposobności objawy niezwyklej usłużności.

W kwadrans później przybyło wezwanie od miss Wilson, odwołujące Agatę. Goście nie mogli pojąć, dlaczego młode damy nagle zmieszały się i zakłopotaly widocznie. Jane wybuchła płaczem i udzieliła Josephsowi niegrzecznej odpowiedzi, gdy starał się dowiedzieć od niej, co się właściwie stało. Agata odeszła na pozór zupełnie spokojna i obojętna, jakkolwiek ręka jej drżała, gdy wypuszczała z niej rakiety

W obszernym salonie położonym w północnej stronie budynku, zastała Agata swą matkę, wątłą kobietę w szatach wdowich, szatynkę o zaczerwienionych od płaczu oczach. W towarzystwie jej znajdowała się również mrs. Jansenius i jej córka. Obie starsze damy milczały poważnie, podczas gdy Agata składała na ich rękach pocałunki, tylko mrs. Wylie ze wzruszenia mięła chusteczkę do nosa. Henryeta natomiast uściskała Agatę nader gwałtownie.

— A gdzie jest wuj John? — dopytywała się Agata. — Czy wcale nie przyjechał?

— Znajduje się w sąsiednim pokoju u pani Wilson — oświadczyła mrs. Jansenius. — Oczekują tam oboje na ciebie.

— W pierwszej chwili zdawało mi się, że ktoś umarł — zauważyła Agata. — Wyglądacie panie, jak w chwili pogrzebu. Schowaj mamó chusteczkę. Jeżeli będziesz nadal płakała, nie omieszkam powiedzieć pani Wilson kilku szczerych słów w podziękę za to, że cię tak dręczy.

— Ależ nie, wcale nie, przeciwnie, ona była dla mnie nader uprzejma! — przeczyła przerażona mrs. Wylie.

— Ona taka dobra! — dorzuciła Henryeta.

— Pani przełożona jest bardzo rozsądna i wyrozumiała — osądziła mrs. Jansenius.

— Taką jest ona zawsze — przyznała w zamiarze ugodowym Agata. — Lub może wyobrażacie sobie, że wybucha ona w gwałtownych atakach?

— Agato — błagała mrs. Wylie — nie bądź zarozumiałą i nierozumną.

— Ona wcale nie jest taką. Wiem ja dobrze — łagodziła przymilając się Henryeta. — Nieprawdaż Agato kochana?

— Możesz robić, co zechcesz — rzekła mrs. Jansenius. — Spodziewam się atoli, że jesteś rozsądna i bez powodu nie zaniechasz dalszego kształcenia się.

— Twoja ciotka ma słuszność — rzekła mrs. Wylie. — Twój wuj jest oburzony na ciebie. Nie powie do ciebie ani słowa, póki będziesz się spierała z miss Wilson.

— On nie jest zły — rzekła Henryeta — ale on tak bardzo troszczy się o twoje dobro.

— Naturalnie będzie bardzo tem zmartwiony, jeśli tak dalej brnąć będziesz w swym nierozumie — rzekła mrs. Jansenius.

— Miss Wilson życzy sobie tylko, abyś ją przeprosiła za te straszne rzeczy, które powypisywałaś w książce — rzekła miss Wylie. — Kochana Agato, przecież przeprosisz ją?

— Naturalnie, że to uczyni — rzekła Henryeta.

— Byłoby to bardzo ładnie z twej strony — dorzuciła mrs. Jansenius.

— Być może, że to zrobię — rzekła Agata.



— Jesteś mojem kochanem, jedynem dzieckiem — zawołała mrs. Wylie i chwyciła ją za rękę.

— A może i nie zrobię tego.

— Uczyni to, moja najdroższa — naciskała mrs. Wylie i usiłowała ją uściskać. — Zrób to dla mnie. Zrobisz swej matce, Agato, wielką przyjemność. Przecież nie odmówisz mi tego, moje serce?

Agata z łagodnym uśmiechem patrzyła na swoją matkę, która już od dawna nie używała takich próśb. Nagle zwróciła się do Henryety i zapytała: — No jakże idzie twemu „caro sposo“? Był zły na mnie, że nie chciałam być jego drużką.

Henryeta spiekła raka. Mrs. Jansenius szybko wpadła między nie, przypominając, że miss Wilson czeka.

— O, nic jej to nie zaszkodzi, jeśli trochę poczeka — rzekła Agata. — Sądzę, że obie teraz pracujecie nad tem, aby mnie nawrócić. Tak umówiła się z wami, zanim wyszła z pokoju. Mama wie, że mi o tem wszystkim opowiada mały ptaszek. Muszę wam atoli powiedzieć, że dotychczas wcale nie usposobiliście mnie pojednawczo. Ponieważ wuj John musi się czuć bardzo nieszczęśliwym, to będę tak dobra, iż go uwolnię od wszelkich obaw. Adieu!

I poważnie wyszła z pokoju. Wkrótce potem wysunęła głowę przez drzwi i rzekła głosem przytłumionym: — Przygotujcie się na rzecz straszną. Mam właśnie ochotę powiedzieć straszne rzeczy. Zniknęła, w chwilę usłyszały, jak zastukała do drzwi obok położonych.

Mr. Jansenius czekał na nią bardzo stroskany.

W przebiegu wypadków swego życia zrobił odkrycie, że jego czcigodna postawa i jego piękny

głos jedną mu uszanowanie wśród ludzi, a na zgromadzeniach publicznych sadowią go przy stoliku przewodniczącego. Był tak przyzwyczajony do tego szacunku, że każde familiarne zbliżenie się do niego albo poufałość wprawiały go w kłopot. Agata natomiast, której już od lat dziecięcych przedstawiano wuja Johna jako wykwit mądrości i powagi, wyśmiewała go zawsze, jako nadętego, dumnego ze swych pieniędzy handlarza, którego spleśniały mózg nie był w stanie pojąć i zrozumieć jej czynów i myśli. Matkę swoją napełniała strachem, ilekroć wyśmiewała wuja z tą absolutną pogardą, do której zdolne są tylko dzieci w swej nieświadomości. Czuliła się zawsze poniżona, bo był tak dobry dla niej — gdyż dawał cenne prezenty — i z instynktem anarchisty uważała, że znajduje się na właściwej drodze, jeśli wyszydza jego rady i pogardza jego autorytetem. Skutkiem tego było to, że on zawsze jej bał się trochę, chociaż nie wiedział dlaczego — i że ona jego nie bała się i dobrze o tem wiedziała.

Gdy weszła z najmiłym uśmiechem, na jaki się zdobyć mogła, miss Wilson i mr. Jansenius siedzieli przy stole i wyglądali jak dwaj biedni grzesznicy, których oskarżono o jakąś zbrodnię. Miss Wilson czekała, aby on pierwszy przemówił, gdyż jego obecność napawała ją otuchą. Gdy atoli on nie mógł się zdobyć do wyrzeczenia słowa, ona przemówiła i poprosiła Agatę, aby usiadła.

— Dziękuję bardzo — rzekła Agata słodkim głosem. — No, wuju Johnie, czy mnie już znać nie chcesz?

— Ku ubolewaniu memu dowiedziałem się od miss Wilson, że zachowujesz się tu bardzo niesto-

sownie — rzekł, udając, że nie słyszał jej zapytania, chociaż go ono wyprowadziło zupełnie z równowagi.

— Tak jest — rzekła Agata stłumionym głosem — bardzo mnie to martwi.

Mr. Jansenius, który na podstawie opowiadań miss Wilson, oczekiwał zaciętego oporu, patrzył na nią zdziwiony.

— Zdaje mi się, że sądzisz — rzekła miss Wilson, która spostrzegła zdziwienie mr. Janseniusa i była niem zaniepokojona — że możesz ustawicznie wykraczać przeciw naszym przepisom, a następnie znów z nami pogodzić się — miss Wilson wielkich wykroczeń nie uważała za wykroczenia przeciw swemu autorytetowi, ale przeciw autorytetowi szkoły — powiedziawszy, że cię to martwi. Podczas ostatniej naszej rozmowy mówiłaś zupełnie innym tonem.

— Byłam wówczas bardzo zła — miss Wilson. Sądziłam nadto, że mam powód do skargi. Oprócz tego kłóciłyśmy się z sobą, przynajmniej ja to uczyniłam, a zawsze niestosownie zachowywałam się, gdy się kłóciłam. B a r d z o mnie to martwi.

— Z książką, to była bardzo poważna sprawa — rzekła miss Wilson surowo. — Zdaje mi się, że nie jesteś tego zdania.

— Jeśli Agatę dobrze zrozumiałem, to uznaje ona głupotę swego postępowania z tą książką i to ją boli — rzekł mr. Jansenius, stając mimowoli po jej stronie.

— Czy wuj widział tę książkę? — zapytała Agata.

— Nie! Miss Wilson opowiadała mi tylko o tem, co się stało.

— O, to proszę pozwolić mi, abym ją przyniosła — zawołała, zrywając się z miejsca. — Wuj John pękać będzie ze śmiechu. Czy można ją przynieść, miss Wilson?

— Ot macie — rzekła miss Wilson z niechęcią. To jest to samo niestosowne zachowanie się, na które ustawicznie skarżyć się musimy.

Mr. Jansenius był także bardzo oburzony. Rumieniec wybiegł mu na twarz na myśl, iż będzie musiał krzyczeć.

— Cicho! — rzekł. — Musisz być poważna i miss Wilson okazywać więcej szacunku. Jesteś już dość dorosła, aby o tem wiedzieć, moja Agato, dość już dorosła.

Wesołość Agaty znikła. — Co ja właściwie powiedziałam, czy też zbroiłam? — dopytywała się zmieszana, a ciemno-ponsowe plamy wystąpiły na jej twarz.

— Kpiłaś z księgi, której miss Wilson przypisuje i nie bez słuszności, wielkie znaczenie.

— Skoro czyniłam to nie bez słuszności, jak sam wuj stwierdza, więc jakże mi można czynić zarzut z tego powodu?

— Dostyc już tego dobrego — krzyczał wprost mrs. Jansenius, który rozmyślnie zupełnie puścił wodze swemu wzburzeniu, ponieważ rozumiał, że nie zdoła opanować gniewu. — Proszę miss nie być bezwstydną. — Oczy Agaty rozszerzyły się niepomniernie, jej twarz i szyja zaróżowiły się i zaczęła gniewnie wypukiwać obcasami.

— Wuju — zawołała jeżeli odważysz się po-

wtórzyć mi jeszcze raz coś podobnego, nigdy więcej nie spojrzę w twoją stronę, nie przemówię do ciebie i nigdy nie wejdę na próg twego domu. Jak możesz mówić o dobrem wychowaniu ty, który nazwasz mnie bezwstydną! Celowej brutalności nie poddam się za nic w świecie, a spór mój z miss Wilson rozpoczął się mniej więcej w ten sam sposób. Ona powiedziała mi, że jestem bezwstydną, a ja oddaliłam się i oświadczyłam jej, że zarzut jej jest niesłuszny, skoro zeznanie moje, nazwane bezwstydnem, sama wpisałam do księgi przewinień. Wogóle w całym tem zajściu nie wiele jest słuszności po jej stronie, ale milczałam, ponieważ postanowiłam pogodzić się z nią, a minione dzieje puścić w niepamięć. Skoro ona jednak wykazuje ochotę do dalszej kłótni, wówczas ja już nic zmienić nie mogę.

— Mr. Jansenius, opowiadałam już panu — wyjaśniła miss Wilson, która starając się ukryć wyraz ogarniającego ją niezadowolenia, właściwie jeszcze bardziej go uwydatniała — opowiadałam, że miss Wylie lekceważyła każdą nadarzającą się sposobność do porozumienia się i pogodzenia ze mną. Mrs. Miller i ja rozmyślnie pominęłyśmy wszelkie osobiste urazy, jakich nie brakło w całej tej aferze, żądam jednak, by Agata uznała, że dopuściła się wykroczenia przeciw przepisom szkolnym.

— Osoba pani Miller zbytnio mnie nie wzrusza — oświadczyła Agata nerwowo, przebierając palcami. A pani, jak powoli przekonywam się, nie jest nawet do połowy tak dobrą, jak ja to sobie wyobrażałam.

— Agato, życzę sobie, byś zatrzymała język za zębami — nakazywał mrs. Jansenius.

Agata westchnęła głęboko i siadając oświadczyła z gestem ostatecznej rezygnacyi:

—A więc tak, przyszło wkońcu do tego, co przewidywałam. Straciłam panowanie nad sobą, a w obecnej chwili straciliśmy je już wszyscy.

— Nie masz prawa tracić panowania nad sobą — odrzekł mr. Jansenius, wmawiając w siebie, iż udało mu się uzyskać przewagę nad siostrzenicą.

— Jestem najmłodsza z was wszystkich i już choćby z tego powodu na najmniejszą zasługuję nagane — odpowiedziała Agata.

— Nie prowadzi do celu dalsze rozwodzenie się nad całą sprawą — odrzekła stanowczo miss Wilson. — Przykro mi, że miss Wylie znalazła upodobanie w zatargu z nami.

— Wcale nie cieszę się z tego, że pani zrywa ze mną, a nawet uważam to za srogi dopust losu, że pani mię wypędza. Nikt nie popadł tutaj w niezgodę ze mną prócz jednej mrs. Miller. Mrs. Miller jest wobec mnie nieprzyjaźnie usposobioną, albowiem posądza mnie niesłusznie, że wyrządziłam krzywdę jej kotowi. Ale nie moja w tem wina! A już naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego pani, miss Wilson, gniewasz się na mnie. Skoro napędzi mię pani, będą wszystkie dziewczęta wyobrażały sobie, że popełniłam coś potwornego. Uważam, że właściwie powinnam pozostać w zakładzie przynajmniej do końca półrocza, a co do księgi przestępstw-przewinień, oświadczyła mi sama pani z chwilą, kiedy przybyłam do zakładu, że mogę do niej wpisywać lub nie, zależnie od mego uznania lub chęci. Zapowiedziała pani, że nigdy nic sama dyktować nie będzie ani też o zeznaniach wpisanych nie wyda sądu. A przecież

za pierwszym razem, kiedy wpisałam coś, co nie zjednało sobie uznania pani, wypędza mnie pani z zakładu. Nikt już odtąd nie uwierzy, jakoby te zeznania miały być istotnie dobrowolne.

Sumienie pani Wilson doznało już wstrząsu w chwili, kiedy zamiast próby moralizującego przekonywania zastosował mr. Jansenius środek brutalny, a mianowicie wykrzyknął pod adresem Agaty: „Nie bądź bezwstydną!“ Słowa te brzmiały w uszach przełożonej jako echo słów jej własnych, więc po raz wtóry doznała uczucia niepokoju, niepewności.

— Księga przewinień służy wyłącznie do wpiśywania samooskarżeń, a więc nie może być nadużywaną do obwiniania drugich.

— Wiem bardzo dobrze, że ani Jane, ani Gertruda, ani ja zupełnie nie oskarżyłyśmy siebie za to, żeśmy się zsuwały po poręczy schodów, ale mimo to pani nie zganiła tego, żeśmy to wpisały do księgi. Zresztą książka miała służyć umoralniającemu przekonaniu, przynajmniej tak pani zawsze mówiła, a gdy pani zaniechała tej idei umoralniającego przekonania, sądziłam, że muszę to wpisać do książki. Naturalnie byłam wtedy rozgniewana, ale gdy kładłam się do łóżka, uznałam to, co uczyniłam, za zupełnie słuszne.

Jestem tego zdania i dzisiaj, chociaż może byłoby to lepiej, gdybym była o wszystkim milczała.

— Na jakiej podstawie opierasz się twierdząc, że „zaniechałam umoralniającego przekonania“.

— Pokazywanie ludziom drzwi nie jest umoralniającym przekonaniem. Również nie jest niem nazywanie kogoś bezwstydnym.

— Sądziś więc, że powinnam była słuchać cierpliwie tego, co ci się paplać podobało, a co ze względu na twój stosunek do mnie było zupełnie niestosowne.

— Ale ja przecież nic niestosownego nie powiedziałam — rzekła Agata. Urwała niecierpliwie, uśmiechnęła się znów i rzekła: — Dajmy spokój dalszym sprzeczkom! Rzeczywiście jest mi przykro, bo przecież i ten zakład bardzo lubię. I po wakacjach chcę tu powrócić, jak sobie pani tego życzy.

— Agato — rzekła miss Wilson z pewnem wahaniem — te słowa ubolewania kosztują cię tak mało, że zaraz po ich wypowiedzeniu i osiągnięciu swego celu zapomnisz o nich. Nie obstaję przy tem, abyś zakład opuściła. Ale, jak już twój wuj powiedział, jesteś dość dorosła i rozumna, aby odróżnić porządek od nieporządku. Do tej pory robiłaś wszystko przeciw porządkowi, a takiego postępowania dotychczas, jak ci mrs. Trefusis opowiedzieć może, prawie nie znaliśmy. Mimo to chcę na przeszłość położyć krzyżyk, jeżeli mi przyrzekniesz, że w przyszłości będziesz więcej na siebie uważała. Przy końcu roku zobaczę, czy będziesz mogła dalej zostać w zakładzie.

Agata zerwała się promieniejąca radością.

— Kochana miss Wilson, pani jesteś taka dobra! Naturalnie, że przyrzekam. Teraz pójdę do mamy, aby jej to powiedzieć.

Zanim miss Wilson mogła choćby słówkiem jej na to odpowiedzieć, Agata rzuciła się ku drzwiom i wybiegła, a w chwilę potem była już w salonie przyjąć, gdzie czekały na nią trzy panie. Stała



przed niemi i patrzyła na nie ze złośliwym uśmiechem.

— No? — zapytała miss Jansenius.

— Cóż kochane dziecko? — zapytała miss Tre-fusis.

Mrs. Wylie westchnęła tylko i patrzyła błagalnie na córkę.

— Kosztowało to mnie wiele trudu, zanim przy-wiodłam ich do rozumu — rzekła Agata po przer-wie. — Zachowywali się jak dzieci, podczas gdy ja byłam aniołem. Naturalnie zostaję.

— Niech ci Bóg błogosławi, moja droga — rze-kła miss Wylie i usiłowała pocałować Agatę, która atoli zrećźnie się jej wywinęła.

— Przyrzekłam, iż będą w przyszłości pilna, spokojna i grzeczna. Czy pamiętasz o tym moim tańcu z kastanietami, Henryeto?

Tra! lalala, la! la! la!

Tra! lalala, la! la! la!

Tra! lalalalalalalala.

I kręciła się w kółko po pokoju, naśladowując pal-cami uderzenia kastanietów.

— Nie bądź tak bezwzględna i lekkomyślną — rzekła mrs. Wylie. — Ranisz serce swej biednej matce!

Właśnie weszli miss Wilson z mr. Jansenius. Agata znieruchomiała z roztargnieniem spogląda-jąc na wazę napełnioną kwiatami. Miss Wilson za-praszała gości, by zechcieli wziąć udział w grze w tenisa. Mr. Jansenius patrzył surowo i karcąco na Agatę, która jakby w odpowiedzi na to szeroko rozwarła lewe oko, przymrużając równocześnie prawe. Ale opiekun zaznaczył potrząsając głową, że

sprawność w strojeniu grymasów choćby najbardziej trudnych i niewiarygodnych, nie może uzyskać jego uznania i wyszedł w towarzystwie miss Wilson, mrs. Jansenius i mrs. Wylie.

— Gdzie się podziewa twój Hubby? — zagadnęła natychmiastowo i niespodziewanie Henryetę Agata.

Oczy pani Trefusis szybko napęłniły się łzami, które spadły na ręce Agaty właśnie w chwili, kiedy Henryeta pochyliła głowę, by je ukryć.

— Kochane, niezapomniane miejsce, pełne wspomnień z mych lat dziecięcych... — zaczęła Henryeta swe czułe wywody.

— Co zaszło między tobą a Hubbym? — dopytywała się natarczywie Agata. — Jeżeli mi nie wyjawisz tego, zapytam jego o to przy najbliższem spotkaniu.

— Właśnie zamierzam ci opowiedzieć, ale ty sama nie pozwolisz znaleźć chwili czasu na to.

— Czcza gadanina — oceniła Agata. — Ale mniejsza o to, opowiadaj więc.

Henryeta wzdrygnęła się. Godność mężatki i powaga cierpienia nie pozwalały na zbliżenie się do lekkiego sposobu ujmowania sprawy, jak to czyniła naiwna dziewczyna, uczęszczająca jeszcze do szkoły. Ale podobnie, jak za czasów swego dzieciństwa, tak i obecnie nie była w stanie oprzeć się tyranii Agaty i tęskniła za jej współczuciem. Poza tem nauczyło ją już życie, że raczej należy samej opowiadać o swych przejściach, aniżeli pozostawiać to drugim, albowiem w drugim wypadku oświetlenie całej sprawy jest z reguły fałszywe. Więc opowiedziała Agacie o swem zamążpójściu, o całej miłości

dla małżonka, o jego tajemniczem zniknięciu bez słowa pożegnania, bez śladu. O liście jednak, który mąż jej pozostawił, nic nie wspomniała.

— Czy szukałaś go? — pytała Agata, tłumiąc wzrastającą skłonność do śmiechu.

— Ale gdzie? Gdybym choć w przypuszczeniu odgadnąć mogła ślad po nim najodleglejszy, podążyłabym za nim nawet bosu na sam koniec świata.

— Uważam, że należałoby przeszukać wszystkie rzeki—a to musiałabyś istotnie uczynić bosu. Wpadł gdzieś do wody lub zleciał w przepaść.

— Nie, nie. Czy przypuszczasz, że mogłabym tutaj pozostawać, gdybym podejrywała, że życie jego narażone jest na niebezpieczeństwo? Mam dowody... wiem, że on tylko... uciekł.

— A, rzeczywiście? Zapewne zabrał ze sobą kufarki? A może pojechał tylko do Paryża, ażeby kupić coś pięknego i sprawić ci miłą niespodziankę?

— Nie, wiedział on, że mi niczego nie trzeba—stwierdziła pośepnie Henryeta.

— W takim razie wnioskuje, że go znużyło twoje towarzystwo i po prostu umknął.

Właściwy Henryecie stały niemal pons na twarzy ustąpił miejsca nagłej bladości, szarpnęła Agatę gwałtownie za ramię i zawołała:

— Jak śmiesz twierdzić coś podobnego! Jesteś bez serca. On mię ubóstwia!

— Nonsens! — zawyrokowała Agata. — Ludzie wkońcu znudzą się sobie. Ja doznaję uczucia przesytu w stosunku do siebie samej, jeżeli zaledwie dziesięć minut pozostanę w towarzystwie mej osoby, a zapewniam, że kocham siebie o wiele więcej, aniżeli zdolni są kochać się dwoje ludzi.

— O! wiem coś o tem — zauważyła z urazą i złośliwie Henryeta. — Przeważnie i w szczególności sposób zajmujesz się własną osobą.

— Przypuszczam, że mąż twój pod tym względem jest podobny do mnie. A w takim razie niebawem znuży się towarzystwem własnej osoby i powróci. Wkrótce więc znowu będziecie gruchali, jak dwa gołąbki, aż znowu on gdzieś umknie. Ha! Całkiem zasłużony los cię spotyka, bo poco było wychodzić za mąż? Dziwię się, jak mogą ludzie do tego stopnia tracić głowę, skoro przecież posiadają tyle odstraszających przykładów wśród wszystkich swych ożenionych czy zamężnych znajomych i krewnych.

— Nie rozumiesz tego, co to znaczy kochać kogoś — zauważyła Henryeta z odcieniem ubolewania, a równocześnie z chęcią pouczenia. — Zresztą nie byliśmy wcale podobni do przeciętnych stadła.

— Wydaje ci się tak tylko. Ale nie bierz sobie tej afery do serca, możesz być pewną, że skoro znudzi się w swem własnem towarzystwie, natychmiastowo powróci. I nie dręcz się rozmyślaniami nad tą sprawą, a teraz pójdźmy, zagramy partyję lawntennisu.

Rozmawiając, wyszły z salonu i podążyły wzdłuż zakładowych zabudowań w kierunku boiska tenisowego. W końcu doszły do ścieżki, która uchodziła w głąb krzewów.

Tymczasem, usługiwał Smilasch gościom w swym białym fartuchu i w rękawiczkach. Stanowczo nie chciał ich zdjąć i starał się wszystkich przekonać, że jest pospolitym człowiekiem i że panie i panowie nie zechcieliby przyjmować potraw i na-

pojów z jego pospolitych, nieurękawiczionych rąk. Zachowywał się bez zarzutu aż do chwili, kiedy zjawiała się miss Wilson ze swoimi gośćmi. Smilasch zdążył właśnie w stronę stołu z przepelnioną tacą w rękach, a zdążył tak szybko, że o mały włos nie zderzył się z mrs. Jansenius. Ale zamiast przeprosić, stracił przytomność i począł uciekać, podnosząc tacę niby tarczę w górę i zasłaniając nią swe oblicze. Niebawem natknął się na miss Lindsay, która właśnie usiłowała w pełnym biegu odrzucić piłkę. Nie zważając na jej gniewem ziejące spojrzenia, ani też na ostre skarcenie, obrócił się szybko na pięcie i wpadł w głąb krzewów, skąd wyleciała wkrótce w górę taca herbaciana i opisawszy łuk w powietrzu ponad wawrzynowym żywopłotem, wylądowała na zgarbionych plecach pastora Josephsa z łoskotem, przypominającym teatralne grzmoty.

Miss Wilson skarciła surowo gospodynią za to, iż powierzyła całą usługę temu nieznanemu człowiekowi i starała się wyjaśnić całe zajście swym gościom w sposób piętnujący Smilascha, jako znanego w najbliższej okolicy zawodowego idyotę. Mr. Jansenius wpadł dzięki temu urozmaiceniu w dobry humor i twierdził, że cała postać tego mężczyzny, którego twarzy nie mógł ujrzeć, przypomina mu uderzająco kogoś, tylko rzecz najgorsza, iż nie wie kogo.

Smilasch, który umykał przez zarośla, spotkał u wylotu drogi trudną do przebycia przegrodę w postaci Agaty i towarzyszącej jej młodej damy, której zjawienie się bardziej go zaniepokoiło, aniżeli spotkanie z panią Jansenius przed chwilą. Usiłował

przebić się gwałtem przez żywopłot, ale nadaremnie. Sploty aloesu były nierozzerwalne, a szelest wywołany szamotaniem się z opornym krzewem zwrócił uwagę nadchodzących dam. Poniechał więc dalszych wysiłków, by móżdż umknąć, natomiast zakrył głowę wypożyczonym fartuchem i przystanął wyprostowany jak świeca zwrócony plecami w stronę drogi.

— Co ten człowiek tu robi? — zapytała Henryeta, zatrzymując się i spoglądając z wyrazem trwożliwej nieufności.

Agata parsknęła śmiechem i objaśniała towarzyszkę rozmyślnie głośno, by mógł usłyszeć jej słowa: — Jest to nieszkodliwy obłąkaniec, którego zatrudnia miss Wilson. Chętnie przepoczwarza się w sposób waryacki i usiłuje nas przerazić. Nie obawiaj się tylko i chodź dalej.

Henryeta zatrzymała się niezdecydowana, ale Agata pociągnęła ją naprzód za sobą wbrew jej woli za ramię. Smilasch nie poruszył się z miejsca. Agata kroczyła spokojnie dalej, a gdy się już z nim zrównała, schwyciła zręcznie fartuch i zdarła mu z twarzy. Henryeta krzyknęła przeraźliwie, a Smilasch schwycił ją w swe ramiona.

— Szybko biegnij pani, ona mdleje, przynieś pani trochę wody. Biegnij pani! — zwrócił się z wezwaniem o pomoc do Agaty.

Sam pochylił się nad Henryetą, która chwyciła się go kurczowo. Agata była stropiona skutkami swego żartu. Po chwilowym namyśle pomknęła w stronę trawnika.

— Co się stało? — dopytywał się Fairholme.

— Nic. Proszę odrobinę wody, szybko proszę. Henryeta omdlała tam—w zaroślach, ot i wszystko.

— Proszę, niech się państwo nie trudzą — rozkazująco prosiła miss Wilson. — Stłoczą się państwo na drodze i przeszkodzą w skutecznej pomocy. Miss Ward, proszę przynieść odrobinę wody. Agato, proszę za mną i pokaż mi, gdzie znajduje się mrs. Trefusis. Miss Carpenter może również pójść z nami, jest tak silna... Resztę państwa zechce pozostać tutaj.

W towarzystwie obu dziewcząt pośpieszyła w stronę zarośli, gdzie przerażony mrs. Jansenius poszukiwał już swej córki. Był on jedynym człowiekiem, którego tam znalazły. Smilasch i Henryeta zniknęły bez śladu.

Z początku wystosowano szereg zapytań w stronę Agaty i domagano się wyjaśnień, w którym miejscu Henryeta zemdląca. Niebawem jednak wyrozumiano ze sprawozdania pana Jansenius, że młoda dama znajduje się w niebezpiecznych rękach napół obłąkanego robotnika. Zaniepokojenie jego udzieliło się i drugim, a gdy na dobitek Agata dla uspokojenia towarzystwa, dała do zrozumienia, że Smilasch jest przebrany dżentelmanem, nakazała jej miss Wilson w ostrym tonie milczenie, sądząc, że wywody miss Wylie opierały się na poprzednich jej dowolnych domysłach.

Sensacja rozpowszechniła się wśród całego towarzystwa i zaniepokojenie dochodziło już do szczytu. Fairholme gromadził ochotników, którzy mieli się udać na dalsze poszukiwania. Wszyscy obecni mężczyźni zgłosili się do wyprawy i już mieli w okazałym zastępie wyruszyć przez bramę za-

kładową, gdy jednemu z najprzytomniejszych na-  
sunęła się słuszna uwaga, że raczej należałoby ro-  
zejść się w kilku oddziałach, by tem skuteczniej  
móŜdź poszukiwać zaginionej w róŜnych punktach  
okolicznych. Dzięki temu projektowi nastąpiło osta-  
teczne zamieszanie, trwające około dziesięciu minut.  
Mr. Jansenius kilkakrotnie wyruszał w drogę, by  
szukać Henryety, ale ostatecznie powracał po kilku  
krokach i błagał naradzających się, by nie tracili na-  
próŜno czasu. Josephs usunął się w swej prostodusz-  
ności na bok, by na intencję zaginionej odmówić  
modlitwę i postąpił w rzeczy samej najmądrzej,  
gdyŜ wśród zgiewku projektów, uwag i zaleceń,  
w którym uczestniczyli wszyscy usiłując się nawza-  
jem przekrzyczeć, ubył przynajmniej głos jeden.

Ogólnemu zamieszaniu położyła ostatecznie  
koniec miss Wilson. Rozesłała służbę do sąsiadów  
i zawezwała policyę ze wsi. Pod dowództwem Fair-  
holma i innych energicznych duchów wysłano w róż-  
ne strony oddziały wywiadowcze. Również i dziew-  
częta potworzyły między sobą oddziały zasilone  
panami, których nie przyjęto do męskiej wyprawy.

Miss Wilson weszła do domu i przeszukała  
wnętrze zakładu. Tylko dwie osoby pozostały na  
boisku tenisowem, a były niemi Agata i mrs. Jan-  
senius, które podczas całej afery zachowały zdumie-  
wający spokój.

—Niema najmniejszego powodu do zaniepoko-  
jenia — twierdziła Agata, która od chwili upomnie-  
nia, udzielonego jej przez miss Wilson, trzymała się  
na uboczu — jestem więcej, niż pewna, że nie za-  
chodzi w tym wypadku żadne niebezpieczeństwo.  
Zdumiewającą jest wprawdzie okoliczność, że znik-



nęli oboje razem, ale człowiek, o którego chodzi, nie jest bardziej zwaryowany odemnie i stąd jestem przekonana, że ma się do czynienia z dżentelmanem. Zresztą sam przyznał mi się do tego.

— Spodziewajmy się najlepszego wyniku całej sprawy — oświadczyła spokojnie mrs. Jansenius. — Radabym usiąść, odczuwam zmęczenie.

Podziękowała, gdy Agata przysunęła jej krzesło.

— Wspomniałeś coś o tem, że człowiek ten opowiadał ci o sobie?

Agata opowiedziała wszystkie szczegóły dotyczące zaznajomienia się jej ze Smilaschem oraz podała na prośbę mrs. Jansenius dokładny rysopis jego osoby. Mrs. Jansenius zauważyła, po zdumiewających wiadomościach podanych przez Agatę, że dzięki nim można przypuszczać, iż nie grozi Henryecie żadne niebezpieczeństwo.

Wypiła potem kieliszek wina i spożyła kilka kromek chleba z masłem. Agata była zadowolona, iż udało się jej wkońcu znaleźć kogoś, kto słuchał jej wywodów spokojnie, niemniej jednak była ona zdumiona obojętnością ciotki i zaznaczyła wkońcu, iż jakkolwiek Smilasch nie jest robotnikiem, w każdym razie nie wynika z tego, że jest on dżentelmanem.

Mrs. Jansenius odpowiedziała:

— Jestem tego pewna, zupełnie pewna! A przynajmniej muszę żywić taką nadzieję. Zresztą niebawem otrzymamy wiadomości.

Poszukujący powracali zwolna, wszyscy z miłą stropioną. Dopytywali się u kilku pasterzy, tych jedynych ludzi, których w sąsiedztwie można było spotkać, czy nie widzieli oni młodej damy w towa-

rzystwie robotnika. Niektórzy z nich widzieli młodą damę z tobołkiem w ręku. Przypuszczalnie była to Henryeta. Inni wyrażali przekonanie, że jeżeli kto zaginioną odnaleźć potrafi, to uczynić to może jedynie niejaki Phil Martin. Nikt jednak nic pewnego nie wiedział.

Mijało popołudnie i jeden oddział za drugim powracały. Wszyscy byli zmęczeni bezowocnem poszukiwaniem i miejsce podniecenia zajęło przygnębienie. Rozmowa przycichła, prowadzono ją już tylko szeptem, a niektórzy goście z sąsiedztwa zaczęli się wynosić cichaczem, albowiem coraz bardziej wzmagало się ogólne przekonanie, że wydarzyło się coś brzydkiego i że byłoby rzeczą wskazaną unikać jakiegokolwiek łączności z całym wydarzeniem. Mr. Jansenius trwał nadal w stanie poażowania godnego podniecenia i przerażenia, jakkolwiek kilka wyjaśnień, udzielonych mu przez żonę, zaskoczyło go nadspodziewanie i przyczyniło się do chwilowego uspokojenia.

Wkońcu zjawila się policya i na widok jej zapanowało wśród towarzystwa ponowne poruszenie. Wszyscy zebrani sądzili zgodnie, że nastala chwila rozstrzygająca. Ale urzednicy policyjni byli rowniez tylko zwyklymi smiertelnikami, wiec po kilku zaledwie minutach ich pobytu w zakladzie osadzono ich jednomyslnie, ze sa pospolitymi glupcami. Mianowicie wyrazali swe watpliwosci co do wszystkich opowiedzianych im szczegolow, a o poszukiwaniach laikow wyrazali sie niemal z pogarda. Wszczeli ponowne sledztwo i przeszukiwali z najdalej siegajaca dokladnoscia wszystkie najniewiarygodniejsze zakatki domu. Dwuch urzednikow udalo sie natych-

miast w stronę domku Smilascha, by go tam odnaleźć.

Nagle zjawił się Fairholme sponsowiały na twarzy od porażenia słonecznego, ociekający potem, okurzony i zablocony, ale pełen niezużytej energii, wlokąc za sobą opadające ze sił niedobitki swego oddziału. Ochotnicy ci prowadzili ze sobą mrukliwego chłopaka, który miotał ponure spojrzenia w stronę policyi zapewne w przekonaniu, iż zamierzano go wydać w jej ręce.

Fairholme był wszędzie, gdzie tylko się udało, a ponieważ nigdzie nie znalazł nawet śladu po zaginionej porze, doszedł wkońcu do wniosku, że para wogóle nie ukryła się nigdzie. Wypytywał każdego, kogo tylko spotkał w drodze i zapewniał, że musi na jaw wydobyć tajemnicę o ile tylko leży to w granicach możliwości ludzkiej. Ostatecznie jednak okazało się, że porwał się na rzecz niemożliwą. Jedy- nym uchwytnym owocem jego zabiegów było wy- nalezienie chłopaka, którego zeznaniom jednak nie ufał.

— Hm! — zauważył inspektor policyi, który niezbyt był zadowolony z gorliwości Fairholma, jak- kolwiek wywarła ona na nim silne wrażenie.

— Syn Wickensa, nieprawdaż?—zapytał zwraca- jąc się do chłopaka.

— Tak, jestem synem Wickensa — odparł chło- pak napoły pogardliwie, napoły zaś płaczliwie. — A jednak widziałem go, a jeżeli ktoś twierdzi, że go nie widziałem, w takim razie jest kłamcą.

— Cicho bądź! — nakazał surowo inspektor. — Nie życzymy sobie słuchać twoich bezceństw. Opo-

wiadaj krótko, co widziałeś, w przeciwnym bowiem razie będziesz zaraz z nami miał do czynienia.

— Obojętne mi, z kim mam do czynienia — oświadczył chłopak zuchwale. — Nie może mi pan nic złego zrobić za to, że go widziałem, albowiem nie sprzeciwia się to żadnemu prawu. Byłem właśnie tuż przy jamie, gdzie dobywają szuter, u brzegu łaki nad kanałem...

— Czego szukałeś tam? — przerwał mu opowiadanie inspektor.

— A cóż to, czy nie wolno mi tam być? — odparł chłopak zuchwale i poczerwieniał.

— Kto ci pozwolił? — śledził dalej inspektor, przytrzymując go za kołnierz. — A widzisz? — dodał z chwilą, gdy jeniec wybuchnął rzewnym płaczem — czy nie zapowiadałem ci, że będziesz z nami miał do czynienia. A teraz przestań przekomarczać się i miej na uwadze, gdzie się znajdujesz i z kim mówisz. Możliwe, że cię tym razem jeszcze nie zamknę. A więc cóż takiego widziałeś z chwilą, gdy bez szczególnego zezwolenia zaszedłeś na łakę?

— Widziałem młodą kobietę i jednego mężczyznę. I widziałem, jak ona całowała jego. A ten pan tutaj nie chce mi uwierzyć.

— Chcesz zapewne powiedzieć, że widziałeś, jak on ją całował?

— Nie, nie. Znam się ja na tem, jak to wygląda, jeżeli dziewczyna chce kogoś pocałować, a on nie życzy sobie tego. Więc zacząłem krzyczeć, aby ją speszyć. A on, zauważywszy mię, przywołał mnie do siebie i dał mi dwa pensy, rozkazując: „Umykaj do stu dyabłów i nie waż się nikomu powiedzieć, że mię tu widziałeś, w przeciwnym bowiem razie goto-

wy jeszcze jestem utopić cię, a wyobraź sobie, jakie zmartwienie wynikłoby z tego dla twoich rodziców!“  
 „O, bezsprzecznie!“, czy coś w tym rodzaju odpowiedziałem i oddaliłem się, albowiem wiem, że zna on ojca mego i obawiałem się, by nie poskarżył na mnie przed nim.

Ponieważ zuchwały upór chłopca został przełamany, więc spadł na niego istny deszcz pytań. Dzięki nim jednak nie zwiększył się jego dar obserwacyjny i nie wyszlachetniały jego zdolności epickie. Chcąc usposobić dla siebie przyjaźnie tych ludzi, w których mocy pozostawał, starał się on przeważnie odpowiadać potwierdzająco. Mr. Jansenius dopytywał się, czy młoda kobieta, którą chłopak widział, była damą, na co otrzymał odpowiedź potakującą. A czy mężczyzna był robotnikiem? — Tak — oświadczył chłopak po chwili namysłu. — A jak była ubrana ta dama? — Nie przypatrzył się jej należycie. — Czy miała czerwone kwiaty na kapeluszu? — Tak. Czy suknia jej była zielona? — Tak. — A czy kwiaty na jej kapeluszu były żółte? — (pytanie postawione przez Agatę). — Tak. — A czy suknia jej była różowa? — Tak. — W każdym razie suknia nie była czarna? — Brak wszelkiej odpowiedzi.

— Powiedziałem już raz, że to pospolity łgarz— stwierdził pogardliwie Fairholme.

— A ja jestem przekonany o tem, że on już coś widział—zauważył inspektor.—Ale co to było i kto to był trudno od niego wydobyć.

Nastąpiła chwila milczenia. Przyglądano się młodemu Wickensowi z nieufnością. Jego opowiadanie o pocałunkach kobiety, którą widział, dotknęła mr.

Janseniusa do żywego na myśl, że kobietą tą mogła być Henryeta.

Jane doradzała przeszukanie brzegów nad kanałem, ale wnet umilkła, gdy usłyszała, jak ze wszystkich stron starano się ją uciszyć przy pomocy protestujących sykań. Opuszczonym rodzicom przypadły natomiast w udziale pełne troskliwego zrozumienia i współczucia spojrzenia zgromadzonych.

Zainteresowanie towarzystwa, które zogniskowało się chwilowo na osobie Jane, zwróciło się po chwili w stronę żołnierzy policyjnych, którzy powracali z wyprawy do chaty Smilascha. Smilasch szedł wśród nich, najwidoczniej jako jeńiec. Z daleka wydawało się, że schwytyany odniósł ciężką ranę w głowę, gdy jednak zbliżył się do towarzystwa, rozpoznano czerwoną chustę, którą Smilasch podwiązał twarz, jakgdyby cierpiał na silny ból zębów.

Wyraz bezsprzecznie łobuzerski malował się na jego twarzy, gdy stanął w obliczu inspektora. Opuścił głowę i odwracał twarz od mr. Janseniusa, który usiłował przyjrzeć mu się dokładnie, mógł jednak dostrzedz zaledwie rąbek czerwonej chusty.

Jeden z żołnierzy policyjnych opowiadał, jak to schwytyano Smilascha właśnie w tej chwili, kiedy zamierzał wejść do mieszkania. Wzbraniał się udzielić jakichkolwiek wyjaśnień, ani też nie chciał dać się odprowadzić do zakładu, a gdy usiłowano go wziąć przemocą, stawiał opór. W końcu zagrożono mu, że zawezwie się pomocy inspektora policyi i mr. Janseniusa. Wówczas zwymyślał ich Smilasch, nazwał osłami i zgodził się towarzyszyć policyantom. Urzędnik oświadczył na zakończenie swego raportu,

że schwytany człowiek jest albo pijany, albo bardzo przebiegły, gdyż nie może czy nie chce mówić do sensu.

— Widzi pan, panie sierżancie — zwrócił się Smilasch do inspektora — jestem sobie zupełnie pospolity człowiek, bardziej pospolitego odemnie trudno znaleźć...

— To on — krzyknął mały Wickens, który nagle przyszedł do przekonania, że odegra wybitną rolę jako świadek — to on, ten sam, którego całowała owa pani, ten sam, który dał mi dwa pensy i groził, że mnie utopi.

— Ze skrucą i rozpaczą w sercu ubolewam, że nie uczyniłem tego, ty zielonogłowy urwipołciu — zaklął Smilasch. — Co to wogóle za sposób, by taki malec ośmielał się przerywać człowiekowi wprawdzie pospolitemu, ale starszemu, który ze względu na swój wiek i rozum śmiało mógłby być jego ojcem.

— Milcz! — nakazał chłopcu inspektor. — A więc proszę, panie Smilasch, czy chce pan udzielić jakich wyjaśnień? Proszę tylko dobrze rozważyć, co pan mówi, by później wywody pańskie nie zwróciły się przeciwko niemu samemu.

— Choćby pan, panie nadsierżancie, miał mię stąd wprost odesłać na szafot, nie mogę nic więcej powiedzieć ponad samą prawdę. Jeżeli ktoś śmie twierdzić, że Jeff Smilasch kłamie, niechaj mi się tutaj stawi do oczu.

— Nie zajmuje mnie to — ostro skarcił inspektor. — Nikt pana nie zna w naszej okolicy, więc nikt nie może mu nic złego zarzucić, ale nie mniej trudno twierdzić o panu coś dobrego.

— Panie sierżancie — odparł Smilasch na pozór do żywego poruszony — odznacza się pan przenikliwością, która pozwala panu na pierwszy rzut oka odgadnąć właściwości złego charakteru. Pławię się w kłamstwie, lenistwie i innego rodzaju zdrożnościach nie w tym celu, aby pana w błąd wprowadzić. Na usprawiedliwienie swoje jedyną mogę przytoczyć prawdę, że różne są wrodzone właściwości natury ludzkiej. Większość ludzi, których znam, nie jest lepsza odemnie, a jest wielu i gorszych. Nie mam na myśli pańskiej osoby, panie sierżancie, ani też zgromadzonych tutaj, wielce szanownych dżentelmanów. Pan, panie sierżancie, jako inspektor policyi, jest dla mnie osobistością wyższego typu, przerastającą o wiele poziom zwykłych ludzi. A co się tyczy tych oto tutaj dżentelmanów, zauważyć muszę, że dżentelman, to właściwie nie jest człowiek, a w każdym razie żaden pospolity człowiek, albowiem pospolity człowiek jest tylko niewolnikiem, który żywi i ubiera dżentelmanów, wznoszących się ponad sprawy codzienne.

— Dosyć — przerwał inspektor, który nie był w stanie nadażyć za wywodami Smilascha — jegoć jest czerwonym patronem, ale nie wystarcza mi to jeszcze, bym dał się za nos wodzić. A więc czy może pan udzielić jakichkolwiek wyjaśnień w odniesieniu do damy, którą po raz ostatni widziało w pańskim towarzystwie?

— Wyjaśnienia w sprawie owej lady? — cedził niechętnie Smilasch — ależ myśl ta jest mi zupełnie obca.

— Co pan z nią począł? — zapytała Agata gwałtownie. — Pozbądźże się pan tej mrukiwości!



— Wiadomo pani, że nie jest on zobowiązany do składania zeznań — wtrącił inspektor wytrącony z równowagi przez zapytanie Agaty, która w naiwności swojej starała się bezwzględnie dotrzeć do sedna sprawy.

— Może pan zeznawać, o ile sobie tego życzysz. Jeżeli jednak dopuściłeś się pan jakiego przestępstwa, lepiej zamilcz obecnie. Jeżeli zaś nie, możesz spokojnie mówić.

— Pragnę uspokoić młodą lady co do losów czcigodnej jej siostry — rzekł Smilasch. — A więc na widok mej osoby zemdląła owa dama. Ponieważ jestem młodym człowiekiem i nie umiem należycie dawać sobie rady z damami, więc trudno mi zaprzeczyć, iż przeraziłem się chwilowo i wskutek tego nie mógł się urodzić w mej głowie żaden rozsądny pomysł. Gdy wkońcu zeszły gwiazdy jej oczu, że się tak wyrażę, objęła mię za szyję, jakkolwiek znała mię tylko dzięki Adamowi, wspólnemu naszemu rodzicowi i powiedziała: „Proszę mi przynieść trochę wody i proszę się tak sprawić, by nie zauważyły nas panienki z zakładu“. Ponieważ zabrakło mi chwilowo na tyle przytomności, by postąpić według własnego zrozumienia, zastosowałem się do jej życzenia. Chwyciłem ją w swoje ramiona, podniosłem w górę — niezwykle lekkie i delikatne stworzenie — umykałem, jak mogłem najszybciej w stronę kanału. Gdy dostałem się wkońcu na brzeg kanału, położyłem ją na ławce i pobiegłem po wodę. Ale wobec pobliza fabryk, zanieczyszczonych ścieków kanałowych i innych tego rodzaju urządzeń, jest rzeczą niemożliwą cucić omdlałą damę wodą zaczerpniętą z angielskiego kanału, a tem

mniej trudno napić ją tym płynem. Szczęśliwy wypadek zrzucił, że nadpłynął galar i przyjął ją na swój pokład, i...

— Nieprawda, nie tak było—darł się ze wszystkich sił natarczywy mały Wickens, szczególnie zadowolony ze sposobności, jaka się nadarzyła, by odsłonić bezwstydną kłamstwa, których się dopuszczał człowiek, należący do jego stanu.

— Widziałem, jak oboje stali tuż przy sobie, a ona całowała go zupełnie wyraźnie. Żadnego galaru nie było.

—Czyż dziewicza cnota dobrze urodzonej lady ma być na szwank narażona wskutek bredzeń chłopaka gminu, który zawdzięcza swe istnienie jedynie cierpliwości i względem ludzi, posiadających ziemię i pieniądze, ludzi, do których wyżywienia malec ten zaledwie dopomaga? — wołał Smilasch z udaniem oburzenia. — Tfy! wstydz się, ty młody poganinie, pamiętaj o tem, że prawdziwa lady nie została wykrojona z tej samej skóry, co ty. Nie ma ona pojęcia o tem, co to jest pocałunek, a gdyby nawet wiedziała, czyż można przypuszczać, że zechciałaby mnie pocałować podczas gdy znajduje się niemal pod ręką mąż tak wykwinny, jak oto ten pan inspektor, który czułby się nader szczęśliwy, gdyby mógł jej w jakikolwiek sposób sprawić przyjemność. Tfy, wstydz się naprawdę! Oświadczam, że galar był polakierowany na czerwono, z żółtym, rzeźbionym smokiem, zdobiącym dziób przodu, a ciągnął go koń biały. Może ty nie rozróżniasz kolorów, czerwonej barwy i żółtej? Gdy flisak zauważył biedną, zemdloną damę i gdy mu ofiarowałem za pomoc pół

korony, okazał wiele współczucia. Miał matkę, która musiała się zakrzętnąć jak prawdziwa matka. Na galarze znajdowała się kabina wielkości szafy, w której wasze łaskawości zwykły chować swoje rzeczy. W takiej szafce żyje niby w domowinie flisak z żoną, matką i pięciorgiem dzieci. Te galary stanowią niejako drewniane przedmurze Anglii...

— Dalej, nie rozwódź się pan zbyt, wiemy równie dobrze, jak pan, co to są galary — krzyczał inspektor.

— Radbym więcej wiedzieć w tej mierze od szanownych państwa — odparł Smilasch. — Może mógłbym być wam pomocny przy spełnianiu wielkich waszych zadań. No, ale, jak już wspomniałem, wsiedliśmy na galar i popłynęliśmy w dół kanału aż do Lyvern, gdzie wysiedliśmy. Dama kupiła bilet w kasie kolejowej i odjechała. Z właściwą tej sferze hojnością wręczyła mi sześć pensów. Oto one, na dowód, że mówię prawdę. Życzę jej, by szczęśliwie dostała się do domu i choćby miano mię wziąć na tortury, nic więcej powiedzieć nie mogę, z wyjątkiem tego jeszcze szczegółu, że udałem się do mojej chałupy i że ci panowie policyjanci wbrew postanowieniom angielskiej konstytucji, na własnych moich śmieciach położyli na mnie swoje rączki. Gdyby łaskawa panienska — prawil w dalszym ciągu Smilasch, zwracając się wprost do Agaty — raczyła zajrzeć do ksiąg, w których spisano ustawy konstytucyjne i zechciała wynaleźć miejsca, dotyczące moich praw i przysługujących mi swobód, albowiem słyszałem z wielu stron, że robotnik ma swoje prawa i zawsze żywo zajmowałem się nimi, wówczas zjedna sobie pani ze strony ubogiego człowieka wdzięczność, tak

daleko sięgająca, że trudno byłoby mu znaleźć na nią należytego wyrazu, wobec lichego wykształcenia, jakie odebrał.

— Mój panie — krzyknął nagle mr. Jansenius — czy nie zechce pan w końcu wznieść głowy do góry i spojrzeć mi prosto w twarz?

Smilasch uczynił zadość temu wezwaniu i odskoczył w tył, zaznaczając swe zdziwienie przy pomocy wysoce teatralnego gestu.

— Kogo widzę? — zawołał. — Nie uwierzycie mi państwo — prawil, zwracając się do całego towarzystwa — a jednak łączy mię z tym oto wytwornym dżentelmanem zażyła znajomość. Na ustach starego jegomościa zauważyłem zawieszone pytanie o los mojej żony, więc dziękuję mu za niezwykle łaskawe zainteresowanie. Żona moja miewa się dobrze, a co do obecnego mego miejsca pobytu w tej okolicy, przyszło między nami do zupełnego porozumienia. Owa drobna chmurka, która chwilowo zawisła na nieboskłonie, otulającym nasze domowe pożycie, pierzchnęła bez śladu. Mój stary, zacny panie — w tem miejscu przybrał głos Smilascha akcentów powagi — racz pamiętać o tem, że kto się wciska w stosunek między mężem a żoną, ten ściąga na siebie wielką odpowiedzialność. Żyję tu sobie taki, jakim mię pan w tej chwili ogląda i tutaj pragnę pozostać w tej samej postaci. Naturalnie, wszystko pod warunkiem, że los mi sprzyjać zechce. Los ludzki, to tajemnicza, wielce dziwna władza, mój stary panie. Gdy przybyłem tutaj, sądziłem, że jest to ostatni zakątek na kuli ziemskiej, w którym mógłbyś pan nasunąć mi się na oczy, a jednak niechaj mię kat por-

wie, jeśli nie jesteś pan niemal pierwszym znajomym, na którego się natknąłem.

— Nie mam zamiaru brać udziału w tej maskaradzie.

— Jeżeli pan nie sprzeciwi się temu, że podchwycę jego własne słowa, to nie pozostaje mi nic innego, jak zapewnić go, że udział ten wcale nie jest potrzebny. Co się tyczy mojego postępowania, może pan o niem wyjawić swe zdanie, lub przemilczeć je. Gdyby pan jednak w tej sprawie zechciał zabrać głos, zmusiłby mnie poniekąd do powiedzenia reszty. Wychodzę bowiem z założenia, że albo należy powiedzieć wszystko, albo nic. Posiada pan wszelkie prawo wyjawić temu oto tutaj panu inspektorowi, jak złym jestem człowiekiem. Przenikliwy umysł tego pana zresztą już samodzielnie doszedł do tego odkrycia. Gdyby pan jednak zechciał zająć się wymienianiem nazwisk i wyliczaniem szczegółów, wówczas działałby pan przedewszystkiem wbrew woli mej żony, a powtóre, zmusiłby mnie do otwartego wyjawienia całej historyi przed światem. Ja zaś byłbym zmuszony ukryć się tak, by mnie już nikt odkryć nie zdołał.

— Sądzę, że czem mniej wyjawimy w tej materyi, tem lepiej dla nas — orzekła mrs. Jansenius, która ku wielkiemu swemu niezadowoleniu zauważyła, że towarzystwo z pełnem ciekawości napięciem śledziło przebieg rozmowy. — Proszę jednak zrozumieć mr...

— Smilasch, kochana lady, Jeff Smilasch!

— ...mr. Smilasch, że wcale mnie nie obowiązuje pańska umowa z jego żoną. Postąpił pan sobie jednym słowem, niecnie i bardzo życzyłabym sobie, by w przyszłości nie mieć z panem nic wspólnego.

— Nie życzę sobie z panem mieć do czynienia, nigdy więcej! — oświadczył uroczyście mr. Janse-  
nius. — Pańskie zachowanie się odczuwam jako  
osobistą obelgę. Może pan sobie żyć, jak mu się ży-  
wnie podoba i gdzie mu do gustu przypadnie, cała  
Anglia stoi dla niego otworem, jedno tylko jedyne  
miejsce będzie odtąd zamknięte, a jest niem — mój  
dom. Chodź, Ruto!

Podał żonie ramię i oddalili się we dwoje, poszu-  
kując wzrokiem za Agatą. Wycofała się ona z miej-  
sca przykrej sceny na odległość, do której nie dola-  
tywało nawet echo rozmowy, byle tylko nie wi-  
dzieć wstrętnej zgrai zaciekawionej gapiów.

Smilasch przyglądał się wybuchowi gniewu mr.  
Janseniusa z uprzejmem zaciekawieniem, jak czło-  
wiek, który obserwuje zajmujące wydarzenie. Miss  
Wilson jednak przeniosła spojrzenie z Smilascha na  
oddalającą się parę swych gości i zapytała ich:

— Czy uznajecie państwo wyjaśnienia, jakich  
udzielił ten człowiek, jako wystarczające? Ja bo-  
wiem nie mogę tego uczynić.

— Zbyt pospolity ze mnie człowiek, by jakie-  
kolwiek moje oświadczenie zdołało zadowolić wy-  
mogi tak wyszkolonego mózgu jak łaskawej pani.  
Pragnąłbym jedynie z pełną skromnością zazna-  
czyć, że w pewnem oddaleniu od nas czeka chłopak  
z telegramem w ręku i radby przedostać się przez  
gromadę wysoko urodzonych wielmożności.

— Miss Wilson! — skrzeczał chłopak przera-  
żliwie.

Przełożona odebrała telegram, odczytała go  
i zmarszczyła chmurnie czoło.

— Próżne były nasze wysiłki, moi państwo —

oświadczyła, tłumiąc widoczne niezadowolenie. — Mrs. Trefusis donosi właśnie, że już powróciła do Londynu. Nie uznała za stosowne dołączyć jakichkolwiek wyjaśnień do przesłanej nam wiadomości.

Wśród zgromadzenia szerzył się pomruk niezadowolenia, rozczarowania.

— Nie upadajcie na duchu, łaskawe damy — drwił Smilasch — a może mimo wszystko utonęła dama, albo została zamordowana. Łatwo mógł ktoś telegram sfalszować. Może ta wiadomość, to próba tylko sprytnego wybiegu. Nie traćmy nadziei, że mógł się wydarzyć przynajmniej jaki mały wypadek, może podczas jazdy koleją...

Miss Wilson zwróciła się w jego stronę zadowolona, że znalazła kogoś odpowiedniego, na kim mogła wyładować swój gniew.

— Proszę zabrać się do swojej roboty — rozkazała — i nie pokazywać się tu więcej.

— Srogie zarządzenie — skarżył się Smilasch. — Żywiłem dobre zamiary. Wiem ja, dlaczego pani w ten sposób odnosi się do mnie: ponieważ ten mały ladaco twierdzi, że owa lady mię całowała.

— Panie inspektorze — rzekła miss Wilson — zobowiąże mnie pan sobie, jeżeli postara się pan o to, aby człowiek ten możliwie szybko opuścił mój zakład.

— A gdzie moje wynagrodzenie? — odparł z wyrzutem Smilasch. — Gdzie należne mi wynagrodzenie? Zdumiewa mię fakt, że osoba tej miary, co pani, która do przesytu wypełniona jest komunałami z zakresu filozofii, moralności i ekonomii społecznej, pragnie ubogiego człowieka pozbawić za-

robku? Jaka jest skala płacy, którą pani wymierza? Gdzie kapitał, z którego opłaca pani robotników?

— Proszę mu nic nie dawać — doradzał inspektor. — Wystarczą pieniądze, które ofiarowała mu owa dama. A teraz zwijaj się, jeśli nie chcesz, byśmy w zdumiewająco skuteczny sposób nie udzielili twym nogom lotności.

— A więc dobrze — pomrukiwał Smilasch. — Umówiliśmy się o dziewięć pensów, a co się tyczy wyprasowania trawnika, otwierania flaszek z wodą selterską i roznoszenia ciężkich tac, obilo mi się coś o uszy, co brzmiało, jak dwa szylingi. Ale nie domagam się więcej ponad dziewięć pensów, a łaskawa pani może zachować sobie szylinga i trzy pensy jako sumkę zaoszczędzoną. Jest to w każdym razie wyzysk pracy, który według skali obliczeń, daje 125 procent korzyści. Proszę więc dać mi tych dziewięć pensów, a odejdę natychmiast.

— Oto jeden szyling — rzekła miss Wilson. — A teraz proszę się oddalić.

Zwracam trzy pensy — oświadczył Smilasch. — Uczciwość jest zawsze moja...

— Możecie zatrzymać resztę.

— Jest pani hojna. Niemniej jednak wymierza pani niejako policzek ustalonym zasadom, w stosunku podaży do popytu. Jeżeli pani w ten sposób wynagradza, poczną robotnicy dobijać się do zakładu, i wkrótce, dzięki współzawodnictwu, będzie pani mogła obniżyć wynagrodzenie z szylinga na sześć pensów, nie mówiąc już nic o dziewięciu pensach. W ten sposób przychodzi do zniżki wynagrodzenia za pracę, albowiem w tem nasze nieszczęście, że musimy dać się sprzedawać, jak świnie na jarmarku.



Chciał jeszcze jakąś uwagę dorzucić, ale urzędnik policyjny schwycił go za ramię, obrócił nim kilkakrotnie i popchnął go w stronę bramy. Smilasch przystanął na chwilę i przypatrywał się bezmyślnie policyjantowi. Poczem spojrzenie jego błysnęło znacząco w stronę Fairholma i ruszył spokojnie z miejsca, podczas gdy pozostali spoglądali za nim w milczącym osłupieniu.

## V.

Nikt się nie dowiedział, co właściwie zaszło między Smilaschem a Henryetą. Agata zauważyła, jak Henryeta objęła go rękoma za szyję, ale odeszła już, kiedy kuzynka jej w głos zawołała: „Sydney, Sydney!“ i nie widziała już jak on starał się przytulić jej twarz do swojej piersi, by stłumić odgłos wołania. Nie słyszała, jak Smilasch powiedział do Henryety: „Moje jedyne ukochanie, błagam cię, nie krzycz. Przeklęta sprawa, gotowiśmy niebawem ściągnąć sobie na kark całe zbiegowisko. Cicho!“

— Nie opuszczaj mnie już więcej, kochany Sydney — błagała, garnąc się do niego coraz silniej, albowiem wyczytała w strapionem jego spojrzeniu, które zwracało się w stronę ujścia alei grabowej, że zamierza ją lada chwila porzucić. Szmer głosów, dolatujący z tej strony rozstrzygnął o tem, że pokonał chwilową swą chwiejność.

— Musimy uciekać, Hetty — rzekł — uwieś się silnie na mojej szyi, ale nie zaduś mnie. A więc w drogę. Pochwycił ją w swoje ramiona i szybko pobiegł. Gdy przybył do muru posadził ją na nim, sam przelazł przez mur i po drugiej jego stronie

znów wziął ją na rękę. Następnie niósł ją przez pola, potykając się o każde wzniesienie ziemi, o każdą kretowinę, podczas gdy ona w urywanych słowach ciągle czyniła mu jakieś przedstawienia.

— Z każdą sekundą stajesz się o kilka funtów cięższa, mój skarbie — mówił, oddychając ciężko ze zmęczenia. Jeśli nie będziesz się prosto trzymała, to złamiesz mi krzyże. O Boże, tu mamy rów.

— Zesadź mnie na ziemię — krzyczała Henryeta w ekstazie zachwytu i trwogi. Jeszcze sobie zrobisz co złego — o, proszę cię, weź mnie...

On tymczasem, gdy ona mówiła, przebrnął przez suchy rów i wydostał się na łąkę, która dotykała do kanału. Tu na zboczu wygłębienia, gdzie mech był suchy i miękki, zesadził ją na ziemię, sam, opierając się na łokciach, położył się przed nią i rzekł, oddychając ciężko:

— Nessus, który porwał Dejanirę, był niczem wobec mnie. Huh! A teraz powiedz mi mój kocie, czy jesteś zadowolona, że mnie znów widzisz?

— Ale...

Proszę cię, nigdy nie przychodź do mnie z jakimś „ale“, jeśli nie chcesz, abym raz jeszcze zniknął i to na zawsze. Ja, od chwili, gdy odbiegłem od ciebie, niewymownie tęskniłem za tobą. Ty naturalnie nic sobie z tego nie robiłaś.

— O, nie, ja także tęskniłam za tobą. Ale dlaczego mnie opuściłeś?

— Aby nie stało się jeszcze coś gorszego. Ale tych kilka chwil, które mamy, nie traćmy na próżne gadaniny. Daj mi całusa!

— A potem znów mnie opuścisz. O Sydneju...

— Nie myśl o jutrze, Hetty. Bądź jak to słońce

i ta łąka, które wcale nie troszczą się myśla, iż zima nadejdzie. Dlaczego patrzysz na ten wstrętny kanał, który leniwie toczy swój muł z miejsca na miejsce, póki go nie wypluje w morze — tak samo, jak przepelniona ludźmi droga, powoli swój ładunek wypakowuje na cmentarz. Patrz na mnie i daj mi całusa.

Pocałowała go kilka razy i rzekła, opierając swoją rękę na jego plecach, z przymileniem: Sydneyu! wiem dobrze, że mówisz tak tylko dlatego, aby mnie przestraszyć.

— Ty jesteś słońcem moich oczu — rzekł i uścił ją. Czuje, jak moje serce i moja głowa topnieją pod wpływem twego uśmiechu i rzucam ci je z zachwytem jako twoją zdobycz. Jakże szczęśliwy jestem, że mam żonę, która mną z tego powodu nie pogardza — owszem, jeszcze mnie więcej kocha!

— Nie bądź głuptaskiem — rzekła z wymuszonym uśmiechem. Nagle pojęła przez pół, co on myślał. Odepchnęła go od siebie i rzekła gniewnie: Ty zapewne mną gardzisz.

— Nie więcej, niż sobą samym. Albo właściwie nawet nie tyle, gdyż niektóre uczucia, które w istocie nie są wzniosłe, przecież wydają się bardzo miłe.

— Ty chcesz mię znów opuścić. Czuje to. Wiem to. —

— Sądysz, że wiesz o tem, dlatego, że to czujesz. Wcale niezła zasada.

— A więc w istocie mnie opuścisz?

— Wiesz i czujesz to przecież! Tak, moja Hetty, w istocie to uczynię.

Ona poczęła rozpaczliwie płakać i boleć nad tem, on główkę jej pociągnął ku sobie i pocałował ją

w sposób delikatny, któremu opierać się nie mogła, z twarzą zmienioną, której atoli ona nie widziała.

— Moja biedna Hetty, ty mnie nie rozumiesz.

— Rozumiem tylko tyle, że mnie nienawidzisz i chcesz odejść odemnie.

— To zrozumiałabyś łatwo. Ale właśnie niezwykle jest to, że kocham ciebie i że chcę pójść od ciebie. Nie na zawsze. Tylko na pewien czas.

— Ale ja nie chcę, żebyś odchodził odemnie. Nie dam ci odejść — rzekła, a jakiś rys gwałtowności mieszał się z jej prośbą. Dlaczego chcesz mnie opuścić, jeśli mnie kochasz?

— Jakże ja mogę to wiedzieć? Nie mogę ci tak samo wyjaśnić pobudek mego działania, jak nie mogę usiąść na pasku, któryby mnie zaniósł stąd daleko, do innej prowincyi, jak to mówiono zazwyczaj do tych, którzy chcieli wynaleźć perpetuum mobile. Jestem za wielkim pesymistą, abym mógł uwzględnić moje własne uczucia. Czy wiesz, co to jest pesymista?

— Człowiek, który wierzy, że inni ludzie są tak samo wstrętni, jak on sam i który ich za to nienawidzi.

— Prawie, że tak. Nowoczesne, lepsze towarzystwo angielskie z którego wyszedłem, zdaje się być tak popsute, o ile tylko mogło niem być z jednej strony z powodu swego wielkiego mniemania o swej kulturze, z drugiej zaś strony z powodu braku uczciwości. Pozornie świątobliwy tłum, który lubi kłamstwo, nienawidzi rzeczywistości, pisze i papie głupstwa, który poluje na bogactwa, zabawy i sławę, który pozbył się już obawy piekła, ale nie zastąpił go jeszcze miłością dla sprawiedliwości, taki tłum dąży tylko

do tego, aby zapewnić sobie lwią część dobrobytu i wydziera go z rąk tych klas społeczeństwa, które go stwarzają, zagrażając im głodem. Jeżeli mi będziesz swemi niemądremi uwagami przerywała, to, jak cię kocham, Hetty, wrzucę cię do kanału, a sam umrę z tęsknoty za utraconą miłością. Wiesz przecież, czem jestem według zwykłego sposobu mówienia: ogromnie bogatym gentelmanem. Wiesz, jaki jest nikczemny początek tego bogactwa i tej gentelenskości?

O, Sydney, czyś co zbroił?

— Nie, moja najukochańsza, jestem gentelmanem i nic nie zbroiłem. Niestety, dzieje się tak, że nie jeden człowiek nic nie robi, a mimo to nie ginie z głodu. Każdy grosz, który posiadam, jest groszem skradzionym. Ale była to kradzież ustawowo dozwolona, a nadto — dla ciebie ma to praktyczną wartość — choćbym chciał, nie mógłbym go oddać prawym właścicielom. Wiesz ty, czem był mój ojciec?

— Co nas to teraz obchodzi? Nie bądź taki wstrętny z temi swojemi śmiesznymi ideami, kochany Sydneyu. Nie poślubiłam przecież twego ojca!

— To prawda, ale — naturalnie tylko przypadkowo — poślubiłaś majątek mego ojca. Naszyjnik, który nosisz, kupiony jest za jego pieniądze i zdaje mi się, że widzę plamy krwi...

— Zamilcz Sydneyu! Nie mogę znosić tego rodzaju przesady. To wszystko głupstwo. Proszę cię, kochaj mnie!

— Wiem, że są na nim krople potu.

— Ty obrzydliwcze!

— Ależ naturalnie, serdeńko, że nie są to twoje

krople, ale tych nieszczęśliwych ludzi, którzy pracują jak niewolnicy w tym celu, ażebyśmy mogli żyć wygodnie. Pragnę ci wyjaśnić, dlaczego jesteśmy tacy bogaci. Mój ojciec był przebiegłym, energicznym i ambitnym handlarzem bawełny, który uznawał tylko taki interes, w którym jedna strona traci, a druga zyskuje. Postawił sobie za zadanie możliwie najczęściej podejmować się tego rodzaju interesów, w których stale reprezentować mógł stronę zyskującą. Nie wiem dokładnie, skąd się ród jego wywodził, albowiem wstydził się zarówno swoich przodków, jak i krewnych, z czego wnosić mogę, że musieli to być ludzie uczciwi i niewpływowi. W każdym razie nabył on pewnych wiadomości z zakresu handlu bawełną, uciułał trochę grosza, jeszcze więcej pożyczył, co mu nie przyszło z trudnością, ponieważ chętnie powierzano mu gotówkę wskutek sławy, jaką się cieszył, że umie wyprowadzić w pole swoich spółników w interesach. Urządziwszy się w ten sposób, rozpoczął, jak mi sam później wyraźnie oświadczył, pracować dla siebie. Zakupił fabrykę i zapas bawełnianego surowca. Trzeba ci teraz wiedzieć, że jeżeli człowiek popracuje dłuższy czas nad surowcem bawełnianym, może łatwo z niego uprząść bawełnę, która służy do prześcieradeł na łóżka, do koszul i tym podobnych pożytecznych rzeczy. Uprzedzona bawełna przedstawia większą wartość od surowca, albowiem pociąga ona za sobą koszt wskutek zużywania się maszyn i fabryki, dzięki podatkom gruntowym i budowlanym, dzięki zakładowi ludzkiej pracy i ścieraniu się ludzkiego życia, co wszystko musi się opłacać pieniędzmi, stra-

wą, mieszkaniem i czasem wolnym na spoczynek. Czy rozumiesz?

— Uczyłyśmy się tego wszystkiego w szkole. Nie wiem jednak, w jakim związku pozostają twoje wywody z naszym stosunkiem; wszak nie pracujesz w przemyśle bawełnianym.

— Uczyłaś się zapewne w sam raz tyle, ile uznano za stosowne cię pouczyć, ale wątpię, czy nauczyłaś się wszystkiego. Gdy ojciec mój rozpoczął pracę dla siebie, znajdowało się podówczas wiele ludzi w Manchester, którzy radzi byli w ten sam sposób pracować. Ale nie posiadali oni fabryki, w którejby mogli pracować, nie posiadali maszyn, ażeby mózgi przy ich pomocy pracować, brakło im surowca bawełnianego, ażeby mieć co opracować, jednym słowem brakowało im wszystkiego, albowiem wszystkie te do produkcji niezbędne środki były już nagromadzone w innych rękach...

— Ale cóż za sens dręczyć się tem wszystkim? Sydney! Wszak nie jesteś w stanie nic w tem zmienić.

— Przeciwnie. Stałem się dzięki naiwności i niezdarności ludzi właścicielem ziemskim i kapitalistą, ale mogę łatwo stracić wszystko, co posiadam. Chcąc uwolnić się z mojego trudnego położenia musiałbym odstąpić moich niewolników ludziom, którzy nie lepiej postępowałiby z nimi, aniżeli ja to czynię. Sam zaś musiałbym stać się niewolnikiem, co znowu wcale nie uśmiecha mi się. Wobec tego, powiem ci, co czynię: pomagam robotnikom z Manchester, którzy należą do stanu niewolników mojego ojca, wywalczać sobie prawdziwą wolność. I dlatego tu pozostaję. Opłacam w wielkiej ilości potrze-

bnym ludziom utrzymanie, dostarczam wielu zobojętniałym czytelnikom lektury, ponoszę kosztą papieru i druku celem rozpowszechniania pamfletów i pisemek ulotnych, w których wielbi się robotników jako sól ziemi, jestem redaktorem i wydawcą socjalistycznej gazetki, czynię wogóle wszystko, co leży w zakresie moich możliwości. Uważam, że jest lepiej, jeżeli majątku, zdobytego w sposób dla mnie wrogi, tak używam, aniżeli miałbym go przejechać przy pomocy wystawnego prowadzenia domu i legionu sług. Wolę moje prostackie odzienie i moja chałupkę z dwiema izdebkami od wykwintu twego miejskiego mieszkania i twoich pięknych, miłych cacek i tego wdzięku pełnego omijania wielkiej pracy, która najbardziej leży mi na sercu. Możliwe, że kiedyś w przyszłości urządzę sobie dni świąteczne, a wówczas będziemy mogli ponownie przeżyć miodowe miesiące.

Przez chwilę zdawało się, że Henryeta wybuchnie płaczem. Nagle jednak zawołała z przejęciem: „Pragnę pozostać przy tobie Sydney. Chcę uczestniczyć w twojej pracy, bez względu na to, jakiego rodzaju ona będzie. Przebiorę się również za dziewczynę wiejską i będę nosiła małe dwojaczki na mleko. Świat cały jest mi niczem, kiedy ciebie niema przy mnie, a ja tak chętnie żyłabym tutaj, rysowałabym z natury...

Odwrócił się i poczerwieniał, nie mogąc ukryć swego zmieszania. Postanowiła nie dać się odpedzić, przyłgnęła do niego, przytrzymała go za rękę. Scena ta pobudziła do śmiechu małego Wickensa, który siedział w przyległym rowie. Tre-fusis był zadowolony, że ktoś przerwał jego roz-



prawę z żoną i ofiarował chłopcu dwa pensy w nadziei, że on mimo nakazu odejścia, pozostanie. Ale chłopak z natury swej uparty, tym razem okazał się bardzo uległym. Pobiegnął w kierunku gościńca, gdzie zabawiał się przez pewien czas jedną z uzyskanych monet, grając sam ze sobą w orła i reszkę dopóki zjawienie się oddziału Fairholme'a nie oderwało go od tego stanu rozdwojenia.

Tymczasem powróciła Henryeta do swych próśb i nalegań.

— Bylibyśmy bardzo szczęśliwi — wywodziła. — Prowadziłabym gospodarstwo, a ty mógłbyś pracować, wielebyś tylko potrzebował. Życie nasze stałoby się prawdziwą sielanką.

— Moje kochanie — rzekł, potrząsając głową, kiedy wpiła się w niego spojrzeniem błagalnym — w istocie mojej pozostało zbyt wiele manchester-skiej bawełny, bym mógł być zdolny do sielanki. I szczerze mówiąc, stanowi twoje natychmiastowe oddalenie się pierwszy warunek możliwej naszej współpracy. Jak długo pozostaniesz ze mną mogę jedynie pieścić się z Tobą. Czar twój działa na mnie. Gdy jednak zdołam odejść od ciebie, choćby na chwilę, natychmiastowo wzdycham ze skruczą z powodu tych godzin, które straciłem dzięki zwodniczemu urokowi twemu, oraz z powodu bezużytecznie strwonionej energii.

— Skoro nie chcesz żyć ze mną razem, wówczas nie miałeś wogóle prawa żenić się ze mną.

— Zupełnie słusznie. Ale nie twoja ani też moja w tem wina. Zauważyliśmy, że kochamy się zbyt nio, że nasze wspólne pożycie przeszkadza nam w codziennych zajęciach i dlatego musimy rozstać

się ze sobą. Nie na zawsze, moje kochanie, ale do czasu, kiedy ty zdołasz dojść do własnych trosk i własnej pracy, które ci wypełnią twe życie i nie pozwolą na trwonienie mego życia.

— Mam wrażenie, że straciłeś zdrowy rozsądek — rzekła zgnębiona.

— Cały świat jest w dzisiejszych czasach obłąkany i gna na oślep, jak tylko szybko może, dzięki rozpędowi, jakiego mu udziela ludzka chciwość. Trzymam się zdala od tych wyścigów, albowiem brak mi przywiązania do tego ogólnego celu. Właśnie nadpływa galar, którego sternik jest mi zupełnie oddany, albowiem wierzy, że zamierzałem wywołać rozruchy, aby wymusić we wsi zniesienie opłat za użycie śluzy i cła. A więc udajmy się na pokład i pojedziemy do Lyvern. Stamtąd możesz powrócić do Londynu. Zatelegrafujesz do zakładu z najbliższej stacyi, na której będziesz przesiadała. Musieli oni w tej chwili rozpocząć istne łowy z nagonką za nami. Dam ci mój adres i będziemy mogli pisywać do siebie, a nawet spotykać się, wiele razy nam po temu przyjdzie ochota. Albo możesz również zażądać rozwodu, ponieważ opuściłem ciebie.

— Wiem, że takie zakończenie sprawy byłoby dla ciebie najbardziej pożądane — rzekła, łkając, Henryeta.

— Ależ wręcz przeciwnie, umarłbym z rozpacz, mój skarbie — odparł uprzejmie. — Galar, bywaj! Na miłość boską, poniechaj płaczu, Hetty! Prawdziwie szarpiesz mi duszę.

— Ho, ho! — wrzeszczał flisak.

— Dobry wieczór panu — witał człowiek, wlo-

kący się z krótkim biczem w rękę tuż za koniem, który ciągnął galar.

— Przybijaj do brzegu! — mruknął w niezbyt uprzejmym tonie, stale zwrócony w stronę konia.

— Radbym chciał wsiąść na galar i pojechać do Lyvern — wyjawiał swe zamiary Trefusis. Spoglądając na konia, dorzucił: — Dobrze, jak się zdaje, odżywione stworzenie!

— W każdym razie lepiej, aniżeli ja sam — stwierdził ów człowiek. — Nie można wydobyć ze źle odżywionego konia tyle pracy, co z lichy odżywianego człowieka. W niektórych okolicach Anglii widziałem kobiety, ciągnące galary. Są one tańsze od koni, albowiem, gdy ubędzie jednej, nabycie drugiej przynajmniej nic nie kosztuje.

— Dlaczego więc nie sprawiacie sobie takiej kobiety? — pytał Trefusis z powagą, zabarwioną ironią. — Zasada opiewająca: nabywać siły robocze na najtańszym rynku, a produkty tych sił sprzedawać na najdroższym rynku, ta właśnie zasada wiele przyczyniła się do obecnej potęgi, jaką szczyli się Anglia.

Flisak uśmiechnął się przebiegle i wskazując na konia, którego głaskał po brzuchu ręką bicia, rzekł z namaszczeniem, zwracając się w stronę Smilascha:

— Jeżeli chce pan kiedyś naprawdę spróbować pracy, proszę uczynić to na czworakach, a przekona się pan, że to o wiele lżejsze od pracy na dwóch nogach.

— Człowiek ten należy do rzędu tych, których nawróciłem — objaśniał Trefusis Henryecie na uboczu. — Oświadczył mi niedawno, że od czasu, kiedy

nauczyłem go myśleć, nie może przy spotkaniu się z tak zwanym gentelmanem, poskromić chętki, by w niego kamieniem nie cisnąć. Uważam, że zasady socjalizmu tłumaczą sobie mniej inteligentni jego wyznawcy i przeciwnicy w tym sensie, że popiera on niskie skłonności mas do obrzucania kamieniami znaczniejszych osobistości. Jeżeli będziesz zachowywała się spokojnie, znajdziemy się wkrótce na pokładzie galaru, w przeciwnym razie zaś dostaniemy się na dno kanału.

Przeniósł ją i zamienił z flisakiem kilka uprzejmych słów. Następnie pociągnął za sobą Henryetę na przód galaru i zapatrzył się w wodę, podczas gdy bez szmeru płynęli wzdłuż pagórkowatych wybrzeży i rozległych pastwisk.

— Moznaby nazwać tę jazdę wspaniałą— rzekł po chwili — gdyby udało mi się zapomnieć o tej kobiecie pod pokładem, która w zadusznej klatce, niewiększej od wnętrza twojej szafy na suknie gotuje obiad dla męża i...

— Już ani słowa więcej w tej sprawie — przerwała mu z niecierpliwością Henryeta. — Nie mogę im w niczem pomóc. Mam własne troski. Jej mąż przynajmniej żyje u jej boku.

— Zamieniają się chętnie z tobą, mój skarbie, jeżeli tylko uczynisz im tę propozycję.

Zabrakło jej odpowiedzi. On zaś zaczął po chwili rozwodzić się nastrojowo na temat piękności krajobrazu i nie szczędził jej miłosnych frazesów i pochlebstw. Ale mimo to czuła ona wyraźnie, że postanowił się jej pozbyć, a on rozumiał dobrze, że rozmijałoby się z celem, chcieć nadal ukrywać przed nią ten zamiar.

Odwróciła się od niego i usiadła na stosie cegieł, a wielokrotnie tylko starał się ją nakłonić do rozmowy, kurczyła się jej twarz boleśnie z poskramianego oburzenia.

Gdy się już zbliżali do celu podróży, zdawało się jej, że zbyt słabo uwidoczniała swoje głębokie cierpienie, spowodowane jego ucieczką, a uczucie doznanej krzywdy zaciężyło na jej duszy nieznośnie.

Wysiedli na ład przy jakichś warsztatach okrętowych i przedostali się po drodze, przeoranej głębokimi bruzdami, które pochodziły od kół wozów ciężarowych, na gościniec, wiodący do Lyvern. Tutaj przeistoczył się Trefusis natychmiastowo w Smilascha i kroczył w pełnem szacunku oddaleniu przed nią, jak gdyby został na przewodnika wynajęty. Zrozumiała Henryeta, że minęła ostatnia sposobność, by mogła go jeszcze błagać i na samą myśl o tem rozplakała się rzewnie. Rozważała jeszcze przez chwilę czy nie mogłaby go wzruszyć i zmienić jego postanowienia, gdyby urządziła mu tutaj scenę publiczną. Ale gościniec był zbyt ożywiony, a również obawiała się nieco jego gniewu. Żaden jednak z tych względów nie byłby jej powstrzymał od wykonania powziętej myśli, gdyby opanował ją w danej chwili wybuch gniewu, któremu ulegała często. Obecnie jednak znajdowała się w nastroju uległym. Gwałtowne, kapryśne humory nawiedzały ją widocznie tylko wówczas, kiedy mogły jej zaszkodzić.

Bez oporu dała się odprowadzić do omnibusu, który w chwili, kiedy nadeszli, szykował się przed gospodą do odjazdu na kolej. Gdy Smilasch uchylił kapelusza i zapytał ją o zlecenia, które zechciałaby mu powierzyć, nie chciała nawet zwrócić się w jego

stronę, nie odpowiedziała również ani słowa na jego szeptem wypowiedziane słowa pożegnania i życzenia szczęśliwej podróży. W ten sposób rozstali się ze sobą. On powrócił samotny do swej chatki, gdzie przyjęli go owi policyanci, z którymi musiał udać się do pensjonatu.

## VI.

Czas upływał i nastaly długie wieczory. Żadne wiedzy młode damy z pensjonatu Alton siedziały przy swoich pulpitych, wsparte na łokciach, z obliczem ukrytem w dłoniach i otuliwszy się w futrzane kołnierze, dygotały z zimna. Obciążały swą pamięć wywodami z zakresu moralnej filozofii lub ćwiczyły się w myślowem pływaniu wsparte, niby o korkowe pasy bezpieczeństwa, o zasadnicze formułki matematyczne. Zdarzało się przy tej sposobności dość często, że czem bardziej odznaczała się jaka uczennica matematycznym rozumem, tem mniej roztropną okazywała się w życiu codziennem, gdzie trudno było znaleźć ustalone zasady, któremi możnaby się kierować.

Agata, która wcale nie była pochopna do nauki i wcale nie objawiała ochoty do mrożenia się podczas zimy, poczęła z gorliwością, wzrastającą z dnia na dzień przekraczać przepis Nr. 17. Przepis Nr. 17 zakazywał uczenicom odwiedzania kuchni i przeszkadzania służbie w jej czynnościach domowych. Agata nie zważała na przepis, albowiem lubiła palony cukier, który preparowała sobie w kuchni, lubiła rozpalone w piecu ognisko i inne zakazane przyjemności, a przedewszystkiem schlebiał jej

wysoce podziw, z jakim towarzyszyły dziewczęta z kuchni jej muzykalno-kabaretowo-brzuchomowczym popisom. Towarzyszyła jej zazwyczaj jeszcze Gertruda, ponieważ również lubiła słodyczne i ponieważ chętnie korzystała z każdej sposobności, by móżdż okazać swe łaskawe względy wobec osób z niższej klasy społecznej. Jane zachodziła tam również od czasu do czasu, ponieważ nie chciała zostawać się z przyjaciółkami a niekiedy ekspedycje te — odbywające się pod hasłem poszukiwania za przygodami, odznaczania się złym przykładem i poświęcenia się dla smakołyków — przyciągały więcej ochotniczek, aniżeli to było wskazane przez wzgląd na możliwość zwrócenia na siebie uwagi.

Pewnego wieczoru zdążyła miss Wilson we własnej osobie do swej prywatnej piwniczki po wino, kiedy zatrzymał ją w pobliżu kuchni hałas, przedostający się z wnętrza i świadczący o rozpętanej wesołości, jaka za drzwiami zapanowała. Przystanąła, podsłuchując. Usłyszała przedewszystkiem taniec z towarzyszeniem kastaniet, których grzechot przypomniał jej zaraz sposób, w jaki Agata strzelała palcami, gdy chciała dać wyraz swemu lekceważeniu dla osoby pani Miller. Z kolei, jako następny punkt programu, przyszło brzęczenie pszczoły, rozbijającej się po szybie okiennej, Robin Adair (refren śpiewała służba chórem) a w końcu parodia jej własnej osoby, a mianowicie przedrzeźnianie jej błagalnych usiłowań, by skłonić Jane Carpenter do należytego przygotowania się na egzamin w Cambridge.

Nadsłuchiwała, dopóki chłód i obawa, by jej nie przyłapano na wyszpiegach, nie zmusiły jej do od-

dalenia się. Musiała wstydzić się przed samą sobą, że chwilowo znalazła pewną przyjemność w przysłuchiwaniu się tej pustej zabawie, ale ostatecznie wołała spoglądać przez palce na to przekroczenie przepisów, aniżeli wszczynać ponowną wojnę z Agatą...

Szczególnie pod jednym względem nie stosowała się Agata do dyscypliny szkolnej zupełnie. Jakkolwiek bowiem dostarczyła ona stosunkowo znacznej ilości zapisków w księdze przewinień, widniało jednak to zeznanie, które o mało co nie stało się przyczyną wydalenia jej ze szkoły, jako ostatnie pochodzące z jej ręki. I trudno było nawet przyznać, jakoby zachowanie się jej miało uleść zmianie na lepsze, przeciwnie: pogorszyło się znacznie. Ale miss Wilson unikała jakiegokolwiek wzmianki w tej materii i tak pozostała księga przewinień jako przedmiot niejako uświęcony, dla Agaty jednak nieobowiązujący. Zauważyła jednak przełożona, że Agata, jakkolwiek sama wzbraniała się wpisywać swe grzeszki, pomagała natomiast swym koleżankom przy stylizacji ich zeznań. Bardzo znamieny i wprost nieoczekiwany był charakter zeznań Jany, która w tonie dowcipkującym zapełniała karty księgi.

Tymczasem rozpoczął już Smilasch swe przedsięwzięcia na dobre. W ostatnie dni jesieni pobielił swą chatkę, polakierował drzwi, oprawę okien i werandę, naprawił dach i wnętrze izb, a miejsce przed domem do tego stopnia upiększył, że właściciel domu nie omieszkał mu natychmiastowo oświadczyć, iż po upływie dwunastomiesięcznego terminu dzierżawy będzie zmuszony podwyższyć czynsz dzier-



żawny. Wynajmujący o ile jest rozsądnym człowiekiem, nie może przecież żądać, by mu odstąpiono piękny, zabezpieczony przed wichrem i deszczem domek mieszkalny za tę samą cenę, za którą uraczono go walącą się budą. Smilasch obiecał mu jednak z równie stanowczym pośpiechem, że przed upływem roku odpowiednio dom zniszczy i przeprowadzi do dawnego wyglądu.

U bramy wywiesił on tablicę z ręcznym napisem, który był identyczny z tekstem kart, drukowanych w mieście. Karty te reklamowe pokazywał Smilasch wszystkim ludziom, których przypadkowo udało mu się spotkać. Napis brzmiał:

## **JEFFERSON SMILASCH**

**malarz, dekorator, szklarz, kotlarz i ogrodnik.**

Stroiciel fortepianów. Podejmuje się wszelkich naprawek domowych.

Usługuje przy stole.

*Villa Chamounix  
Lyvern.*

Wszelkich wyjaśnień udziela się bezpłatnie.

Nie odrzuca się żadnej rozsądnej propozycji.

Przedsięwzięcie to nie rozwijało się jednak mimo szumną reklamę i szeroki zakres działania. Smilasch, zapytany przez klientów, wchodzących z nim w umowę o dowody i świadectwa jego uczciwości oraz zawodowych uzdolnień, odsyłał ich bez wahania do Fairholme'a, do Josephsa a szczególnie do miss Wilson, która, jak twierdził, miała go znać od pierwszych chwil dzieciństwa. Fairholme był zadowolony ze sposobności, jaka się nadarzała, by udo-

wodnić, że nie jest on księdzem, prawiącym same gładkie słówka i odpowiadał na każde zapytanie, dotyczące Smilascha, że robotnik ten jest największym nicponiem w całej okolicy. Josephs rozgłaszał częściowo dzięki wrodzonej dobroduszości, częściowo zaś z obawy, by Smilasch nie szukał na nim zemsty za rzekome oszczerstwo, że człowiek ten jest w każdym razie tanim robotnikiem i że dobry uczynek popełniłby każdy, kto dla zachęty powierzyłby mu jakie zajęcie.

Miss Wilson potwierdziła opinię, wydaną przez Fairholme'a a organista kościelny, który od ćwierć wieku stroił raz w roku wszystkie okoliczne fortepiany, oczerniał Smilascha jako człowieka, który podejmuje się każdej roboty a żadnej nie potrafi doprowadzić do końca.

W rezultacie ujęli się za Smilaschem lyverneńscy radykali, stronnictwo małe i cieszące się złą opinią i zapewniali głośno i powszechnie, że człowiekowi, o którego chodzi, nie można bezwarunkowo nic złego zarzucić i że osoby duchowne oraz miss Wilson, zamieszkująca wytworny dom i przyjmująca do swego pensjonatu same tylko bogate panienki, mogli wypełnić swój wolny czas lepszym zajęciem, aniżeli pozbawianiem chleba biednego robotnika. Ponieważ jednak członkowie tego radykalnego zrzeszenia nie mieli do rozdania żadnych naprawek domowych, więc też i gołosłowne ich wsparcie wcale nie wzbogaciło Smilascha. Jedyńm jego klientem była służąca z pobliskiego dworu, która porzuciła służbę i musiała oddać do naprawy swój kufer, przy którym rozluźniło się czy odpadło wieko.

Smilasch zażądał pół korony za wykonanie zleconej mu roboty, ale, zauważywszy, że służąca waha się i gotowa cofnąć zamówienie, natychmiastowo prosił ją o wybaczenie za wygórowaną cenę i zgodził się na jednego szylinga. Polakierował kufer, umieścił na nim początkowe litery nazwiska dziewczycy, zaopatrzył go w nowe okucia, w świeży zamek i mosiężne klamry. Kosztowała go ta robota 10 szylingów wydatków i kilka godzin pracy. Dziewczynie nie podobała się barwa lakieru, życzyła sobie, aby usunąć klamry zbyttnio, zdaniem jej, upodobniające kufer do trumny i uskarżała się, że zamek, który daje się otwierać tak wązkim i delikatnym kluczykiem, nie nadaje się do ciężkiego kufra. Wkońcu przyznała, że sama sobie jest winna, albowiem zwróciła się z prośbą o naprawę kufra do człowieka, nie znajacego się zupełnie na rzeczv. Smilasch natomiast nie omieszkał rozpowiedzieć wokoło, że zrobił dobry interes, a ponieważ potwierdzał to nawet wówczas, kiedy mu z tego powodu czyniono zarzuty, więc nie otrzymał już żadnego zlecenia więcej. Szyld jego reklamowy, wywieszony na bramie, służył odtąd jako szczegóół rozweselajacy przechodniów, lub jako cel pocisków ze strony łobuzujących pastuszków.

Silny wichur z burzą hulał pewnej nocy nad wioską Lyvern. Młode damy w instytucie Alton odmawiały z obawy przed piorunami ze zdwojoną gorliwością wieczorne modlitwy. O wpół do pierwszej po północy powstał dzięki ulewie, wichrowi i grzmotom tak silny łomot i hałas, że obudzona Agata i Gertruda narzuciły na siebie futrzane kołnierze i wykradły się do okna sieni, naprzeciw gabinetu pani Wil-

son położonego, skąd mogły przyglądać się błyskawicom, które w drgających połyskach oświetlały krajobraz. Urozmaicały sobie wyczekiwania na pioruny rozmową prowadzoną szeptem, na temat ewentualnego niebezpieczeństwa, jakie grozi śmiałkowi, zbytnio przybliżającemu się do okna i rozpatrywały zagadnienie, czy mosiężne sztaby, przytrzymujące chodnik na schodach, mogą przyciągnąć piorun czy też nie. Agata używała umiarkowanie na widowisku, dostarczonem przez przyrodę i zachowywała się spokojnie, albowiem w tej samej mierze potrafiła być w towarzystwie jednej koleżanki poważną i uprzejmą, ile przy większych zebraniach występowała zuchwale i drwiąco. Błyskawice nie przerażały jej wcale, ponieważ nie była świadomą powagi życia i do pewnego stopnia była z tego dumną, że życie z całą swą powagą jest jej właściwie obojętne. Drgnęła wprawdzie kilkakrotnie za uderzeniem piorunu, ale uświadamiała sobie tą drogą swoją odwagę i przeciwstawiała się trwożliwej Gertrudzie, która na widok załamującego się zygzaku błyskawicowego odskoczyła od okna i oświadczyła:

— Chodźmy Agato z powrotem do łóżka. Bezwarunkowo nie jesteśmy tu bezpieczne.

— W tym samym stopniu jesteśmy bezpieczne tu jak i w łóżku, tylko, że w łóżku nic nie zdołamy obaczyć. Jak drży cały dom w posadach! Zdaje mi się, że silny deszcz gotów rozbić szyby, zanim...

— Cicho! — szeptała Gertruda i pełna przerażenia chwyciła koleżankę za ramię. — Co to było?

— Co takiego?

— Zupełnie wyraźnie słyszałam dzwonek ogrodowy — proszę cię, wracajmy do łóżka.

— Dzieciństwo! Kto wyszedłby w noc podobną? Najprawdopodobniej wiatr poruszył dzwonkiem.

Czekały chwil kilka. Gertruda drżała, a Agata doznawała wśród ciemności uczucia właściwego ludziom, którzy obawiają się duchów. Niebawem jednak zmieszał się niewyraźny pobrzęk dzwonka z szumem burzy.

Za chwilę jednak zabrzmiało kilka ostrych, wykluczających wszelką wątpliwość tonów, które pochodziły od ogrodowego dzwonka. Dzwonek ten oznaczał się donośnym głosem i był przeznaczony na zwoływanie dziewcząt służebnych, by otwierały bramę w razie potrzeby, gdyż budka portyera była pozbawiona mieszkańca.

— Co to może być do licha? — niepokoiła się Agata.

— Czy nie mogą znaleźć furtki u bramy, te oczywiste idyoty?

— Najwidoczniej. Proszę cię Agato, chodź już na górę.

— Nie chcę. Jeżeli chcesz, idź sama.

Gertruda bała się odejść sama.

— Najlepiej będzie, jeśli obudzimy miss Wilson i powiemy jej, co się dzieje — zawyrokowała Agata. — Byłoby to okrucieństwem nie wpuścić kogoś w noc tak okropną.

— Ale nie wiemy przecież, kto to jest.

— W każdym razie pewna jestem, że ktokolwiekby to miał być, nie wywołałby u ciebie uczucia trwogi — oświadczyła Agata, myśląc wręcz przeciwnie. Skorzystała jednak ze sposobności, by zawstydzić Gertrudę i zmusić ją do milczenia.

Słuchały obie. Burza rozszalała się teraz na do-

bre, pioruny były tak, że nie mogły usłyszeć dzwonka. Nagle ktoś gwałtownie zapukał do drzwi. Gertruda krzyknęła, a krzyk jej znalazł echo na piętrze. Inne dziewczęta również usłyszały pukanie i ogarnęła je wielki lęk. Świeca paliła się na schodach, a po chwili usłyszano głos miss Wilson, głos silny i spokojny:

— Kto tam?

— To ja jestem, miss Wilson, i Gertruda. Przypatrywałyśmy się burzy, a teraz ktoś puka...

Odezwało się znów gwałtowne pukanie do drzwi i silne poruszenie klamką. Potem usłyszano głos, jakby wołał jakiś mężczyzna, ale głos ten przytłumiło wycie wiatru.

— Lepiej nie otwierajcie drzwi — rzekła miss Wilson, nieco zaniepokojona. — A ty Agato jesteś bardzo niemądra, że tam stoisz. Możesz — O Boże! co to może być?

Pobiegła w towarzystwie Agaty, Gertrudy i kilku śmielszych uczenic do sieni, gdzie kilka drżących z obawy służących stało obok dozorczyńi, która przez dziurkę od klucza płaczącym głosem pytała, kto to puka. Widocznie nie słyszano jej zapytań, bo pukanie w chwili, gdy pytała, znów się odezwało, a dozorczyńi odskoczyła od drzwi tak szybko, jakby ją ktoś w twarz uderzył.

Miss Wilson poruszyła łańcuchem, zamykającym drzwi i zapytała ponownie:

— Kto tam?

— Wpuście nas — wołał ktoś przez dziurkę od klucza. Tu jest umierająca kobieta i troje dzieci. -- Otwórzcie drzwi!

Miss Wilson straciła panowanie nad sobą. Aby zyskać na czasie, odpowiedziała:

— Ja... ja nie rozumiem. Co powiedzieliście?

— Do dyabła! — zawołał głos jakiś, lecz zwrócił się tym razem do kogoś, kto stał tam przed drzwiami. — Nie mogą nas zrozumieć.

Pukanie rozpoczęło się na nowo i jeszcze gwałtowniej. Agata wzburzona pochwyciła miss Wilson za suknię i powtórzyła jej, co powiedziano przez dziurkę od klucza.

Miss Wilson sama słyszała to zupełnie dobrze i czuła, że drzwi otworzyć musi, ale powstrzymywała ją jakaś niezrozumiała obawa przed tem, co nastąpi. Poczęła odsuwać łańcuch, w czym jej Agata pomagała.

Dwie służące oświadczyły, że zapewne wszystkich wymordują w ich łóżkach i uciekły. Niektóre uczennice chciały widocznie pójść za ich przykładem. Wreszcie drzwi się otworzyły, silny prąd wichru wpadł do sieni, wydał sukienki dziewcząt i zgasił świece.

Przy blasku błyskawicy Agata ujrzała dwóch mężczyzn, którzy dobywali wszelkich sił, aby drzwi zamknąć.

Wreszcie wicher ustał w sieni i Agata poznała, że drzwi zamknięto. Zapalono świece i teraz można było dokładnie przypatrzeć się przybyszom.

Smilasch stał z odkrytą głową bez surduta, z kamizelki jego i spodni lały się strugi deszczu. Obok niego stał jakiś człowiek w średnim wieku, ubrany w ubogi strój pastucha, również przemoknięty do nitki. Miał zrozpaczoną minę człowieka, którego nieszczęście srogo prześladuje i który bliski

jest wyczerpania swych sił. Dwoje małych dzieci, chłopak i dziewczynka, które były prawie nagie, skryły się pod jakimś starym workiem, którego używały za parasol dla siebie. Na ławce obok leżał jakiś zwój starych ubrań, worków z podartych koców, a na ich wierzchu surdut Smilascha. Pod tą kupą szmat leżała jakaś chora widocznie kobieta z wychudłym niemowlęciem przy wysuszonej piersi.

— Racz przebaczyć nam, lady, że ci przeszkadzamy — rzekł ów człowiek, rzuciwszy przedtem pełne lęku spojrzenie na Smilascha, widocznie bowiem myślał, że Smilasch pierwszy przemówi. — Ale mój dach i jedna ściana domu zawaliły się podczas burzy, a moja żona miała jeszcze jedno maleńkie dziecko i bardzo mi przykro, że pani robię kłopot. Ale... ale...

— Kłopot! — zawołał Smilasch. — Ależ największym przywilejem damy jest wam pomódz — najwyższym przywilejem!

Niemowlę poczęło kwilić, zapewne z głodu, a kobieta podniosła się, mówiąc:

— Wstydz się, Tomie! Tu przed panią!

Następnie znów opadła, widocznie zemdląła słaba i wyczerpana, aby mogło ją jeszcze coś obchodzić to, co się dalej dzieć będzie.

Smilasch z niecierpliwości patrzył na miss Wilson, która wzdragająca się, a wkońcu zapytała go:

— Na co pan czekasz, co mam zrobić?

— Powinna nam pani pomódz — odpowiedział, poczem z wybuchem nerwowej energii dodał: Czyń pani, co ci każe twe serce. Odstap tej kobiecie swoje łóżko, daj jej swe suknie, a tym dziewczętom każ na kilka dni rzucić książki do dyabła, niech



uszyją dla tych małych, biednych stworzeń trochę ubrań. Biedacy ci dość się napracowali, aby im dać ubrania. Niech pani każe dziewczętom, aby te biedne dzieciaki także raz ubrały.

— Nie! nie! Tylko to, co słuszne pani — rzekł ów człowiek — widocznie przygnębiony uczuciem, że może się stać tu niepożądany i postąpił krok naprzód, aby miss Wilson przychylnie dla siebie usposobić. — Panie nie ponoszą żadnej winy. Jeśli mogę być tak śmiały, aby o coś prosić, to proszę o danie schronienia mej żonie do jutra rana. Jakibądź kąt wystarczy, do wygod przecież ona nieprzyzwyczajona. Niech tylko ma dach nad głową, póki nie znajdę we wsi izby, gdziebym się mógł sprowadzić.

Własne jego słowa zwróciły mu uwagę na to, że musi pomyśleć o przyszłości i wzrokiem rozpaczliwym rozglądał się po sieni, gdzieby mógł znaleźć pomieszczenie dla żony.

Miss Wilson z pogardą odwróciła się do Smilascha plecami. Odzyskała napowrót panowanie nad sobą.

— Zatrzymam tu waszą żonę — rzekła. — Postaram się o to, aby jej nic nie brakło. Dzieci mogą także pozostać.

— Po trzykroć niech żyje umoralniające wpływanie — zawołał Smilasch zachwycony — i wpadł znów w swój pospolity sposób mówienia, o którym w swym gniewie zapominał. — A co powiedziałaś, sąsiedzie, gdy ci mówiłem, abyśmy twoją żonę zanieśli do zakładu. Powiedziałaś ironicznie: „Ach, tam strasznie się ucieszą, gdy nas ujrzą“. Czy nie mówiłem, że lady ma szlachetne serce i że je okaże, gdy ujrzy takie nieszczęście?

— Jak możesz pan moje nierozważne słowa tu przeciw mnie przytaczać? — odpowiedział wzburzony. — Jestem bardzo wdzięczny pani, a żona moja także. Czujemy, jak natrętni...

Miss Wilson, która tymczasem naradzała się z dozorczynią, przerwała mu, rozkazując, aby żonę zaniósł do łóżka.

Uczył to z pomocą Smilascha, który tryumfował z radości.

Gdy odeszli, jedna ze służących wzbraniała się zanieść koc do pokoju, w którym umieszczono chorą kobietę, mówiąc, iż nie chce usługiwać takim ludziom.

Miss Wilson w odpowiedzi na to oświadczyła jej ostro, iż może jutro opuścić zakład. Ale był to tylko jeden jedyny wypadek niechęci do przybyśzów. Uczenicom kazano pójść do łóżka.

Tymczasem umieszczono kobietę w łóżku. Pokój, w którym się znalazła, był pałacem w porównaniu do tej izdebki, którą zawałiła burza. Mąż pogratulował żonie szczęścia, a dzieciom zagroził, że da im w skórę, jeżeli się nie będą grzecznie zachowywały, póki będą w tym domu. Zanim odszedł, ucałował żonę. Ona nabrała trochę sił i prosiła go, aby raz jeszcze spojrzął na dziecko. On to uczynił i rzucił mu obelżywy epitet, gdyż przypomniał sobie owe chwile, kiedy apetytu niemowlęcia nie mogła zaspokoić pierś matki i musiano dla niego kupować mleko w sklepie. Ona się roześmiała i śmiejąc się, czyniła mu wyrzuty, że tak odzywa się do dziecka. W ten sposób przekomarzając się, pożegnali się ze sobą.

Gdy wraz ze Smilaschem powrócił do przed-

sionka, ujrzeni tam dwa dzbany z piwem, przygotowane dla nich. Dziewczęta już odeszły i pozostała tylko miss Wilson i dozorczytni.

— Na zdrowie pani — rzekł ów człowiek, niosąc dzban do ust. — Oby i pani także kogoś znalazła, jeśli kiedy będzie w kłopotcie, ale niech ją Bóg strzeże przed tem.

— Czy dom wasz zupełnie zburzony? — zapytała miss Wilson. — Gdzie przenocujecie?

— Niech pani o mnie się nie troszczy — odpowiedział. — Pan Smilasch da mi do jutra schronienie u siebie.

— Na jego zdrowie! — rzekł Smilasch — dotykając ustami dzbanka.

— Dach i ścianę południową wiatr zmiotł zupełnie — mówił ów człowiek dalej po chwili milczenia, podczas której zastanawiał się nad słowami Smilascha. — Wątpię, czy pozostał kamień na kamieniu.

— Ale sir John odbuduje ten dom dla was. Przecież jesteście jeszcze ciągle u niego w służbie?

— Tak jest, pani. Ale on nie odbuduje. Będzie bardzo zadowolony z tego, że dom ten się zawalił. Nie lubi tego, jeśli ludzie mieszkają w polu. Ciągle mu powtarzałem, że dom się zawali. Ale on mi odpowiada, że przecież nie mogę wymagać od niego, aby wydawał pieniądze na dom, który nie niesie czynszu. Pani wie, miss, że nie płaciłem czynszu. Dostawałem mniejszą płacę, bo wliczano mi do płacy mieszkanie; miałem więc mniej, niż inni ludzie. Nie mogłem go naprawić, chociaż wszelkich sił dokładałem. A teraz z pewnością spotkam się z zarzutami, że pozwoliłem mu się zawalić. Bę-

dę musiał w mieście mieszkać kątem i płacić tygodniowo dwa lub trzy szylingi czynszu, a nie wliczam już tego, że codziennie będę musiał trzy mile iść do pracy i z powrotem. Taki gentleman, jak sir John, z pewnością nie wie, jaką wartość ma penny dla robotnika i jakim ciężarem dla nas są te rozmaite przepisy, wydawane przez zarząd dóbr.

— Na zdrowie sir Johna — rzekł Smilasch i znów dotknął ustami brzegu dzbana. — To jest owa pełna chwały szlachta starej Anglii! Niech Bóg ją zachowa!

— Pan Smilasch żartuje ciągle — rzekł ów człowiek, usprawiedliwając się. — On już taki.

— Nie powinniście wydawać dzieci na świat, jeśli jesteście tak ubodzy — rzekła miss Wilson tonem surowym. — Czy nie widzicie tego, że przez to stajecie się jeszcze biedniejsi.

— Na zdrowie czcigodnego pana Malthusa! — zauważył Smilasch, ponawiając swój ruch z dzbankiem.

— Jedni mówią, że przyczyną tego są dzieci, drudzy zaś, że pijaństwo — rzekł ów człowiek pokornie. — Ale jak patrzę wokół, rodzina czy nie rodzina, pijaństwo czy nie pijaństwo, biedni z każdym dniem stają się biedniejsi, a bogaci bogatsi.

— Czyż to nie jest potępienia godne, jeśli człowiek okazuje tak jaskrawą nieznajomość hasła o podniesienie stopy życiowej swej klasy? — zapytał Smilasch, zwracając się do miss Wilson.

— Jeśli macie zamiar wziąć tego człowieka do siebie — rzekła, patrząc ostro na niego — to uczynicie to najlepiej zaraz.

— Bardzo mnie to cieszy, że pani prosi mnie,

abym coś zrobił. Przedtem była pani zagniewana i powiedziała mr. Wickensowi, że jestem ostatnim, któremu pani powierzyła jaką robotę.

— Jesteście też nim — ostatnim. Czemu nie pijecie swego piwa?

— Nie dlatego wcale, abym pogardzał twojem piwem, lady. Ale ja jestem tylko zwykłym człowiekiem i woda jest dosyć dobrą dla mnie.

— Życzę pani dobrej nocy i dziękuję pani serdecznie za żonę i dzieci.

— Dobranoc — rzekła miss Wilson i cofnęła się na bok, aby uniknąć wszelkich pożegnań ze strony Smilascha. On atoli przystąpił do niej i rzekł, szepcząc:

— Dobranoc, miss Wilson. Jak pani będzie potrzebowała kiedy usług psa, człowieka, lub inżyniera domowego, to wówczas przypomnij Smilaschowi o owej kobiecie i jej dzieciach, a on natychmiast stawi się na miejsce.

Otworzyli ostrożnie drzwi i ujrzeni, że burza pokonana przez deszcz, ustała. Płomień świecy, którą miss Wilson trzymała w ręce, zachwiał się wprawdzie od powiewu wiatru, ale nie zgasił.

Obie kobiety pozostały same. Zamknęły i zabarykadowały drzwi i przysłuchiwały się odgłosowi kroków ludzi idących po żwirze póty, póki odgłos tych głosów zwolna nie zamarł w plusku lejącego deszczu.

## VII.

Agata rozpoczęła w tym czasie siedemnasty rok życia. Bardzo ostro zapatrywała się na słabostki innych osób, a nie miała żadnego szacunku przed

starszemi uczenicami, które wszystkie uważała za głupie, bojaźliwe i tak śmiesznie powszednie. Wyrobiła w sobie przekonanie, które tak często młodzież poniża wobec starszych: miała się za naturę wyjątkową. Podczas gdy mr. Janseniusowi i całej codziennej czeredzie ludzi przypisywała tylko powierzchowną znajomość najprostszycch faktów życia, w swojej duszy czuła misterne zrozumienie i pełną oddania miłość dla przyrody, którą dzieliły z nią tylko jej ulubieni poeci i bohaterowie powieści, przez nią czytanych. Wskutek tego, jak przeważna część młodych ludzi mogła lepiej osądzać sprawy ludzi obcych niż swoje. W kułak się śmiała ze swoich współuczencic, które uwielbiały jakiegoś Janka lub Henryka, ale nie śmiała się z tego dziecięcego uczucia, które świat miłością nazywa, ale z tego, że każdy taki Janek lub Henryk był dla uwielbiającej go feniksem, który nie podlegał prawom, jakie normują zwykle stosunki między młodymi ludźmi. Im więcej widziała takich słabostek u swych przyjaciółek, tem więcej czuła się wyższą. Była podobna do lekarza, który sądzi, że jest zabezpieczony przed zarażeniem się ospą dlatego, że widział już wiele jej wypadków. Albo do żeglarza, który wie, ile statków zatonoło w kanale, a mimo to płynie bez pilota, bo zna za dobrze niebezpieczeństwo, aby się mógł go obawiać. I jak doktor trzyma się swego mniemania, ponieważ sądzi, że jest inny niż zwykli ludzie i jak żeglarz płynie naprzód, bo swój okręt — uważa za gwiazdę, tak samo Agata oparta na fałszywej pewności widziała różnicę między swemi koleżankami, o których wydawała sąd na podstawie objawów zewnętrznych, a sobą, znając swą duszę.

Gdy się naprzykład zakochała w Jeffersonie Smilashu — a stało się to na drugi dzień po owej burzy — fantazyja jej dawała temu rozkosznemu uczuciu wyższe znaczenie, stawiała je o wiele wyżej ponad te nikłe zwierzenia, które czyniły jej koleżanki, a których przedmiotem byli Janek lub Henryk.

— Mogę patrzeć na niego z lodowatą obojętnością — wmawiała w siebie. — Jakkolwiek wyraz jego twarzy wywiera wpływ niezwykły, który zapewne stoi w jakiejś łączności z utajoną we mnie mocą, a jednak nie mogę powiedzieć, jakoby oblicze jego było klasyczne. Widziałam wielu mężczyzn, którzy, ściśle biorąc, są o całe niebo piękniejsi od niego. Jakkolwiek tłą w jego oczach nadziemskie poniekąd błyski, trudno nazwać te oczy pięknymi, nie są one bowiem choćby w połowie tak wyraziste, jak moje. Jakkolwiek nosi on swe pospolite odzienie z niewymuszonym wdziękiem, który na każdym niemal kroku świadczy o starannem wychowaniu, mimo to nie jest on ani smukły, ani ciemnowłosy, ani też melancholijnie-nastrojowy, jak powinienby właściwie wyglądać mój ideał, gdybym była głupicą, podobną do innych dziewcząt w moim wieku. Jakkolwiek zakochałam się, nie zbywa mi jednak przynajmniej na tyle rozsądku, by jasny mój sąd nie uległ zaćmieniu, dzięki tej miłości.

Nikomui nie opowiadała o tej nowej podniecie, którą zyskała jej życie. Przedstawiała ona najsilniejszy typ wśród grona swych rówieśnic i używała swej przewagi w sposób, zjednywujący jej sympatyę koleżanek, które chętnie mianowały ją swą przodowniczką. Nie wahała się ona jednak uzurpo-

wać sobie od czasu do czasu przywileju szkolnego tyrana. Korzystała z praw ulubienicy i z przyznanych jej przywilejów jedynie w przystępie dobrego humoru. Dziewczęta bowiem domagają się pieszczot, słów czułych i troskliwych, oraz nadzwyczajnych względów wówczas, gdy opuszcza je chwilo-wo rozmach życiowy, gdy ulegają przygnębieniu, lub cierpią z powodu nieszczęśliwej miłości. A tych usług nie może wyświadczyć słaby silnemu, a silny wogóle nie chce tego uczynić z wyjątkiem tych wypadków, w których spotykają się dwie odmienne płci.

Agata wiedziała z doświadczenia, że dziewczę słabe nie rozumie, dlaczego garnie się do niego silniejsza siostra, nie rozumie, że ona poprostu rozkoszuje się wzniosłością tego faktu, i że ofiarowuje zamiast pocieszenia, otuchy, same tylko puste słowa. Agata szukała zrozumienia, a nienawidziła częściej gadaniny. Ponieważ nie mogła znaleźć tego, o co jej chodziło, postanowiła zrzec się wszelkich nadziei co do możliwego współnictwa uczuć, i zamilknąć. Musiała już niejednokrotnie tak postąpić, a obecnie, jeśli chodziło o stosunek do Smilascha, przyszło jej w pomoc zrozumienie, do jakiego stopnia śmiesznem musiałyby się wydawać jej uczucie oczom, przywykłym do trzeźwego, codziennego wejrzenia.

Tajemnica jej dała się łatwo ukryć, ponieważ uznano ją w szkole jako niezdolną do subtelniejszych uczuć. Miłość nie wywierała na nią tego rodzaju wpływów, które możnaby łatwo podchwycić. Dzięki tej miłości przyszła ona jedynie do przekonania, że okres dziewczęcy już minął, że staje się



ona kobietą o nowonarodzonych popędach i skłonnościach, z których do niedawna jeszcze szydziła w swej dziecięcej naiwności. Wstydziła się obecnie swych kawałów z pszczołą na szybie, jakkolwiek nie ograniczyła wcale tych swoich produkcji pod względem ich wyrazistości. Dotąd wypełniał jej dzień stale powtarzający się szereg godzin, przeznaczonych na naukę, jedzenie, zabawę i sen, obecnie wprowadziła pewne urozmaicenie w tę monotonię, a mianowicie odbywała niekiedy przechadzki w kierunku osamotnionej chatki i rzucała przy sposobności przelotne spojrzenia na człowieka, który zamieszkiwał to ustronie.

Z początkiem grudnia nastały siarczyste mrozy, żegluga na kanale ustała. Chłopak Wickensa przybył do zakładu z wieścią, że sadzawka jego ojca ścięła się już należycie i zdoła udźwignąć ciężar młodych dam, których przybycie będzie o każdej porze pożądane. Sadzawka ta była zaledwie cztery stopy głęboka, a ponieważ miss Wilson dbała wielce o fizyczne wychowanie swych uczenic, więc chętnie udzieliła im zezwolenia na ślizgawkę. Agata, która ślizgała się bardzo sprawnie, zaproponowała natychmiastowo, by już następnego dnia wczesnym rankiem wyruszył na lód doborowy oddział. Uczynki, które w gruncie rzeczy są obojętne, uzyskują u nas na powadze i urastają w naszych oczach do rozmiarów zasług, skoro tylko musimy zerwać się rano, by je wykonać. Wskutek tego zgodziło się na projekt Agaty kilka kandydatek, przystępujących do egzaminu w Cambridge, jakkolwiek nie zgodziłyby się one w swej pilności, by choć jedno popołudnie poświęcić jakiej rozrywce. Twier-

dziły na uzasadnienie tego postępuku, iż bez ich współudziału musiałby upaść cały projekt.

Gdy następnego dnia o godzinie pół do siódmej rano zebrały się miłośniczki ślizgawki około łóżka Agaty i wzywały ją do opuszczenia ciepłego legowiska oraz do wyruszenia w dokuczliwe zimno, byłaby projektodawczyni bez namysłu sprzeciwiła się tym zakusom, gdyby nie wstyd przed pilnymi dziewczętami, które przemarznięte i głodne szykowały się do wycieczki na lód. Podczas, gdy Agata ubierała się, dygocąc z zimna i kłapiąc zębami, zwalczyły jej koleżanki uczucie czczości przy pomocy kilku biszkoptów, które w pośpiechu połknęły. Poczem, zarzuciwszy łyżwy na ramiona, wyruszyły przez pola, pokryte szronem, pomiędzy krowami, z których boków buchały całe chmury pary, w stronę sadzawki Wickensa.

Tutaj, ku niemałemu zdumieniu, zastały Smilacha, który na posrebrzanych, bardzo drogich łyżwach, ćwiczył się z zapalem w najtrudniejszych ewolucjach. Wkrótce pokazało się, że ambicya jego sięgała dalej, aniżeli umiejętność, albowiem zataczał się on przez pewien czas wśród dzikich wprost pociesznych wysiłków, celem utrzymania równowagi, wkońcu wyprostował się na chwilę, by natychmiastowo runąć na wznak i uderzyć potylicą, oraz łokciami o twardy lód. Gdy oprzytomniał i przysiadł na lodzie z bolesnym wyrazem twarzy, zauważył, że ośm młodych dam z zajęciem śledzi jego ćwiczenia.

— Oto są skutki, gdy człowiek pospolity wyniesie się ponad swój stan i wdzieje łyżwy odpowiednie jedynie dla dżentelmana — pojękiwał. — Gdy-

bym był zadowolili się zwykłemi łyżwami, jak to zwykł był czynić mój ojciec, byłbym obecnie szczęśliwym człowiekiem. — Stanął na równe nogi i powitał miss Ward przez uchylenie czapki. Następnie zdjął łyżwy i dodał: — Dzień dobry damom. Miss Wilson przysłała mi wezwanie, by się stawił tutaj punktualnie o szóstej rano i pomógł młodym ladom ubrać łyżwy. Ponieważ czekałem, pozwoliłem sobie dla zagrzenia się pobujać po lodzie.

— Miss Wilson nic mi nie wspomniała o tem, że was tutaj zamówiła — zauważyła miss Ward.

— Jakże szlachetnie z jej strony! Dbą o wszystko, a nie chce niczego dać po sobie poznać. Bardzo to dobra lady i do tego uczona — tak samo, jak pani, miss Ward. Proszę, niechaj pani usiądzie na tem składanem krzeselku i poda mi łaskawie obcas swego bucika, bym mógł przyśrubować do niego łyżwę.

Pomoc jego była nader pożądana i miss Ward pozwoliła mu być pomocnym w przypinaniu łyżew. Pochodziła ona z Kanady i ślizgała się bardzo dobrze. Jane, która wyruszyła tuż za nią, objawiła trwogę, czy ten lód jest dostatecznie wytrzymały jak na jej ciężar. Z chwilą jednak, kiedy się już uspokoiła pod tym względem, trzymała się doskonale, albowiem żywiła ona wielkie zamiłowanie do sportu i doznawała niemałego zadowolenia z tego powodu, iż poza szkołą mogła śmiać się z tych wszystkich koleżanek, które wyśmiewały ją w szkole. Agata ustąpiła wbrew swemu przyzwyczajeniu pierwszeństwa swym towarzyszkom i jej łyżwami przyszło zająć się Smilaschowi na samym końcu.

— Jak się pani wie, miss Wylie? — zagad-

nał, porzucając przybrany akcent Smilaschowski, gdyż nikt z towarzystwa nie mógł ich usłyszeć.

— Dziękuję, zupełnie dobrze — odparła Agata lekliwym tonem i z widocznym wysiłkiem. Ponieważ ten niezwykły u niej sposób przemawiania musiał zwrócić jego uwagę, więc zatrzymał przez chwilę jej obcasy w dłoni i wejrzał ku niej z niemałym zaciekawieniem. Lecz Agata opanowała się wkrótce, spojrzała mu spokojnie w oczy i zagadnęła:

— Jakim to sposobem zdołała miss Wilson przysłać panu wezwanie, by się tutaj stawił? Wszak dowiedziała się o naszym zamiarze wycieczkowym dopiero wczoraj o godzinie wpół do dziesiątej wieczorem.

— Miss Wilson nie przysłała mi żadnej wiadomości.

— Ależ przed chwilą przecież opowiadał pan o tem pani Ward.

— W samej rzeczy. Jako prosty robotnik muszę tak samo dobrze kłamać, jak ongi jako dżentelman. A może i więcej...

— Będę wiedziała na przyszłość, jak należy mi ufać pańskim wywodom.

— A prawda jest ta: należę według wszelkiego prawdopodobieństwa do najgorszych łyzwiarzy na całym globie ziemskim i dlatego stosownie do przyrodzonych właściwości ludzkich zależy mi bardziej na najdrobniejszym sukcesie na lodzie, aniżeli na nieśmiertelnej sławie na polu, do którego uprawy przeznaczyła mię matka natura. Zazdroszczę tej dużej przyjaciółce pani — zdaje mi się, że nazywa się Jane — zazdroszczę jej bardziej, aniżeli sa-

memu Platonowi. Przybyłem tutaj dzisiaj rano, by ćwiczyć się w cichości i sądziłem, że o tej porze cały świat łyżwiarski musi spoczywać w łózkach.

— Ciesz mi to, że dane nam było zejść pana przy tych nieudałych wysiłkach — odparła Agata z odcieniem niechęci, albowiem wyznanie jego rozczarowało ją srodze. Oczekiwała akcentów bohaterskich w jego wywodach, co nie miało miejsca.

— Wierzę pani — rzekł spokojnie. — Wogóle stwierdziłem, że największą radość sprawia kobiecie, gdy może zadrasnąć próżność mężczyzny, a najbardziej bawi męczyzną sposobność, w której może zaspokoić wymogi próżności kobiecej. Dzięki temu istnieje stworzenie, które stoi niżej od mężczyzny. Ale czas, by pani wyruszyła. Czy mam panią podtrzymać, dopóki nie poczuje się silną w nogach?

— Dziękuję — rzekła ze złością. — Ślizgam się bardzo dobrze i nie sądzę, by mi pan mógł w czemkolwiek dopomóc. — I pomknęła przed siebie, na razie ostrożnie, gdyż czuła, że upadek po tem uroczystem oświadczeniu musiałby ją ośmieszyć.

Stał na brzegu i wsłuchiwał się w trzeszczenie lodu, którego powierzchnię miażdżyły łyżwy zataczające w junackim rozpędzie kręgi coraz szersze. W miarę biegu rozgrzewały się dziewczęta i oswajały ze ślizką powłoką. Śmiały się, żartowały i skrzykiwały głośno, gdy przypadkowo najeżdżały na siebie lub też szybowały zgodnie z niebezpieczną szybkością wzdłuż całej sadzawki. I czem bardziej stawały się rozpasane tem chmurniej spoglądał na nie Smilasch.

— Żadnej różnicy między niemi a dwugroszowymi lalkami — rozmyślał. — Zachodzi tylko drobna różnica: niektóre z nich zdają sobie z tego sprawę, że przygląda się im mężczyzna, jakkolwiek jest nim tylko nędzny robotnik. Pod każdym względem przypominają mi Henryetę. Czy też zdołałbym zaśmiać się z pełnego gardła, gdyby tak załamała się pod niemi lodowa powłoka na tysiączne kawałki?

Jak gdyby w odpowiedzi na jego rozmyślenia zatrzeszczał lód groźnie i łyżwiarki, z wyjątkiem Jane, rozpierzchły się na wszystkie strony.

— Jane, cały lód pójdzie pod tobą w drobne kawałki! — rozpaczała Agata.—Jak można ślizgać się, skoro dźwiga się ze sobą tyle ciężaru?

— Głuptaszk!—zawyrokowała podrażniona Jane. — Trzeszczenie lodu świadczy jedynie o jego wytrzymałości.

Lęk, jaki ogarnął Smilascha, gdy usłyszał trzeszczenie lodu był odpowiedzią na jego własne pytanie. — Należy to sobie zapamiętać: życzenia, których celem zniszczenie rodu ludzkiego, nie mogą być pomyślane ani rozumnie, ani na serio, gdyż są przeciwne naturze, rzekł, gdy odzyskał na nowo równowagę. — Zresztą jakim byłbym kapitalnym głupcem, gdybym chciał pracować w międzynarodowym zjednoczeniu ludzi, którzy chcą tylko siać zniszczenie. Hej lady! Jedno słówko, miss! Słowa te skierowane były do miss Ward, która w pobliżu się ślizgała.

— Poranek jest tak zimny, a ja mam tylko ubogą i zwyczajną krew; czy pani będzie to uważała za bezczelność, jeśli i ja tu ślizgać się będę, albo jeśli

w jakim kątku sam dla siebie osobno ćwiczyć się będę?

— Możesz pan ślizgać się tam w górze, jeśli chcesz—odparła, po krótkiej chwili namysłu i wskazała mu opuszczony kątek na tylnym końcu stawu, gdzie lód był tak nierówny, że trudno było po nim ślizgać się wygodnie.

— Szlachetna propozycja — rzekł krzywiąc się — i pośpieszył na wskazany mu plac.

Ślizganie się na łyżwach było tu wprost niemożliwe; upadł więc kilka razy, i trudził się dalej tak długo, że twarz paliła się mu, a palce świerzbiały, szczypane silnym mrozem. Czas mijał szybko.

Gdy miss Ward posłała po niego, aby pozdejmował i zabrał łyżwy, podnosiły się ze wszystkich stron skargi i protesty, że jeszcze niema pół do dziewiątej.

Smilasch klęknął przed krzesłem i szybko odrubowywał i zdejmował łyżwy. Gdy kolej przyszła na Jane i usiadła na krzesło, krzesło poczęło trzeszczeć pod jej ciężarem.

Agata czyniła jej znów przedstawienia, ale natychmiast zaczęła sama siebie łajać z powodu swego gadulstwa wobec Smilascha, gdyż chciała na nim wyrzucić wrażenie głębokiego, poważnego charakteru.

— Najmniejsza nóżka wśród wszystkich — rzekł Smilasch — krytycznie trzymając jej nogę między palcami, wskazującym a wielkim, tak, jakby to był jakiś klejnot, który ma ocenić — a należy także do najlepiej zbudowanej damy.

Jane, zarumieniona wyrwała swą nóżkę i rzekła:

— Rzeczywiście! Jestem ciekawa, co teraz przyjdzie!

— Druga noga — odpowiedział i począł zdejmować drugą łyżwę.

Gdy ją odśrubował, popatrzył na Jane, która wstawszy, rzuciła na niego spojrzenie, z którego wyczytać było można, że jego komplement (nóżki jej były rzeczywiście małe i ładne) sprawił jej przyjemność.

— Proszę pozwolić, miss — rzekł do Gertrudy, która oparłszy się o Agatę i stojąc na jednej nodze, sama sobie zdejmowała łyżwy.

— Nie, dziękuję bardzo — rzekła zimno. — Nie potrzebuję pańskiej pomocy.

— Wiem dobrze, że moja prośba była za daleko idącą, odpowiedział z odcieniem zadowolenia, która jego słowom pełnym uniżenia, nadawała coś nęcącego. — Gdy wszystkie łyżwy będą zdjęte, to stosownie do polecenia miss Ward, odniosę je wraz z krzesłem do zakładu.

Miss Ward podała mu swe łyżwy i odwróciła się natychmiast. Gertruda położyła swoje łyżwy na krześle i odeszła z miss Ward. Inne poszły za nimi, a on spoglądał na stos nagromadzonych łyżew i rozmyślał nad tem, w jaki sposób byłoby najlepiej je zanieść do zakładu. Nie znalazł lepszego sposobu, jak związać je rzemykiem i powiesiwszy je sobie na ramiona zanieść jak myślał. Gdy się wreszcie z tem uporał, panny już od dawna zniknęły i w niczem rozbił się jego plan, aby podczas powrotu ich do zakładu iść w ich towarzystwie. Gdy je ujrzał, wchodziły właśnie do zakładu.

Gniewał się na swoją własną głupotę i podszedł



do drzwi służebnych, aby tam zadzwonić. Ody drzwi otwarto, ujrzał, iż miss Ward stoi poza tą służącą, która mu drzwi otworzyła.

— O, rzekła patrząc na łańcuch łyżew na plecach Smilascha tak jakby nie miała nadziei ich więcej ujrzeć — przynieśliście nasze rzeczy z powrotem.

— Stosownie do danego mi polecenia — odrzekł tylko, gdyż zachowanie się jej osłupiło go.

— Nie mieliście przecież żadnego polecenia. Jak możecie pod fałszywym pozorem brać nasze łyżwy w przechowanie? Chciałam właśnie posłać na policję, aby wam je odebrała. Jak mogliście powiedzieć, że macie polecenie mnie pomódz, jeśli dobrze wiedzieliście, że to nie jest prawda?

— Cóż ja temu winien, miss — odpowiedział z wielką uniżonością. — Jestem zwykłym urodzonym kłamcą—byłem nim zawsze. Wiem, że to musi strasznie wydawać się pani, która nigdy w życiu nie skłamała, która zaledwie wie, co to jest kłamstwo, bo pani należy do tej klasy społeczeństwa, w której nigdy nie kłamią. Ale zwyczajni ludzie kłamią tak łatwo, jak łatwo kaczką pływa. Bardzo pokornie proszę panią o przebaczenie, miss, i spodziewam się, że młode panie mogą odróżnić swe łyżwy, bo ja nigdybym tego nie potrafił.

— Połóżcie je tam! Miss Wilson chce z wami mówić, zanim odejdziecie. Zuzanno! pokaż mu, gdzie ma iść.

— Zapewne, miss, nie oskarżyła bardzo mnie biednego człowieka.

— Miss Wilson wie, jak zachowaliście się.

Uśmiechnął się do niej dobrodusznie i poszedł

za Zuzanną na schody. Po drodze spotkali Jane, która go z daleka obserwowała i właśnie chciała przebiec obok niego, gdy on rzekł:

— Szlachetna młoda damo, czy nie zechcesz przemówić kilka słów u miss Wilson w obronie biednego, zwykłego robotnika? Wpadłem w straszny kłopot z tego powodu, że ośmieliłem się paniom dziś pomódz na ślizgawce.

— Nie zadawaj sobie pan trudu i nie mów w ten sposób, — odpowiedziała Jane ostro. — Wszyscy wiemy, że tylko udajesz.

— Ale pani możesz pojąć moje powody — szeptał do niej i spojrzał na nią.

— Także głupie gadanie! Czegoś podobnego nie słyszałam jeszcze — rzekła Jane i pobiegła szybko. Była teraz przekonana, że przyjął na siebie takie podrzędne stanowisko, aby dostać się do zakładu i używać szczęścia, patrząc się na nią.

— Jestem strasznie głupi — rzekł sam do siebie. — Przez pięć, po sobie następujących, minut nie mogę zachować się jak rozsądny człowiek.

Służąca sprowadziła go pod próg pracowni przełożonej i oznajmiła: „Oto człowiek, o którego pani chodziło“.

— Jeff Smilasch — dorzucił dla objaśnienia.

— Proszę wejść! — rozkazała surowo miss Wilson.

Wszedł i na widok jej stanowczego i poważnego spojrzenia, jakim obrzuciła go ze swego miejsca przy biurku, skłonił się i powitał uprzejmie:

— Dzień dobry, miss Wilson.

Odpowiedziała mimowoli skinieniem głowy, zupełnie, jak gdyby witał ją nienaganny dżentelman.

Wkrótce jednak odzyskała pełną równowagę, a wyraz jej twarzy stał się nieubłagany.

— Muszę prosić o wybaczenie — wywodził Smilasch— a to z powodu, że bez zezwolenia ośmieliłem się dzisiaj rano powołać na nazwisko pani, podczas gdy w gruncie rzeczy kłamałem świadomie. Stało się to podczas ślizgawki, a raczej w chwili, kiedy młode damy zeszły się nad brzegiem sadzawki. Potrzebowały one pomocy i byłyby jej nie przyjęły od takiego prostaka, jak ja — proszę wybaczyć, że pozwałam sobie na rozwlekłość i rodzaj określeń właściwych znanemu pani Smilaschowi. Otóż uspokoiłem te damy i powiedziałem im, że otrzymałem od pani zlecenie, by im przy ubieraniu łyżew dopomódz. Samo przez siebie rozumie się, że pani, która wystawiła mi tak złe świadectwo — co prawda nie gorsze od tego, na jakie zasługuję — byłaby najoczywiściej nie udzieliła takiemu człowiekowi żadnego zlecenia. Wkońcu musiałbym być przyjąć zapłatę, której naturalnie wcale nie potrzebuję.

Miss Wilson udała zdziwienie.

— Nie rozumiem pana.

— Ach nie w zupełności — odparł z uśmiechem. W każdym razie dorozumiewa się pani, że jestem tak zwany dżentelman.

— Nie. Dżentelmeni, z którymi się stykam, nie ubierają się podobnie do pana, nie wyrażają się w sposób tak gminny, jak pan, i nie postępują tak, jak pan.

Spojrzał na nią i we wzroku wyczytał potwierdzenie nieprzyjaznego usposobienia, jakie przebiegało z jej słów. Natychmiastowo powrócił do dawnej

skorupy Smilascha, którego charakterystyczne cechy podkreślać zaczął ze zdwojoną przesadą.

— Już nie będę usiłował więcej uchodzić za dżentelmana—oświadczył. Jestem prostak, a wzrok waszej łaskawości przenika mię i nie ulega złudzeniom. Proszę tylko nie zarzucać mi, że jestem nieuczciwy, skoro jestem uczciwy o tyle, o ile pozwala mi na to sama pani. Wszak niema w tem zbrodni, że pomagam młodym damom przy wdziwaniu łyżew i podaję im składane krzesło.

— Jeżeli jesteś pan w istocie dżentelmanem — rzekła, rumieniąc się miss Wilson — w takim razie obraża mię w wysokim stopniu sposób, w jaki pan w mojej obecności odgrywa swe farsy. Oburza mię to do żywego.

— Miss Wilson—odparł bez śladu wzruszenia— skoro uparła się pani przy Smilaschu, jest Smilasch. Sprawia mi wprost szaloną przyjemność, jeżeli mogę go odgrywać. Jeżeli zaś życzy pani sobie mieć Sydney'a — tak bowiem brzmi właściwe moje imię — jest on również na usługi waszej łaskawości. Proszę wybaczyć, że wypowiem otwarcie: musi pani wybrać albo jednego albo drugiego. Jeżeli przemówi pani do mnie szczerze, wówczas zrozumie, że zwraca się pani do Sidney'a. Gdy zaś zauważę, że pani staje się odpychającą i surową, rozumie, że chodzi o Smilascha.

— Obojętne mi pańskie nazwisko — oznajmiła miss Wilson, wysoce niezadowolona z przebiegu rozmowy. — Jednym słowem: zakazuję panu zjawiać się tutaj i zaznajamiać się z dziewczętami, powierzonymi mej pieczy.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie życzę sobie tego.

— Jest to bądź co bądź powód poważny, miss Wilson. Ale zapatrywania pani nie opierają się na tych zasadach, które mają działać dzięki swemu moralnemu i przekonywującemu wpływowi. O tych moralnych wpływach mówi pani wiele w prospekcie reklamującym jej zakład. Czytałem te reklamowe wywody z prawdziwym zajęciem.

Miss Wilson stała się od czasu zatargu z Agatą wielce drażliwą na punkcie kwestyi, dotyczących wpajania moralnych przekonań.

— Nikt nie ma do zakładu dostępu bez należytego wprowadzenia czy polecenia. Fakt, że ktoś się przebierze w sposób cudacki, nie zastąpi braku tych nieodzownych warunków.

—Przebierają się zazwyczaj ludzie, którzy usiłują ukryć popełnioną zbrodnię — zauważył krótko.

— Przeważnie tak się dzieje — przyznała.

— I dzięki temu uchodzę za niepewny charakter. Tymczasem wytworzyła się między mną a kilkoma uczenicami przelotna znajomość, z której jest pani, o ile nie mylą pozory, szczerze niezadowolona. Nie podała mi pani wystarczających powodów, dla których musiałbym wyrzec się tej znajomości, ale pozostaje jeszcze droga moralizującego przekonywania, co jednak w zastosowaniu do chwiejnych charakterów tylko wątpliwy wyrzeć może skutek. Przyjmijmy, że nie uwzględnią życzenia pani i że jedna lub dwie z grona pani uczenic zjawią się przed panią, oświadczając: „Miss Wilson, naszym zdaniem jest Smilasch wspaniałym człowiekiem, z towarzystwa jego korzysta się nader wiele.

Ponieważ głosi pani zasadę, że powinniśmy

kierować się przede wszystkim własnym zdaniem, opierać się na własnym sądzie, wobec tego pragniemy nadal uprawiać naszą znajomość ze Smilaschem“. Jak pani postąpi w tym wypadku?

— Natychmiastowo odeszłę je do rodziców.

— Widzę, że pozwala pani uczenicom na swobodę zdania tylko pod tym warunkiem, że dojdą one w swem rozumowaniu do tych samych wniosków, co pani. A więc system pani opiera się właściwie na metodzie przymusu i na tępieniu wszelkiego krytycyzmu.

— Nie mogę zgodzić się na podobne zdanie — odparła miss Wilson, zawsze gotowa do obrony swego systemu, nawet wobec Smilascha.

— Dziewczęta cieszą się pełną swobodą i mogą postępować według upodobania, ja zaś muszę zachować dla siebie pełną swobodę co do oddalania ich z zakładu w wypadkach, w których nie mogę zgodzić się na ich postępowanie.

— Zupełnie słusznie. Przerażająca liczba szkół pozwala dzieciom stosownie do ich upodobania, uczyć się lub nie. W równej mierze przysługuje nauczycielom tych zakładów prawo wychłostania tych dzieci, które nie wyuczyły się swych zadań.

— Nie stosuję chłosty do moich uczenic — zauważyła miss Wilson wyniośle. — Porównanie to obraża mię.

— Nie mniej jednak usunie pani samowolne dziewczęta z zakładu. A ponieważ dziewczęta te są przywiązane do pani i jej zakładu, wobec tego stanowi wydalenie karę bardzo groźną. Trzyma się pani przestarzałego systemu, który polega na tworzeniu praw i wywalczeniu dla nich posłuchu dro-

gą przymusu. Jeżeli zakład w Alton ma stać wyżej od innych jemu podobnych, to wyższość jego nie ma polegać na różnicy w systemie, lecz na możliwie rozsądnych przepisach, na stosowaniu łagodności i wyrozumienia z chwilą, kiedy chodzi o wyjednanie posłuchu i uznania dla tych przepisów.

— System mój różni się zasadniczo od innych, przestarzałych. Zresztą nie myślę sprzeczać się z panem na ten temat. Głowa, wypełniona przesadami z czasów dawnego sposobu wychowywania, polegającego na stosowaniu przymusu, nie może dopatrzeć się w moim systemie niczego innego, poza powtórzeniem starych metod, zamiast zupełnego przewrotu i nowości.

Potrząsł głową ze smutkiem i rzekł:

— Usiłuje pani narzucić drugim swe zapatrywania w ten sposób, że rzuca pani klątwę na tych, którzy sprzeciwiają się jej. Proszę mi wierzyć, że robi pani to samo, co czynili wszyscy inni ludzie od czasu, kiedy zaczęli głosić idee. Kiedyś powiedziano, że umiarkowany, dobrotliwy despotyzm jest najlepszą formą rządów.

Nie zgadzam się na to twierdzenie, ponieważ uznaję inne, które opiewa: piekło jest wybrukowane do b r o t l i w o ś c i ą — co przeważna ilość ludzi, którym sentencya ta wydaje się być zbyt głęboka, tłumaczy fałszywie, a mianowicie, jakoby piekło miało być wybrukowane d o b r y m i z a m i a r a m i. Weźmy naprzykład takiego dobrotliwego despotę: dzięki nieogłędności może całe swe królestwo zgubić, a potem oświadczyć z patosem Romea, który zabił przyjaciela: „Miałem zamiar jak najlepiej!“. Proszę wybaczyć tę dygresyę. Pragną-

łem jedynie zaznaczyć, że jakkolwiek jest pani dobrotliwa i sprawiedliwa, niemniej jednak jest pani despotką.

Miss Wilson, której nie nasunęła się żadna stosowna odpowiedź, ubolewała, że nie odesłała go zaraz z miejsca, zanim zdążył uzyskać nad nią przewagę dzięki swej wymowie. Obecnie wywiązał się zatarg słowny, z którego przełożona nie umiała wybrnąć w sposób, ocalający jej powagę i godność. Smilasch starał się jej dopomóc i dorzucił do przerwanego wywodu:

— System pani stał się przyczyną mojego niefortunnego, idyotycznego ożenku. Moja żona zao patrzyła się tutaj, dzięki systemowi pani, w pewien zasób kultury i roztropności, który pozwalał przypuszczać, że stoi ona umysłowo wyżej od przeciętnych, gęgających plotkareczek, stanowiących ozdobne kwiecie niewieściego rodzaju. Podziwiałem jej ciemne, głębokie spojrzenie i zbyt pochopnie wnioskowałem z pozorów wychowania, że związek małżeński, jaki zawrzemy, będzie posiadał prócz cielesnej i duchową spoistość.

Zdumienie miss Wilson coraz bardziej wzrastało, więc postanowiła oświadczyć mu wprost i oziębłe, że nie ma już więcej czasu. Ale z chwilą, gdy już miała wypowiedzieć zamierzone słowa, nawiedziła ją nagła ciekawość, więc ograniczyła się jedynie do zapytania:

— A kto to był?

— Henryeta Jansenius. Obecnie Henryeta Trefusis, ja zaś jestem Sidney Trefusis, jeżeli wolno mi powierzyć pani tę tajemnicę. Uważam, że zdołam wkońcu wzbudzić w pani współczucie dla siebie.



— Nonsens — zaprzeczyła szybko miss Wilson, albowiem do zdziwienia przyłączyło się u niej zniechęcenie uczucie smętku z powodu losu, jaki spotkał Henryetę.

— Uciekłem od niej i przyswoiłem sobie ten sposób życia, jako samotnik i ten ubiór, byle tylko nie spotkać się z nią więcej. Wydarzyło mi się, jak się zawsze dzieje, jeżeli się jest zbyt ostrożnym. Wpadłem jej prosto w ramiona, a raczej ona wpadła w moje. Przypomina sobie pani scenę, która wydała się jej być tak dziwna?

— Zdaje się, że pan ożenku swego nie uważa za rzecz poważną, mr. Trefusis. Czy wolno zapytać, kto właściwie spowodował wasze rozstanie się? Naturalnie, że Henryeta?

— Nic jej właściwie nie mogę zarzucić. Oczekiwałem, że objawi z czasem gwałtowne usposobienie, ale przewidywania moje nie ziściły się, zachowywała się bez zarzutu. Ja starałem się jej dorównać. Szczęście nasze było zupełne, ale, niestety, nie jestem stworzony do szczęścia w zakątku, a w każdym razie nie mogłem się niemi zadowolić przez czas dłuższy i... uciekłem. Gdy mnie żona odnalazła, nie byłem w stanie podać jej właściwej przyczyny mej ucieczki. Bądź co bądź, udało mi się wyłuszczyć jej dobitnie, że nie mam obecnie zamiaru rozpoczynać ponownie pożycia małżeńskiego. Rostaliśmy się w nie najlepszym usposobieniu. Miałem szczery zamiar napisać do niej słodki liścik z prośbą o wybaczenie mimo wszystko, co zaszło, ale obecnie minęło już kilka tygodni od tego czasu, a ja nie umiałem wyjść poza zamiar. Nie pisała ona i ja nie pisałem. Nieprawdaż, miss Wilson, że

piękny jest stan psychiczny tej kobiety i zachwycające rezultaty umysłowe, jakie ona zawdzięcza systemowi moralizującego wpajania przekonań i wyższym metodom niewieściej edukacji?

— Po tem wszystkim, co pan sam wyznał, można być przekonania, że winę za wszystko, co między wami zaszło, ponosi pan ze swem moralnem wychowaniem, a nie Henryeta.

— Wina tkwi w okolicznościach, które złożyły się na nasz związek. Dlaczego ona z początku pociągała mnie ku sobie tak bardzo gwałtownie, a potem działała na mnie wprost odpychająco, oto jedna z tych szatańskich zagadek, której nie rozwiążemy, jeżeli nie przedostaniemy się w najtajniejsze zakamarki naszej skrytej przewrotności. Ale obawiam się, że zabieram pani czas. Chciała pani mówić ze Smilaschem, którego istotę zatarłem. Na widoku publicznym muszę jednak nadal odgrywać tę farsę. Jeszcze jedna sprawa. Chciałem dowiedzieć się, czy zaopiekowała się pani tym pastuchem, którego żonę przyjęła pani pod swój dach w ową noc burzliwą?

— Zapewnił mię, gdy zabierał żonę, że znalazł w Lyvern należycie urządzone mieszkanie.

— W samej rzeczy: wzorowo urządzone. Za cenę pół korony tygodniowo mógł do spółki i innemi dwiema rodzinami zajmować obszerny pokój w domu, który nie o wiele lepiej się przedstawiał od chałupy, którą zwała burza. Dom ten, o dziesięciu pokojach, przynosi swemu właścicielowi około dwieście funtów dochodu rocznego, a więc więcej, aniżeli wynosi czynsz dzierżawny za wygodne, wielkopañskie mieszkanie przy South Kensington. Wpra-

wdzie zebranie czynszu przedstawia niekiedy pewne trudności, ale nie ma się znowu żadnych wydatków na poprawki i zdrowotne urządzenia, które w tego rodzaju czynszowych kasarniach uchodzą za zbyteczne. Nasz przyjaciel musi iść trzy mile na miejsce swego zatrudnienia i trzy mile z powrotem. Ruch fizyczny to wspaniała rzecz dla uczących się i dla urzędników, ale dla pastucha, który przez cały Boży dzień uganiać musi po polach, stanowi dłuższa wędrówka po pracy nadmiar dobrego. Prosił o podwyżkę wynagrodzenia, by przynajmniej w ten sposób powetować sobie stratę chałupy, ale chlebowodawca dał mu do zrozumienia, że zastąpi go natychmiastowo mniej wymagającym pastuchem, jeżeli tylko jest niezadowolony ze swej płacy. Chlebowodawca, sir John, udzielił w łaskawości swojej nawet pewnych wyjaśnień, a mianowicie zaznaczył, że jako przedsiębiorca, jest on zmuszony trzymać się zasad społecznej ekonomii, a mianowicie nabywać pracę na najtańszym rynku, a nasz biedny przyjaciel, który w dziedzinie ekonomii społecznej rozumie w sam raz tyle, co sir John, nie mógł wiedzieć, że cały ten wywód jest z gruntu fałszywy. Ponieważ jednak w ostatnich czasach spadła cena pracy chwilowo, ale na ogół dość nisko (z wyjątkiem Downing-Street i kiłku jeszcze innych uprzywilejowanych miejsc), więc poradziłem przyjacielowi, by się udał tam, gdzie cena targowa pracy jest wyższa, aniżeli w wesołej Anglii. Okazał się skłonny do natychmiastowych poszukiwań, ale zabrakło mu odpowiednich środków. W tym celu pożyczyłem mu drobną sumkę i obecnie znajduje się on już w drodze do Australii. Robotnicy to gęsi, które

znoszą złote jaja, ale niekiedy odlatują. Słyszę odgłos gonga. Uprzytomnia mi to, jak szybko mija czas i jak drogi jest on dla pani. Dobry dzień pani!

Miss Wilson wyczuła nagle, że nie wolno jej pozwolić mu odejść, zanim nie zaapeluje do lepszej strony jego charakteru.

— Mr. Trefusis — rzekła — wybacz pan, ale nie wolno mu zapominać przy wspaniałomyślności wobec drugich o obowiązkach względem siebie samego! I...

— Jest to najpierwszy i najtwarższy z obowiązków! — oświadczył. — Przepraszam, jeżeli przerwałem, ale pragnąłem zaznaczyć, że poczuwam się pod tym względem do winy.

— Nie twierdzę, że to pierwszy z obowiązków, ale w każdym razie jeden z najcięższych, jak to słusznie pan zauważył. Mógłby pan jednak postępować wobec siebie i ze sobą o wiele ściślej i sumiennie, bez tak gwałtownych wysiłków w tym kierunku, jak to obecnie się dzieje. Skoro pragniesz pan więc prowadzić życie ludzi prostych, to przecie niekoniecznie musi pan odgrywać przed ludźmi nieokrzesanego blagiera i przybierać takie śmieszne nazwisko. Dlaczego właściwie przezwał się pan Smilasch?

— Przyznaję, że dobór tego nazwiska był chybiony. Zadałem sobie wiele trudu przy jego konstruowaniu, albowiem pragnąłem przy pomocy nazwiska wywierać miłe wrażenie na wstępie. „Smilasch“ miało brzmieć wesoło i serdecznie, przyjaźnie. Stwierdzam jednak, że wbrew oczekiwaniom, nazwisko to drażni ludzi swem brzmieniem. Dziwi mnie to nie mało, ale pochodzi to zapewne stąd, że wygląd

mój i moje usposobienie nie są odpowiednie do tego nazwiska.

Miss Wilson spozierała na niego nieufnie, ale on zachował powagę na obliczu. Nastąpiła chwila milczenia. Przerwała ją nagle przełożona, oświadczając krótko i surowo:

—Dzień dobry.

Pożegnanie to brzmiało tak, jak gdyby miss Wilson w ostatniej chwili postanowiła była czuć się obrażoną.

— Dobry dzień pani Wilson. Syn milionera jest jak syn królewski, rzadko kiedy wolny od umysłowych chorób. Jestem jeszcze w samą miarę zwaryowany, by móżdż szukać drugich. Gdybym był odrobinę bardziej pomyślony, aniżeli jestem, uważałbym siebie może w istocie za Smilascha, zamiast odgrywać go po prostu. Czy pani zażąda odemnie, bym na chwilę zapomniał o samym sobie lub przypomniał sobie na krótki przeciąg czasu, niczego to w niczem nie zmieni, gdyż zawsze pozostanę synem mego ojca. Z mojem samolubstwem, z moim darem mistyfikacyjnym, moją gadatliwością i moim nałogiem zdążania zawsze własnymi ścieżkami, nie nadaję się do żadnego innego życiowego przedsięwzięcia, jak tylko do odgrywania roli zbawiciela ludzkości, coś w tym guście, co pani radaby widzieć.

Po upływie nastrojowo-przepisowej przerwy milczącej, obrócił się na pięcie i wolnym krokiem wyszedł z pokoju.

Gdy przechodził przez sień, rozmyślał: — Jeżeli zabłądzą obecnie rozmyślnie, może uda mi się natknąć przypadkowo na dziewczę o lubej twa-

rzyczce i nacieszyć się widokiem tego złocistego bóstwa.

I rzeczywiście spotkał na dole, u samych drzwi Agatę, która zdążała od przeciwnej strony i zabawiła się książką, podrzucając ją jak piłkę. Melancholijny wyraz twarzy, właściwy jej, gdy była sama, wskazywał, że podrzucanie książki nie było objawem wesołego usposobienia, lecz raczej środkiem do zaspokojenia chwilowego wzburzenia. W chwili, kiedy podążała wzrokiem za książką, ulatującą w górę, spostrzegła nagle Smilascha. Książka spadła na ziemię. On podniósł ją i wręczył Agacie, dołączając do uprzejmego gestu śmiałe słowa:

— W sam czas spotykam moje złociste bóstwo.

— Jak? — pytała zmieszana Agata.

— Nazywam panią idolem złocistym — odparł. — Gdy nie widzę pani, wyobrażam sobie zawsze jej twarz całą wykonaną w złocie, z oczyma i rękami z chalcedonu lub achatu lub lub też z innych nieznaných, przedziwných kamieni w odpowiednich barwach.

Agata znieruchomiała i oniemiała. Wzrok spuściła ku ziemi.

— Uważa pani, że należałoby pogniewać się na mnie, a nie wie, w jaki sposób okazać mi złość swoją. Czy nie tak?

— Nie, wręcz przeciwnie. Przynajmniej zdaje mi się, że jest pan w błędzie. Jestem najpospolitszem w świecie stworzonkiem, jakie tylko można sobie wyobrazić, przekonałby się pan, gdyby mię poznał. A zresztą jest to obojętne, jak się komuś wydaje.

— Skąd pewnośc pani, że jest pospolita?

— Naturalnie, że wiem o tem — stwierdziła Agata, a oczy jej błędziły wkoło niespokojnie.

— Naturalnie, że pani nie wie nic o tem. Nie może pani widzieć siebie taką, jaką widzą drudzy ludzie. Naprzykład: nigdy nie uważała pani siebie za złociste bóstwo.

— Ależ to śmieszne. Myli się pan co do mnie zupełnie.

— Możliwe, wiem jednak, że twarz pani nie jest z prawdziwego złota i że nie ma ona dla pani samej tego powabu, co dla drugich — dla mnie.

— Muszę odejść — zauważyła nagle Agata.

— Kiedy spotkamy się?

— Nie wiem — odparła z wzrastającym niepokojem. — Istotnie, muszę już iść.

— Proszę mi wierzyć, że pośpiech pani jest urojony, wyobraża sobie pani zapewne, że zachowuje się niegodnie, pozwalając, by motano się wokoło niej.

— Nie, wcale nie wyobrażam sobie tego.

— Skąd więc ten lękliwy pośpiech?

— Nie wiem — rzekła Agata i starała się swobodnie uśmiechnąć, gdy spojrzał na nią z niedowierzaniem, mrużąc powieki. — Możliwe, że doznaję coś w rodzaju tego uczucia, ale nie w tym stopniu, jak pan sobie wyobraża.

— Wyjaśnię pani przyczynę tego niepokoju — prosił Smilasch z odcieniem tłumionego wzburzenia w głosie, co zaskoczyło Agatę. — Proszę mi jednak przedtem powiedzieć, czy tego rodzaju stan jest dla pani czemś zgoła niebywałem?

— Ależ żaden niepokój nie ma miejsca. Nie zauważyłam go wcale.

— Proszę się nim nie martwić. Pochodzi to stąd, że znajdujesz się pani w towarzystwie mężczyzny, którego oczarowałaś. Zapanowałabyś pani natychmiastowo nad sytuacją, gdybyś posiadała kunszt kierowania amantem. O wiele łatwiej posiąść tę sztukę, aniżeli kierować koniem, ślizgać się, grać na fortepianie lub dojść do sprawności przynajmniej w pół tuzinie sztuczek, które pani lekceważy.

Agata uniosła głowę, twarz jej spłonęła rumieńcem.

— Proszę wybaczyć — przerwał jej. — Usiłuję wprost dotknąć panią do żywego, byle tylko móż uratować siebie przed moją miłością do pani, brak mi jednak sił, by mój zamiar przeprowadzić. Na cenę życia pani zaklinam ją, niechaj pani nie zważa na słowa moje i nie wierzy im. Nie mam prawa czynić przed panią podobnych wyznań. Jakaś przemożna siła owłada mną z chwilą, kiedy stoję w obliczu pani. Powinnaś nosić zasłonę na twarzy, Agato.

Lica płonęły, szumiało jej w uszach, straciła wszelkie panowanie nad sobą. Doznała uczucia ulgi, wyzwolenia, kiedy usłyszała (spojrzeć nie miała odwagi), że odszedł. Świadomość znajdowała się w stanie błęgiego zamięcia, przyświecała tylko jedna jedyna myśl jasna, że w końcu udało się jej zdobyć ukochanego. Głos Trefusisa, przepojony szczerem, poważnem brzmieniem, jego gwałtowny sposób wypowiedania się i namiętne upomnienie, by nie zważała na to, co jej wyznał, przekonały ją, że nawiązał się między nimi stosunek, który wpłynie na bieg całego jej życia.

— A jednak — rozważała, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty — nie umiem go kochać tak bezwzględnie,



jak on mię kocha. Jestem samolubna, zimna, wyra-  
chowana, lekkomyślna. Po dziś dzień wątpiłam czy  
istnieje wogóle jakaś miłość. Gdybym tylko umiała  
go kochać bez zastrzeżeń i wyłącznie, jak on mię  
kocha!

Smilasch rozprawiał się również sam ze sobą  
podczas drogi.

— Uszcześliwiłem obecnie biedne moje dziecko,  
które głównie troszczyło się o to, by nie uchodzić  
fałszywie przedemną za niewiastę niezwykle uzdol-  
nioną i uroczą. Podobny wypadek zaszedł również  
z osobką, którą nazywają tam oni Jane Carpenter.  
Spodziewać się jednak należy, że nie będą się one  
zwierzały przed sobą w tej materii.

## VIII.

Mrs. Trefusis stwierdziła, że rodzice jej wyka-  
zują sporą dozę obojętności wobec jej przesilenia  
małżeńskiego; wskutek tego wkrótce po powrocie  
z odwiedzin w Lyvern opuściła ona dom ojcowski  
i przeniosła się do gościnnej skądinąd przyjaciółki.  
Ponieważ jednak nie umiała milczeć w sprawie, któ-  
ra zaprzętała jej myśli, więc zeszła w rozmowie  
z przyjaciółką na temat ucieczki męża. Przyjaciółka  
orzekła po prostu, że postępek pana Trefusisa jest  
szkaradny i brutalny. Henryeta nie mogła się zgo-  
dzić na ten rodzaj oceny i poszukała dla siebie schro-  
niska u bliskiej krewnej. I tutaj wywiązała się na  
ten sam temat rozmowa, w której oświadczyła kre-  
wna:

— Jeżeli wolno mówić o tem szczerze, kochana  
Hetty, muszę zaznaczyć, że znałam Sidney'a Trefu-

sisa od bardzo już dawna i mojem zdaniem trudno znaleźć drugiego człowieka, z którym tak łatwo możnaby się porozumieć, jak z nim. Ale sama wiesz dobrze, jak niekiedy trudno dać sobie z tobą radę.

— A więc muszę teraz — uniosła się Henryeta, wybuchając łzami, — kiedy postąpił sobie ze mną tak szkaradnie, pozwolić sobie powiedzieć, że całą winę ja ponoszę.

Następnego dnia opuściła dom krewnej i przyjęła zaproszenie ze strony znajomej rozwódki, która wogóle nie chciała mówić o tej sprawie. Milczenie tego rodzaju było dla Henryety nieznośne, więc opuściła swą towarzyszkę i sprowadziła się do swego wuja, Daniela Janseniusa, człowieka dobrego i bardzo uległego. Wyraził on przekonanie, że wszystko wróci z czasem do dawnego porządku z chwilą, kiedy obie strony będą się powodowały wyłącznie głosem rozsądku. A co się tyczy zagadnienia, kto z obojga małżonków ponosi winę tego, co między nimi zaszło, brzmiał jego wyrok: winę należy podzielić na dwanaście równych części, sześć części przypada na rachunek jednej strony, a pół tuzina na rachunek drugiej.

Kiedy zdarzyło się, że wujaszek zastawał Henryetę posepnie zadumaną lub płaczącą, wówczas wybuchał rubasznym śmiechem i nazywał ją słomianą wdową. Henryeta uznała, że raczej wszystko inne zło na świecie znieść można, aniżeli te grube dowcipy. Powiedziała sama sobie, że wszyscy ludzie okazali się w stosunku do niej bezlitosnymi szkaradnikami, wynajęła umeblowaną willę w St. Johns Wood, dokąd wprowadziła się w grudniu. Ponieważ jednak dręczyła ją srodze samotność, więc napi-

sała wnet rozlewny w czułości list do Agaty i zaprosiła ją do siebie na nadchodzące święta Bożego Narodzenia. Obiecywała wszelkie wygody i przyjemności, jakich dostarczyć mogą nieograniczona sympatya oraz niewyczerpane środki pieniądze.

Odpowiedź Agaty zawierała niektóre nieoczekiwane wiadomości.

Alton-Lyvern, 14 grudnia.

Najdroższa Hetty.

„Najprawdopodobniej nie będzie mi dane skorzystać w pełni z Twego zaproszenia, albowiem muszę spędzić święta Bożego Narodzenia w towarzystwie Matki w Chiswick. Udaję się tam jednak w samą wilię wieczorem a stąd wyruszamy już w przyszłym tygodniu, dnia 20 bm. Wobec tego pojedę wprost do Ciebie i zabiorę Cię ze sobą do Matki, gdzie lepiej spędzimy dni świąteczne, aniżeli gdyby nam przyszło nudzić się w obcym, samotnym domu, który zamieszkujesz. Nie jest jeszcze dotąd rzeczą postanowioną, czy po świętach opuszczę szkołę, czy też nie. Musisz mi przyrzec, że nikomu o tem nie powiesz, a przyznam Ci się, że mam tu przyjaciela konkurenta. Wcale nie jestem zakochana, jakkolwiek bardzo wysoko go cenię — zresztą sama wiesz najlepiej, jak obce mi są wszelkie romantyczne idyotyzy. On natomiast kocha się we mnie gwałtownie, a ja bardzo radabym móż odwzajemnić mu się, na co w pełni zasługuje. Francuzi określają to mniej więcej w ten sposób: jedna osoba nastawia policzek, a druga całuje. Ale do takiego zbliżenia jeszcze między nami nie doszło. W istocie od czasu, kiedy wyznał mi swoje uczucia, mógł ze mną zamienić za-

ledwie parę słów przelotnie podczas ślizgawki lub na przechadzce. Za każdym razem jednak, było to słowo wiele mówiące lub znaczące spojrzenie.

A teraz, jak myślisz, kto to może być? Twierdzi, że zna Ciebie. Czy odgadujesz? Opowiada, że znasz wszystkie jego tajemnice. Zapewnia, że zna bardzo dobrze Twego męża. Ten Twój mąż miał rzekomo bardzo źle obejść się z Tobą, wobec czego Ty zasługujesz na szczere współczucie. Czy już odgadujesz? Twierdzi on dalej, że całował Ciebie — wstydz się Hetty! Może już odgadłaś? Zamierzał opowiedzieć mi jeszcze więcej szczegółów, ale przerwano nam, od tego czasu mogłam go widzieć tylko w oddaleniu. Jest to ten sam mężczyzna, z którym uciekłaś onego pamiętnego dnia, kiedy napędziłaś nam tyle strachu o twoją osobę — jest to mr. Sidney. Byłam pierwsza, która odkryła jego zamaskowanie i czyniłam mu jeszcze rano tego samego dnia wyrzuty, dlaczego się ukrywa, a on przyznał racyę memu niezadowoleniu. Opowiadał mi wówczas, że ukrywa się przed jakąś kobietą, która kocha się w nim, czemu nie dziwiłam się wcale, gdyż jest to wspaniały mężczyzna, istotnie wspaniały, i dlatego właśnie tak bardzo go lubię, że należy do najdzielniejszych ludzi, jakich udało mi się spotkać. A przytem wcale nie jest zarozumiały. Nie mogę dociec, ani też uprzytomnić sobie, co tak cennego zauważył on na mnie, czy we mnie, jakkolwiek najwidoczniej jakieś moje wdzięki usidlić go musiały. Spodziewam się, że nie pozna się na mej istotnej głupocie. Nazywa mnie swem bóstwem złocistem“.—

Z okrzykiem wściekłości rozdarła Henryeta list na drobne strzępy, cisnęła je na ziemię i przydep-

tała. A kiedy minął już atak złości, podjęła z ziemi kawałeczki papieru, złożyła je w całość tak dokładnie, jak pozwalały jej na to drżące od wzruszenia palce i czytała dalej.

„Nie jest on jednak wcale słodko-nudny i potrafi rozprawiać bardzo poważnie, gdy zachodzi po temu prawdziwa potrzeba. Zawstydził już kilkakrotnie moje nieuctwo do tego stopnia, że postanowiłam pozostać tu jeszcze na przeciąg jednego półrocza, celem uzupełnienia wiedzy przy zastosowaniu całej gorliwości, na jaką zdobyć się umiem. Powziętego zamiaru nie wprowadziłam jeszcze w czyn, gdyż nie opłaci się przecież zaczynać z końcem półrocza, ale gdy powrócę tutaj w styczniu, przystąpię poważnie do pracy. Po tem możesz najlepiej osądzić, jak zba wienny wpływ wywiera ten człowiek na mnie. Przy spotkaniu opowiem Ci mnóstwo szczegółów o nim, w tej chwili nie mam na to czasu, gdyż pilną mnie koleżanki, bym już szła z niemi na ślizgawkę.

Podaje się on za robotnika i przypina nam łyżwy a Jane Carpenter jest o nim najmocniej przekonana, że kocha się w niej. Jane jest niezwykle dobrem stworzeniem, ale posiada nieposkromione zdolności w kierunku ośmieszania siebie samej. Lód jest pierwszorzędny, a pogoda dla nas życzliwie usposobiona, co się zaś tyczy mrozu, wcale nie zwracamy na niego uwagi. Ale grożą, że pójda bezemnie, więc — do widzenia.

Twoja szczerze kochająca  
Agata“.

Henryeta oglądała się za jakimś ostrem narzędziem. W złości pochwyciła nożyczki i godziła nie-

mi w powietrze. Po chwili uświadomiła sobie swe mordercze zapędy i wzdrygnęła się na tę myśl. Niebawem jednak ponownie opanował ją paroksyzm zazdrości. Dławiąc się niemal, wykrztusiła: „Wszystko mi jedno, zabiję ją!” Ale nie odważyła się wziąć nożyczek jeszcze raz do ręki.

Wkońcu zadzwoniła nader gwałtownie i zażądała rozkładu jazdy pociągów. Gdy jej oznajmiono, że rozkładu niema w domu, wyłajała pokojówkę w sposób tak nieprzytomnie niepowściągliwy, iż dziewczyna wypowiedziała jej służbę z końcem miesiąca, gdyż nie mogła się zgodzić, by w tym tonie przemawiano do niej. To surowe upomnienie uprzytomniło Henryetę. Udała się więc na pierwsze piętro i chwyciła pierwsze lepsze okrycie, jakie nawinęło się jej pod rękę. Całe szczęście, że był to ciepły płaszczyk futrzany. Następnie wzięła torebkę z pieniędzmi, ubrała kapelusz i wyszła z domu. Na ulicy przywołała pierwszą dorózkę, jaka nadjechała i kazała się odwieźć do dworca św. Pankracego.

Gdy zapadła noc, zawitał nad wioską Lyvern mróz siarczasty. Zdawało się, że drzewa i powietrze zamarzły równie silnie, jak woda, a milczenie, cisza i tajemniczy gwiazd połysk, ujęły całą krainę w jeden lodowaty uścisk. Smilasch siedział w swej chatce szwajcarskiej i nie zważając na wygórowaną cenę węgla, podsyczał nieustannie ognisko, którego krwawy odblask przedostawał się przez odsłonięte okna na zewnątrz ku utrapieniu przechodniów, którzy nie wiedzieli o tem, jak okoliczni pastuchowie, że można spokojnie wejść do wnętrza i ogrzać zziębnięte członki bez narażenia się na odmowę czy wydalenie ze strony gospodarza. Smilasch znajdo-

wał się w dobrem usposobieniu. Wykształcił się on na dzielnego łyżwiarza, a każdorazowe mroźne powietrze było dla niego zbytkownym podarunkiem. Mróz budził w nim poza tem pewną tężyznę i płoszył jego ponure nastroje. Równocześnie ogarniała go rozpacz na myśl o ubogich, którym zbywało na paliwie i ślizgawce i którzy musieli się gnieździć w zaduchu, jaki powstaje zawsze tam, gdzie na małym obszarze przyjdzie stłoczyć się większej ilości ludzi.

Smilasch zwykł był przygotowywać sobie co wieczora o pół do dziesiątej gorący napój z mąki owsianej i wody, a o dziesiątej kładł się do łóżka. Otworzył więc drzwi, by odlać trochę wody, która pozostała jeszcze w garnku po ostatniem wymyciu. Woda zamarzła niemal w tej samej chwili, kiedy ją wylał. Spojrzał w noc ciemną i wzdrygnął się, gdyż naszła go myśl, iż ta mroźna pustka ujmuje jego samotnię w swe lodowate kleszcze i czyha na jego zgubę. Termometr spadł niżej, aniżeli dotychczas bywało i wskazywał temperaturę, w której, zdawało się, że zastygłe powietrze musi ściąć się w bezkształtną, czarną masę. Znikąd ani śladu jakiegokolwiek poruszenia, wszystko dokoła zmartwiało.

— Do djaska! — mruknął pod nosem. — Ależ to noc dopiero, nad którą nawet nie wypada zastanawiać się człowiekowi bogatemu.

Zamknął drzwi i pośpiesznie powrócił do ogniska. Przynosił sobie gorący napój i przyglądał mu się z troskliwością, która musiałaby być rozweselić każdego zawodowego kucharza. Gdy kleik był już gotowy, wlał go do szerokiej misy, z której zaczęła się unosić ponętna para. Zaczepnął strawy

na łyżkę i podmuchiwał ostrożnie, by ją ostudzić. Nagle usłyszał kilkakrotne pukanie do drzwi.

— Piękną noc obrał ktoś sobie na przechadzkę — pomyślał i odłożył łyżkę. Po chwili zawołał:

— Proszę wejść!

Klamka podniosła się powoli, nieśmiało i w drzwiach zjawiała się Henryeta. Łzy zamarły na jej licach, w bolesnym, kurczowym wyrazie twarzy zmagąła się rozpacz z gniewem.

Przez chwilę spoglądał na nią oniemiały ze zdziwienia. Wreszcie podskoczył ku niej i chwycił ją w silne ramiona. Przez chwilę wzbraniała się milcząco, lecz wkrótce opadła całym ciężarem na pierś jego.

— Zamarzłaś na śmierć — zawołał i ponióś ją w stronę ogniska.

— Futerko twoje okryte jest skorupą lodu. — twoja zmarznięta twarzyczka! — stwierdzał, całując ją czule. — Co się właściwie stało? Dlaczego odpychasz mię?

— Puść mię — wykrztusiła w końcu — nie... nawidzę ciebie.

— Biedne kochanie moje, zanadto przeziębłaś, by móżdżek obecnie kogokolwiek nienawidzieć, nawet swego męża. Muszę ci zdjąć te okropne francuskie buciki. Nogi musiały ci zdrętwieć zupełnie.

Głos jej i łzy stały pod działaniem ciepła i w ogniu mężowskich czułości. — Nie chcę, byś zdejmował moje buciki — kaprysiła i popłakiwała cicho z powodu przeziębienia i pod naporem zgryzoty. — Pozostaw mię w świętym spokoju. Nie dotykaj się mnie. Nie życzę sobie wogóle rozmawiać



z tobą, ani też ściągać okrycia, niczego nie tknę się w tym domu.

— Dobrze moje kochanie, ale nie zgodzę się na to — oświadczył spokojnie i posadził ją na wygodnem krześle. Poczem rozpiął szybko jej buciki. — Widzisz, nic się nie stanie, czego sobie nie życzysz. Ależ nogi twoje zlodowaciałe, stężałe jak kamień. Wiem ja, mój ty skarbie, że jestem pospolity gałgan i nie zasługuję nawet na to, bym żył dalej. Wiem o tem.

— Zostaw mię w spokoju — prosiła się. — Nie życzę sobie uprzejmości z twej strony. Załatwiłam się z tobą już raz na zawsze.

— Dobrze, ale zbliż się teraz do kominka i przełknij trochę tego szkaradnego płynu. Musisz się posilić, ażebyś miała wystarczające siły, by móżdżek mężowi oświadczyć wszystkie te okropności, któremi jesteś nabita. Przełknij, choć raz jeden.

Uchyliła twarz na bok i nie chciała ani słowa powiedzieć. Przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. — Moje biedne, opuszczone, zdradzone kochanie...

— Taką właśnie jestem — łkała. — Wiem ja, że ty inaczej o tem myślisz, a jednak jest tak.

— Jesteś naprawdę moją ukochaną i najlepszą z pośród żyjących na świecie kobiet. Jeżeli mię kiedykolwiek kochałaś Hetty, proszę, uczyni to dla mnie i wypij szkaradny napój, zanim wyziębnie.

Szlochała, wzdychała, ale wkońcu poddała się jego czułym naleganiom, przyczem była podobna do dziecka, które trzeba potrosze zagadać, a potrosze zmusić, by przyjęło lekarstwo.

— Czy czujesz się już lepiej i swobodniej? — zagadnął.

— Wcale nie — odparła z wyrazem niezadowolenia, gdyż istotnie czuła się lepiej.

— Wobec tego dołożę jeszcze trochę węgla w ognisko — rzekł wesoło, jakgdyby usłyszał był z ust jej wyrazy pełnego zadowolenia — i urządzimy się tak wygodnie, jak tylko możliwe. Nachodzi mię uczucie niewysłowionej błogości, gdy tak siedzisz obok mnie przy kominku, a ja patrzę na ciebie i uświadamiam sobie, że jesteś moją żoną.

— Dziwię się, jak śmiesz patrzeć mi w oczy, mówiąc podobne słowa, — zawołała w uniesieniu.

— Dziwiłbym się sam sobie, gdybym spoglądając w twoje liczko, mógł mówić inaczej. Wiesz, że kleik to wspaniały środek wzmacniający i orzeźwiający. Po wypiciu wraca osłabiona energia. Tak, a teraz popatrz tylko, jak wspaniale płonie ogień.

— Nie wierzyłam nigdy, byś ty, Sidney, przy wszystkich możliwych wadach twoich, mógł być fałszywy.

— Zupełnie słusznie, skarbie mój. Rozumiem twoją odrazę do fałszu. Morderstwo, kradzież, rozpasanie, czy też jakie mniejsze zbrodnie mogłabyś wyrozumieć, znieść, udźwignąć. Ale fałszu nie zniosłabyś nigdy.

— Muszę już iść — oświadczyła zrozpaczona i ponownie wybuchnęła płaczem. — Nie chcę być wystawiona na drwiny, nie chcę, by mię oszukiwano. Pójdę, choćby boso. — Powstała z krzesła i usiłowała przedostać się do drzwi. On jednak zatrzymał ją i rzekł:

— Kochanie moje, widzę, że kryje się poza tem

wszystkiem coś poważnego. A więc o co chodzi? No, nie gniewaj się już na mnie.

Odprowadził ją z powrotem do krzesła. Ona wyjęła z kieszeni futerka list Agaty i wręczyła go jemu, przyczem usiłowała nieznacznie przybrać wyraz tragiczny.

— Czytaj powiedziała — i nie mów już do mnie więcej ani słowa. Pomiedzy nami wszystko już skończone.

Wziął list do rąk z zaciekawieniem i odwrócił, by przeczytać podpis. — Aha — mruknął — więc to moje złociste bóstwo jest sprawcą całego nieszczęścia.

— A więc tak? — zawołała Henryeta. — Powiedziałeś mi to wprost w oczy! Zdradziłeś się, dzięki nieopatrzności słów własnych.

— Pozwól na chwilę, mój skarbie. Nie przeczytałem jeszcze listu.

Powstał z miejsca i przechadzał się po izbie, czytając list. Przypatrywała się jego ruchom, żywiąc złośliwe przekonanie, że niebawem przyjdzie mu stracić panowanie nad sobą. Nagle opuścił głowę, jakgdyby nie mógł jej już dłużej utrzymać na karku i czytał koniec listu w tej zgarbionej postawie. Gdy skończył, cisnął list na stół, wetknął ręce głęboko w kieszenie spodni i parsknął głośnym śmiechem. Śmiejąc się, prężył całe ciało, jakgdyby chciał skupić się w przyjemności chichotu celem jej zwiększenia. Henryeta oniemiała z oburzenia i mogła za ledwie zapomocą spojrzeń dać wyraz swym uczuciom. Wkońcu zbliżył się do niej i usiadł.

— Więc po otrzymaniu tego listu — prawil —

wybiegłaś na mróz i odbyłaś podróż do Lyvern. Zda-  
je mi się jednak, że albo nad wyraz kochasz mnie...

— Wcale nie. Nienawidzę ciebie.

— ...Albo kochasz nad wyraz siebie samą.

— Ach! —jęknęła i rozplakała się ponownie.

— Jesteś samolubne zwierzę i robisz, co ci się  
żywnie podoba, bez oglądania się na kogokolwiek.  
Niema nikogo, kto by troszczył się o mnie. Obecnie  
nie zadajesz sobie nawet trudu, by udzielić jakich  
wyjaśnień w sprawie kompromitującej zawartości  
listu.

— Dlaczego mam zaprzeczać? Zawiera on naj-  
wierniejszą prawdę. Czy nie poznajesz się na ironii,  
jaka przebija z całości? Pozwalam sobie na żart  
i prawie pensyonarce grzeczności, jakkolwiek nie  
wywiera ona na mnie większego wrażenia, aniżeli  
każda inna, przeciętnie przystojna niewiasta, z którą  
rozmawiam. Mimo to doznaję niekiedy wyrzutów  
sumienia, ponieważ myślę, że mogłaby pokochać  
mnie na prawdę, jakkolwiek ja tylko z nią żartuję.  
Żal mi czystego serca, które usidliłem w sposób lek-  
komyślny. A równocześnie współczuje ona ze mną  
z tego samego powodu! Dręczy ją sumienie, ponie-  
waż sprawia jej przyjemność, że ubóstwia ją jeden  
z najdzielniejszych mężczyzn, jakiego udało się jej  
spotkać, podczas gdy ona w tym samym stopniu  
wolną jest od miłosnej udręki, co ja! Ha-ha-ha! Na  
podobnych fundamentach wspiera się każda świąty-  
nia miłości, której arcykapłanami są poeci. Każdy  
kochanek wie, że miłość jego jest tylko przelotną  
namiętnością lub kłamstwem, które przejął od je-  
dnego z ulubionych swych poetów, ale wierzy su-  
miennie, że jest kochany uczuciem istotnym. Ha-

ha-ha? I czy nie jest cały ten świat pomyłony, powiedz, mój skarbie?

— Nie było ci wolno nadskakiwać Agacie. Nie masz wogóle prawa nikomu nadskakiwać oprócz mnie, a ja to sobie wypraszam.

— Jesteś zła, że Agata złamała twój monopol. Zawsze i wszędzie monopol! Czy ty naiwne stworzonko, wierzysz naprawdę, że ja należę do ciebie z ciałem i duszą? Czy uważasz, że tylko twoja miłość może mię zajmować i że myśl moja związana być musi z obrazem twej urody?

— Możesz szydzić ze mnie i lżyć mię, wiele ci się podoba, ale nie masz prawa ubiegać się o względy Agaty.

— Najdroższa, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek lżył ciebie. Natomiast zdaje mi się, iż słyszałem, jak użyłaś określenia: zwierzę samolubne.

— Nieprawda. Tyś to nazwał mię naiwnym stworzonkiem.

— Wszak jesteś niem, mój skarbie.

— Więc i ja słusznie nazwałam cię samolubnym zwierzęciem. Ach, jaki z ciebie bezwzględny samolub.

— Nie przeczę temu. O co to właściwie wszczęliśmy kłótnię?

— Ja nie kłóczę się, Sidney. Ty to czynisz.

— A więc dobrze, tylko o co to nam poszło?

— O Agatę Wylie.

— Ach! wybacz Hetty, z powodu tej osóbkki z pewnością nie rozpocząłem kłótni. Lubię ją bardzo, bardziej, aniżeli sądząc po pozorach, ona mnie. Jeszcze pozwól mi na chwilkę Hetty, zanim pono-

wnie wystąpisz z twymi zarzutami. Powiedz mi, dlaczego nie chcesz się zgodzić, bym prawil Agacie grzeczności, o co ci chodzi?

Henryeta zastanawiała się przez chwilę i wkońcu oświadczyła:

— Ponieważ nie masz prawa tak postępować. Okazujesz przez to, jak mało ci na mnie zależy.

— Niema to z tobą żadnego związku, świadczy tylko, ile mi na niej zależy.

— Nie pozwalam ci dłużej szydzić z siebie, — rzekła Henryeta, a wyraz cierpienia pojawił się znowu na jej twarzy. — Chcę wracać do domu.

— Dobrze, ale nie dzisiaj w nocy. Zresztą nie idzie już żaden pociąg.

— Pójdę pieszo.

— Za daleko na pieszą wycieczkę.

— Nic sobie z tego nie robię. Nie pozostanę tutaj, choćby mi przyszło zamarznąć gdzieś w rowie przydrożnym.

— Ależ, najdroższa, z rozmysłu dręczyłem ciebie, ponieważ rozdrażnienie twoje stąd wynikające dowodziło, że jesteś jeszcze przywiązana do mnie. Jak zwykle nie mam słuszności i jestem winien we wszystkim. Zresztą Agata nie wie, że stanowimy małżeństwo.

— Nie tyle ciebie obwiniam, co... — łagodnie wyznała Henryeta i przyciągnęła pieszczotliwie głowę jego do swego ramienia. — Ale z Agatą nie zamienię już nigdy ani jednego słowa. Postąpiła sobie ze mną niegodnie i to pragnęłabym jej powiedzieć.

— Nie radzę, najdroższa, gdyż wówczas sądziłaby Agata niewątpliwie, że ty ponosisz winę we wszystkim i uznałaby mię za godnego podziwu.

Wówczas stanąłbym pomiędzy wami, jako mąż bez zarzutu. Ale dosyć na teraz. Ponieważ zbyt jest zimno, byś mogła iść pieszo, ponieważ jest późno, a Lyvern leży dosyć daleko, Londyn zaś jeszcze dalej, muszę się cokolwiek zakrzętnąć około przy sposobienia dla ciebie wygodnego legowiska.

— Ależ...

— Żadne ależ, gdyż inaczej być nie może. Skazana jesteś na przenocowanie dzisiaj u mnie.

## IX.

Następnego dnia uzyskał Smilasch przyrzeczenie od swojej żony, że zachowa się wobec Agaty w ten sposób, jak gdyby list, który od niej otrzymała, nie zawierał żadnych dotkliwych szczegółów.

Henryeta błagała męża tak serdecznie, jak się tylko na to zdobyć mogła, by natychmiastowo powracał z nią do domowego ogniska, ale on odprawił ją przy pomocy czułych słów, nie obiecał nic poza dozgonnem przywiązaniem i odesłał ją z powrotem pociągiem pośpiesznym o dwunastej w południe do Londynu. Gdy odjechała, zmienił się natychmiastowo wyraz jego twarzy i powrócił do Lyvern, a stamtąd do swej chałupki już jako człowiek, którego trapiły niesmak wewnętrzny i skrucha.

Wkrótce potem, pewnego popołudnia zabrał ze sobą łyżwy i udał się na stawek Wickensa, by się rozruszać. Ponieważ była sobota, roiło się na stawku od uczenic z Alton i ich stałych gości świątecznych. Fairholme, który z niezmierną energią rozmachem opisywał szerokie łuki na lodzie, zatrzymał się i wytrzeszczył niemile zdziwione oczy na Smilascha, który ślizgał się tuż za nim.

— Czy to za waszem zezwoleniem znajduje się ten człowiek tutaj? — zapytał Wickensa, który krążył wokoło, doglądając ślizgających się, jak gdyby swoich plonów na łanie.

— Myślę, że człowiek ten znajduje się tutaj, ponieważ tak mu się właśnie podobało — odparł Wickens hardo. — Jest on moim sąsiadem i moim przyjacielem. Czy ma pan coś specjalnego do zauważenia na temat okoliczności, że pozwalam sobie gościć mego przyjaciela na moim stawie, podczas gdy prawie dwa lub trzy centnary przyjaciół innych osób rozbijają się po lodzie, mimo to, iż nie posiadają specjalnej karty wstępu?

— Wcale nie — odparł stropiony Fairholme. — Skoro pan sam z tego zadowolony, któżby mógł sprzeciwić się temu?

— Cieszy mię bardzo, myślałem sobie, że pan będzie tego samego zdania.

— Pozwoli pan nadmienić, iż właściciel ziemi dzierżawionej przez pana, nie cieszyłby się zbyt, widząc tego człowieka tutaj. Smilasch bowiem wysłał z kraju jednego z najlepszych pastuchów sir Johnsa i napełnił mu głowę ideami, które wykraçały poza pojemność pojęciową ludzi z robotniczego stanu. Zszłej niedzieli słyszałem, jak sir Johns z wielkiem wzburzeniem wspominał o tem.

— Wszystko to możliwe, panie Fairholme. Ja wiem tylko tyle, że zawarłem kontrakt dzierżawny na ten szmat ziemi piaszczysty i nieurodzajny i że wcale nie czuję się spętany mniej lub bardziej łaskawymi względami sir Johnsa. Sir Johns robi znakomity interes, jak długo ja trzymam dzierżawę, gdyż nie znalazłby on w całej okolicy drugiego



człowieka, któryby wydzierżawił jego majątek w obecnym stanie, chociażby mogło to nastąpić zaraz jutro. Zresztą uważam, że są to jeszcze wcale niewinne wywody tego młodego człowieka w sprawie doli robotników rolnych, sir Johns powinienby posłuchać, jak ten sam mowca wyklada swe zapatrywania na temat renty gruntowej i użyźniania roli, jak to on potrafi wykazać, że oszukują nas dzierżawców panowie angielscy niemal regularnie, a wówczas mówiłby o Smilaschu z większem, jak przypuszczam oburzeniem, aniżeli miało to miejsce zeszłej niedzieli — a w śmiechu Wickensa, który ukłonił się Fairholmowi i odszedł, ukrywało się zadowolenie, że znalazł sposobność, by raz porządnie nasolić pastorowi.

Równocześnie niemal usłyszała Agata, która ślizgała się ręka w rękę z Jane Carpenter, jak zabrzmiały tuż nad jej uszema następujące słowa:

— Muszę opowiedzieć pani bardzo zabawną historję. Proszę nie oglądać się.

Poznała głos Smilascha i usłuchała go.

— Nie jestem pewny, czy sprawa ta zabawi panią tak, jak na to zasługuje — dorzucił i odjechał rzucając bardzo wymowne spojrzenie w kierunku miss Carpenter.

Agata uwolniła się od towarzyski, zatoczyła parę łuków i pomykając tuż obok Smilasch, zapytała:

— O co chodzi?

Smilasch odjechał z błyskawiczną szybkością jaskółki i zatoczył parę łuków w pobliżu Fairholma. Następnie powrócił do Agaty i ślizgał się tuż za nią.

— Czytałem list, który pisała pani do Hetty — rzekł.

Oblicze Agaty zapłonęło. Zapomniała o konieczności utrzymywania równowagi w nogach i zachwiała się.

— Proszę uważać. A więc nie kocha mnie pani w sposób utarty przez odwieczne awantury miłosne?

Nie usłyszał odpowiedzi. Agata była stropiona i nie odważyła się podnieść powiek.

— Całe szczęście — ciągnął dalej Smilasch — albowiem ...a! dzień dobry, pani Ward, podziwiam od godziny wdziek ruchów pani na lodzie... albowiem mężczyźni oszukują zawsze. Nie stanowią żadnego wyjątku, jak zresztą przyzna pani sama za chwilę.

Agata mruknęła coś, co jednak zginęło wśród szczęku łyżew, uderzających o lód.

— Nie wierzy mi pani? Może i słusznie. Nie powiedziałem pani nic takiego, co nie byłoby prawdziwe do pewnego stopnia. Zawsze wywierała pani na mnie niezwykły urok. Ale wcale nie życzyłem sobie, by pani opowiadała o tem Henryecie. Czy może pani odgadnąć dlaczego?

Agata poruszyła głową w milczeniu przecząco.

— Ponieważ Hetty jest moją żoną.

Agata zdrętwiała aż po najdrobniejsze kosteczki. Z trudem utrzymywała się na nogach, aż udało się jej przedostać do Jane i oprzeć się na niej.

— Nie opieraj się tak gwałtownie — krzyczała Jane — wywrócisz mię.

— Muszę spocząć — oświadczyła Agata. — Czuję zmęczenie. Pragnę się oprzeć, by mózgi się dostać do krzesła.

— Nonsens! Godzinę całą mogę biegać, nie uśiadłszy ani na chwilę — rzekła Jane. Dopomogła

jednak Agacie, dopóki nie znalazła ona wolnego krzesła i opuściła ją. Za chwilę zjawił się Smilasch, jakgdyby również był spragniony wypoczynku i usiadł na brzegu sadzawki.

— A więc — zagadnął, nie troszcząc się wcale o to, czy rozmowa ich zwraca uwagę obecnych, czy nie — co pani myśli sobie w tej chwili o mnie?

— Dlaczego nic mi pan o tem nie powiedział wcześniej, panie Trefusis?

— W tem cała zaleta żartu — odparł, spoglądając z ironicznym uśmiechem na koniec swych łyżew. Wyciągnął swe nogi na lód i poruszał nimi zabawnie. — Byłem przekonany, że pani kocha się we mnie i uważałem wobec tego, że wyjawienie pełnej prawdy mogłoby być ciężkim ciosem dla pani. Cha-cha-cha! — a to zabawne! Pani zaś z tego samego powodu unikała w swej wspaniałomyślności wyznania, że nie bardziej kocha się we mnie, aniżeli w pierwszym lepszym mieszkańcu krainy księżycowej. Każde z nas odgrywało farsę, a starało się zmylić drugą stronę pozorami tragedyi.

— Istnieją słowa niegodne, nieuprzejme i srogie do tego stopnia, iż wprost nie rozumiem, jak może zwrócić się z nimi prawdziwy dżentelman do pannenki — oświadczyła wyniośle Agata. — Proszę więcej nie rozmawiać ze mną. Miss Ward! Proszę pani zbliżyć się tutaj na małą chwilkę. Słabo mi...

Miss Ward przybiegła. Smilasch, który spojrzał na Agatę wzrokiem, pełnym zdziwienia, a następnie współczucia, zniknął wśród tłumu. Gdy doszedł do przeciwległego brzegu, zdjął łyżwy i prosił Jane, która z rozinysłu zabłąkała się aż w ten ką, aby powiedziała miss Wylie, że odszedł i że już

nigdy więcej nie będzie się tu ślizgał. Nie dodając ani słowa wyjaśnienia, pożegnał ją i poszedł do swego mieszkania. Po drodze spotkał chłopaka w mundurze pocztowym. Ogarnęło go przecucie czegoś złego tak nagle, jak czasami nagle mrok zapada, gdy chmura słońce zasłoni. Przyspieszył kroku.

— Czy masz co dla mnie? — zapytał.

Chłopak, który go znał, począł szukać wśród papierów w swej torbie i wyciągnął z niej telegram od Janseniusa z Londynu. Telegram brzmiał:

„J. Smilasch, willa Chamounix, Lyvern.

Henryeta po podróży niebezpiecznie zachorowała. Pragnie Ciebie zobaczyć. Lekarz mówi, abyś zaraz przybył“.

Milczał chwilę. Następnie złożył starannie papier i włożył go do kieszeni tak, jakby ta sprawa była zupełnie dla niego załatwiona.

— A więc — rzekł — może tragedia będzie zakończeniem farsy.

Popatrzył na chłopca, który usunął się przed nim, bo przeraził się jego wyrazem twarzy.

— Czy przez całą drogę z Lyvern aż tu jechałeś na łyżwach?

— Tak jest, aby prędzej przybyć — odpowiedział chłopak drżącym głosem. — Przyszedłem tak prędko, jak tylko mogłem.

— Wiadomości, które niosłeś, były dość ciężkie, aby najgrubszy lód załamać, jaki kiedykolwiek zamarzył. Miałbym ochotę przerzucić cię przez wierzchołek drzewa, zamiast zapłacić ci pół korony.

— Pan mi nic przecie nie robi — jęczał chłopak i cofnął się jeszcze o krok w tył.

— Idź z powrotem do Lyvern, o ile tylko u-

miesz szybko biedz lub ślizgać się i powiedz panu Marschowi, aby mi przysłał najszybszy wózek, jaki ma, bym mógł pojechać na stacyę. Tu masz pół korony. A teraz naprzód. Gdy nie będę miał na czas wózka, to wówczas zobaczysz, co cię spotka.

Chłopak z niedowierzaniem zbliżył się do Smilascha, aby wziąć pieniądze, a wzięwszy je, pobiegł szybko, o ile tylko mógł. Smilasch wszedł do swej chaty i nie pokazywał się więcej. Zamiast niego wyszedł z chaty Trefusis, dżentelman w ulsterze, z kocem podróżnym w ręku. Zamknął drzwi i poszedł szybko gościńcem, wiodącym do Lyvern, póki nie spotkał wózka. Wsiadł do niego i szybko pojechał na stacyę. Przybył jeszcze na czas, aby schwycić pociąg idący do Londynu.

— Proszę dzienniki wieczorne — zawołał głos jakiś przez okno, gdy Smilasch usiadł w rogu wagonu pierwszej klasy.

— Nie, dziękuję.

— Może ogrzewacz na nogi? — zapytał ekspres, który pojawił się na miejscu kolportera.

— A to dobra myśl. Daj mi pan ogrzewacz.

Ogrzewacz wniesiono do wagonu, a Trefusis rozmieścił się wygodnie do dalszej podróży. Przeszła mu bardzo szybko i wprost zdumiał się, gdy pociąg stanął w Londynie, że to minęły trzy godziny.

Podróżni i ludzie, którzy czekali na ich przybycie, byli w nastroju świątecznym. Pakier, który wszedł do przedziału, swoim zachowaniem się i tonem swej mowy przypominać zdawał się gentlemanowi, że jest chwila, w której każdy podróżny musi być wesół i hojny.

— Jaki pan ma pakunek? Zawołać auto, czy dorożkę?

Przez chwilę Trefusisa napadła ochota przybrania tonu Smilascha i chciał zwieść pakiera, że w wozie pakunkowym ma kosze pełne indyków i plum-puddingu. Ale stłumił w sobie tę chęć, wszedł do samochodu i pojechał na ulicę Belsize do domu swego teścia. Im bardziej się zbliżał do celu, tem więcej rosło w nim uczucie trwogi, które przy końcu jazdy zamieniło się w silne bicie serca. Dwa powozy stały przed bramą, gdy wysiadał. Milczące oblicza wóźniców napełniły go lękiem.

Drzwi otworzono, zanim zadzwonił: „Proszę — rzekła pokojówka szeptem — niech pan wejdzie do biblioteki. Doktor natychmiast przyjdzie i rozmówi się z panem“.

Na pierwszym piętrze tuż obok schodów stali dwaj panowie i mówili z mr. Jansenusem, który ujrawszy Trefusisa, cofnął się natychmiast. Ale przelotne spojrzenie na jego twarz smutną i zboląłą wywołało w nim jakieś przykre uczucie i jakoś było mu tak dziwnie, jakby co najmniej od lat 20 był wdowcem.

Uśmiechnął się obojętnie, a idąc za pokojówką do biblioteki, pytał ją, jak się miewa. Ona wyszeptła jakąś odpowiedź i oddaliła się szybko. Przytem pomyślała sobie, że biedny, młody człowiek wkrótce zmieni ton swej mowy.

Wkrótce potem wszedł jakiś pan z siwemi bokobrodami, który był bardzo starannie ubrany i zachowywał się nadzwyczaj ostrożnie. Trefusis przedstawił się mu, a lekarz z zajęciem mu się przypatrywał. Następnie rzekł:

— Za późno przybyłeś pan, mr. Trefusis. Przykro mi, że muszę panu o tem donieść, ale wszystko już minęło.

— Czy przyczyną jej śmierci była długa podróż koleją, którą odbyła o tak mroźnej porze?

Kilka przykrych uwag, które lekarz usłyszał tam na górze, mówiły mu, że to jest bardzo drażliwa sprawa. Odpowiedział atoli spokojnie:

— Bez wątpienia, przyczyną bezpośrednią.

— Przed swym odjazdem otrzymała nieprzyjemną, zupełnie niespodziewaną wiadomość. Czy sądzisz pan, że to ma jakiś związek z jej śmiercią?

— Prawdopodobnie wywarło skutek ujemny — rzekł lekarz sztywnie i począł ubierać rękawiczki.— Zwyczaj łączenia takich wypadków z podobnemi przypuszczeniami prowadzi z reguły za daleko.

— Bez wątpienia, przyczyną bezpośrednią. że ten wypadek jest czemś nowem w szeregu moich doświadczeń. Dla pańskiego doświadczenia będzie to zapewne obojętne.

— Wybacz pan. Śmierć damy tak młodej i tak dobrze sytuowanej nie jest czemś obojętnem ani według mego doświadczenia, ani według mego zapatrywania. — Mówiąc to, lekarz podnosił głowę, jakby broniąc się przed przypuszczeniem, iż zawód jego przytępił u niego wszelkie współczucie.

— Czy bardzo cierpiała?

— Kilka godzin. Mogliśmy złagodzić nieco jej ból — biedne stworzenie. — Zapomniał zupełnie o obecności Trefusisa, mówiąc te słowa.

— Godziny pełne bólu! Czy możesz mi pan coś wymienić, powiedzieć, komu lub czemu te godziny jakąś korzyść przyniosły?

Lekarz poruszył głową, ale nie można było poznać, czy chce zaprzeczyć temu pytaniu, czy też wyrazić niezadowolenie, że wogóle takie pytania mogą być stawiane. Następnie zrobił ruch, jakby chciał odejść. Rozmowa z Trefusisem nie była mu przyjemna, gdyż czuł, że teraz rozpocznie on stawiać nowe pytania, które mogłyby go wprowadzić w kłopot. Sumienie jego nie było zupełnie spokojne. Był przekonany, że lekarz domowy, który go przywołał, gdy chorej się pogorszyło, leczył ją źle, ale uczucie godności zawodowej tak go wiązało, że raczej byłby pozwolił na zdziesiątkowanie całego Londynu, niżby przyznał, iż kolega jego jest złym fachowcem.

— Jeszcze słowo — rzekł Trefusis. — Czy wiedziała ona, że umrzeć musi?

— Nie. Uważałem za najlepsze nie mówić jej o tem. Zasnęła więc bez trwogi.

— Wobec tego można spokojniej o tem myśleć. Biedne dziecko... obawiało się śmierci. Dziwi mnie tylko, że głupota, panująca w tym domu, nie zlekceważyła nakazów pańskiego rozsądku.

Lekarz skłonił się i wyszedł. Czuł się szczęśliwy; nie czyniono mu żadnych wyrzutów z tego powodu, że pozwolił powodowany względami ludzkości, umrzeć Henryecie, nie przywracając jej do przytomności.

W chwilę potem zjawił się lekarz domowy. Trefusis odprowadzając pierwszego lekarza, ujrzał, jak lekarz domowy swą twarz układał w głębokie bruzdy bólu. Widoczne było, że Trefusis tłumi w sobie chęć schwycenia go za gardło. Usiadł na brzegu stołu i zapytał w tonie uprzejmym:



— A więc, doktorze, jak się powodziło panu od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem?

Doktor cofnął się nieco, ale poważne bruzdy na jego twarzy zostały niezmienione, gdy tonem namaszczonym zapytał:

— Czy sir Francis doniósł już panu o smutnym wypadku?

— Tak jest! To straszne, nieprawda? Trudno, taka wola Boga. Dziś żyjemy, jutro już nas niema.

— Tak, tak, niestety.

— Sir Francis bardzo pana poważa.

Doktor spojrzał zdziwiony na Trefusisa.

— Wszystko, cośmy uczynić mogli, uczyniliśmy panie Trefusis. Mrs. Jansenius pragnęła, aby wszystko uczynić, wszystkiego próbować. Powiedziała mi, że tylko dlatego poleciła wezwać sir Francis, aby pan nie miał żadnego powodu do podniesienia jakiejś skargi.

— W istocie!

— Znakomita matka! I taki smutny wypadek dla niej! Ach, tak! Mój Boże! Bardzo smutny wypadek!

— Bardzo nieprzyjemny. A do tego jeszcze to zimno dotkliwe. Prawdopodobnie przyjemniej jest być tam w niebie, niż tu na ziemi wśród takiej aury.

— Ach, tak — rzekł doktor — jakby te słowa zawierały prawdziwą pociechę w smutku. — Spodziewam się, spodziewam się. Tak jest bez wątpienia. Sir Francis nie pozwolił mi zawiadomić jej o niebezpieczeństwie i ja naturalnie zastosowałem się do tego. Być może, że tak było najlepiej.

— A więc, gdyby sir Francis nie był się był temu sprzeciwił, byłbyś pan jej to powiedział.

— Tak jest! Widzi pan, w naszym zawodzie są rozmaite tezy, poza które wykroczyć nie możemy. Śmierć, to sprawa bardzo poważna, o czym, jak się zdaje, nie potrzebuję panu przypominać, panie Trefusis. Często mamy wyższe obowiązki, niż szanowanie naturalnych uczuć naszych pacjentów.

— Zapewne. Możliwość wiecznego szczęścia i prawdopodobieństwo wiecznych mąk piekielnych są pociechami nie bardzo odpowiednimi dla umierającego dziewczęcia. Ale co minęło, już nie wróci. Muszę być panu i wszystkim wdzięczny. Jestem człowiek młody i jako wdowiec, nie będę tak bardzo źle wyglądał. A teraz powiedz mi pan, panie doktorze, czy tam na górze bardzo są źli na mnie?

— Panie Trefusis! Mój panie! Nie mogę się mieszać w sprawy rodzinne. Znam granice swoich obowiązków i nigdy ich nie przekraczam. — Doktor czuł się obrażony.

— W takim razie ja tam pójdę i rozmówię się z mrs. Jansenusem — rzekł Trefusis, wstając ze stołu.

— Poczekaj pan. Jedną chwilkę. Nie skończyłem jeszcze. Mr. Jansenius prosił mnie, abym się zapytał — chciałem właśnie panu powiedzieć, że teraz nie mówię jako długoletni lekarz domowy, lecz jako stary przyjaciel — i ach, tak! Mrs. Jansenius prosiła mnie, abym się zapytał pana, czyby pan nie zrezygnował z widzenia się z p. Jansenusem. On jest tak przybity, tak przygnębiony bolem, że jako lekarz, mogę pana zapewnić, nie jest w stanie nikogo widzieć, z nikim mówić. Pani Janseniusowa rozmówi się z panem, skoro tylko będzie mogła — trochę później, może w ciągu wieczora. Jeśli atoli pan

życzysz sobie czego — musi pan być zmęczony podróżą, a ja polecam zawsze ludziom, aby długo nie pościli, gdyż to sprowadza pewien rodzaj ostrego osłabienia trawienia — a więc jeśli pan życzysz sobie czego, to każde życzenie jego będzie natychmiast spełnione.

— Dziękuję — rzekł Trefusis po krótkim namyśle. — Każę zajechać powozowi.

— W moich słowach nie było nic złego — rzekł doktor, którego jako człowieka powolnego zawsze niepokoiła szybka decyzja, chociaż, jak tym razem, była zupełnie uzasadniona. — Spodziewam się, że z tego, co powiedziałem, nie sądzisz pan...

— Zupełnie nic! Postąpiłeś pan zupełnie taktownie. Uważam atoli, że będzie najlepiej, jeśli stąd odejdę. Jansenius może z zupełnym spokojem znieść śmierć i nędzę, chociażby przybierały wielkie rozmiary, jeśli występują w brudnych zaułkach. Ale, jeśli wtargną one do jego własnego domu i zaatakują jego własność, a córka jego do niedawna była jego własnością — wówczas traci zupełnie głowę i będzie się kłócił ze mną z tego powodu, że swoją mam jeszcze na karku.

Doktor nie był w stanie odpowiedzieć na te słowa, które, jak się mu zdawało, kryły w sobie zapowiedź jakichś strasznych zamiarów. Gdy atoli ujrzał, że Trefusis chce odejść — zapytał przyciszonym głosem:

— Czy nie pójdziesz pan na górę?

— Na górę? Po co?

— Sądziłem, że pan przynajmniej spojrzy na...

Nie dokończył zdania, a Trefusis zadrżał cały. Zrozumiał, co doktor chciał powiedzieć.

— Mam więc zobaczyć to, czem była niegdyś Henryeta... Po co mi pan to przypomniałeś?

— Ależ, mój panie, możesz mieć pan zapatrywanie, jakie chcesz, to choćby dla formy jedynie i ze względu na uczucia rodziny...

— Dlaczego nie oszczędzasz pan swych uczuć dla żyjących? Już wiele razy nadaremnie o to zwracałem się do pana — krzyczał Trefusis, tracąc cierpliwość. — Gwiżdżę na pańskie uczucia!

Zwrócił się do drzwi, które w tej chwili przed nim się otworzyły. Pod niemi stała pani Jansenius, podsłuchując.

Trefusis był bardzo zmieszany. Widział, jakie wrażenie musiały wywrzeć jego słowa i czuł, że byłoby nierozsądkiem chcieć się usprawiedliwiać lub czynić jakieś wyjaśnienia. Włożył ręce do kieszeni, oparł się o stół i patrzył na nią milcząc, oczekując z napięciem, co ona teraz uczyni.

Doktór przerwał milczenie i rzekł drżącym głosem: — Zawiadomiłem pana Trefusisa o smutnym wypadku.

— Zapewne powiedziałeś mu pan także — zauważyła ostro — że chociaż nie mamy żadnych uczuć, to uczyniliśmy dla naszego dziecka wszystko, co leżało w naszej mocy.

— Jestem zupełnie zadowolony — odparł Trefusis.

— Bez wątpienia jesteś pan zadowolony — szczególnie rezultatem — rzekła pani Jansenius twardo. — Życzę sobie dowiedzieć się, czy masz pan jaki powód do skargi!

— Żadnego!

— Niech pan nie myśli, że stało się to wskutek naszej opieszałości.

— Na co mam się skarżyć? Miała przecież opalony pokój i kosztowne łóżko, aby w niem umrzeć i jak najlepszą pomoc lekarską. Tłumy ludzi giną dziś z głodu i zamarzają po to tylko, abyśmy mieli środki umierać po pańsku. Tych pytajcie, czy mają powody do skarg. Czy sądzicie może, że chcę u łoża Henryety klócić się z wami o te pieniądze, które wydaliście na jej chorobę? Czy według tego można wymierzyć, jaki ona powód miała do skargi! Nigdy nie żałowałem jej pieniędzy — bo jakże mógłbym jej żałować, wiedząc, że za darmo dostałem więcej, niżbym mógł wydać? Mimo to miała ona wiele powodów, aby się na mnie skarżyć. To przyzna mi chyba pani.

— Tak jest, ma pan zupełną słusność.

— Dobrze, jeśli kiedy będę do tego usposobiony, to będę czynił wyrzuty sobie, nie wam.

Zatrzymał się przez chwilę, a następnie zwrócił się gwałtownie i mówił dalej:

— Dlaczego pani wybrałaś właśnie tę godzinę, aby mi czynić tak ciężkie zarzuty?

— Nie przypominam sobie, abym coś takiego powiedziała, coby pana uprawniało do takiej uwagi. Czy pan słyszałeś — zapytała zwrócona do doktora — abym coś podobnego powiedziała?

— Z pewnością pan Trefusis tego również nie twierdzi. Uczucia pana Trefusisa są zupełnie zrozumiałe — jest bowiem wzburzony. I oto wszystko.

— Moje uczucia! — zawołał Trefusis niecierpliwie. — Czy państwo są zdania, że moje uczucia są jakimś zbiorem rzadkości przesądów towarzyskich

i dają się według przepisów pobudzać i okazywać następnie podczas pogrzebów? Przecież i tak wszyscy troje również tam pójdziemy. Gdybyśmy byli nieśmiertelni, to mielibyśmy ostatecznie powód do żałowania zmarłych. Ponieważ atoli nimi nie jesteśmy, to lepiej zbierzmy nasze siły, aby zmniejszyć tę niesprawiedliwość, którą z pewnością popełnimy, zanim jeszcze za nią pójdziemy.

Doktora słowa te głęboko obrażyły, gdyż stwierdzeniem faktu, że i on pewnego pięknego dnia umrzeć musi, zdawało się mu również powątpiewaniem w jego zawodowe zwalczanie śmierci.

Mrs. Jansenius była zadowolona, że Trefusis w obecności doktora potwierdził własnymi słowy jej złą opinię o nim.

Powstała krótka pauza, poczem Trefusis wyszedł z pokoju, gdyż jego zapatrywania tak daleko odbiegały od ich zapatrywań, że różnica między nimi nie mogła nabrać cechy przyjaźniejszej. Chciał właśnie w przedpokoju ubrać narzutkę, gdy się rozmyślił i niezdecydowany znów ją powiesił. Nagle pobiegł schodami do góry. Na odgłos jego kroków wyszła z pokoju jakaś kobieta i pytająco patrzyła na niego.

— Czy to tu? — zapytał.

— Tak jest — odpowiedziała szeptem.

Jakiś bolesny kurcz schwycił go za pierś, pobladł i położywszy rękę na klamce od drzwi, zatrzymał się.

— Niech się pan nie boi — rzekła kobieta z zachęcającym uśmiechem. — Wygląda bardzo ładnie.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby ona w

tej chwili wypowiedziała jakiś niestosowny, ale konieczny żart. Wszedł do pokoju, a gdy stanął przy łóżku, przebiegło mu przez myśl, że byłby lepiej uczynił, gdyby tu był nie przychodził. Nie zwracał uwagi na rozrzucone na poduszce włosy zmarłej, nie widział kwiatów, widział tylko martwą maskę, która była twarzą kobiety. Na widok jej kolana wypowiedziały mu posłuszeństwo i musiał silnie chwycić się łóżka, aby nie upaść.

Gdy znów spojrział, zdawało się mu, że twarz się zmieniała.

Nie była to już martwa maska z wosku, lecz Henryeta sama, wyglądająca jak młode dziewczątko i pełna jakiegoś głębokiego spokoju. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak młodo. Minuta minęła i łza padła na kołdrę. Porwał się. Druga łza padła mu na rękę. Przypatrywał się łzie z wielką niewiarą.

— To jest oszustwo, o którym nigdy nawet nie śniłbym — rzekł. — Łzy — a niema smutku. Oto stoję tu i płacę. Staję się coraz więcej sentymentalny! A przytem jestem wesoły, że umarła i została mi moją wolność. Gdzieś tkwi we mnie jakieś kółko smutku. Gdy na nią patrzę, kółko to zaczyna się obracać, chociaż nie odczuwam żadnego bólu, tak samo jak ona wprawiała w ruch namiętność, gdy już nie czułem miłości. Ale to jej nie robiło żadnej różnicy. Sądzę, że to kółko smutku tak samo szybko stanie, jak inne kółka. Sądzę, że już przestało się poruszać. Co za głupota! Dopóki się kręciło, sądziłem, że jestem smutny. A czy obudziłbym ją ponownie do życia, gdybym mógł? Być może i dlatego jestem zadowolony, że tego uczynić nie mogę.

Oparł się o łóżko w nogach zmarłej i mówił zupełnie seryo i poważnie do zmarłej. Wywierała jeszcze na niego wpływ tak wielki, że musiał skupić całą swoją wolę, aby spokojnie w twarz jej spojrzeć.

— Jeśli mnie w istocie kochałaś — rzekł, to lepiej dla ciebie, że umarłaś — jak ja idyota mogłem myśleć, że namiętność, którą ty, biedny dzieciaku, we mnie wzniciłaś, może trwać dłużej. Teraz jesteśmy oboje szczęśliwi. Ja uwolniłem się od ciebie, a ty uwolniłaś się od siebie samej.

Odetchnął swobodniej i rozejrzał się po pokoju, aby przez obojętną jakąś czynność i widok codziennych urządzeń sypialni, zmienić swój nastrój. Zbliżył się do głów łóżka i pochylił się, aby lepiej przyspatrzeć się twarzy zmarłej.

— Biedne dziecko — rzekł raz jeszcze do niej pieszczotliwe.

Następnie, zmieniając ton mowy, rzekł sam do siebie.

— Biedny ośle! Biedny idyoto! Biedna małpo! Tu leży ciało kobiety, która prawie tyle lat miała, co ja i była może rozsądniejsza, a ja wypowiadam tu takie moralne zapatrywania, jakbym był Bogiem wszechmocnym, a ona małem dzieckiem.

Dotknął ręką jej policzków i czuł, że są już zimne. Następnie dotknął się swoich i rzekł:

— I ja pędzę do tego celu z zawrotną szybkością sześćdziesięciu minut na godzinę.

Stał, mając oczy zwrócone na jej twarz i dłuższy czas poił się goryczą swych smutnych myśli. Wkońcu poruszył się i rzekł nieco weselej.

— Ostatecznie ona nie jest umarłą. Każde słowo



wo, które wypowiedziała — każda myśl, która jej przez mózg przebiegła i którą objawiła — było wrażeniem niezatartem, niezniszczalnym.

Zatrzymał się, namyślał się przez pewien czas i znowu popadł w smutek.

— A ten tuzin innych nazwisk, które jutro rano czytać można będzie w „Timesie“ obok jej nazwiska. Także ich słowa są jeszcze w powietrzu, aby przetrwać całą wieczność. Hm! Jakimi głupstwami powietrze musi być przepełnione. Dwa losy znoszą się czasami nawzajem, dlaczego i myśli w ten sam sposób znieść się nie mogą. Nie, moja kochana, ty już nie jesteś żywa i wszystko minęło. I ja wkrótce żyć nie będę i wszystko minie, zanim będę miał czas w sposób niemądry zajmować się nadziejami na nieśmiertelność. Biedna Hetty! Żegnaj mi, moja kochana. Niech mi się zdaje przez chwilę, że możesz to słyszeć. Wiem, że toby ci się podobało.

Wszystko to wypowiedział półszepem. Następnie zamilkł, schylił się nad łóżkiem i patrzył uważnie na całą postać zmarłej. Gdy już się dość natrzył i gotował się do odejścia, jeszcze raz zmienił swój zamiar i znów patrzył na nią długo. Wreszcie wyprostował się i uspokojony silnym krokiem wyszedł z pokoju. Kobieta czekała w przedpokoju. Gdy widziała, że nie jest już tak smutny, jak wówczas, gdy wchodził do pokoju, rzekła do niego:

— Zapewne jesteś pan zadowolony!

— Oczarowany! Wszystko urządzone bardzo ładnie i ze smakiem. Bardzo to pocieszające.

Dał jej pół suwerena.

— Dziękuję — rzekła i dygnęła. — Biedna młodziutka lady. Tak pragnęła zobaczyć pana. Mówiła

ciągle, że pan jesteś jedyny, który jej nieco sprzyja. A jaka wściekła była na matkę.

— Powiedzcie mu, że jestem niebezpiecznie chora — wołała — a on natychmiast przyjdzie.

— Biedna, nie wiedziała, ile przykrej prawdy jest w jej słowach. Umarła, nie dowiedziawszy się o tem.

— Całe szczęście, że biedne stworzenie mogło się ludzi do ostatniej chwili.

— O nieba, wiem ja, co się z nią działo. Mam ja pod tym względem wiele doświadczenia. — Mówiąc, zbliżyła się do niego i z poufałą tajemniczością szeptała do ucha.—Rodzina była przeciw Panu, a ona wiedziała o tem. Nie chciała jednak wcale zwracać na nich uwagi. Gdy się czuła o tyle dobrze, by móżdż myśleć, wówczas myślała wyłącznie o możliwości pańskiego przyjazdu. Ale — — pst! Nadchodzi starszy pan.

Trefusis spojrział poza siebie i zauważył mr. Janseniusa, którego piękna twarz, wykrzywiona od troski i niepokoju, nabrała trupiej błości. Nie przyjął wyciągniętej na powitanie dłoni zięcia, ale uczynił to z gestem urażonego dzieciaka, który uchyla się od niewczesnej próby załagodzenia sporu drogą pieśczości. Trefusis prawdziwie z nim współczuł. Pielęgniarka wycofała się pokaszlując znacząco.

— Czy rozmawiał teść z mrs. Jansenius?

— Tak — odparł Jansenius w obraźliwym tonie.

— Ja nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności również. Proszę usprawiedliwić mię przed nią. Zachowywałem się nieodpowiednio. Okoliczności wytrąciły mię z równowagi.

— Nic pana nie wytrąciło z równowagi — przeczył głośno Jansenius.

— Dyabło mało Pana to wszystko obchodzi.

Trefusis cofnął się o krok w tył.

— Gwiżdże pan na moje uczucia, więc i ja gwiżdżę na pańskie — ciągnął dalej Jansenius podniesionym głosem.

Trefusis spojrział mimowoli na drzwi, przez które wszedł. Niebawem jednak zapanował nad sobą i oświadczył spokojnie:

— Nic nie szkodzi. Ona już nas słyszeć nie może.

Zanim jednak mógł Jansenius cokolwiek odpowiedzieć, nadbiegła po schodach jego żona, chwyciła go za ramię i rzekła:

— Nie mów z nim John. — A pan — dodała, zwracając się do Trefusisa — proszę, czy zechce może nas opuścić?

— Co? — zawołał i spojrział na nią wyzywająco. — Bez ciała, które należy do mnie? Ale dobrze, niechaj i tak będzie.

— Co pan może wiedzieć o uczuciach szanownego człowieka? — wybuchł gniewem Jansenius, nie zwracając uwagi na obecność żony.

Dla pana niema nic świętego. Najlepiej na panu stwierdzić można, jacy to gałgani ci socjaliści.

— Równocześnie można na was stwierdzić, jacy są ojcowie i jakie matki — nie pozostał dłużny odpowiedzi Trefusis, który zupełnie stracił panowanie nad sobą. — Myślałem, że kochacie Hetty, ale teraz widzę, że kochacie tylko swoje własne uczucia i swoją szanowność. Niechaj lichy porwie wszy-

stko to razem. Nieboszczka miała słuszość. Miłość moja do niej, jakkolwiek była nie doskonała, przewyższała jednak o wiele wasze rzekome przywiązanie.

Wściekły opuścił ich dom.

Zatrzymał się przez chwilę na ulicy, by ochłonać. Wkrótce już roześmiał się w głos na wspomnienie o swym teściu. Następnie wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do swego doradcy prawnego, postanowił bowiem omówić z nim ostateczne uporządkowanie spraw majątkowych, które łączyły go z nieboszczką żoną.

## X

W dzień przed wigilią pochowano zwłoki Henryety Trefusis na cmentarzu Highgate. Trzy rodziny szlacheckie wysłały na pogrzeb swoje ekwipaże, a liczni przyjaciele i klienci Janseniusa przybyli osobiście. Trumna była wprost zasypana bukietami i wieńcami z drogocennych kwiatów. Przedsiębiorca pogrzebowy wiedział o tem, że nie należy w niczem oszczędzać. Konie przy wozie pogrzebowym były czarne, długo ogoniaste, całe okryte czarnymi kapami, z czarnymi pióropuszcami nad czołem. Woźnica i dżokeje mieli buty z palonemi cholewami, siedzieli na czarnych czaprakach i byli odziani w czarne płaszcze i rękawiczki. Cały legion wynajętych żałobników kroczył w orszaku. Przedsiębiorca byłby ich jednak natychmiastowo rozpędził, gdyby byli się odważyli okazać najłżejsze wzruszenie, lub w czemkolwiek wykroczyć poza przepiso-

wą rolę, która polegała na tem, że mieli dzierżyć uroczyście halabardy z mosiężnem ostrzem i poważnie kroczyć obok wozu pogrzebowego.

Wśród uczestników pogrzebu odznaczał się mr. Jansenius prawdziwie zbolałym wyrazem twarzy. Gdy mu przyszło rzucić grudkę ziemi w świeżo wykopany grób, wybuchł głośnym płaczem. Mały Artur był zupełnie zmieszany, kiedy kazano mu po raz pierwszy w życiu, w długim surducie kroczyć na czele orszaku. Gdy zauważył płaczącego ojca, doznawał wyrzutów sumienia, że nie jest tak bardzo smutny, jakby to właściwie ze składu rzeczy wyniknąć powinno. Prawdziwie strapiony był również jeden z kuzynów Henryety, który starał się ongi o jej rękę, a obecnie nurzał się wśród tragicznych rozpatrywań i z całą namiętnością poddawał się rozkoszy swej rozpaczy.

Uczestnicy pogrzebu krytykowali szeptem, skoro tylko nastęrczała się po temu sposobność, braki w porządku i układzie smutnej uroczystości. Głównie zwracała uwagę nieobecność męża zmarłej. Członkowie rodziny i zaprzyjaźnieni z Janseniusami dowiedzieli się od Daniela Janseniusa, że wdowiec postąpił sobie nikczemnie i że Janseniusowie z góry nie chcieli dwóch groszy dać za to, czy on wogóle przyjdzie na pogrzeb. Mimo przykrego wrażenia, jakie wywołała jego nieobecność, byli w granicze rzeczy zadowoleni z tego, że Trefusis pozostał w domu.

Osoby bardziej obce, które nie miały prawa do zasiągnięcia poufnych wyjaśnień, zwracały się z zapytaniami do przedsiębiorcy pogrzebowego. Ten twierdził, że wdowiec był niezadowolony z pompy

pogrzebowej, a na zapytanie dlaczego? — odpowiedział, że prawdopodobnie przez wzgląd na wydatki, których pragnął uniknąć. Kiedy zauważono, że Trefusis jest bardzo bogaty, przyznał przedsiębiorca, że podobne wieści doszły do jego uszu. Zdaniem jego jednak pieniądze te nie pochodziły od zmarłej żony, gdyż ludzie niechętnie opłacają wystawne pogrzeby z wyjątkiem tych wypadków, w których otrzymali dzięki śmierci odpowiedni spadek. Pozatem zwykli ludzie tem bardziej dusić grose, im więcej ich posiadają. Zanim rozszedł się orszak, skrzyżowały się opinia przedsiębiorcy z wieścią pochodzącą z ust brata mr. Janseniusa, wskutek czego urodziła się baśń, że Trefusis nie posiadał się z radości z powodu śmierci żony, że sklął i przeklął teścia, kiedy ciało jeszcze stygło, że wzbraniał się choćby jednego feniga ofiarować na pogrzeb.

W kilka dni potem, gdy przycichły plotki na ten temat, wybuchł świeży skandal. Literacko wykształcony przyjaciel Janseniusa pomagał mu w ułożeniu napisu na nagrobek i skleił nawet kilka pięknych i wzruszających wierszowanych strofiek. Opiewały one wdzięk i cnotliwość zmarłej istoty i zapewniały, że przyjaciele jej nie przestaną nigdy opłakiwać tej ciężkiej straty. Przedsiębiorca, który nazywał się rzeźbiarzem, przyniósł album z modelami nagrobków. Mr. Jansenius wybrał najwspanialszy wzór i oświadczył, że jest skłonny ponieść połowę kosztów. Trefusis jednak zarzucił przede wszystkim napisowi, że brzmi przesadnie i nie-szczerze i twierdził, iż nie ma powodu, by napisy na nagrobkach miały rozpowszechniać fałszywe wieści. Opowiadano sobie, że tym razem prześcignął

poprzedni swój występ pod względem brutalności i że nazwał teścia swego w sprzeczce po prostu kłamcą. Sam zamówił natomiast nagrobek w tanim sklepie w Eastend. W rzeczywistości nazwał Trefusis handlarza nagrobków wyzyskiwaczem, a celem zaspokojenia pretensyi Janseniusa, zwrócił się do młodego kamieniarza, członka międzynarodowego zrzeszenia kamieniarzy z wezwaniem, by przedłożył projekt na pomnik.

Kamieniarz wykonał projekt, który uzyskał uznanie Trefusisa. Robotą miał się zająć sam rysownik i w tym celu wynajęto odpowiednie atelier, do którego sprowadzono potrzebne bloki marmurowe. Wkrótce przystąpił kamieniarz do roboty.

Wkońcu skuteczniono dzieło i mała gromada robotników, których odkrył Trefusis jako pozbawionych pracy, ustawiła nagrobek na cmentarzu Highgate. Na pomniku widniał następujący napis:

*T u l e ż y*

*HENRYETA JANSENIUS*

*urodzona 26 lipca 1856*

*złączona węzłem małżeńskim z Sidneyem Trefusis  
dnia 23 sierpnia 1875, zmarła 21 grudnia w tym  
samym roku.*

Mr. Jansenius uznał ten napis za zlekceważenie pamięci swej córki, oraz wskazywał na obojętność i bezwstydną skąpstwo zięcia, który ofiarował tak nędznie skromny nagrobek, podczas gdy inne rodziny, które nieporównanie gorzej były sytuowane i majątkowo i w hierarchii społecznej, mogły się poszczycić bardziej okazałymi pomnikami wzniesionymi ku uczczeniu szczytków drogich swych

zmarłych. Na ogół jednak wychwalali ludzie nagrobek i Trefusis spodziewał się, że dzieło to przysporzy rozgłosu nieznanemu swemu twórcy. Stało się jednak wręcz przeciwnie. Gdy kamieniarz powrócił do zwykłej swej pracy, oświadczone mu, że dopuścił się złamania obowiązujących przepisów co do solidarności zawodowej i dawniejsi jego pracodawcy nie chcieli już o nim więcej słyszeć. Gdy zrozpaczony rzemieślnik zwrócił się do swego cechu z prośbą o radę i pomoc, spotkał się również z podobnym oświadczeniem, a w dodatku zarzucono mu, że popełnił zdradę na swych towarzyszach zawodowych. Wobec tego udał się kamieniarz do Trefusisa i uskarżał się przed nim, że wykonanie pomnika pozbawiło go zarobku. Trefusis wpadł w gniew i wypisał do „Timesa“ polemiczny artykuł, którego jednak nie wydrukowano, następnie wysłał drwiący list do cechu, co jednak zupełnie nie poskutkowało, a wkońcu wystosował grubiańską epistołę do przedsiębiorców, którzy zatrudniali nieszczęsnego kamieniarza i otrzymał odpowiedź groźącą, że zostanie wniesiona skarga o obrazę honoru. Nie pozostało mu więc nic innego, jak zatrudnić kamieniarza w swym majątku przy ustawianiu kominów i innych robotach stojących w łączności z zawodem kamieniarskim. W przeciągu dwóch lat zdołał kamieniarz dzięki hojnemu wynagrodzeniu jakie otrzymywał, uciułać sobie pokaźną sumkę i stał się samodzielnym przedsiębiorcą. Nie upłynęło wiele czasu, jak dorobił się majątku, gdyż wiedział on z doświadczenia zupełnie dokładnie, wiele można na robotnikach wymusić i jak niewiele potrzeba im w zamian za to ofiarować. Z czasem obudził się



w nim zmysł dla cnoty oszczędności, wstrzemięźliwości, co wszystko razem złożyło się na okoliczność, że wystąpił z międzynarodowego związku zawodowego, którego zapalonym i oddanym członkiem był jako biedny, zapracowany pomocnik kamieniarski.

Tymczasem dobiegał pobyt Agaty w szkole do końca. Postanowienie, by przedłużyć swą egzystencję w zakładzie o jedno półrocze, powzięła ona nie przez szczerą chęć poświęcenia się nauce, lecz jedynie dlatego, ażeby przez rozszerzenie i pogłębienie wykształcenia stać się bardziej godną miłości Smilascha. Kiedy jednak usłyszała z ust własnych wielbiciela istotną prawdę o jego zamiarach, nie mogła pogodzić się z myślą o dłuższym pobycie na tym terenie, na którym spotkało ją niesłychane upokorzenie. Opuściła zakład w Alton z uczuciem, że w serce jej ugodził cios dotkliwy, a rozwielmożniona, nienasycona próżność uniemożliwiła zrozumienie, iż właściwie ona sama była przyczyną bolesnego zawodu, który ją spotkał. Pożegnała się więc z miss Wilson i już odtąd nie słyszano więcej w zakładzie Alton pszczoły na szybie okna brzęczącej.

Wiadomość o śmierci Henryety wstrząsnęła nią tem bardziej, że uświadomiła sobie szybko, jak uszczęśliwia ją nawet wbrew woli przekonanie, iż zamilkła na zawsze jedyna osoba, która poza Smilaschem wiedziała o jej niemądrej miłości. Odkrycie to, dokonane w samej sobie, przeraziło ją jako dowód, że jest już osobą, poniekąd moralnie zepsutą. Doświadczenia, zaczerpnięte z ostatnich przeżyć spowodowały, że stała się nagle bardzo religijną. Równocześnie stan jej zdrowia zaczął wzbu-

dzać u matki poważne obawy. Matka nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego córka jej stała się nagle i niezwykle poważną, a zwłaszcza dlaczego wstrzymywała się od wszelkich rozpatrywań brzydkiego zachowania się Trefusisa, które teraz stanowiło główny temat rozmowy w kołach rodzinnych. Agata przysłuchiwała się w milczeniu bajczarskim wywodom o ucieczce Smilascha od żony, o kamiennej jego obojętności w chwili jej skonu, o jego gwałtownym i gminnym sposobie wyrażania się przy łożu jej śmierci, o jego skąpstwie i złośliwym oporze wobec uzasadnionych żądań Janseniusa, o tanim nagrobku przez niego wystawionym i o napisie obrażającym wszelkie delikatniejsze uczucia, o jego stosunkach z prostackimi robotnikami i demagogami najgorszej sorty, o rzekomym jego udziale w sprzyśnięciu na życie królewskiej rodziny i o uczestnictwie w zamachach dynamitowych na armię, a wkońcu o głównej plamie dotychczasowego jego żywota a mianowicie o próbie podburzenia opinii publicznej przeciwko trybunałowi sądowemu w Old Bailey, co mu przyniosło w skutkach sześćmiesięczną karę więzienną. Niestety, genialny spryt adwokata uwolnił Trefusisa od tej kary, bystry bowiem prawnik odkrył błąd ortograficzny w piśmie oskarżającym jego klienta i dzięki temu udało mu się obalić cały wyrok nie bez znacznych kosztów, jakie ponieść musiał Trefusis.

Agatę znużyło wkońcu wysłuchiwanie opowieści o samych zbrodniach i występkach tego człowieka. Uważała go wprawdzie za mężczyznę bez serca, egoistę i szczwanego lisa, ale wiedziała ona również dobrze, że nie jest on owym krzykliwym

trywialnym, zarozumiałym i ograniczonym na umyśle awanturnikiem, za jakiego miały go wszystkie niemal plotkarki z otoczenia jej matki. Odczuwała ona nawet wdzięczność do pewnego stopnia dla tych dam nielicznych, które odważyły się tu i ówdzie wystąpić w obronie potępionego przez ogół.

Przygotowania do pierwszego balowego występu dopomogły jej do zapomnienia o nieszczęściu. W stosownej porze wprowadzono ją do towarzystwa, gdzie przedstawiło się jej wszystko od samego początku jako beznadziejnie nudne. Niekiedy uczucie nudy wzmagало się do tego stopnia, że stawiała sobie zawrotne pytanie, czy będzie mogła być wogóle kiedykolwiek jeszcze szczęśliwą? Szkoła dostarczała przynajmniej pewnych zobowiązań koleżeńskich, jakichś żartów, dowcipów, szeregu formułek, zasad i przepisów, które umacniały wolę, kiedy stosowano się do nich i sprowadzały zachwycające wprost podniecenie nerwowe, gdy się wykraczało poza nie. Brakło tam wszelkiej czezej formalistyki, można tam było przyrządzać sobie cukier palony, zjeżdżać po poręczy schodowej i naśladować przed całą gromadką dziewcząt, jak to skomli żołnierz romansowy, schwytyany w pułapkę do otworu w kominie. W salonowym towarzystwie obowiązywały śmieszne wprost rozmowy trwające pół minuty, powierzchowne znajomości zawierane podczas owej przepisowej pół minuty i ogólna, wzajemna nieufność, a przyjemniały „zabawę“ natłok ludzi, niedostateczna wentylacja, licha muzyka, czuwanie do późnej pory, niezdrowe potrawy, zatrute likiery, gwałtowne współzawodnictwo w wydatkach pozbawionych wszelkiego sensu, polowanie na męża, flirt, taniec,

teatry i koncerty. Trzy ostatnie przyjemności uznawała Agata w pełnej mierze, i one to sprawiały, że przykra różnica między Londynem a Alton stawała się znośniejsza, ale i one posiadały swe strony ujemne, gdyż niestety rzadko kiedy spotkać się można było z dobrym tancerzem i z należytą wystawą bezsensownych skądinąd oper. Flirtu Agata nie znosiła. Mężczyzn, którzy stawali się z czasem serdecznie czuлыми, przepędzała od siebie, gdyż przywodzili jej na pamięć te zabiegi obłudne Smilascha a bez jego dowcipu i inteligencji. Młodzi panowie ze ściślejszego kółka jej znajomych zarzucali jej brak ogłady towarzyskiej. Zabawiali się krytycznym rozbiorem złych manier Agaty i postanowili ją w ten sposób ukarać, że nie prosili jej już więcej do tańca. W ten sposób uwolniła się ona nawet bez szczególnych starań od niemiłych uprzejmości ze strony młodzików, wobec których zachowała pełną pogardę, jaką zwykły obdarzać tych nieszczęśliwców pensyonarki. Ograniczyła się więc Agata do towarzystwa starszych i rozumniejszych panów, którzy byli dla niej i znośniejsi — no i bardziej wyrozumiali na jej nieobliczalne wybryki.

W każdym razie nigdy jeszcze dotąd nie czuła się mniej szczęśliwa, jak w bieżącym roku. Nieustannie niepokoiła matkę swymi pomysłami, dzięki którym miała poświęcić się raz pielęgnowaniu chorych, to znowu karierze scenicznej jako śpiewaczka lub aktorka. Każdorazowy pomysł pociągał za sobą dorywcze, bezplanowe studia w chwilowo obranym kierunku. Celem przygotowania się na pielęgniarkę chorych rozczytywała się w podręczniku dla fizjologii, którą to lekturę uznała mrs. Wylie za wysoce

nieodpowiednią dla młodej panienki i udała się z płaczem do mrs. Jansenius prosząc ją, by zechciała wpłynąć w duchu korzystnym na niesforną dziewczynę. Mrs. Jansenius jako osoba bardzo doświadczona wyraziła zapatrywanie, że wzbogacenie zasobu wiedzy zawsze wyjść musi na korzyść każdej kobiecie, gdyż od poziomu wykształcenia zawisłe jest postępowanie ludzkie w życiu, a zresztą zdaniem jej zainteresowanie Agaty dla fizjologii osłabnie z czasem samo przez siebie. Przypuszczenia te okazały się trafne. Agata ukończyła powierzchowne czytanie książki bardzo szybko i przerzuciła się do studjum patologii podług wykładów klinicznych. Odkryła w tych skryptach wierne odzwierciedlenie dokładnie przez nią wyczutyh stanów, które nauka oznaczała jako przejawy najstraszliwszych chorób. Przerażona odsunęła od siebie tę lekturę i zagłębiła się w romansie. Szczęśliwym trafem spotkała się z powieścią, która wolną była od ujemnych właściwości poprzedniej lektury, gdyż żaden ze skreślonych w powieści stanów psychicznych nie odpowiadał dotychczasowym jej przeżyciom.

Po krótkim upływie czasu poddała się próbie głosowej u wziętego nauczyciela śpiewu. Polecił jej pobierać u niego lekcyę przez przeciąg sześciu lat i zapewnił ją, że po ukończeniu tej nauki stanie się najgłośniejszą śpiewaczką na świecie, o ile naturalnie zastosuje się do jego wskazówek. Nasunęło się jej jednak podejrzenie, że może postarzeć się do sześciu lat. Postanowiła więc spróbować, czy też sama nie doprowadzi do szybszych rezultatów. Na wypadek, gdyby karyera jej operowa miała skończyć się na niczem, postanowiła wstąpić do dramatu

i rozpoczęła w tym celu ćwiczenia w dykcji i gestykulacji. Ćwiczenia te wywarły zbawienny wpływ na jej zdrowie fizyczne i duchowe, więc uprawiała je z rozmachem, ale bez wytrwałości. Imiała się wszystkich możliwych rodzajów sztuki, za każdym razem jednak rozbijały się jej zapędy o słabą wolę. Pamiętała o utartym komunale, że nikłe i śmieszne wysiłki stanowią początek nawet najpotężniejszych dzieł, ale nie znalazła jeszcze formułki, na określenie swych zabiegów, które uważała za wyjątkowe i nie dające się podciągnąć pod żadną regułę. Pojęcie o swej niezwykłości nabyła z chwilą, kiedy uwierzyła w miłość Smilascha. Gubiła się ona wogóle jeszcze w złudzeniach, których młodość dostarcza podostatkiem.

Szamotanie się i błąkanie Agaty niepokoiło matkę w wysokim stopniu. Oceniała ona wszelkie gwałtowne napady wesołości, po których następowało przygniatające uczucie niepowodzenia i bezużyteczności, jako „dzikość“ i „kaprys“ i starała się im przeciwdziałać przez przymuszanie córki do ręcznych robótek, jako do środka uspokajającego oraz do odżywiania się bulionem, jako środkiem wzmacniającym. Mrs. Wylie wyuczyła się swego czasu na pamięć cennych zasad, które pouczają, że całym obowiązkiem prawdziwej damy jest być powabną, dobrotliwą, usłużną, skromną i bezinteresowną oraz oczekiwać spokojnie, jaką to nagrodę przyniosą jej te cnoty. Z czasem jednak nauczyło ją doświadczenie, że zadanie damy z „towarzystwa“ polega tylko na tem, by wyjść za mąż i że wszystkie cnoty oraz doskonałości mają służyć jako wabiki na odpowiednich, młodych mężczyzn. Ponieważ prawda ta

uchodzić może za nieprzyzwoitą, pozostawia się młodym pannom rok lub dwa lata czasu, by samodzielnie do rozpoznania jej doszły. Rzadko kiedy udziela się im pouczenia pod tym względem z chwilą, kiedy wchodzą w życie towarzyskie.

Dzięki tej nieświadomości jednak odrzucają one w pierwszym okresie swych występów najwspanialsze partye i, muszą z czasem same narzucać się i to po bardzo obniżonych cenach, zależnie od tego, czy wdzięki ich mniej lub bardziej uległy zwiędnięciu. Tego losu obawiała się dla Agaty mrs. Wylie, której udzieliła w tym kierunku stosownej przestrogi mrs. Jansenius. Od czasu więc do czasu przedstawiano dziewczynie młodego, zamożnego dżentelmana, ale ona odsyłała w sposób wcale rubaszny każdego śmiałka, skoro tylko wszczynał wzmianki na temat uczucia. Stroskana i zgnębiona matka pocieszała się jednak myślą o młodości córki oraz krzepiła się stwierdzeniem, że jakkolwiek dziewczyna odrzucała od siebie wszelkie pożądane i niepożądane sposobności do zamążpójścia to przynajmniej nie okazywała najmniejszej skłonności do nawiązywania nieodpowiednich czy gorszących stosunków. Istniała zresztą nadzieja, że kiedyś przecież dojdzie Agata do używania rozumu i doszedłszy do pewnego wieku, nie będzie nadal tak hardą i niedostępną.

Mijał jednak jeden sezon za drugim i nie rozstrzygnięte musiało pozostać pytanie, komu należało bardziej winszować, czy Agacie, że po ukończeniu nauk szkolnych weszła w życie, czy też może Henryecie, że to życie zakończyła.

## XI.

Majątność Brandon Beeches w dolinie Tamizy, była miejscem zamieszkania sir Charles Brandon'a, siódmego z rzędu baroneta tego rodu. Stracił on ojca przed uzyskaniem pełnoletności, a wkrótce potem ożenił się i w ten sposób stał się ojcem trojga dzieci już w dwudziestym piątym roku swego życia. Mimo młody wiek swój, wyglądał Brandon cokolwiek przeżyty, był jednak zgrabny i sympatyczny oraz odznaczał się ujmującym darem spoglądania na nieszczęścia drugich ze stanowiska przyjaznego życzliwego spokoju. Posiadał dar opowiadania, kochał się w muzyce i sam nawet grał i śpiewał potrosze. Szczególnie poświęcał się rysunkom i popełnianiu szkiców akwarelowych zagłębiał się w każde czasopismo wychodzące na przestrzeni Londyn-Parryż, które przynosiło rozprawy krytyczne z zakresu sztuki, pozatem odbył kilka podróży, uprawiał rybołówstwo, niekiedy polował i zakładał zbiory botaniczne, częściej jeszcze uganiał za kobietami, jednym słowem zużywał dość rozrzutnie zapasy swej tężyzny na tych tysiącznych drogach i ścieżynach, które otwierały się przed nim dzięki bogactwu i licznym uzdolnieniom. Na żadnym polu nie zdobył dokładniejszych wiadomości, ale przypatrzył się wielu rzeczom o tyle, że mógł zastąpić najzupełniejsze nieuctwo umiarkowanym brakiem wiedzy. Rozkoszy dokonania dzieł prawdziwie wielkich nie zaznał nigdy, jakkolwiek trawiła go nieustająca w tym kierunku tęsknota, która nastrojała go melancholijnie i przekonywała wystarczająco, że jest artystą z Bożej łaski. Żona jego dopatrywała się w nim zgryźli-



wego samoluba o nader zmiennem usposobieniu i zarzucała mu, że przy lada zaziębieniu pragnie uchodzić za człowieka niebezpiecznie chorego.

Lady Brandon, która, nawiasem powiedziawszy, wierzyła solennie, iż mąż jej rozumie się na wszystkich tych sprawach, nad którymi się rozwodził, a wierzyła już choćby z tego powodu, iż sama nic z tego wszystkiego nie pojmowała, lady ta należała do rzędu głównych jego życiowych rozczarowań. Pod względem urody nie odpowiadała ona żadnemu z tych ideałów piękności, które uwieczniali w swych dziełach współcześni jej malarze, ale posiadała wdzięk, któremu mało który z mężczyzn oprzeć się zdoła. Była wysokiego wzrostu, gibkiej, a silnie związanej postaci, ramiona miała pełne, kształtne plecy i pięknie zarysowujące się biodra. Mała jej głowa, delikatne uszy, powabnie wykrojone usta, i oczy, rzucające szelmowskie spojrzenia, wszystko to razem składało się u tej okazałej kobiety na pełnię na pół niewieściego, na pół dziecięcego wdzięku, który budził nawet w najbardziej spoważniałych mężczyznach pragnienie, by ją objąć uściskiem i ucałować. To pożądanie odniosło, na pierwszy rzut oczu, zwycięstwo nad powierzchownem pięknodusznictwem sir. Charlesa. Podniecona wyobraźnia tego mężczyzny zaopatrzyła ją natychmiastowo w zrozumienie dla wyższych zadań sztuki, a więc we właściwość, której przedewszystkiem wymagał od kobiety. Ożenił się z nią podczas pierwszego jej sezonu balowego, by wkrótce potem przyjść do przekonania, że istota tej kobiety pozbawiona była żywszej potrzeby miłości; stąd też ośmieszała ona wszystkie jego próby czułości i pozbawiała go tej rozkoszy

miłosnej, za którą tak bardzo tęsknił. Na polu życia umysłowego zawiodła ona również wszystkie jego nadzieje. Zdaniem jej stanowiło malarstwo, a więc rodzaj sztuki szczególnie uwielbianej przez męża, miłą rozrywkę dla amatorów, prace zaś zawodowych artystów oceniała jako gatunek rzemiosła, służącego do upiększania mieszkań. Gdy mąż jej rozmawiał na ten temat ze swymi przyjaciółmi, zaznaczała ona zazwyczaj swe zapatrywania, ze sporą dozą uporu i zarozumiałości, co o tyle przykrzejsze na obecnych wywierało wrażenie, że rozumowanie jej pozostawiało liczne luki i było prostackie, podczas gdy jego wnioski odznaczały się powagą i subtelnością. Przy tego rodzaju okolicznościach nie liczyła się ona zupełnie z widocznym jego wstrętem, a nawet tryumfowała, zauważywszy, jak silną w nim wywoływała niechęć. Doszła ona do prostego przekonania, że małżeństwo jest jeszcze większym głupstwem i że mężczyźni są jeszcze większymi głupcami, aniżeli ona to sobie sama kiedykolwiek wyobrażała. Przekonanie to jednak, zamiast rozczarować, umocniło ją w obowiązkowości małżeńskiej, a ponieważ rozporządzała wystarczającym zasobem pieniędzy, służby i gości, i używała w odpowiedniej mierze jazdy konnej, którą lubiła nadewszystko, więc życie upływało jej wcale przyjemnie. Wygoda była w jej pojęciu najnaturalniejszą formą życia, każda zmiana, czy naruszenie tej wygody, wprawiały ją w stan zdumienia. Przyjaciele męża, którzy z nieufnością spoglądali w przyszłość, oraz z goryczą rozpamiętywali minione godziny, służyli jej jako wystarczający dowód, że rozczytywanie się w książkach i życie pozbawio-

ne ruchu, przytępia ludzi na umyśle i czyni ich zgryźliwymi.

W piękny majowy poranek, kiedy lady galopowała na rosnym gniadoszu w kierunku alei wjazdowej do Brandon Breeches otwarła się brama pałacowa, z której wyjechał na kole młody mężczyzna. Postać jego była szczupła, oczy piękne, ciemne, nozdrza delikatne. Poznawszy lady Brandon, począł wywijać czapką na znak powitania, a gdy się już z nią zrównał, zeskoczył z martwego stalowego rumaka z rozmachem tak gwałtownym, że spłoszył konia dostojnej amazonki.

— Hola, spokojnie, głupie zwierzę! — uspakała lady wspinającego się konia i uderzyła go lekko końcem swej szpicruty.

— Nie dziwię się jednak stworzeniu, że płoszy się na widok tej maszyny. Co słyhać z panem? Jak to pięknie, że można obecnie jeździć na rumaku, któremu koła zastępują nogi.

— Brak mi odpowiedniego majątku, bym mógł pozwolić sobie na prawdziwego konia — wyznał, zbliżając się, by pogłaskać gniadosza, podczas gdy oparł rower o przydrożne drzewo. Pozatem niemal obawiam się konia, nie miałem sposobności oswoić się z nim należycie. Nie mam pojęcia, jak należy karmić to zwierzę. Mój rower nie potrzebuje pożywienia. Nie kąsa, nie wierzga, nie kuleje, nie choruje, nie zdycha, nie potrzebuje służącego i...

— Wszystko razem wzięte: nonsens — oświadczyła dosyć gwałtownie lady Brandon. — Wręcz przeciwnie: koło potyka się, podrzuca pana w nie miłosierny sposób, kuleje, ponieważ rozluźniają się jego pedały czy inne jakie śrubki, zużywa się i przy-

sparza dwa razy tyle kłopotu co koń, jeżeli zależy komu na tem, by je utrzymać w czystości i za każdym razem usuwać kurz czy błoto. Ze wszystkim ma się rzecz tak samo. Wydaje mi się tylko, że nie istnieje bardziej pocieszny widok nad mężczyznę jadącego na kole. Przebiera nogami ze wszystkich sił i jest przekonany, że koło dźwiga jego, podczas gdy każdy bystry widz przyznać musi, że jeździec dźwiga swego rumaka. Niechaj nie usiłuje mi pan wmówić, że jest rzeczą równie łatwą wlec za sobą stonunkowo dużą, martwą żelazną maszynę, jak poruszać się samemu w sposób naturalny. Twierdzenie takie to oczywisty nonsens.

— A mimo wszystko jestem w stanie przy pomocy maszyny w jednym dniu posunąć się o sto mil dalej, aniżeli mógłbym to uczynić bez niej. Na tem polegają cuda mechaniki. Wiem jednak o tem, że przy pani i wspomniałem jej zwierzęciu przedstawiamy ja i moja maszyna parę nad wyraz nędzną, żaden przechodzień nie obdarzy nas choćby przelotnem spojrzeniem, podczas gdy pani najzupełniej zasłużenie zwraca na siebie ogólną uwagę.

Rzuciła mu spojrzenie, od którego doznał zawrotu głowy i nagłego bicia serca. Te błyski w jej oczach należały do rzędu starych nawyczek. Pozostała im wierna z zamiłowania do żartów i nawet nie miała o tem pojęcia, jakie wywierają one wrażenie na sercach bardziej zapalnych. By więc pokryć zmieszanie, zagadnął pośpiesznie:

— Czy sir Charles jest w domu?

— Ach tak, oddalił się na chwilę z powodu pewnej sprawy, którą uważam za najzabawniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek dane mi było w ży-

ciu poznać. Proszę sobie wyobrazić, że człowieczy-  
na, który zamieszkuje tam w dole na Riverside Road  
sam jeden chałupinę tak szczupłą, jak skarbonka  
dla dzieci — już pan wie, o czym myślę — i który  
nazywa tę domowinę dworkiem Sallustyusza, otóż  
człowiek ten twierdzi, że przysługuje mu prawo uży-  
wania drogi, prowadzącej przez nasze pastwisko.  
Czyż wogóle może tu być mowa o jakimkolwiek  
prawie, skoro wyłożyliśmy tyle pieniędzy, by pa-  
stwisko z trzech stron ogrodzić, skoro kazaliśmy  
wznieść mur od strony drogi przejezdnej, skoro ka-  
zaliśmy teren wyrównać, zasiać, zdrenować i Bóg  
wie co jeszcze w dodatku uczynić. A teraz twierdzi  
ów człowiek, że wszystkim lud i wszystkie włóczęgi  
z okolicy mają prawo przechodzić w poprzek na-  
szego pastwiska, z tej tylko przyczyny, że są oni  
za leniwi, by pójść dookoła drogą cokolwiek dalszą  
przez gościniec. Sir Charles udał się więc do owego  
człowieka, by z nim na rozum pomówić. Naturalnie  
że nie uczynił tego, co ja mu doradzałam.

— A co takiego?

— Radziłam mu, by napisał do owego człowie-  
ka, że należy zakrzętnąć się około swoich własnych  
spraw i by mu oświadczył bez ogródek, że pier-  
wszy człowiek, którego przychwyci się na próbie  
przedstawiania się na nasze terytorium, zostanie  
wydany w ręce policyi.

— Wobec tego trudno mi będzie zastać go przy  
domowem ognisku. Proszę wybaczyć, że na okre-  
ślenie mieszkania państwa używam tego wyrazu, ale  
dom wasz jest dla mnie jedynem miejscem, które  
sprawia na mnie wrażenie zacisznego ogniska.

— Rzeczywiście, przyjemnie jest obecnie u nas

od czasu, kiedy dobudowano salę bilardową i uprzętknięto ze ścian szkaradne portyery. Staralam się o to tak długo...

Przerwało dalszy jej wywód przybycie starego robotnika, który przykuszykał tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to jego reumatyzm w nogach. Przybysz przystąpił bez żadnych wstępów do sprawozdania, powitawszy dziedziczkę uchyleniem czapki z głowy.

— Gromada ludzi zebrała się na nowym trawniku, mylady! Jest tam i pastor i jakaś chorągiew. Sir Charles nie wie, co ma im powiedzieć. Czegoś podobnego nie było jeszcze u nas.

Lady Brandon pobladła i ściągnęła cugle, jak gdyby chciała wstrzymać konia przed nagłym upadkiem. Zmieszany niespodziewanem zajściem, dopytywał się jej towarzysz starego człowieka, co właściwie miały oznaczać jego słowa.

— Pochód zdąża ku nam przez nowe pastwisko — objaśniał zagadnięty — a pan nasz nie jest w stanie powstrzymać natłoku ludzi. W jednym miejscu zburzyli mur, który posiada trzy metry grubości. Wśród ludu znajduje się sam pastor i jakaś chorągiew. Zaś ów mężczyzna, który mieszka w dworku Sallustyusza jest z gromadą, którą słowami swemi zachęca do oporu.

— Zburzyli mur! — krzyknęła lady Brandon i naprzemian różowiła się, to bladła z oburzenia. Jakże wstrętne awantura! Gdzie policya? Czy zechce mi pan, mr. Chester, towarzyszyć i obaczyć, co się dzieje? Sir Charles nie umie sobie dać rady w podobnych wypadkach. Czy uważacie człowieka, że grozi tam komukolwiek niebezpieczeństwo?

— Znajdują się tam dwaj żołnierze policyjni — stwierdził stary robotnik — Ale nie śmia oni przyłożyć ręki do owego człowieka z domku Sallustyusza. Przypatrują się spokojnie wszystkiemu. Jest tam także jeden pastor.

— Muszę przypatrzeć się tej awanturze z bliska — oświadczył Chester.

Lady Brandon zastanawiała się przez chwilę. Złość i ciekawość wzięły w niej przewagę nad lękiem. Dogoniła więc koło, które ją na chwilę wyprzedziło i oboje razem wydostali się przez bramę i gościniec na miejsce wypadku, dokładnie określone przez starego robotnika-posłańca. Kupa gruzów, pochodzących z otworu wybitego w świeżo wzniesionym murze, zalegała w jednym miejscu gościńca po obu stronach. Lady Brandon mogła, uniósłszy się w strzemionach, zauważyć oddział złożony z niespełna trzydziestu ludzi, maszerujący wprost na nią przez pastwisko. Szli w milczeniu i we wzorowym porządku po trzech w jednym rzędzie. Z wyjątkiem kilku młodych, wesołych chłopców, starali się wszyscy przybrać poważny wygląd twarzy, jakgdyby wchodzili w skład jakiejś uroczystej, pobożnej pielgrzymki czy procesyi. Poważne wrażenie, jakie się odnosiło na ich widok, podnosiła znacznie obecność pastora w ich szeregach. Wyglądali na ludzi z warstwy średniej i robotniczej. Nieśli sztandar z napisem: „Ziemia Anglii dla całego narodu“. Były wśród nich również i cztery kobiety, na które Lady Brandon spoglądała z krańcową odrazą i pogardą. Ludzie z najbliższego sąsiedztwa nie odważyli przyłączyć się do pochodu. Stali opodal na gościńcu i rozmawiali szeptem, wybuchając niekiedy głośniejszym

śmiechem z powodu dowcipów, które puszczali w obieg dwaj włóczęgi, zatrzymani w wędrowce przez niezwykle widowisko i lekceważący sobie obecność sir Charlesa.

Sir Charles stał cokolwiek na uboczu, na samem pastwisku i sprzeczał się zapamiętałe z człowiekiem, który, o ile można go było osądzić po wyglądzie, należał do sfery wyższej i z rękoma, pograżonemi w kieszeniach swego jasnobrazowego garnituru, a plecami zwrócony do wyłomu w murze, przypatrywał się z dumą i zadowoleniem przeciągającej procesyi. Lady Brandon odrazu przypuszczała, że człowiek ten jest owym mieszkańcem z domku Sallustyusza. Uniżoność, jaką okazał jej tłum, który ustąpił miejsca i witał uchyleniem czapek, dała jej odwagi. Poczęstowała wierzchowca szpicrutą może nawet zbyt gwałtownie i wpadła z łoskotem kopyt końskich, które strzępy darni wyrzucały w pędzie w powietrze, między ludzi i najechała wprost na jasnobrazowego wroga tak znienacka, że zaledwie miał czas, by w bok odskoczyć i uratować życie. Zebrani na gościńcu ludzie wybuchli salwą śmiechu, wobec czego nieznajomy zwrócił się do niej z upominającym, surowym gestem. Wkrótce jednak rozjaśniła się jego twarz w przyjaznym uśmiechu, utkwił swe ręce z powrotem w zagłębieniu kieszeni, a przywitawszy przybyłą uprzejmym ukłonem, odezwał się:

— Aa, jak się pani powodzi, miss Carpenter? Gdy widziałem panią, z dali nadjeżdżającą, myślałem sobie, że zbliża się atak konnicy.

— Nie jestem żadną miss Carpenter, tylko lady Brandon. Powinien pan wstydzić się, panie Smi-



lasch, sprowadził pan tutaj tych szkaradnych ludzi.

W oczach jego malowało się nieukrywane ubolewanie, że spotkana dama przestała już być ową dawną miss Carpenter.

— Nie jestem żaden Smilasch — odparł — nazywam się i jestem Sidney Trefusis. Właśnie przed chwilą miałem przyjemność zetknąć się po raz pierwszy z sir Charlesem i mam nadzieję, że pozostaniemy obaj najlepszymi przyjaciółmi, skoro tylko uda mi się przekonać męża pani, że nie jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą zagarniać na wyłączny użytek drogi, która należy również jeszcze i do innych ludzi, oraz zmuszać ich do okrażania prywatnego gruntu w promieniu niespełna półtorej mili, podczas gdy przy pomocy tej drogi można bez uszczerbku dla kogokolwiek skrócić sobie wędrówkę przynajmniej o połowę.

— Powiedziałem już panu — zauważył sir Charles — że zamierzam założyć jeszcze krótszą ścieżkę, na której używanie dwa razy w dzień udzielię pozwolenia wszystkim należycie zachowującym się robotnikom, będzie więc pan mógł bez straty czasu najkrótszą drogą udawać się do pracy i wieczorem od niej powracać. Własnym kosztem postaram się o utrzymanie tej ścieżki w odpowiednim stanie.

— Dzięki uprzejmie — odparł oziębłe Trefusis. — Dlaczego jednak właściwie mamy narażać pana na świeży trud, podczas, gdy posiadamy już starą drogę, której możemy użyć i pięćdziesiąt razy dziennie, skoro tylko nie zabraknie nam po temu ochoty i której nie odważy się nam zatarasować żadna żywa istota, z wyjątkiem jakiego awanturniczego dzi-

waka niezadowolonego chwilowo z naszego moralnego prowadzenia się. Zresztą najbliższy pański spadkobierca postarałby się z pewnością o to, by ścieżynę nową zamknąć natychmiastowo z chwilą, w której byłoby mu dane objąć rządy.

— Jeżeli będziesz im ofiarowywał nowe ustępstwa, wówczas dopiero bezczelność ich przekroczy wszelkie przypuszczalne granice — strofowała lady Brandon swego męża. — Po co wogóle obiecujesz im cokolwiek? Nie byłoby dla nich rzeczą uciążliwą gdyby przyszło im zdążyć do karczmy półtorej a nawet choćby i dwadzieścia mil, ale kiedy chodzi o robotę, wówczas i odległość jednego metra staje się dla nich przepaścią nie do przebycia. Najchętniej zgodziliby się na wypożyczenie im naszych powozów, by ich codziennie przywoziły i odwoziły.

— Ani na chwilę nie wątpię, że przyjętoby tego rodzaju uprzejmą usłużność z ogólnym aplauzem — stwierdził Trefusis, spoglądając na nią przyjaźnie.

— Proszę Jane, pozostaw mi już uporządkowanie tej sprawy. Wogóle nie jest to miejsce dla ciebie stosowne do dłuższego pobytu. Proszę zechciej towarzyszyć Erskinowi do domu...

— Dlaczego policya nie postara się o usunięcie zbiegowiska? — dopytywała się lady Brandon, która była nadto wzburzona, by mózdz zwracać uwagę na żądania męża.

— Proszę Jane uspokój się. W jaki sposób mają sobie dać tutaj radę trzej ludzie przeciwko trzydziestu czy czterdziestu?

— Powinni przynajmniej załatwić się z jednym wybranym z pośród zbiegowiska na dobry przykład.

— Żołnierze policyjni oświadczyli w najbardziej przepisowej formie natychmiastową gotowość przyaresztowania mej osoby, skoro tylko sir Charles wyda ku temu wyraźne i stosowne zarządzenie — wyjaśniał jej położenie Trefusis.

— A więc! — pochwyciła zapamiętałe lady Jane zwracając się w stronę męża. Dlaczegoż nie każesz przymknąć tego człowieka, czy też któregośkolwiek innego?

— Ależ nie rozumiesz się na tem ani trochę — starał się uśmierzyć jej energię sir Charles, który zaczął niecierpliwić się i doznawać uczucia wstydu zmiarkowawszy, że żona ośmiesza go publicznie.

— Jeżeli więc nie chcesz ty tego uczynić, wówczas ja to zrobię — wywodziła lady w niepowstrzymanym zapale. Cóż za bezczelność, by obcy ludzie przemocą nachodzili własność prywatną i włamywali się przez mur! Ładne mogłyby nastać stosunki, gdyby wolno było rozporządzać obcem mieniem według upodobania! Każę aresztować całe to towarzystwo.

— Czy zdobyłaby się pani na to, by mię wtrącić do więzienia? — zapytał Trefusis żalonym głosem.

— Nie myślałam wyraźnie o panu — odparła cokolwiek łagodniej. — Każę jednak przedewszystkiem zaaresztować pastora, który powinien w pierwszym rzędzie odznaczać się rozwagą i przyświecać przykładem. On to jest aranżerem całej awantury.

— Zapewniam, że będzie zachwycony tem zarządzeniem. Człowiek ten nie pragnie niczego więcej ponad sposobność do męczeństwa. Czy rzeczywiście każe go pani aresztować?

— Naturalnie — potwierdziła zapamiętałe i wzmocniła swe zapewnienie przez tak gwałtowne poruszenie się w siodle, że wierzchowiec zaczął się niepokoić.

—A na czyją odpowiedzialność? — dopytywał się poważnie Trefusis i spoglądał ku niej dobrotliwie, starając się równocześnie o uspokojenie konia.

— Wszystko mi jedno na czyją... — odparła zauważywszy, że Trefusis przygląda się jej z wyrazem podziwu i nie bez zachwytu. — Po prostu mają go policyjanci odprowadzić ze sobą i sprawa skończona.

Ludzie, którzy używają jazdy konnej, czują się do pewnego stopnia centaurami, stąd też uchodzi u nich wszelka swoboda, na jaką pozwala sobie ktokolwiek wobec ich koni, równocześnie za rodzaj poufałości wobec własnej ich osoby. Sir Charles zauważył, że Trefusis pieści gniadosza jego żony i czuł się tem tak urażony, jakgdyby pieczyoty te przyjmowała bezpośrednio lady Brandon. Gnębiła go myśl, że żona jego pozwala obcemu człowiekowi na tego rodzaju poufałość.

Odetchnął głębiej, gdy się zbliżyła procesya. Zbici w gromadę ludzie zatrzymali się w pochodzie, a przodownicy podeszli do Trefusisa, który przemówił do nich głosem poważnym:

— Dżentelmeni! winszuję wam waszej stanowczości, z jaką zastępowaliście dzisiaj interesy ludu, ponieważ chodziło w tym wypadku o obronę przed zużyciem jednego z tych niewielu skrawków ziemi, których nam jeszcze nie zrabowano.

— Panowie! — krzyczał jeden z bardziej podnieconych czy gorliwych członków procesyi —

wznieśmy trzykrotny okrzyk na rzecz zwrotu ziemi angielskiej angielskiemu ludowi. Hip, hip, hurra.

Okrzyki powtórzono wśród gromadnego entuzjazmu, a za każdym ich odgłosem zabarwiały się policzki sir Charlesa ciemno-pąsowo. Nie bez złości spozierał on na pastora, ale ten nie miarkował nic z tego, gdyż był zupełnie pochłonięty przez wdzięk postaci lady Brandon, która na dowód swej pogardy dla tłumu wydeła odpowiednio usteczka, co właściwie sprzyjało rysunkowi jej warg.

Za chwilę oddzielił się od grupy zebranej na gościńcu robotnik w średnim wieku i wszedł na trawnik pastwiska. Kapelusz trzymał w ręce, skłonił się zgromadzeniu z szacunkiem i przemówił:

— Bo to sprawa tak się ma sobie, panie Charles. Proszę przede wszystkim zupełnie nie zwracać uwagi na tych hultajów tutaj. Niema wśród nich ani jednego człowieka z sąsiedztwa, niema ani jednego zajętego u ciebie lub pracującego na twojej roli. Polecamy się pamięci łaskawego naszego pana i wielmożnej pani dobrodziejki oraz ufamy, że państwo uczynią wszystko, by było nam dane, co się nam słusznie należy. Wcale nie życzymy sobie obcych natrętów z Lunnon, którzy starają się rzucić zarzewie niezgody czy nieporozumienie zaszcześcić między nami a waszą łaskawością...

— A ty psie nędzny — huknął w kierunku mowcy Trefusis — jakim prawem możesz obdarzać jego nienarodzone dzieci wolnością twoich nienarodzonych dzieci?

— Nie posiadamy nienarodzonych dzieci — ze-

znała lady Brandon z niechęcią — co dowodzi tylko jak ściśle są pańskie wiadomości.

— I u mnie w domu niema żadnych dzieci — oświadczył uroczyście człowiek napadnięty i był dumny z faktu, iż przybyła mu z pomocą sama łaskawa dziedziczka.

— A kto pan jest właściwie, że ośmiela się nazywać mnie psem?

— Kim jestem? Jestem człowiek majątny, jeden z waszych panów i chlebobawców, i stąd posiadam przywilej przezywania was, jak mi się tylko spodoba. Jesteście człowieku niewolnikiem, który się czołga i napół przymiera głodem. A teraz proszę ruszajcie i domagajcie się od prawa ochrony przed samowolą z mej strony. Mogę zakupić każde rozporządzenie prawne, by orzekało na moją korzyść i mógłbym zniszczyć ciebie, gdyby mi na tem zależało. Kosztowałyby mnie to w każdym razie mniej, aniżeli najzwyczajniejsze polowanie w Szkocyi. Jakże się wam ten stan rzeczy podoba, he?

Wiernopoddańczy mowca wyglądał, jak jaki zdruzgotany przedmiot.

Po dłuższej przerwie wyksztusił ze siebie odpowiedź: — Sir Charles nie opuści mnie w razie potrzeby — przyczem bojaźliwy wzrok jego spoczął na baronecie z wyrazem wymuszonego zaufania.

— Jeżeli pan Brandon wesprze pana po wysłuchaniu pańskiej odpowiedzi na moją przemowę, wypowiedzianą w obronie praw waszych, praw robotników, jeżeli on to uczyni, wówczas wiem jedno: że większy z niego idyota, aniżeli kiedykolwiek przypuszczałem.

— Tylko spokojnie, tylko spokojnie — upomi-

nał pastor, — za usprawiedliwieniem biedaka przemawia wiele.

— Zachowuję się tak spokojnie, jak ksiądz sobie tego właśnie życzy, wobec każdego człowieka, który jest swobodny — oświadczył Trefusis. — Inaczej ma się rzecz z niewolnikami. Niewolników trzeba podżegać, a ten biedak jest niewolnikiem do szpiku kości.

— Mimo to należałoby być dla niego wyrozumiałym. On nie pojmuję...

— On pojmuję o wiele więcej od pana mój pastorze — rzekła, przerywając mu lady Brandon. A prosty ten fakt kompromituje pana tem bardziej, ponieważ pan sam powinien o nim wiedzieć jak najlepiej. Przyjmuję, że pan gdzieś kiedyś odebrał należyte wychowanie i wątpię, czy może pan być zadowolony ze siebie. Co pan jednak uczyni sam ze sobą, jeżeli biskup dowie się o pańskim udziale w dzisiejszej procesyi?—Poczem, zwracając się do Trefusisa z dziecinnym grymasem na twarzy, jak gdyby już bliską była płaczu, ale niestety przez przemoc okoliczności zmuszona do uśmiechu, oświadczyła:

— Może pan śmiać się, ile ma pan ochoty po temu i nie potrzebuje pan wcale zadawać sobie trudu z odgrywaniem komedyi, przy pomocy której pragnie pan wmówić naturalnie we mnie, że go dławi kaszel, ale wszystko to razem nie zmieni mego postanowienia, by napisać natychmiastowo do biskupa i domagać się od niego ukarania demonstrującego pastora.

— Na miłość boską, Jane, proszę cię, umilknij

już raz wreszcie — prosił sir Charles, chwytając konia jej za uzdę i odciągając go od Trefusisa.

— Nie chcę milczeć. Jeżeli tobie przypało do gustu przyglądać się spokojnie, jak tu powoli cały mur rozbiorą i rozniosą po kamyczku w kieszeni nie ma jeszcze powodu, bym i ja się na to zgodziła. Nie życzę sobie tego. Dlaczego nie umiesz wpłynąć na policyę, by wystąpiła energicznie?

— Ależ policyca nic nie może tutaj wskórać, tłumaczył się zawstydzony do ostateczności sir Charles. Ja również nic nie wskóram, dopóki nie porozumiem się z moim adwokatem. Jak ty możesz zwracać na siebie uwagę publiczną i kłócić się tutaj z tymi ludźmi. Poniżasz przez to swoją godność i obniżasz powagę.

— Ładnie powiadasz o godności, ale ja nie rozumiem godności, która zezwala, by obcy ludzie, bez udzielonego im pozwolenia spacerowali sobie po obcym terytoryum. Mr. Smilasch, czy zechce pan skłonić tych ludzi do natychmiastowego cofnięcia się z naszego pastwiska oraz czy zapowie im pan, że przeciwko wszystkim wystosowane zostanie doniesienie karne z prośbą o przyaresztowanie?

— Ludzie ci zdążają do miejsca, gdzie krzyżują się drogi, by tam odbyć wielkie publiczne zgromadzenie i wygłosić naturalnie szereg mów. Otóż kazano mi pani oświadczyć, że ludzie ci ubolewają żywo, jeżeli którekolwiek oświadczenie, jakie padło tutaj wskutek znanego pani zajścia po drodze, w czemkolwiek uraziło osobiście lady Brandon.

— Jest to ich powinnością — odpowiedziała. — Sądząc jednak po wyglądzie tych ludzi, trudno ich było podejrzewać o jakiegokolwiek przygnębienie.



Rzecz naturalna, że z wolna opanowuje ich lęk na myśl o tem, na co się odważyli i niezawodnie byliby oni szczęśliwi, gdyby udało im się przez zgrabne słowne usprawiedliwienie uniknąć skutków lekko-myślnego postępu. Ale próżne usiłowania. Nie jestem tak ograniczona, jak im się to wydaje.

— Ależ — wcale tak nie myślą, czego zresztą dowiedli przez swoje postępowanie.

— Jane — zagadnął sir Charles wielce niezadowolony z przebiegu rozmowy — czy ty znasz tego pana?

— Naturalnie, że znam go — odparła lady Brandon, udzielając swej odpowiedzi stanowczego nacisku.

Trefusis skłonił się ceremonialnie, jak gdyby przedstawiono go według wielkich wymogów towarzyskich baronowi, który odpowiedział na ukłon z rozmysłu sztywnie, skoro nie mógł już zupełnie zlekceważyć mężczyzny tamtego, od siebie bardziej stanowczego i jak bieg wypadków wykazał wielce obrotnego.

— Udział mój w demonstracyi, sir Charles, uchodzić musi za postępek, sprzeciwiający się ogólnie przyjętym zasadom co do względów sąsiedzkich — stwierdzał Trefusis zupełnie swobodnie. — Ale chodzi w tym wypadku o sprawę, że tak powiem, publiczną, której oddźwięki nie powinny się przekradać na teren naszych prywatnych stosunków. Przynajmniej niechaj mi wolno będzie spodziewać się tego.

Sir Charles skłonił się ponownie, tym razem jeszcze bardziej ozięble, aniżeli przedtem.

— Jestem tak samo, jak i pan, kapitalistą i właścicielem dóbr...

—Do czego nie ma pan najmniejszego prawa — o ile poprzednie pańskie wywody mam brać poważnie — przerwał mu Chester, który milcząc jak dotąd stał u boku sir Charlesa.

— Niezawodnie, że nie mam prawa — potwierdził Trefusis i spojrzał w jego stronę z niemałym zaciekawieniem. — Niestety nie mogę na razie nic zmienić pod tym względem. Ale czy mam przyjemność rozmawiać z panem Chester Erskine, twórcą tragedyi p. t. „Narodowi męczennicy“ poświęconej w pełnem uniesień oddaniu idei wolności i niektórym osławionym jej bojownikom, a oskarżającej w przejmujących słowach ostatniego z samodziurców i Napoleona III. z powodu tyrańskich ich rządów?

— Tak jest proszę pana — odrzekł Erskine, i zapłonął rumieńcem, gdyż wyczuł, że ośmiesza go tego rodzaju określenie jego dramatu w oczach obecnych, którzy nie czytali wymienionego dzieła.

— Aa — wobec tego — rzekł Trefusis i wyciągnął prawicę w stronę Erskina, który był przekonany w pierwszej chwili, że zamierza mu dłoń uściśnąć — proszę ofiarować jedną pół-koronę na opędzenie kosztów naszego dzisiejszego przedsięwzięcia, zmierzającego do zapewnienia ludowi swobodnego poruszania się po ziemi, na której obecnie stoimy.

— Nie powinien pan tego uczynić Chester — krzyczała lady Brandon.

—Czegoś podobnego nie wydarzyło mi się jeszcze usłyszeć w mem życiu. Raczej niechaj zapłaci pan panie Smilasch za mur i płot, które rozwalili

pańscy ludzie; byłoby to w każdym razie bardziej odpowiednie.

— Gdybym zdołał znaleźć tysiąc mężczyzn równie dzielnych, jak pani lady Brandon, doprowadziłbym do skutku najbliższą wielką rewolucję przed upływem pierwszej połowy bieżącego roku.

Przypatrywał się jej przez chwilę badawczo, jakgdyby chciał sobie coś ważnego przypomnieć i zagadnął ją po chwili nagle:

— Jak się powodzi przyjaciółkom pani? Była wśród nich niejaka miss, miss... zdaje mi się jednak, że zapomniałem wszystkie ich nazwiska z wyjątkiem przynależnego pani.

— Gertruda Lindsay bawi obecnie u nas w gościnie. Przypomina pan ją sobie?

— Zdaje mi się, że mało, a obawiam się, że wcale nie. Proszę o chwilę namysłu. Czy nie jest to owa dumna, młoda dama?

— Tak to ona — potwierdziła skwapliwie lady Brandon i zapomniała z tą chwilą o swej urazie z powodu muru i płotu. — Ale czy domyśla się pan, kto przybywa do nas w najbliższy czwartek? Spotkałam tę osobę przypadkowo w mieście podczas ostatniej mej wycieczki do stolicy. Nic a nic nie zmieniła się od czasów pensyonarskich. Nie mógł pan jej zapomnieć, proszę nie udawać tak bez nadziejnie roztargnionego.

— Wcale mi pani jeszcze nie powiedziała, o kogo w przybliżeniu chodzi, więc trudno wymagać, bym mógł sobie przypomnieć. Nie powinna pani zresztą spodziewać się po mnie, bym każdą osobę tak szybko rozpoznawał, jak panią.

— Cóż za wykręty. Agatę pozna pan jednak natychmiastowo.

— Agata Wylie! — zawołał i spoważniał nagle.

— Ona sama, przybywa w czwartek. Cieszy się pan?

— Obawiam się, że nie nadarzy mi się sposobność ujrzenia jej.

— Ależ rzecz sama w sobie zrozumiała, że musi pan z nią się zobaczyć. Będzie nad wyraz wesoło, kiedy zejdziemy się wszyscy razem, jak za dawnych czasów. Czy nie może pan spożyć z nami drugiego śniadania w czwartek?

— Będę się czuł rozpromieniony, jeżeli wolno mi będzie odwiedzić państwa mimo dzisiejszy mój występ.

— Tamtą sprawę załatwią nasi adwokaci. Obecnie, skoro pan już wie, kto jesteśmy, poniecha pan zapewne rozwalania naszych murów.

— Naturalnie — przyrzekał Trefusis wesoło i wyjął z kieszeni notatnik, by zapisać sobie dzień zaprosin.

— Muszę obecnie śpieszyć się, by jak najprędzej dostać się do miejsca, gdzie krzyżują się drogi. Najprawdopodobniej obrali mię już zaocznie przewodniczącym i oczekują obecnie na uroczyste otwarcie zebrania. A więc do widzenia. Dzięki pani stała się dla mnie okolica, która znużyła mię już swą monotonią ostatecznie, najniespodziewaniej bardzo zajmująca.

Wymienili ze sobą spojrzenia, jak to dawniej zwykli byli czynić, kiedy ona bawiła jeszcze w pensjonacie. Poczem pożegnał Trefusis sir Charlesa lekkim schyleniem głowy, Erskine'a serdecznym

gestem dłoni i pośpieszył za pochodem, który znikł był z horyzontu.

Sir Charles, który już od dłuższego czasu brał rozpęd, by przemówić, ale nieustannie przeszkadzała mu własna żona, która żywo rozprawiała z niemniej gadatliwym Trefusisem, zwrócił się obecnie z niemałym podnieceniem do lady Brandon i zagadnął:

— Co właściwie ma oznaczać zaproszenie wy-stosowane do tego młodego człowieka, by odwiedził mój dom?

— Rzeczywiście t w ó j dom! Zapraszam, kogo mi się podoba widzieć u siebie. Mam wrażenie, że znowu zaczynasz się unosić.

Sir Charles oglądnął się za siebie, Erskine usunął się dyskretnie i przymocowywał na środku gościńca śrubkę u swojego koła. Pozostałe osoby znajdowały się w odległości, która nie pozwalała na podsłuchanie rozmowy.

— Kto to taki, do czarta i skąd ty przychodzisz do znajomości z nimi — pytał sir Charles. Gniew go unosił, gdyż zresztą nigdy nie pozwalał sobie na przekleństwa w obecności dam.

Wobec żony stawał się wyjątkowo swobodny i to tylko wówczas, kiedy znaleźli się we dwoje.

— W każdym razie jest on dżentelmanem, czego o tobie powiedzieć nie można — zawyrokowała lady Brandon i ugodziła nagle konia szpicrutą, która świsnęła w powietrzu i prawie, że musnęła plecy gwałtownego małżonka. Gniadosz wspiał się i jednym susem przesadził wyłom w murze.

— Podążaj pan za mną — wzywała lady Bran-

don Erskine'a. — Gotowiśmy spóźnić się na drugie śniadanie.

— Czy nie powinniśmy raczej zaczekać na sir Charlesa? — zauważył jej towarzysz nieopatrnie.

— Zostaw mię pan w anielskim spokoju z sir Charlesem, który popadł łaskawie w zły humor — odrzekła szorstko, wcale nie zniżając głosu. — Proszę, podążaj pan za mną.

— Ruszyła z miejsca w galopie. Erskine puścił się na swem kole w ślad za nią i zastanawiał się podczas drogi nad niefortunną porą, jaką obrał sobie dla odwiedzin w majątności Brandon.

## XII.

W najbliższy czwartek znalazły się Gertruda, Agata i Jane ponownie razem, po raz pierwszy od czasu, kiedy opuściły mury szkolne w Alton. Agata była najmniej wylana z pomiędzy wszystkich trzech dam i najmniej zmieniła się pod względem zewnętrznego wyglądu. Osobiście była ona przekonana, że odróżnia się wcale znacznie od Agaty z Alton, ale w gruncie rzeczy zmieniła ona tylko pojęcie o sobie samej, istota jej jednak pozostała ta sama. Spodziewała się podobnej przemiany u swych przyjaciółek i powątpiewała poważnie, czy spotkanie ich będzie mogło obfitować w momenty rozweselające.

Wątpliwości, jakie żywiła w tym kierunku, odnosiły się raczej do Gertrudy aniżeli do Jane, albowiem lady Brandon zachowała dawniejszy sposób wzięcia, myślenia i wysławiania się, jak to miała sposobność zauważyć podczas krótkiego spotkania w Londynie. Do pewnego stopnia zdołała Jane

wzbudzić w Agacie większy szacunek, aniżeli to było ongi możliwe w stosunku do miss Carpenter, gdyż z wielkiej, niezgrabnej dziewczyny wyrosła ona na piękną kształtną damę i zdołała zaraz w pierwszym balowym sezonie wyjść doskonale zamąż, podczas gdy wiele jej pięknych, dumnych i wiele rozsądnych rówieśniczek, którym Jane zazdrościła zespołu przymiotów w szkole, trwało obecnie nadal w stanie panieńskim i musiało znosić udrękę domowego ogniska, odczuwając boleśnie, jak rodzice ich radziby pozbyć się słodkiego ciężaru i zasilić nadwężoną swą kiesę przez świetne wypchanie ich zamąż i stworzenie im wpływowego stanowiska w towarzystwie.

A właśnie podobnie działo się z Gertrudą. Odrzuciła ona również jak i Agata wszystkie nadarżające się propozycje małżeńskie. Świetność rodowego pochodzenia napawała ją dumą i nie chciała nic mieć wspólnego z ludźmi, którzy nie mogli dorównać jej pod tym względem. Wykluczyła więc wszelkie nastęrczające się znajomości z licznymi, zamożnymi rodzinami, które prowadziły dom na wytwornej stopie, ponieważ nie umiały one wykazać się odpowiednimi przodkami, czy też wstydziły się wyjawienia ich. Zamknawszy sobie dostęp do tych kół, postarała się o zaproszenie na dwór królewski i odtąd bywała tylko w tych domach, które doznawały już tego samego zaszczytu lub też zdaniem jej posiadały do niego pełne prawo. Uprawiała pod tym względem bardziej surowy census od samego lorda Chamberlaina, któremu zarzucała, iż poniżył swą godność rodową, gdyż stał się czemś w rodzaju prawdziwego komunisty.

Odnaczała się Gertruda wzorowem wychowaniem, delikatnym sposobem obejścia się i wytwornymi manierami, a przepisy etykiety znała tak dokładnie, że każdego nowicyusza musiała zasobem swej wiedzy w istne wprawiać zdumienie. Była bardzo zgrabnie zbudowana i posiadała piękne zęby. Twarzyczka jej zbliżała się do klasycznego typu greckiego, psuły jednak całość lekko do góry zadarty nosek i cokolwiek za silnie uwyrażniony rysunek dolnej szczęki. Ojciec jej był pensyonowanym admirałem. Posiadał on wystarczające wpływy, by móżdż synowi swemu, który wytrwale zdążał do bogatego ożenku, wyrobić rentowną synekurę przy pomocy konserwatywnego rządu. Ale Gertruda nie wychodziła za mąż i admirał uskarżał się na jej niepowodzenie i na ciężar, jaki na nim z tego powodu spoczywał, a skarżył się tem bardziej, że dbał o staranne jej wychowanie z większym wysiłkiem pieniężnym, aniżeli pozwalały mu na to skromne jego środki i nadal pokrywał kosztowne występy swej córki. Wszystko to jednak razem składało się na okoliczność, iż dalszy pobyt w domu rodzicielskim stał się dla Gertrudy wprost nieznośny. Doszła z czasem do tego, że chętnie byłaby oddała rękę każdemu dżentelmanowi z dobrej rodziny, bez względu na jego wiek i charakter, byle tylko uwolnił ją od tej upokarzającej zależności. Była już przygotowana do wyrzeczenia się tego wszystkiego w męczyźnie, za czem tęskniła dziewczęca jej natura, nie myślała już o młodości, urodzie i dzielności przyszłego małżonka, byle tylko jak najprędzej móżdż zejść z oczu rodzinie. Na jednym punkcie tylko trwała niewzruszenie przy swych przekonaniach:



wolała raczej zejść ze świata jako stara panna aniżeli wejść w związki małżeńskie z jakimkolwiek dobrokiewiczem.

Wszystkie te plany i zamiary rozbijały się o kwestyę pieniężną. Admirał był człowiekiem ubogim. Dochody jego wynosiły zaledwie sześć tysięcy funtów szterlingów rocznie i jakkolwiek obracał on niemi z największą skrupulatnością, by utrzymać dom na najwyższej stopie, nie był jednak w stanie ofiarować córce żadnego posagu. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności posiadali młodzieńcy, obracający się w ich kołach towarzyskich, o wiele więcej krwi błękitnej aniżeli pieniędzy wystarczających na opędzenie potrzeb codziennego życia. Podziwiali oni wszyscy Gertrudę, prawili jej słodkie grzeczności, tańczyli z nią, ale żaden z nich nie mógł pozwolić sobie na to, by się z nią ożenić. Niektórzy wyznawali to jej wprost z ujmującą szczerością. Żenili się więc z bogatemi córami handlarzy herbata, właścicieli hut żelaznych lub szczęśliwych spekulantów giełdowych i starali się potem nawiązać stosunki towarzyskie między „dobrze urodzoną“ Gertrudą, a swymi szwagrami z niskiego pochodzenia.

Znajdowała się więc Gertruda w położeniu nie do pozazdroszczenia, kiedy szczęśliwy traf sprowadził ją w Londynie z lady Brandon, dzięki czemu otrzymała zaproszenie do Brandon Beeches, które przyjęła z prawdziwym zadowoleniem, gdyż mogła w ten sposób ujść bolesnym drwinom admirała z dnia na dzień wskazującego na konieczność ogłoszenia w „Timesie“ anonsu z ofertą małżeńską. Zaprosiny odpowiadały jej tem więcej, że sir Charles nie należał do świeżo upieczonej szlachty, a co się zaś ty-

czyło Jany, to już za czasów szkolnych, które przedstawiały się jej obecnie jako najszczęśliwsza epoka jej życia, miała sposobność stwierdzić, iż rodzina i koło znajomych tej koleżanki należały tuż obok jej własnych do najwytworniejszej z pośród wszystkich domów, jakie reprezentowane były w Alton. Agacie, której ojciec zdobył był sobie wielki majątek, jako właściciel gazowni, nie ofiarowywała się Gertruda nigdy ze swą przyjaźnią. Agata zdobyła ją sobie po prostu przemocą dzięki przewadze umysłowej, a częściowo i fizycznej. Ale mimo to gazownie nie poszły w niepamięć i kiedy lady Brandon zapowiedziała Gertrudzie jako rozkoszną nowinę, że odnalazła dawną wspólną przyjaciółkę z ławy szkolnej i zaprosiła ją również do Brandon, wiadomość ta niezbyt wielką przyjemność sprawiła w pierwszej chwili nieugiętej, młodej arystokratce. Swoją drogą, kiedy się już znalazły wszystkie trzy razem, zabłyśnieły łzy w oczach jedynej Gertrudy, była ona bowiem najmniej szczęśliwa z pośród nich, a duma jej doznała poważnych uszczerbków, jakkolwiek nie zdawała ona sobie na razie z tego sprawy.

Wydawało się Gertrudzie, że Agata wraz z utratą cech podlotka stała się równocześnie bardziej dzielna, energiczna i zwinna. W istocie jednak musiała Agata zebrać wszystkie siły celem opanowania się i ukrycia owładających nią niepewności i zmieszania. Nie uszło równocześnie jej uwagi wzruszenie malujące się na obliczu Gertrudy, która wkońcu nie starała się już ich ukryć i byłaby niewątpliwie szukała w wypowiedzeniu się ulgi dla swej udręki, gdyby nie tresura towarzyska, która nie tylko nakazy-

wała tłumienie uczuć, ale i równocześnie pouczała, jak należy przystrajać uczucia w słowa.

— Czy wspominiacie jeszcze niekiedy miss Wilson? — zagadnęła Janę, gdy jechały we trzy w powozie od stacyi kolejowej do Brandon Beeches.

— Czy pamiętacie jeszcze mrs. Miller i jej kocura? Nie zapomnieliście o księdze wykroczeń? A czy przypominacie sobie, jak to się stało, kiedy wpadłam do kanału?

Wspomnienia szkolne dostarczyły obfitego materiału do rozmowy na przeciąg czasu jazdy aż po chwilę, kiedy wysiadły z powozu i udały się do pokoju przeznaczzonego dla Agaty. Jane musiała obecnie zakrzatnąć się około zajęć gospodarskich i rozstać się na chwilę ze swemi koleżankami. Czyniła to z widoczną niechęcią, gdyż była zazdrosna z powodu Gertrudy, obawiając się, by ona nie ubiegła jej w pozyskaniu życzliwości i serdecznego zbliżenia się ze strony Agaty. Usiłowała więc nawet pociągnąć za sobą swą współzawodniczkę, ale napróżno, gdyż Gertruda nie chciała ruszyć się z miejsca.

Gdy już Jane odeszła, zauważyła Agata:

— Jaki piękny dom i jak wspaniały cały ten wiejski zakątek!

A sir Charles jest wprost zachwycający! Zawsze wyśmiewaliśmy Jane, a teraz może ona zakpić sobie nawet z najszcześniejszej z byłych swych koleżanek. Twierdziłam stale, że ona na oślep dostanie się w sam środek tuziemskiego szczęścia.

Czy to prawda, że wyszła za mąż w pierwszym swym sezonie balowym?

— A tak. Ten sir Charles odznacza się nietuzinkowem wykształceniem. Nie mogę pojąć tego

wszystkiego. Wszak rozmiar jej kształtów przekracza granice najzwyczajszego smaku i maniery jej są okropne.

— No, niezawodnie! — przyznała Agata z chytym grymasem twarzy. — Jane posiadała zawsze coś w sobie, co przyciągało mężczyzn. A jest ona bardziej przebiegła, aniżeli by przypuszczać należało z jej głupawego zachowania się. Bądź co bądź jednak w każdym razie nie ulega wątpliwości, że poważna z niej oślica.

Gertruda zmierzyła koleżankę spojrzeniem surowym dla zaznaczenia, że odwykła obecnie od wysłuchiwania dosadnych określeń i zwrotów. Agata, podrażniona tą cichą manifestacją, postanowiła nie ustawać w swych wywodach.

— My obie uważamy się za przynajmniej podwójnie tak dorodne i powabne, jak ona, a jednak w gruncie rzeczy jesteśmy stare panny.

Gertruda rzuciła się jak oparzona, ale Agata dorzuciła szybko, nie pozwalając jej przyjść do słowa:

— A w dodatku zaznaczyć należy, że ty na przykład jesteś niezwykle piękna! Zresztą nie ulega wątpliwości, że Jane zaprosiła nas po to, by wydać nas za mąż.

— Nie odważyłaby się przecież — — —

— Nonsens, kochana Gertrudo. Jane uważa, że stanowimy, my obie, parę głupic, które sfuszerowały sprawę pocziwego żywota, a ponieważ sama musiała się urządzić nienagannie, więc drobnostką jest dla niej pośpieszyć nam z pomocą. Czyż nie wspomniała ci przed moim przyjazdem, że czas już najwyższy, abym wyszła za mąż?

— Istotnie. Ale... —

— Dokładnie to samo powiedziała mi, co tobie wówczas, kiedy mnie zapraszała.

— Opuściłabym ten dom natychmiast—oświadczyła Gertruda — gdybym tylko zauważyła, że ona zamierza wtrącać się do moich spraw osobistych. O ile może się ona zajmować sprawą mego zamążpójścia, czy też staropanieństwa?

— Gdzie przebywałaś w ostatnich latach, skoro nie wiesz, że kobieta, która zrobiła tak zwaną dobrą partję, nie ma innego pilniejszego zajęcia, jak tylko włożenie czepka na głowę swych niewydanych jeszcze przyjaciółek. Jane nie żywi żadnych złych zamiarów. Czyni to, co z nami zamierza, z popędu dobrego serca.

— Nie potrzebuję popędów jej serca.

— I ja również. Ale nic to nie szkodzi, niechaj ma swą niewinną rozrywkę w tem, że przedstawi mi do wyboru znajomych mężczyzn. Cicho! Nadchodzi już.

Gertruda umilkła. Nie mogła dopuścić do sprzeczki z lady Brandon bez konsekwencji, jaką musiałoby być opuszczenie jej domu, a opuszczenie to spowodowaćby musiało powrót do rodziców. W cichości jednak postanowiła zachować się oziębło wobec uprzejmości, jakie okazywał jej Erskine, gdyż zaczęła podejrzewać, że nie jest on wcale w niej zakochany mimo solenne zapewnienia z jego strony, lecz tylko postanowił się z nią ożenić wskutek polecenia udzielonego mu przez Jane.

Chichester Erskine zajmował się swego czasu w Palestynie szkicami rysunkowymi wspólnie z sir Charlesem, z którym odbył również niejedną wę-

drówkę po licznych galeryach europejskich. Był to młodzian szlacheckiego pochodzenia, który odziedziczył po matce rentę roczną w kwocie pięciuset funtów szterlingów, podczas gdy główny majątek rodziny przypadł w udziale starszemu jego bratu. Ponieważ nie wykształcił się w żadnym zawodzie a kochał się w książkach i obrazach, więc głównym jego zatrudnieniem stały się sztuki piękne, co służy jako najtańszy sposób do pozyskania wielkiego o sobie mniemania i do nabycia przekonania o subtelności i niezwykłych uzdolnieniach swej organizacyi duchowej. Ogłosił dramat pod tytułem: „Narodowi męczennicy“. Okładkę tej książki ozdobił rysunek wykonany przez sir Charlesa.

Pierwsze wydanie zostało niebawem wyczerpane, gdyż wszystkie egzemplarze rozesłał sam autor z dedykacją do licznych przyjaciół i jeszcze liczniejszych miesięczników i czasopism.

Sir Charles zwrócił się następnie do wybitnego tragika, którego znał, z prośbą o wprowadzenie dzieła na scenę i o odtworzenie głównego z narodowych męczenników. Ale tragik zauważył, że role innych narodowych męczenników są równie wybitne i poważne jak ta, która jemu miała przypaść w udziale. Ponieważ Erskine nie chciał się zgodzić na umniejszenie powagi innych ról i skrócenie miejsc trudnych, wystawienie dramatu nie przyszło do skutku.

Odtąd dźwigał Erskine w sobie pomysł do drugiego dramatu, który miał być wyzwolony od wiążących swobodę twórczą wymogów sceny. Nie rozpoczął jednak jeszcze swego dzieła, albowiem usposobienie do pisania nachodziło go stale w porze nie-

odpowiedniej, zazwyczaj późno w noc, gdy był podniecony trunkiem i odczuwał właściwie ochotę do napisania sonetu. Świeże zaś powietrze poranków oraz wycieczki na kole oddziaływały wprost zabójczo na rozpęd w kierunku tego gatunku poezji, który uznawał za jedynie wartościowy. Tymczasem ułożyły się warunki dla rzeczywistego powstania dramatu, który miał nosić tytuł „Hypatia“, niespodziewanie pomyślnie (mimo jazdę na rowerze), gdyż poeta nasz poznał Gertrudę Lindsay i zakochał się w niej. Jej prawie że greckie rysy twarzy oraz niektóre wiadomości z zakresu rachunku różniczkowego, zdobyte podczas pobytu w Alton, zdołały obudzić w nim przekonanie, iż ona właściwie jest najodpowiedniejszym wzorem dla jego bohaterki.

Kiedy damy zeszły na dół, spotkały pana domu i Erskin'a w galerii obrazów, słynnej na całą okolice z tej prostej przyczyny, że kosztowała sir Charlesa bająnskie sumy. Podziwiano właśnie nowe akwaforty i baronet zachęcał panie do podziwiania niezwykłych tonów, jakimi odznaczały się rysunki (Agata była skłonna do ochrzczenia tych tonów mianem wyższego stopnia bazgroty). Sir Charles kilkakrotnie skierował swój wzrok od dzieł sztuki na zegarek i zauważył wkońcu:

— Nakazałem służbie, by punktualnie podała jedzenie.

— Ach, tak, wszystko w porządku—zauważyła lady Brandon, która ze swej strony wydała rozkaz, by nie wzywano do stołu przed przybyciem oczekiwanego gościa.

— Proszę cię, pokaż Agacie portret tego mężczyzny w...

— Mr. Trefusis — zameldowała pokojówka.

Wszedł mr. Trefusis w nieodłącznym swym jasnobronzowym ubraniu. Surdut jego niezbyt szczelnie zapięty. Kroczył z niewymuszoną swobodą i obojętnością, jakgdyby pragnął zaznaczyć, że nie istnieje okoliczność, zmuszająca go do jakichkolwiek względów na zwyczaje towarzyskie.

— Nareszcie zjawia się pan — przyjęła go lady Brandon. — Czy zna pan wszystkich zebranych tutaj?

— Jak się panu powodzi? — zagadnął sir Charles i podał mu rękę z poważnym gestem człowieka wypełniającego powinność wobec gościa swej żony. Trefusis uściśnął podaną dłoń serdecznie, skłonił się uprzejmie w stronę Erskina i spojrzał na Gertrudę z wyrazem, który nie wskazywał wcale na rozpoznanie spotkanej osoby. Mroźne milczenie Gertrudy zdawało się być wyraźnym zastrzeżeniem przeciwko przypuszczeniom lady Brandon, jakoby przybysz miał być jej znajomym. Z kolei zwrócił się Trefusis do Agaty i złożył przed nią ukłon. Agata nie odpowiedziała, lecz stała jakby skamieniała. Lady Brandon poczerwieniała z gniewu. Sir Charles zaś przypatrywał się przyjęciu, jakie spotkało jego gościa nie bez ukrytego zadowolenia, na zewnątrz jednak dał również wyraz zakłopotania, które ogarnęło wszystkich z wyjątkiem Trefusisa. Przybysz ten bowiem zachowywał się zupełnie obojętnie, miał wyraz człowieka w pełnej mierze zadowolonego i mimowoli wywołał wrażenie, że wszyscy inni prócz niego samego zachowali się niestosownie co też w istocie zaszło.

— Oglądaliśmy w chwili, kiedy pan wchodził,



kilka rysunków — pośpieszył się, by przerwać milczenie, sir Charles. — Czy tego rodzaju rzeczy wywołują na panu jakiegokolwiek wrażenie?

Przy tych słowach wręczył Trefusisowi jedną z reprodukcji.

Trefusis spojrział na rysunek z wyrazem, który mówił, że nigdy w życiu nie spotykał się z podobnymi obiektami i że nie wiedział, co ma z tem wszystkim począć.

— Wydaje mi się, że wszystkie te bazgroty nie mają najmniejszego sensu — oświadczył wkońcu nieśmiało.

Sir Charles porozumiał się z Erskinem milczącym a wielomownym spojrzeniem, któremu towarzyszył ledwie widoczny pogardliwy uśmieszek, Erskine, który odczuwał instynktowną odrazę do Trefusisa, zaznaczył dobitnie:

— Niema tu ani jednej bazgroty, która nie miałaby sensu.

— A na przykład to tutaj, co wygląda jak zwichnięta nóżka muchy — co to właściwie przedstawia?

Erskine zawahał się przez chwilę. Ostatecznie jednak opanował się i rzekł: — Rysunek ten przedstawia niezaprzecznie i niewątpliwie — przynajmniej dla mnie — podobiznę zwykłego gościńca.

— Ależ ani śladu z tego nie odnajdę w rysunku — wywodził Trefusis.

— Nigdy na żadnym gościńcu nie było takiego zagłębienia jak to, które tutaj jest widoczne. Tam znowu źle udały krzak ożynowy, a przecież krzaki te nie rosną na gościńcach, zwłaszcza tak ożywionych, jak wnioskować należy z głęboko przez koła

wyżłobionych kolei, najwyraźniej uwidoczniionych.

Odłożył na bok rysunek i nie zdradzał najmniejszej chęci do dalszego oglądania rozłożonej przed nim teki. Po chwili oświadczył:

— Jedyna sztuka, która mię zajmuje, to fotografowanie.

Erskine i sir Charles zamienili ponownie ze sobą znaczące spojrzenia, a Erskine odparł:

— Mojem zdaniem nie jest fotografowanie sztuki, lecz rzemiosłem.

— O ileż przyjemniejszym i doskonalszym od tej sztuki — bronił się Trefusis wskazując na akwaforty i rysunki. — Artyści trwają przy przestarzałej, barbarzyńskiej, trudnej i niedoskonałej technice rysowniczej i malarskiej jedynie z tego powodu, by zachować wartość monopolu, jaką stanowi potrzebna do wykonywania dzieł sztuki przyrodzona zręczność. Nową, o wiele bardziej złożoną i udoskonaloną procedurę fotografowania powierzyli w ręce przemysłowcom. Kręcą nosem z tego powodu, ale tylko dla pozoru, gdyż w gruncie rzeczy uciekają się potajemnie niejednokrotnie do pomocy fotografii. Dojdzie z czasem do tego, że fotografowie wykształcą się na lepszych artystów od tych pomazańców sztuki, a proces ten będzie miał przebieg łatwo zrozumiały, albowiem o ile przy fotografowaniu nie odgrywają zdolności rysunkowe żadnej roli, o tyle stanowi tu sprawność w myśleniu i trafność w osądzaniu niemal wszystko. Przy rysowaniu i nakładaniu barwnych plam nieodzowną jest sprawność dłoni, ażeby stworzyć rzecz dla oczu powabną, a więc wykonanie więcej znaczy, aniżeli proces myślenia i jeżeli chłopak, którego zdolności wystarczają może w sam raz

do dźwignięcia kamieni przy budowie, posiada tyle tylko ambycyi i wytrwałości, ażeby wykształcić sprawność dłoni i wysunąć się cokolwiek naprzód, wówczas nie można go już sprowadzić z powrotem na należne mu miejsce, ponieważ sprawne dłonie należą do rzadkich wyjątków. A proszę przyjrzeć się stosunkom, jakie panują w literaturze. Książki nasze, jako owoc pracy technicznej, są dziełem drukarzy i fabrykantów papieru. Niechaj jednak kto obetnie ręce literatowi pozostanie on jednak tak samo literatem, jak był nim przedtem. Jaki wypływa wniosek? Oto w jednym numerze pisma groszowego tkwi więcej fantazyi, aniżeli w pół tuzinie akademickich salonów podczas całego wystawowego sezonu. Żaden pisarz nie może żyć ze swej pracy i być równocześnie tak ograniczony, jak to się przeciętnie dzieje z malarzami, którzy cieszą się powodzeniem. Z drugiej strony proszę spojrzeć na narzędzia, któremi posługuje się muzyka — na przykład na fortepian. Nikt chyba, z wyjątkiem zawodowego akrobaty nie poświęci dobrowolnie lat szeregu tak ciężkiemu i mechanicznemu zadaniu, jak opanowanie klawiatury. Rozkoszujemy się sonatą Beethovena dzięki produkcjom akrobatów, którzy prześcigają się wzajemnie w szybkości swych presto i w wytrzymałości lewej ręki. Ludzie ożywieni jakąś ideą nie przepędzają życia na wyuczeniu się kuglarskich sztuczek. Należałoby tylko wynaleźć fortepian, któryby w równie subtelny sposób ulegał naciśnieniu mechanizmu, jak dotychczasowe klawikordy odpowiadają na uderzenie palców, a akrobaci będą musieli powrócić do swych dywanów i drączków, albowiem jedynem potrzebnem wówczas uzdolnieniem będzie dla produ-

kującego się muzyka samo uzdolnienie muzyczne i żadnym innym sposobem nie zdoła wyrobić sobie posłuchu.

Wśród towarzystwa zapanowało chwilowe zamieszanie, wywołane nieoczekiwaną prelekcyją. Sir Charles czuł, że podobne poglądy godzą w istotę najżywszych jego przekonań, że druzgocą piękne ideały, a schlebiają poziomym instynktom. Już przygotowywał zgryźliwą odpowiedź, gdy uprzedził go Erskine i zagadnął Trefusisa na temat jego zapatrywań co do przyszłego rozwoju sztuki. Trefusis nie pozostał dłużny natychmiastowej odpowiedzi:

—Przeszłość należy do fotografii udoskonalonej przez nowy wynalazek, pozwalający na wierną reprodukcję zarówno barw, jak i konturów. Malarstwo historyczne zastąpi fotografia żywych obrazów, odtworzonych przez dzielnych aktorów i artystów. Służyć ona będzie głównie do pouczania dziatwy. Dziewięć dziesiątych dzieł naszego współczesnego malarstwa zniknie z powierzchni ziemi wskutek współzawodnictwa z temi fotografiami, a pozostała jedna dziesiąta będzie się mogła utrzymać tylko dzięki prawdziwie niezwykłym rezultatom! W miejsce naszych jęklivych i trudnych do owładnięcia organów i klawikordów wejdą zharmonizowane instrumenty, które dadzą się równie łatwo opanować, jak katarynki. Zamiast utworów poetyckich będziemy mieli zajmujące rozmowy towarzyskie. Ludzie wyrosną i wydostaną się z okresu dzieciństwa, w którym rozkoszują się opowieściami, wymyślonymi dla ich rozrywki przez dorosłe dzieci, jakeimi są powieściopisarze i podobni inni twórcy. Zniknie to rozpaczliwe nieporozumienie ukrywające

się pod ogólnikową, a szumną nazwą sztuki, błazeństwo i ułuda naszych widowisk scenicznych ustąpią miejsca uczciwym wysiłkom, by człowieka doprowadzić do wyższego stopnia samopoznania. Każdy artysta będzie nim z amatorstwa i odpowiednio do tej przemiany nastąpi powrót do starej, zdrowej zasady, że każdy, kto przy pomocy sztuki zarabia na chleb codzienny, powinien być uważany za opryszka i włączęę i wykreślony zostaje z szeregu ludzi porządnych!

— Czego następstwem będzie wygłodzenie wszelkiego rodzaju artystów i zupełny upadek sztuki.

— Mój panie — odparł Trefusis, podniecony ostatnią uwagą — jako socjalista muszę wobec pana stwierdzić, że zdaniem moim nikt dziś z głodu zginąć nie może, o ile ludziom wolnym nie będzie się wzbraniało gwałtem, jak to się dzieje w Anglii, samodzielnie wytwarzać sobie potrzebne im pożywienie. Pan zaś natomiast, jako artysta, może długo i szeroko opowiadać o tem, jakby to przyszło dzisiaj wszystkim wielkim artystom przymierać z głodu, gdyby nie utrzymywała ich przy życiu ludzka dobroczynność, osobisty majątek lub też uciążliwa praca zarobkowa, która odciąga ich od właściwego powołania.

— Ach tak — zauważył Erskine — w takim razie stwierdzić należy ostatecznie, że socjaliści żywią bardzo małą sympatyę dla artystów.

— Obawiam się — odrzekł Trefusis i zmiarkował się o tyle, że mógł już mówić w dalszym ciągu spokojnie — że socjalista słysząc, iż za rysunek, który Andrea del Sarto chętnie byłby sprzedał za szylinga, płaci się obecnie sto funtów, obawiam się,

że wówczas socyalista ten nie dozna sercowej udręki wskutek rzekomej straty, jaką byłoby wyginięcie rodu artystów, a przynajmniej nie odczuje się tego w tak wysokim stopniu, jak pozwalają sobie na to nowocześni kapitaliści. A jednak pozostała dzisiaj ta jedna jedyna droga do okazania uwielbienia dla starych mistrzów. I to jest właśnie niemiłe w całej tej sprawie, że gdyby pan chciał dzisiaj sprzedać te swoje rysunki, nie uzyskałby pan jeszcze odpowiednio wysokiej ceny. Właściwie jednak — zauważył, jak gdyby otrząsając się z zadumy i spoglądając wesoło wokoło — nie przybyłem tutaj, aby zapuszczać się w szczegółowo fachowe dysputy. Nie oddawajmy się rozmyślaniom na temat końca świata wraz z potopem, lecz postarajmy się o rozrywkę bardziej odpowiednią i dla nas przystępną.

— O nie — protestowała Jane. — Proszę mów pan dalej o sztuce. Uczucia prawdziwego wyzwolenia doznaje się, słysząc, gdy ktoś wkońcu rozsądnie rozmyśla na ten temat. Nie cierpię rysunków, akwafort. Psują się tylko oczy od tych proszków i kwasów, przynajmniej wzrokowi sir Charlesa groziło już z tego powodu niebezpieczeństwo, zaś różnica między pierwszą odbitką a drugą istnieje tylko w sferze urojeń, lub też rzecz cała ma się wręcz odwrotnie, aniżeli oni twierdzą, a mianowicie odbitka ostatnia jest wprost najgorsza, gorsza od... ale oto już jedzenie.

Zeszli na dół. Trefusis usiadł pomiędzy Agatą a lady Brandon. Wyłącznie z tą ostatnią zabawiał się rozmową. Gwarzyli tak zawzięcie, że nawet czynność jedzenia nie zdołała im przeszkodzić w tym rozpedzie. Zresztą Jane nie cieszyła się mimo swej tu-

szy, wybitnym apetytem, a poza tem obawiała się, aby bardziej jeszcze nie utyc, zaś Trefusis odznaczał się i pod tym względem, jak we wszystkim, umiarkowaniem. Sir Charles milczał zawzięcie, co sprzeciwiało się jego przyzwyczajeniu. Obawiał się on wszczynać rozmowę na temat sztuki, by nie wywołać dotkliwych sprzeciwów ze strony Trefusisa, który, jak mu szeptało wewnętrzne poczucie, mało zajmował się pięknem i artyzmem, ale lepiej wyznawał się w tym kierunku od niego samego. Poświęcił więc pod adresem Agaty kilka zdawkowych uwag o piękności budzącej się ze snu wiosny, a gdy dorzucił jeszcze ugrzecznione zapytanie, czy przypadkowo nie znużyła zbyt młodej panny długa podróż, uznał, że wyczerpał już cały zasób możliwości konwersacyjnych, jakich dostarczyć jest w stanie świeżo zawarta znajomość.

Agata skupiła całą uwagę na osobie Trefusisa, który, jak przypuszczała, musiał zdawać sobie sprawę z faktu, iż wszyscy obecni, z wyjątkiem jedynej Jane, są dla niego wprost wrogo usposobieni. Trefusis jednak zachował ten sam wyraz samozadowolenia jak wówczas, kiedy zadrwił z niej niemiłosiernie. Gdy rozmyślała nad tem, opuszczał ją z wolna gniew tłumiony starannie. Była przekonana o swej szczerzej niechęci, jaką żywiła ku niemu, jakkolwiek zaczęły się budzić w niej pod tym względem półświadome wątpliwości, zwłaszcza z chwilą, kiedy uparcie musiała wmawiać w siebie, że jest niezadowolona z ponownego spotkania i że nie życzy sobie zapuszczać się z nim w rozmowę. Gertruda zbywała tymczasem Erskine'a półsłówkami i nadśluchiwała, o czem rozprawia Trefusis. Z małżeńskich sprzeczek

w dniach ostatnich podchwyciła tyle, że lady Brandon zaprosiła w gościnę do Beeches wbrew woli swego męża osławionego demagoga, bogatego syna fabrykanta bawełny. Przygotowała się z góry, by odnosić się do tego pana z wyżyn swej dostojności. Skoro jednak rozpoznała zapomnianego od dawna Smilascha, ogarnęło ją zdumienie, którego nie potrafiła opanować. Nie wiedziała wprost, jak należy się zachować. Zaskorupiła się więc zupełnie w sztywnem milczeniu i ażeby nie popełnić nic, co by mogło uchodzić za niestosowne, pozostała bierną, jak to zresztą w podobnych wypadkach zwykły z reguły czynić damy, należące do angielskiego towarzystwa. Powoli jednak ujęło i ją, jak zresztą i wszystkich niemal obecnych, swobodne zachowanie się i pewność siebie, które cechowały Trefusisa. Jej zamiar, by odnosić się do niego pogardliwie, spełznął na niczem, jak wiele innych postanowień, które powstają jedynie po to, ażeby nie zostały wykonane. Jedyny Erskine oparł się urokowi, który rozpościerał natrętny przybysz. W cichości życzyłby on sobie znaleźć się chwilowo gdzieindziej, gdyby nie obecność Gertrudy. Pozatem nie liczył się on wcale z faktem istnienia jakiegokolwiek człowieka.

— A jak się powodzi państwu Jansenius? — zwrócił się nagle Trefusis z zapytaniem do Agaty.

— Dziękuję, zupełnie dobrze — odparła w chłodnie umiarkowanym tonie.

— Niedawno spotkałem w mieście Johna Jansenius. Zapewne zna pan Janseniusa? — dorzucił w stronę sir Charlesa. — Bank Cotman, ostatni Cotman wspólnik firmy zmarł jeszcze, kiedy nas nie



było na świecie. Prezydent transkanadyjskiego towarzystwa kolejowego.

— Znam nazwisko. Właściwie jednak bardzo rzadko bywam w stolicy.

— O naturalnie — zgodził się Trefusis z uznaniem. — Któżby to narażał się na samoudrękę, by wchodzić w tłumy niewolników bez konieczności po temu. Mam na myśli niewolników mamony. Wystawiać się na formalne biczowanie spojrzeń, idących z głębi tych twarzy, ach, wyobrażam sobie, że tego rodzaju przeżycie może o rozpacz przyprawić człowieka subtelnego. Ale, by powrócić do Janseniusa, o którym była mowa, a który piastuje wysoką godność na dworze królowej mamony, otóż Jansenius poszukuje za dobrą posadą dla swego syna. Skądinąd jest pan Jansenius opiekunem miss Wylie, a równocześnie ojcem zmarłej mej żony.

Agata czyhała na sposobność, by móżdż się sprzeciwić, ponieważ jednak wywody Trefusisa odpowiadały niestety prawdzie, więc musiała przysłuchiwać się im w milczeniu. Nie mogła jednak powstrzymać się, by nie zaznaczyć, iż stosunki między jej rodziną a Trefusisem nie są wcale serdeczne i zapytała rozmyślnie:

— A czy mr. Jansenius wdał się z panem w rozmowę?

Gertruda spojrzała znacząco, chcąc dać wyraz przekonaniu, iż podobne zapytanie nie jest stosowne w ustach młodej damy.

— Oczywiście — odrzekł Trefusis. Wszak jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, a przynajmniej tak dobrymi, jak to wogóle jest możliwe. Chciał uzyskać mój podpis na fundusz składkowy, który ubogim

z Eastend ma przyjść w ten sposób z pomocą, iż umożliwi im wychodźstwo.

— Przypuszczam, że nie poskąpił pan hojnego datku — wtrącił Erskine.— Nastęrczała się przecież doskonała sposobność, by módz wyświadczyć praktyczne dobrodziejstwo.

— Nie uczynilem tego wcale — odparł Trefusis i uśmiechnął się szyderczo. — Transkanadyjskie towarzystwo kolejowe otrzymało w podarunku od rządu kanadyjskiego sporą połącz nieuprawionej roli i wpadło na szczęśliwy pomysł, aby zaludnić te ugory angielskimi robotnikami, od których można było pobierać należytą opłatę. Wielu angielskich robotników, którzy stracili zarobek wskutek wprowadzenia maszyn, jako sił roboczych, wskutek konkurencji zagranicznej lub też z innych powodów okazało gotowość udania się do Kanady. Ponieważ jednak nie byli w stanie opłacić kosztów przewozu, zwróciło się owo Towarzystwo kolejowe do publicznej dobroczynności z prośbą o wsparcie dla ubogich wychodźców drogą subskrypcyi, umożliwiającej im zmianę miejsca pobytu i polepszenie materialnego położenia. Nie mogłem żadną miarą zrozumieć, dlaczego miałbym wyrzucać pieniądze celem zaopatrzenia bogatego towarzystwa w farmerów i wątpliwości te moje wyjaśniłem Janseniusowi. Odpowiedział mi, że gdyby zawsze chodziło o pieniądze, a nie o tyrady oratorskie, wówczas szybko przekonaliby się angielscy robotnicy, kto są ich prawdziwi przyjaciele.

— Nie wyznaję się zupełnie w sprawach tego rodzaju — rzekł sir Charles i uczynił grymas, jakoby miał na pogotowiu przekonywujący argu-

ment — ale wprost nie pojmuję, jakie zarzuty podnieść można przeciwko wychodźtwa.

— Wychodźtwa — tłumaczył Trefusis — jest dla nas istotnie niebezpieczne. Proszę tylko postarać się o rozpowszechnienie idei wychodźtwa wśród szerokich mas, a nie spostrzeże się pan, jak głęboko się ono zakorzeni i jak pewnego pięknego poranku urządzią sobie robotnicy bajkowy spektakl, wysyłając mnie i pana i całą izbę lordów w towarzystwie bezczynnych, wielkich posiadaczy na wyspę św. Heleny, przyczem nowa ojczyzna stanie się naszą własnością jako odszkodowanie za poniesione straty. Zresztą jesteśmy tak niespokojnym i nieszczęsnym szczepem, iż kto wie, czy tego rodzaju przeobrażenie nie wyszłoby i nam na korzyść. Robotnicy nie ponieśliby żadnej szkody poza utratą pięknego widoku, jakiego dostarczają im nasze eleganckie postacie, wytworne maniery i nasz wysubtelniony smak. Może zresztą zdołają się zabezpieczyć przed zbyt dotkliwą stratą i wybiorą sobie z pośród nas kilka figur, celem zatrzymania ich w kraju gwoli ozdoby. Żaden naród, który odznacza się zmysłem dla piękna, nie wypuściłby z granic swego kraju ani lady Brandon, ani miss Lindsay, ani też miss Wylie.

— Co za niedorzeczność! — wybuchnęła Jane.

— Nie uwierzy pan, wiele wyrzuciłem pieniędzy, by wysłać robotników za granicę, jakkolwiek sprzeciwia się to moim zapatrywaniom na żywotne interesy kraju — wywodził Trefusis, nie dając się zbić z tropu, zwrócony w stronę Erskine'a. Skoro tylko uda mi się nawrócić jakiego robotnika, korzysta on z pierwszej lepszej sposobności, by w publicznem przemówieniu dać wyraz swym nowonaby-

tym przekonaniom. Pracodawca zwalnia go naturalnie od służby, czyli przegania go, jak to się w potocznej mowie określać zwykło, na cztery wiatry. Takie uwolnienie od zajęcia jest mieczem w rękę kapitalisty, a groza głodu, jakiej ulega pracujący, nie pozwala stępieć ostrzu tego miecza. Prawo jest dla pracodawcy tarczą, sporządzoną z rozynysłem i celowo przez klasę posiadaczy dla ich obrony przed pracującymi. Uzbrojony w ten sposób może pracodawca zniszczyć mego nowonawróconego, który popadłszy w nędzę, śpieszy do mnie z prośbą o pomoc. Ponieważ nie mogę płacić mu renty przez cały przeciąg jego życia, pozbywam się więc kłopotu w ten sposób, że dopomagam mu do wychodźstwa. Czasem powiedzie się takiemu tak dobrze, że może mi zwrócić pieniądze. Niekiedy znowu słuch o nim zaginie lub też powraca równie biedny, jak wyjechał. Pewien człowiek, którego wysłałem do Ameryki, dorobił się nawet większego majątku, ale ten nie był socjalistą. Był to pomocnik handlowy, który dopuścił się sprzeniewierzenia i zwrócił się do mnie z prośbą o wsparcie, ponieważ żywił przekonanie, że poczytuję to każdemu za zasługę, jeśli tylko uda mu się złupić kasę kapitalisty.

— W każdym razie posiadał ten socjalista silnie wyrobiony zmysł praktyczny — zauważył Erskine.

— Przeciwnie, był on tylko cokolwiek przesadnie łapczywym indywidualistą. Jednym słowem ułatwiłem mu zwrot sprzeniewierzonej kwoty — u nas idzie każde sprzeniewierzenie w niepamięć, skoro tylko nastąpi zwrot pieniędzy—i umożliwiłem mu wyjazd do Nowego Jorku. Ale on był sprytniejszy ode-

innie, gdyż wkrótce dorobił się majątku drogą spekulacyi pieniężnych, przyczem zauważyć należy, że nie posiadał żadnej gotówki, a rzekome jego pieniądze istniały tylko w wyobraźni tych, z którymi wchodził w interesy. Ten nie zwrócił mi ani jednego szylinga. Najwidoczniej zbyt zapobiegliwy z niego geszeftman, by mógł spłacać długi z wyjątkiem tych, które ściągnie się z niego drogą postępowania sądowego lub przez odcięcie mu dostępu do źródeł kredytu. Mr. Erskine — dorzucił Trefusis pogodnie, zwracając się wprost do poety — mam wrażenie, że nie postępuje pan poprawnie, biorąc w obronę łotrzyków i niebieskich ptaków, chociażby nawet zagrażało im niebezpieczeństwo ze strony człowieka, który woli fotografię od rysunku z wolnej ręki.

— Ależ zapewniam pana — nie zrozumiał mnie pan należycie — tłumaczył się zmieszany Erskine.— Ja — utknął w połowie wyrazu, spojrział błagalnie na sir Charlesa, jak gdyby przywoływał go do pomocy, wykrztusił jednak wkońcu z gwałtownym pośpiechem: — nie wątpię ani na chwilę, że pełna słuszność po pańskiej stronie. Nienawidzę interesów i geszefciarzy, a co się tyczy zagadnień społecznej natury, mogę się powołać na jeden akt mej wiary, a mianowicie zdaniem mojem stanowią sztuki piękne jedyną prawdziwą wartość w życiu człowieka.

— Zaś mojem zdaniem stanowi życie człowieka przejawiające się w sztuce jedyną prawdziwą jej wartość. Sztuka rozwija się z rozwojem człowieka i upada wraz z jego upadkiem. Co sądzi pan o tem?

— Pod wieloma względami zgadzam się z panem — wtrącił widocznie zdenerwowany sir Charles, u którego brak wszelkiego zainteresowania dla

bliźnich, a natomiast zbytek w zajmowaniu się własną osobą stanowiły przyczynę, uwalniającą go od zrozumienia socyalnych zagadnień. Ponieważ uważał jednak, że przystoi baronetowi, by wiedział wszystko o wszystkim, obawiał się więc stawić czoło komukolwiek, wygłaszającemu odmienne poglądy.

— Skoro zajmują pana dzieła sztuki, postaram się, by pokazać panu dzieła, godne widzenia.

— Cieszy mię to. Odwzajemniając się panu, pokażę mu przy sposobności zbiór fotografii, z których większa część—to moje własne zdjęcia. Może znajdzie pan tam coś pouczającego dla siebie.

— Niewątpliwie—zapewniał sir Charles. — Może wrócimy do galeryi obrazów? Posiadam tam kilka prawdziwych skarbów, które jeszcze nie tak rychło zdoła fotografia w cień usunąć.

— Pójdźmy przez oranżeryę — zaproponowała Jane. — Czy lubi pan kwiaty, mr. Smi... Nigdy nie mogę zapamiętać sobie właściwego pańskiego nazwiska.

— Brzmi ono niezwykle — zażartował Trefusis.

Powstali od stołu i weszli do wydłużonego wnętrza cieplarni.

Lady Brandon szła z Erskinem, przed nią kroczyli sir Charles z Gertrudą. Jane jednak oglądała się za Trefusisem, gdyż postanowiła poflirtować z nim pod pozorem, że będzie pokazywała mu niezwykle odmiany kwiatów. Ale Trefusisa nie można było dostrzedz, jakkolwiek dolatywał odgłos jego kroków po drugiej stronie oranżeryi. Agata również znikła. Jane musiała posuwać się naprzód w towarzystwie Erskine'a, skoro nie mogła już zmienić po-

rządku rzeczy bez zwracania szczególnej uwagi na swe ukryte zamiary.

Bezwiednie skierowała Agata swe kroki w stronę drugiego przejścia, przez które wszedł był przed chwilą Trefusis. Gdy zauważyła, co się właściwie stało, było już za późno. Oko w oko spotkała się w tem ustroniu z Trefusisem, który śmiało zbliżył się do niej. Postanowiła zganić go za tę śmiałość i uczyniła ruch wskazujący, że zamierza odejść, lecz on zagadnął ją niespodziewanie, wymawiając każde słowo z lodowatym niemal spokojem:

— Czy bardzo zaskoczyła panią wiadomość o nagłej śmierci Henryety?

Agata walczyła przez chwilę ze samą sobą, ale po chwili odezwała się stłumionym głosem:

— Jak pan może odważyć się na wszczynanie rozmowy ze mną?

— Właściwie dlaczego nie miałbym uczynić tego?

— Nie myślę wdawać się w szczegółowe roztrząsanie tej kwestyi. Zresztą wie pan aż nadto dobrze, o co mi chodzi.

— Pani się zdaje, że ją obraziłem. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ale skądinąd musi ogarnąć mię zdumienie, jeżeli młoda dama, z którą rozstałem się w sposób nad wyraz uprzejmy i której przez szereg lat nie widziałem i z którą nie korespondowałem, zapytuje mię nagle, przy ponownem spotkaniu, jak śmiem wszczynać z nią rozmowę.

— Rozstaliśmy się wśród niezbyt serdecznego nastroju.

Trefusis podniósł brwi ze zdziwieniem i udawał,

że koniecznie stara się przypomnieć sobie szczegóły owego rozstania.

— Jeżeli nie byliśmy wówczas serdecznie dla siebie usposobieni, w takim razie zapewniam pod słowem, że zupełnie o tem zapomniałem. Kiedy to miało miejsce owo pożegnanie i co się podówczas wydarzyło? Nie musiało jednak zajść nic poważnego, inaczej byłbym koniecznie o tem pamiętał.

Brak jego pamięci o tych wydarzeniach dotknął Agatę boleśnie.

— Niezawodnie musiał się pan przyzwyczaić do podobnych przeżyć...

Urwała dalszy wywód, opanowując się i zdołała już niebawem przejść do swobodnego tonu, jakim posługiwać się winna młoda lady w towarzyskiej rozmowie z mężczyzną.

— I ja również, gdy sięgnę pamięcią w przeszłość, nie mogę sobie należycie uprzytomnić, co właściwie zaszło wówczas. Najprawdopodobniej poszło nam o jakąś drobnostkę. Czy lubi pan orchidee?

— Kwiaty te nie pozostają w najmniejszym związku ze sprawą, która obecnie nas zajmuje. Pani są orchidee również obojętne, ale usiłowałaś wymknąć się zgrabnie z matni nieporozumienia, zamiast je wyjaśnić. Tego rodzaju polityka jest zawsze obliczona na krótką metę.

Agata doznawała uczucia coraz większego niepokoju, albowiem zaczęła sobie zdawać sprawę, w jak zastraszających rozmiarach ogarnia ją dawny jego wpływ przemożny.

— Nie życzę sobie rozmowy na ten temat — oświadczyła twardo.

Ale stanowczość jej nie wywierała na nim najłżejszego wrażenia.



— Dotąd jeszcze nie wiem, o co właściwie chodzi — prawil nieustraszony a radbym bardzo wiedzieć, gdyż wydaje mi się, że zachodzi tu nieporozumienie, właściwością zaś rodu niewieściego jest nadawać nieporozumieniom piętno nieśmiertelności w ten sposób, że zakazujecie panie jakiegokolwiek wzmianki czy aluzji w odniesieniu do tych rzekomych wydarzeń. Być może, że opuszczając nagle Lyvern, zapomniałem dotrzymać jakiegoś przyrzeczenia, przesłać pozdrowienie lub coś w tym rodzaju. Ale czy wie pani o tem, jak nagle zostałem zawezwany?

Otrzymałem wiadomość telegraficzną, że Henryeta dogorywa i zaledwie zdążyłem zmienić odzienie — przypomina pani sobie mój niezwykły kostyum, w którym się ukrywałem — i dopaść pociągu. Mimo to nie żyła już, gdy przybyłem.

— Wiem o wszystkim — rzekła Agata trwożliwie. — Proszę, nie wspominaj pan już o tem.

— Milczę już, skoro to pani sprawa przykrość. Spodziewam się, że nie podejrzewa mnie pani, bym mógł czynić jej wyrzuty za mimowolny udział pani w smutnej tej sprawie lub też, że opowiadałem cokolwiek Janseniusowi. Tego nie uczyniłem. Co się zaś tyczy orchidei, czy je lubię? Zapewne. Roślina, która zdoła wegetować na skromnej deszczuleczce, świadczy bardzo korzystnie o oszczędności przyrody...

— Pan czyni mi wyrzuty!—uniosła się Agata.— Nigdy nic nie opowiadałam Janseniusom. Coby byli musieli pomyśleć sobie o panu, gdybym była to uczyniła?

— Pomyśleliby gorzej o pani, aniżeli o mnie,

jakkolwiek postąpiliby niesłusznie. Bezpośrednią przyczyną całej tragedyi byłaś pani, ja zaś tylko oddaloną. Jansenius nie odznacza się spojrzeniem w dal sięgającym, gdy się naruszy ckliwe jego uczucia. Bardzo mało mężczyzn umie zachować równowagę w tem położeniu.

— Nie pojmuję pana nic a nic. O jakiej tragedyi wspomina pan?

— O śmierci Henryety. Nazywam to w sposób szablonowy tragedją, jakkolwiek w rzeczywistości nie zaszło nic niezwykłego na rzeczy samej.

Agata wpatrywała się w niego przez chwilę osłupiała.

— Co to ma znaczyć, o czem pan wspomniał przed chwilą? Ja mam być bezpośrednią przyczyną tragedyi, a ta tragedia... to śmierć Henryety? Jaki związek zachodzić może między mną a jej chorobą?

Trefusis spojrział na nią z wyrazem głębokiego zastanowienia, czy należy się posunąć dalej w zeznaniach. Wkońcu oświadczył spokojnie, przypatrując się jej z ciekawością człowieka przeprowadzającego wiwisekcję.

— Dziwne to zaiste, Agato — (gdy nazwał ją po imieniu, odsunęła się od niego z wyrazem dumnej niechęci) — dziwne, choć nie mniej prawdopodobne, że gdyby nie pani, byłaby może jeszcze żyła Henryeta. Jestem bardzo zadowolony, że nie mam jej u swego boku, więc przez wzgląd na mnie nie potrzebuje pani czynić sobie żadnych wyrzutów. Henryeta umarła wskutek podróży do Lyvern, którą odbyła w wielkiem podrażnieniu, pogrążona w rozpacz i podczas niezwykle mroźnego powietrza. Pani

byłaś tą osobą, której list spowodował u niej wybuch zazdrości, a w dalszej konsekwencji ową podróż.

— Obwinia więc pan mnie...

— Dosyć, ani słowa więcej. Nie obwiniam — dorzucił szybko, a wszelka ochota wiwisektorska odeszła go, gdy usłyszał jej głos ze wzruszenia drżący. — Nie zarzucam pani nic, nic. Dlaczego nie przemówi pani do mnie szczerze wówczas, kiedy znajdujesz się we właściwym sobie, codziennem usposobieniu? Ponieważ wyjawia pani istotne swe zapatrywania i poglądy tylko wówczas, gdy znajduje się na torturach, czyż można nie pokusić się o zadanie pani mąk chwilowych? Trzeba koniecznie zarzucić pani zbrodnię, byś zechciała mówić o czem innem, aniżeli o orchideach.

Agata jednak, nauczona dotychczasowem doświadczeniem, nie chciała dać się przekonać.

— Nie moja w tem wina, że stało się tak!... — powtarzała uporczywie. — Pańska to wina — tak, wyłącznie pańska.

— Wyłącznie moja wina — przyznał i stał się wesoły, zauważywszy, że raczej opanowuje ją gniew aniżeli przerażenie.

Dosłowna niemal zgoda na jej twierdzenie nie zadowoliła Agaty.

— Pańskie zachowanie się nie było godne mężczyzny. Powiedziałam to już raz panu i nie mógł pan temu zaprzeczyć. Utrzymywał pan, że..., twierdzi pan, że powoduje się uczuciami..., zadawał pan sobie trudu, by wmówić to we mnie..., ach, jakaż ja ograniczona, że wogóle rozmawiam z panem. Domyśla się pan zapewne, co mam na myśli.

— Najzupełniej. Usiłowałem wzbudzić w pani

przekonanie, że ją kochałem. Skąd jednak wie pani, że to nie była prawda?

Wyznanie to uznała za niegodne odpowiedzi. Ponieważ oczekiwał jej spokojnie, rzekła:

— Nie miał pan wcale prawa kochać się we mnie.

— Nie dowodzi to wcale, jakoby przecież tak nie było. Proszę uwzględnić Agatę, wszak udawała pani, że kocha się we mnie, a jednak nie zależało pani nic na mej osobie. Wyznała to pani wcale nie dwuznacznie w onym nieszczęsnym liście, który mam gdzieś jeszcze w domu. Rozdarty jest i nosi ślady obcasów jej. Biedna panienka musiała go stratować w przystępie gwałtownego gniewu. Mogę więc przedłożyć pani własnoręczny jej list na dowód, że bawiłaś się mną, a pani oskarża mię, bez żadnego dowodu, że ją zwiodłem.

— Wystarczająco pan rozumny, by wszystko nakreślić na swoją nutę. Co za szczególną przyjemność sprawia panu dręczenie mej osoby?

— Ha! — zawołał głosem urywanym i uśmiechając się gorzko. — Nie wiem, zdaje mi się, że oczarowała mię pani.

Agata nie odpowiedziała już ani słowem i odeszła spokojnie ku przeciwległej stronie cieplarni, gdzie oczekiwała ją reszta towarzystwa.

— Gdzie tkwiliście i co robiliście ze sobą przez tak długi przeciąg czasu? — dopytywała się Jane zauważywszy, że Trefusis nadchodził tuż za Agatą. — Nie wiem, jak wy oceniacie podobne zachowanie się, bo ja muszę je nazwać niestosownem.

Sir Charles zarumienił się z powodu nieodpo-

wiedniego i niefortunnego występu swej żony. Trefusis odrzekł spokojnie:

— Podziwialiśmy orchidee, miss Wylie okazuje szczególne zainteresowanie dla tych kwiatów.

### XIII.

Pewnego poranka otrzymała Gertruda następujący list od ojca:

Kochana moja Gerty —

właśnie otrzymałem od madame Smith rachunek, opiewający na 110 funtów za pobrane przez Ciebie suknie. Czy wolno mi zapytać, jak długo jeszcze będą się działy rzeczy podobne? Wszak nie potrzebuję rozwodzić się nad tem, że po prostu brak mi środków na dalsze wspieranie Twej rozrzutności. Bardzo zapobiegliwie, o czem zresztą wiesz sama jak najlepiej, dbam o umożliwienie Ci towarzyskich występów, któreby odpowiadały Twej pozycji społecznej. Ale skoro nie można dokonać tego bez poświęcenia na rzecz pani Smith w każdym sezonie kilku setek funtów, w takim razie będzie bardziej wskazane, byś wycofała się z życia towarzyskiego i pozostała w ukryciu domowem. Szczerze i uczciwie wyznaję, że nie zdołam powiązać końca z końcem. O ile jestem w stanie sprawę należycie osądzić, zdaje mi się, że obracanie się w towarzystwie nie przyniosło Ci żadnej korzyści. W zeszłym miesiącu musiałem podjąć w banku kwotę 500 funtów, a wierzę, że byłoby pożądane, gdybym był podjął jeszcze większą sumę, zaś wszystko po to tylko, by módz pokryć Twoje rachunki u krawczy-

nł. Gdybyś przynajmniej zatrudniała osobę prywatną lub też krawczynią, która nie stawia cen tak wygórowanych. Ale pani Smith oświadcza, że nie chce udzielić żadnej zwłoki na spłaty i żąda przeciętnie za każdą suknię po 60 funtów. Spodziewam się, że zrozumiałaś mię należycie i że poprzysz me zabiegi, by raz położyć koniec temu przykreemu kształtowaniu się naszych stosunków.

Dowiaduję się od matki, że w towarzystwie Twojem przebywa u Brandonów młody Erskine. Niewiele spodziewam się po nim. Nie jest on zamożny i trudno, by stał się nim kiedykolwiek, ponieważ zajmuje się poezją i innemi podobnemi rzeczami. Poza tem słyszałem, że odwiedza obecnie Beeches bardzo często człowiek, który nazywa się Trefusis. Musi to być narwaniec, albowiem przy ostatnich wyborach stawał on jako kandydat na posła w okręgu Birmingham i otrzymał całych trzydzieści dwa głosów, ponieważ wystąpił jako socyalny demokratą czy też wyznawca innego podobnego zagranicznego nonsensu, zamiast oświadczyć szczerze, poprostu, jak przystoi mężczyźnie, że jest radykałem. Zdaje mi się, że nie mógł tego wyznania wykrztusić ze siebie, gdyż matka jego była jedną z córek Howards of Breconcastle. Stąd też płynie w żyłach jego krew bardzo dobra, jakkolwiek ojciec jego był zwyczajny „Nikt“. Radbym ujrzeć go płacącego Twoje rachunki. Mógłby on dziesięć razy z rzędu kupić mię i sprzedać mimo moich dwudziestupięciu lat służby rządowej.

Ponieważ zamierzam przyprowadzić nasz dom do porządku, byłbym zadowolony, gdybyś w tym miesiącu jeszcze nie powracała, naturalnie, o ile

możesz jeszcze pozostać u Brandonów pod należytym pozorem. Proszę, pozdrów odemnie pana domu, pani zaś oświadczyć me nad wyraz uprzejme ukłony. Wdzięczny byłbym Ci, gdybyś zdołała skąd wy dostać kilka listków cykuty i wysłała mi je. Potrzebuję ich do mej maści. Smarowidło, które sprzedają aptekarze, jest do niczego. Matka Twoja choruje na oczy, a brat Twój Berkeley znowu gra w karty. Wydaje mu się, że ja muszę płacić za niego długi. Wszystko to razem przysparza mi wiele kłopotów i stąd żywię nadzieję, że Ty przynajmniej do chwili zamążpójścia postarasz się być rozsądniejszą, aniżeli dotychczas i poniechasz nasyłania mi nieustających rachunków. Używasz życia i pozostajesz w dali od wszelkich przykrości, ale dotkliwie ciężary przygniatają już wprost

kochającego Ciebie Ojca

C. B. Lindsay.

Zaledwie dostrzegalne zmarszczki, pierwsze zwiastuny dojrzewającego wieku, zjawiły się na obliczu Gertrudy, kiedy odczytywała list ojca. Nie zdradziła się jednak z niczem przed towarzystwem, lecz z najswobodniejszą miną oznajmiła swym gospodarzom o pozdrowieniach przesłanych na jej ręce przez admirała, poczem przystąpiła z akcentami głębokiego współczucia do omawiania niepomysłnego stanu zdrowia swej matki. Po śniadaniu udała się do biblioteki i tam pisała odpowiedź, która brzmiała:

Brandon Beeches, wtorek.

Kochany Ojcze!

Minęły już z górą trzy lata od czasu, kiedy za-

płaciłeś pani Smith ostatni rachunek, który wynosił wówczas łącznie ze suknią przeznaczoną na bal dworski wszystkiego razem 150 funtów. Stąd też trudno mi pojąć, jak można być bardziej oszczędną odemnie, chyba, że zgodziłabym się chodzić w strzępach i gałganach. Przykro mi, że madame Smith dopraszała się o zapłacenie w porze nieodpowiedniej, ale kiedy doradzałam Ci w zeszłym roku w marcu, byś cokolwiek na rachunek zapłacił, oświadczyłeś mi, Ojcze, że należy uspokoić pretensye krawczyni zapomocą nowych zamówień. Wcale się nie dziwię, że madame Smith jest mało uprzejma, posiada ona bowiem pośród swych odbiorczyń bardzo wiele córek z rodzin kupieckich, które mogą płacić za swe suknie więcej aniżeli po 300 funtów rocznie. Ja zaś noszę obecnie kostyum, który otrzymałam przed dwoma laty.

Sir Charles udaje się we czwartek do miasta, będzie więc mógł osobiście dostarczyć Ci liści cykuty. Proszę powiedzieć mamie, że mieszka tu pewna stara kobieta, która posiada cudowne lekarstwo na chore oczy. Nie chce wyjawić składników tego leku, ale faktem jest, że uzdrawia on każdego. Zresztą niema najmniejszej potrzeby wzbogacać okulistę o dwie gwinee po to tylko, by usłyszeć, że czytanie w łóżku jest szkodliwe dla wzroku. Wszak wiemy aż nadto dobrze, że matka nie pozbędzie się nigdy tej nawyczki. Jeżeli zamierzasz Ojcze wyrównać długi Berkeley'a, racz nie zapomnieć o tem, że należą mi się jeszcze od mego brata pełne trzy funty.

Bawi tu jeszcze w gościnie druga moja koleżanka i wszelkie pozory przemawiają za tem, że



mr. Trefusis podejmie się przyjemności płacenia za nią rachunków. Poza tem cieszy się on wielkimi względami pani Brandon. Sir Charles gniewał się z początku na żonę, że zaprosiła tego gościa, my zaś wszyscy dziwiliśmy się z racyi tego pomysłu naszej gospodyni, pan ten bowiem nie cieszy się zbyt dobrą opinią, a w dodatku naprowadził na tu-tejszy dwór całą hordę motłochu, który rozwalil część muru, okalającego park. Wprost nie wierzyliśmy, by on mógł zdobyć się na odwagę i zechciał po wszyskiem, co zaszło, zjawić się u Brandonów. Ale widocznie lekceważy on sobie całe zajście i wcale nie zważa na to, czy my go lubimy, czy też nie, jednym słowem zjawia się, kiedy nawiedzi go po temu ochota. A ponieważ wywody jego są istotnie zajmujące, więc chcąc nie chcąc uważamy go za prawdziwe zesłanie Opatrzności w tem ustron-nem pustkowiu. Trzeba Ci bowiem wiedzieć, że po-byt tutaj nie przedstawia się tak rajsko, jak ty, Oj-cze, to sobie wyobrażasz. Proszę jednak, byś z tego powodu nie żywił najmniejszych obaw co do mego rychłego powrotu, który nie nastąpi wcześniej, aż kiedy zmuszą mię do tego okoliczności.

Twoja kochająca Cię córka  
Gertruda Lindsay.

Gdy ukończyła pisanie, podarła list ojca w strzępy i zamyśliła się przez chwilę nad tą wy-mianą myśli z domem rodzicielskim. Oba listy, za-równo jej własny, jak i ojca, byłyby może wtrą-ciły ją w nastrój rozpaczy, gdyby poprzednio była czuła się szczęśliwą. Ale beznadziejne uczucie nie-zadowolenia stało się poniekąd podstawowym jej

nastrojem psychicznym, zaś wesołość tylko w wyjątkowych przypadkach była jej udziałem. Dlatego więc wprawiały ją co najwyżej w zły humor te obustronne oskarżenia, zawarte w korespondencji z ojcem, pod żadnym jednak względem nie zdołały jej już rozczarować czy też upokorzyć.

Ażeby użyć cokolwiek ruchu, postanowiła nadać list osobiście w wiejskim urzędzie pocztowym i przez pola powrócić do domu. Zauważyła swego czasu gdzieś przy drodze rosnącą cykutę.

Postarała się, by wyjść niespostrzeżenie, albowiem obawiała się, że Agata zechce się przyłączyć lub też Jane zaproponuje, by po południu pojechać spacerem na pocztę. A Jane obnosiłaby przez cały dzień skwaszoną minę, gdyby nie odłożono wycieczki do popołudnia. Dla ochrony przed natrętami zabrała Gertruda ze sobą dużego psa bernardyńskiego, którego nazywano Maksem. Młode to i bardzo żywe stworzenie obdarzało ją niezwykłą przyjaźnią, której dawało wyraz w sposób niewątpliwie gwałtowny. Ona zaś, której potrzeba szczerych uczuć wprost zamierała w pożyciu zarówno domowym jak i towarzyskim, ośmielała psa do jego dla niej sympatii z większym nakładem życzliwości, aniżeli kiedykolwiek zdobyć się na to potrafiła wobec ludzi.

Gdy już nadała list na pocztę we wsi, wstąpiła na ścieżkę, która prowadziła do domu obok miejsca, gdzie rosło ziele potrzebne jej ojcu. Maks, nie mogąc pojąć, dlaczego pani obiera najdłuższą drogę powrotną, okazywał z tego powodu swe niezadowolone, przystawał w pośrodku ścieżki, kiwał

gwałtownie ogonem i poszczekiwał zajadle wśród groźnych pomruków.

— Nie bądźże ograniczony — upominała go zniecierpliwiona Gertruda — i zrozumiej, że podążam tą właśnie drogą.

Oczywiście pojawił Maks w mgnieniu oka, o co chodzi. Podążył za panią w szalonym pędzie, przegonił ją i zginał w tumanie kurzu, wzbijającego się z pod jego łap. Kiedy zaś wyprzedził już swą towarzyszkę na odległość, zdaniem jego, wystarczającą, zatrzymał się nagle, by niebawem powrócić i otrzymać w nagrodę pocałunek w sam pyszczek. Gertruda puściła się obecnie z Makssem w bieg o zawody, a przystanęła dopiero wówczas, gdy zadyszała się podobnie, jak pies i musiała zaczerpnąć oddechu, podczas kiedy rozbawione stworzenie podskakiwało i czekało, jak opętane. Od lat już nie użyła przyjemności w takiej pełni, jak dzisiaj, a ponieważ uświadomiła to sobie, napełniły łzy jej oczy. Maks, stropiony cokolwiek tem zajściem, starał się ją nakłonić, by uspokoiła się, co o tyle poskutkowało, że Gertruda ruszyła zwolna w dalszą drogę i starała się ochłodzić ze zgrzania, wywołanego gonitwą, oraz rozpięła parasolkę, by uchronić się przed niepożądanymi piegami.

Słońce wbiło się wysoko na szczyt niebiosów. Po prawej ręce od Gertrudy, tuż nad przekopem, odgradzającym go od ścieżki, stał dom Sallusta. Nadawał on przez swe jasno-brązowe ściany i jaskrawo-żółty fryz, niezwykle, po części obcy charakter na wskrós angielskiemu krajobrazowi. Przeszła mimo, nie uprzytomniając sobie, kto mieszka w tym domu. Cokolwiek dalej, na uboczu, po lewej

stronie ścieżki, na płaskim pustkowiu, oddzielnem od drogi przez rów i niezbyt wyniosły nasyp ziemi, wznosiła się na wysokość sześciu stóp kępa roślin cykuty i zatruchiwała na odległość powietrze swą dokuczliwą wonią. Gertruda przeskoczyła przez rów, wyjęła ze słomkowego koszyczka ręcznego parę rękawiczek, przeznaczonych do zajęć w ogrodzie i przystąpiła rażno do zbierania roślin jadowitych, zrywając najdelikatniejsze okazy, które uwalniała od łodyżek. Niebawem napełniła koszyczek upragnionem przez ojca zieleń. Zapomniała zupełnie o Maksie i dopiero, kiedy uderzyła ją śmiertelna cisza, zalegająca okolicę, jak gdyby zmartwiała nagle cała przyroda, przejęta uczuciem niewytłomaczonego lęku, spojrzała poza siebie.

W pobliżu stał Trefusis i przypatrywał się jej zatrudnieniu. Jedną swą rękę oddał zupełnie na pastwę figlów Maksa, który za wszelką cenę usiłował wciągnąć całą dłoń w głąb swej paszczki. Gertruda zbladła wobec tego niespodziewanego spotkania i szybko wyszła z pomiędzy krzaków. W tej chwili jednak doznała niezwykłego uczucia, jakgdyby tam gdzieś wyżej ponad jej głową wydarzyło się coś niezrozumiałego. Usłyszała jeszcze jakieś groźne warczenie, jakiś okrzyk rozkazujący, poczem nastąpiła wszechogarniająca cisza, aż wkońcu przyszła do rozpoznania, że leży na skraju jakiegoś trawnika i że rozpostarta parasolka rzuca cień na jej oblicze. Nagłe dotknięcie wilgotnego, ciepłego języka psa, który lizał jej ucho, ocuciło ją. Usiadła i zauważyła, że Trefusis klęczy u jej boku. Przytrzymał nad nią parasolkę, a na twarzy jego malował się

bezwzględny spokój. Po drugiej stronie obwąchiwał ją Maks z widocznym zaniepokojeniem.

— Muszę jechać do domu — oświadczyła. — Muszę natychmiastowo jechać do domu.

— Wcale nie — zauważył uspokajająco Trefusis. — Właśnie wysłała pani wiadomość, że wszystko w porządku i że nie zachodzi potrzeba koniecznego powrotu.

— Czy wie pan o tem istotnie? — zapytała głosem osłabionym, poczem znowu opadła w tył i zdawało się jej, że mija dłuższy okres czasu. Nagle uprzytomniła sobie, że podtrzymała ją delikatna dłoń Trefusisa i zabezpieczyła przed zbyt gwałtownem opadnięciem na wznak. Podniosła się ponownie i stanęła tym razem przy jego pomocy na nogach.

— Muszę jechać do domu — powtarzała uparcie. — Chodzi o życie, czy śmierć.

— Ależ — mowy niema o tem — uspokajał ją łagodnie. — Wszystko na najlepszej drodze. Może pani polegać na mojem zdaniu.

Spojrzała na niego poważnie. Trzymał jej rękę w swej dłoni, by mogła oprzeć się na nim, gdyż chwiała się jeszcze cokolwiek na nogach.

— Czy pan tego pewny? — dopytywała się, chwytając go za ramię.

— Czy zupełnie pan pewny?

— Najzupełniej. Wszak wie pani dobrze, że słuszność zazwyczaj po mojej stronie.

— O tak! Zawsze odznaczał się pan otwartością w stosunku do mnie. Pan...

W tej chwili powróciła nagle do pełnej przytomności. Wypuściła z dłoni jego rękę, jak gdyby ją paliła i zapytała oschle:

— O czem właściwie pan mówi?

— Nie wiem — odparł i uśmiechając się dobrotliwie, przyjął swą zwyczajną obojętną postawę. — Czy czuje się pani już lepiej? Powiozę panią do Beeches. Nie dalej, jak na odległość rzutu kamieniem, znajduje się moja stajnia. W dziesięć minut pojazd może być gotowy do drogi.

— Nie, dziękuję uprzejmie — odmówiła dumna Gertruda. — Nie chcę jechać. — Zamilkła na chwilę, wkońcu zapytała zmieszana:

— Co się właściwie stało?

— Omdlała pani i...

— Wcale nie omdlałam — zaprzeczyła Gertruda z akcentem urazy.

— Nigdy jeszcze w życiu nie omdlałam.

— A jednak tak było.

— Wybacz pan, panie Trefusis, ale ja nie omdlałam wcale.

— Więc niechaj pani sama osądzi. Idąc przez pole zauważyłem, że pani zbiera cykutę. Cykuta stała się zajmującą rośliną dzięki zajmującej historii o Sokratesie, a pani była zajmująca, jako dama, która zaopatruje się w truciznę. Stąd zatrzymałem się i przypatrywałem pani. Niemal równocześnie wyszła pani z zarośli tak pośpiesznie, jak gdyby zauważyła tam węża. A potem opadła pani w moje ramiona, co właśnie nasunęło mi przypuszczenie, że było to omdlenie. Maks zaś widocznie w mniemaniu, że ja jestem sprawcą wypadku, rzucił się do mojego gardła. Oszło mi panią po prostu wyziewy jadowitej rośliny, które wdychiwała pani przez minut jakie dziesięć lub nawet dłużej.

— Nie wiedziałam nic o tem, że przedsięwzię-

cie moje złączone było z tak wielkim niebezpieczeństwem — zauważyła z odcieniem przygnębienia Gertruda. Jeszcze przed samym wypadkiem odczuwałam znużenie. I dlatego może właśnie popadłam po raz wtóry w tak długie omdlenie. Wprost nie mogłam sił zebrać.

— Omdlenie pani nie trwało długo.

— Ależ nie mówię o pierwszym omdleniu. Wiem, że trwało zaledwie parę sekund. Kiedy jednak opadłam po raz wtóry ze sił, musiałam leżeć co najmniej dziesięć minut, zanim wróciłam do przytomności.

— Leżała pani nieprzytomna niespełna jedną minutę za pierwszym razem. A kiedy już odzyskała pani przytomność, przyszło drugie omdlenie, trwające wszystkiego zaledwie przez sekundę. Potem majaczyła pani przez pewien czas, a ja starałam się wynaleźć stosowne odpowiedzi na zapytania pani, aż wkońcu usłyszałam przytomne zapytanie, o czem właściwie prawię.

Gertrudę obleciał rumieniec na myśl, że w roz-targnieniu i zmieszaniu, spowodowanem przez cały wypadek, mogły być wymknąć się jej nierozważne powiedzenia.

— Bardzo to głupio z mej strony, że omdla-łam — oświadczyła.

— Ależ nie ponosi pani żadnej winy, wszak to rzecz ludzka. Odprowadzę panią do Beeches.

— Dziękuję pięknie, nie chcę trudzić pana — zastrzegła się energicznie.

Potrząsł głową.

— Nie mam pojęcia, jak długo działać może na organizm to wstrętne trujące ziele. Pozostawić pa-

nią samą obecnie mi nie wolno. Jeżeli pani woli, każe ogrodnikowi mojemu odwieźć ją, ale najchętniej towarzyszyłbym sam.

— Rzeczywiście zadaje pan sobie najniepotrzebniejszego trudu. Pójdę o własnych siłach. Czuję się już zupełnie zdrowa i nie potrzebuję żadnej pomocy.

Wyruszyli w drogę bez żadnych dalszych ceremonialnych oświadczeń. Gertruda musiała zebrać wszystkie siły, by nie okazać towarzyszowi, że doznaje zawrotu głowy. Ogarnęło ją uczucie przytępiającego znużenia i zdawało się jej, że jest pogrążona w półśnie. Nagle obudziło ją wezwanie Trefusa:

— Proszę oprzeć się na mojem ramieniu.

— Nie, dziękuję uprzejmie.

— Proszę jednak nie być tak nierozsądnie upartą. Będzie pani musiała u żywopłotu szukać oparcia, jeżeli odrzuci pani moją pomoc. Żałuję obecnie, iż nie przeparłem pierwotnego projektu i nie zmusiłem pani do powrotu powozem.

Gertruda nie spotkała się z podobnie stanowczym tonem od czasów swego dzieciństwa.

— Czuję się zupełnie dobrze — oświadczyła oschle. — Jest pan rzeczywiście bardzo natarczywy.

— Nie czuje się pani zupełnie dobrze i wie sama o tem najlepiej. Ale jeżeli będzie pani dzielnie walczyła z niemocą, będzie może mogła iść o własnych siłach, bez mojej pomocy, a wysiłek ten może nawet posłużyć pani.

— Jest pan bardzo brutalny — zauważyła z akcentem zawziętości.

— Wiem o tem — odparł spokojnie. — Spotka



pani trzy rodzaje mężczyzn, którzy zawsze będą wobec niej uprzejmi: niewolników, mężczyzn, którzy cenią pani maniery, a nie ją samą, oraz takich panów, którzy kochają się w niej. Nie należę do żadnego z tych gatunków i dlatego odwzajemniam się pani za jej nawskrós nieuprzejme zachowanie się równą monetą z naddatkiem. Dlaczego opiera się pani głosem swej lepszej natury i tłumi te szczerze, właściwe sobie odruchy. Nachodzą one panią dość często i sprowadzają na jej oblicze wyraz, który poskromić może rozjuszonego niedźwiedzia. Ale natychmiastowo stara się pani zgasić te wejrzenia, jak złodziej gasi latarnię, skoro posłyszysz tylko odgłos kroków.

— Mr. Trefusis, nie jestem przyzwyczajona do wysłuchiwania nauczek.

— Właśnie dlatego pouczam panią. Byłem ciekaw, jak będzie się przedstawiało owo dobre wychowanie, do którego pani, o ile mi się zdaje, przywiązuje wielką wagę, wśród zupełnie niezwykłych okoliczności, na przykład w tym wypadku, kiedy usłyszysz pani z ust mężczyzny szczerze zdanie o niej. I jakiż jest wynik mego eksperymentu? Zamiast uprzejmej i licującej z godnością pani odmowy na moje propozycje, której spodziewałem się mimo wszystkie poprzednio uczynione spostrzeżenia, odrzuciła pani w sposób brutalny i w rozkazującym tonie ofiarowaną sobie pomoc, pomoc rzeczywiście potrzebną, nazwała mnie pani gburem i natrętem, jednem słowem, uczyniła pani wszystko możliwe, by moją wobec niej propozycję ukształtować jak najniekorzystniej i nawskrós upokarzająco dla mnie.

Spojrzała na niego wyniośle, ale wyraz twarzy

jego pozostał niezmienny i nie znamionował ani śladu jakiegokolwiek urazy, czy też zakłopotania. Ponieważ nie odpowiadała na jego oskarżenie, prawił dalej:

— Zniósłbym wszystko, cokolwiek spotkałby mnie mogło ze strony kobiety poświęcającej się pracy, i uczyniłbym to bez szmeru sprzeciwu, albowiem nie mogę wymagać od niej wytwornego zachowania się i delikatnych uczuć. Ale pani jest przecież damą, to znaczy, że wiele, wiele ludzi zapracowywało się i głodziło w nędzy i brudzie w tym celu, ażeby pani mogła mieć bieluchne i wypielęgowane rączki, piękne sukienki oraz dostojne maniery, ażeby pani mogła być ożywcem źródłem dla wszystkiego, co uroczego stwarza przyroda i życie. Jeżeli więc tego rodzaju cenne stworzenie, jak taka dama, załamuje się przy pierwszym dotknięciu twardej, energicznej dłoni, wówczas przysługuje mi prawo ubolewać nad nią.

Gertruda kroczyła pośpiesznie i wycedziła wkońcu przez zęby:

— Nie życzę sobie słuchać więcej pańskich rozweselających poglądów, panie Trefusis.

Parsknął śmiechem.

— Ach, te moje nieszczęsne poglądy! — zauważył. — Ilekroć tylko uczynię uwagę niewygodną dla kogokolwiek, natychmiastowo unicestwia się ją jako objaw niebezpiecznego, rzekomo na mnie ciężącego waryactwa. Jeżeli powiem sir Charlesowi, że któryś z jego ulubionych malarzy niezbyt dokładnie zaobserwował jakiś szczegół przed przystąpieniem do rysunku, wówczas słyszę odpowiedź: „Znane są panu, panie Trefusis, nasze rozbieżne

poglądy w tym przedmiocie“. Kiedy oświadczyłem opiekunowi pani Wylie, że jego projekt wychodźczy nie jest o wiele lepszy od prostego oszustwa, zauważył on: „Musi pan wybaczyć, ale nie mogę zapuszczać się w rozważanie pańskich, wysoce dziwnych, zapatrywań“. Obecnie zaś przyszedłem do przekonania, że miss Lindsay staje się o wiele bardziej uprzejmą pod wpływem działania cykuty, aniżeli pod naporem systemu socyalnego, który uczynił z niej istotę bardzo nieszczęśliwą.

— Dosyć już, niechaj i tak będzie! — zawołała Gertruda, obrażona do żywego. Po chwili zaś dodała: — Myślałam, że znajduję się w towarzystwie dżentelmana.

Ponieważ uwagi te nie sprawiły na Trefusisie najłżejszego wrażenia, dorzuciła Gertruda po chwili namysłu:

— Po czem właściwie poznaje pan, że jestem nieszczęśliwa?

— Po niektórych brakach i nierównościach w zachowaniu się pani. Piękności pani zbywa na tej ostatecznej doskonałości, której użyzyć może tylko prawdziwe szczęście. Następnie zauważyłem pewną chwiejność w brzmieniu głosu pani, która dopóty nie zniknie, dopóki nie nauczy się pani szanować i wyczuwać tych ludzi, z którymi się pani porozumiewa.

— Myli się pan — odrzekła Gertruda ze spokojną wyniosłością — i nie rozumie mnie pan nic a nic. Jestem szczerze przywiązana do moich przyjaciół.

— A w takim razie nie było mi nigdy dane oglądać ją w ich towarzystwie.

— I pod tym względem myli się pan.

— W takim razie jak może pani w taki sposób mówić, spoglądać i postępować, jak pani to czyni?

— Co chce pan przez to powiedzieć? Jak ja spoglądam i jak postępuję?

— Jak spoglądałaby i zachowywała się jedna ze sztab żelaznych u kraty przy Belgrave Square, gdyby posiadała świadomość i władzę żywej istoty. Obawiałaby się nieustannie sądu ze strony sztab towarzyszek, lęk ogarniałby ją na myśl, że może wypaść z szeregu. Jest pani zimna, podejrzliwa, bezwzględna wobec ludzi nerwowych i niezdarnych, i bardziej trwożliwie liczy się pani z oceną ludzi, z którymi tańczy i biesiaduje, aniżeli z wyrokiem własnego sumienia. Gdyby te braki zniknęły, wejście pani nabrałoby anielskiej pogody.

— Dziękuję uprzejmie. Wyobraża pan sobie zapewne, że prawnienie grzeczności należy do obowiązków doskonałego dżentelmana?

— Czy usłyszała już pani z ust moich dużo tych grzeczności? Ostatnia moja uwaga nie była pomyślana jako zdawkowa grzeczność. Zaręczam moim słowem, że sami aniołowie nie potrzebowaliby więcej wdzięku od tego, którym pani mogłaby rozporządzać, gdyby zechciała postarać się o ten odcień w spojrzeniu i ów półton w głosie, o których wspomniałem przed chwilą. Nie rozumiem, jak może pani być niezadowolona z moich słów. Gdybym był niezwykle piękny, z zadowoleniem przysłuchiwałbym się wywodom na temat mej urody.

—Przykro mi, że nie mogę sprawić panu tej przyjemności.

— Och!... cha! cha!... Co za odpowiedź. Panno

Lindsay, nietylko nie sprawia to pani przykrości, ale poniekąd cieszy ją nawet.

Gertruda zdawała sobie z tego sprawę, i była niezadowolona z samej siebie; nie dlatego, jakoby odpowiedź miała być nieszczerą, lecz ponieważ nasunęły się jej wątpliwości, czy była stosowna w ustach damy.

— Nic nie upoważnia pana, by mię nieustannie dręczył — wybuchnęła mimowoli.

— Istotnie nie mam po temu najmniejszego prawa — przyznał z pozorem pokory. — A jeżeli zachowywałem się w ten sposób, proszę mi wybaczyć, zanim się rozstaniemy. Nie będę już dalej towarzyszył pani. Maks natychmiastowo podniesie alarm, gdyby miała pani przypadkowo omdleć w alei. Do tego jednak nie przyjdzie, gdyż zdołała już pani zapomnieć o wszelkich skutkach zjadliwej cykuty.

— Ach, oszaleć mi przyjdzie! — zawołała nagle. — Zostawiłam tam mój koszyczek...

— Proszę nie troszczyć się o ten drobiazg. Odnajdę go, i napełniony trującym ziołem, odeślę pani.

— Dziękuję. Przykro mi, że przysparzam panu trudu.

— Niema mowy o żadnym trudzie. Przypuszczalnie jednak, nie użyje pani cykuty do pozbawienia się udreki życiowej?

— Cóż znowu, głupstwo! Potrzebuję tego zioła dla ojca, który używa go jako środka leczniczego.

— Przyniosę więc jutro cykutę osobiście. Czy jutro nie będzie za późno.

— Wcale nie. Nie śpieszy mi się. Stokrotne dzięki, panie Trefusis. Do widzenia,

Podawała mu rękę i uśmiechnęła się nawet z lekka uprzejmie, poczem umknęła szybko.

Przystanął i spoglądał na nią, gdy wbiegała pod sklepienie bukowej alei. Raz weszła w otwór wśród rozchylonych koron bukowych, gdzie wślizgnęło się pasmo promieni słonecznych i wówczas przewinęła się przed jego oczyma jej postać w białej sukience z fioletowemi przybraniami, jak uroczne zjawisko. Wyjął notatkę z kieszeni i zapisał sobie jej nazwisko, oraz datę dnia, ze zwięzłą uwagą.

— Skruszyłem ją — mruknął, chowając notatkę. — Zanim rozstanę się z nią zupełnie, udzielię jej jeszcze jednej czy dwóch lekcyi, które kiedyś w przyszłości będzie mogła z powodzeniem powtórzyć wobec swych dzieci. Jest cokolwiek źle wychowana, inaczej nie przywiązywałaby takiej wagi do swego wychowania. Ale Henryeta nosiła podobną suknię. Cieszy mię przynajmniej, że nie zachodzi żadne niebezpieczeństwo dla mnie, gdyby upodobala sobie we mnie.

Odwrócił się i zauważył zgrzybiałą staruszkę, która uchylała się pod ciężarem wiązek chróstu. Spojrzał na nią z zaciekawieniem. Obrzuciła go ponurem wejrzeniem i ruszyła pośpiesznie w dalszą drogę.

— Hallo! — zawołał.

Uszła jeszcze parę kroków. Niebawem zabrakło jej odwagi i zatrzymała się.

— Nazywacie się mrs. Hickling?

— Tak jest, łaskawy panie.

— Wy to jesteście owa kobieta, która zeszedł zimy przywłaszczyła sobie drewniane sztachetki, leżące gdzieś na ziemi w posiadłości sir Charlesa.

by ich użyć następnie jako paliwa. Musieliście za to przestępstwo odsiedzieć siedm dni w więzieniu.

— Jeśli pan chce, może mię tam z powrotem odesłać — odparła, a głos jej załamywał się chrypliwie od tłumionego gniewu. — Pan Bóg jednak zapłaci panu za to kiedyś. Bodaj lichy porwało tych wszystkich, którzy uciskają biednych i nędzarzy. Wszak to jeden z siedmiu grzechów śmiertelnych.

— Zielone słupki, które dźwigacie na plecach, stanowią resztki mej furty ogrodowej — stwierdził Trefusis. — Pierwszą część furty porwaliście w ubiegłą sobotę. Następnym razem, kiedy będzie wam trzeba opału, wejdźcie do mojego domu i zażądajcie węgla. Ale moje ogrodzenie moglibyście pozostawić w spokoju. Mam wrażenie, że ogień zażreje was również wówczas, kiedy opał nie będzie pochodził z kradzieży. A teraz proszę, powiedźcie mi przez wdzięczność za furtkę rzecz jedną, którą radbym wiedzieć.

— O, prawdziwie dobry z was pan. Błogosławieństwo Boże.

— Do czego używa się cykuty?

— Cykuty, dobry panie? Ma się wiedzieć, że na skrofuły.

— Skrofuły? — zawołał, poruszony tą wiadomością. Ojciec tego pięknego dziewczęcia!

Skierował kroki ku domowi wlokąc się ze spuszczoną głową i mamrotając: — Wszystko przegniłe aż do samych kości.

O kulturo, kulturo, kulturo!

## XIV.

— Co właściwie wstąpiło w Gertrudę? — zagadnęła razu pewnego Agata panią Brandon.

— Jakto? Czy zauważyłaś w niej jaką zmianę?

— Nie potrafię tego określić. Już ona nie ta sama od czasu, kiedy uległa zatruciu. I dlaczego ani słówkiem nie wspomniała o całym wydarzeniu? Gdyby nie Trefusis nie wiedziałybyśmy nic o tem.

— Gertruda zazwyczaj ze wszystkiego urządziła tajemnicę.

— Przez dwa następne dni znajdowała się w niezdolnym usposobieniu, a obecnie zmieniła się zupełnie. Zapada w długą niekiedy zadumę i nie słyszy ani słowa z tego, co się wkoło niej mówi. Potem znowu powraca do przytomności i prosi rzewnie i łagodnie o wybaczenie, że nie zrozumiała, co do niej mówiono.

— Nie mogę jej znieść z chwilą, kiedy staje się uprzejmą, co jest obce jej naturze. Zaś to pogrążenie się w marzeniu pochodzi od działania cykuty. Poznaliśmy człowieka, który podczas kąpieli przypadkowo połknął drobną dawkę strychniny i od tego czasu stał się zupełnie jak nie ten sam.

— Zdaje mi się, że postanowiła ona zachęcić Erskine'a — zauważyła Agata. — Gdy przybyłam tutaj, ledwie było mu dozwolone rozmawiać z nią, a w każdym razie odnosiła się ona do niego wielce pogardliwie. Teraz zaś wolno mu już mówić, wiele tylko zapragnie. Uwiadamia go o swych różnych projektach i pozwala mu nosić swe rzeczy, gdy idą na przechadzkę.

— Istotnie. Nigdy w życiu nie spotkałam osoby



podobnej do Gertrudy. Gdy panowie okazywali jej w Londynie swe względy, zarzucała im natręctwo. A skoro tylko pozostawiono ją w spokoju, natychmiastowo odczuwała to jako opuszczenie. Mojem zdaniem powinna być bardziej zadowolona z Erskine'a.

W tej właśnie chwili zjawił się u drzwi Erskine i przeszukiwał wzrokiem wnętrze pokoju.

— Niema jej tutaj — stwierdziła Jane.

— Szukam sir Charlesa — odparł i wycofał się sztywno z pokoju.

— Cóż za kłamstwo! — uniosła się Jane wielce niezadowolona, iż żart jej został w podobny sposób przyjęty. — Jeszcze dziesięć minut nie upłynęło od czasu, kiedy zabawiał się rozmową z sir Charlesem w pokoju bilardowym. Mężczyźni to przeważnie zarozumiali głupcy.

Agata zbliżyła się do okna i przyglądała się okolicy, szukając ulgi wobec opanowującego ją wewnętrzznego niezadowolenia.

Poprzednio, za czasów swego pobytu w szkole, uprawiała te wywiady z przyrodą przez okno bardzo często, kiedy tylko znalazła się sama, obecnie pozwala sobie na tę rozrywkę nawet w towarzystwie.

Wtem otworzono drzwi, w których zjawił się sir Charles. Spojrzał po pokoju, a gdy przelotnie zauważył Agatę, zatrzymał wzrok na jej osobie i wszedł do wnętrza.

— Czy nosi się pani w tej chwili z jakim projektem, miss Wylie? — zagadnął.

— O tak — odpowiedziała za nią szybko Jane. — Właśnie ma ona zamiar napisać dla mnie pewien list.

— Prawdę powiedziawszy — zauważył mąż — jesteś moja Jane już wystarczająco dojrzałą, by móżd samodzielnie pisywać listy bez niepotrzebnego trudzenia panny Wylie.

— Kiedy piszę sama listy, wytykasz mi zawsze w nich błędy — tłumaczyła się lady Brandon.

— Zdawało mi się, że miała pani ochotę zagrać ze mną — zwrócił się sir Charles do Agaty.

— Istotnie — odparła z chęcią wyrządzenia mu drobnej przyjemności. Na pisanie listu znajdzie się jeszcze czas przed odejściem poczty.

Jane zarumieniła się i oświadczyła krótko: — List napiszę sama, skoro nie chcesz tego uczynić.

Sir Charles stracił panowanie nad sobą.

— Jak można być do tego stopnia brutalną? — zwrócił się z wyrzutem do żony. — Co możesz mieć przeciwko temu, jeżeli gram przy akompaniamencie panny Wylie?

— Piękne wykręty! — odrzekła Jane. — Nie twierdziłam nigdy, że się sprzeciwiam duetom. Ale nie mniej nie przysługuje ci prawo porywać Agatę do fortepianu, jeżeli ona właśnie okazała gotowość napisania dla mnie listu.

— Chciałbym tylko, by miss Wylie mogła to robić, co jej najbardziej odpowiada. Pisanie zaś listów do twoich rzemieślników czy dostawców nie należy zdaniem mojem, do zajęć nader przyjemnych.

— Proszę nie oszczędzać mnie do tego stopnia — rzekła Agata. — Nie nuży mnie to zupełnie. W szkole pisałam wszystkie listy dla Jane. Myślę, że należy teraz pisać najsamprzód list, a potem poświęćmy się koncertowi.

— Wszak nie sprawia to panu różnicy sir Charles, jeżeli zaczeka pan pięć minut?

— Oczywiście, że mogę czekać tak długo, jak to tylko pani odpowiada. Ale nie mogę uwolnić się od wrażenia, że to pisanie listów jest osobliwego rodzaju nadużywaniem dobroci pani, przeciwko czemu bezwarunkowo muszę zaprotestować...

— Zostaw już ten list w spokoju! — uniosła się Jane.

— Jak można pleść takie rozbijające głupstwa tylko dlatego, że prosiłam Agatę o napisanie mi listu właśnie w tym czasie, kiedy ty życzyłeś sobie, by grała z tobą twoje duety. Jestem przekonana, że ma już tej brzdąkaniny dosyć, że niedobrze jej się robi na samą myśl o nich.

By nie wysłuchiwać dalszego przebiegu kłótni, udała się Agata do biblioteki i napisała ów list. Kiedy powróciła do salonu, nie zastała w nim nikogo. Niebawem jednak zjawił się sir Charles.

— Przykro mi miss Wylie — mówił podnosząc skrzydło fortepianu — jeżeli wskutek śmiesznej zazdrości mej żony ucierpiała pani.

— Wskutek zazdrości?

— Naturalnie. Jakie to bezdennie głupie!

— Zdaje mi się, że pan myli się — rzekła Agata, której twierdzenie sir Charlesa wydały się niewiarogodne. — Jakto możliwe nawet, żeby Jane była o mnie zazdrosna?

— Żona moja jest zazdrosna z powodu każdej kobiety i o lada drobnostkę — odparł z goryczą. — Zazdrość ta nie ma najmniejszego uzasadnienia w nikim i w niczem. Nie ma pani pojęcia, co ja nieraz znieść muszę od niej i przez nią.

Agata uznała za rzecz najstosowniejszą usiąść bezzwłocznie do klawikordu i rozpocząć koncert.

„O gdyby miłość ma“...

Gdy grała i śpiewała, myśli jej błądziły nieustannie około ostatnich słów sir Charlesa. Bardzo chętnie przebywała w jego towarzystwie. Był wesoły, odznaczał się pełnym zrozumieniem muzyki, jak i zmysłem dla dowcipnej rozmowy towarzyskiej, cechowały go uprzejmość i subtelność w stosunku do ludzi. Miał jeszcze jedną zaletę: zdołał poznać i należycie ocenić skarby utajone w usposobieniu Agaty, a był w rozmowie cięty bez zakusów do uzyskania stanowczej przewagi nad przeciwnikiem. Jako człowiek żonaty nie był dla panny niebezpieczny z objawami swej życzliwości. — Mimo to jednak wydawało się jej, jakoby w ostatnich czasach przebywali zbyt wiele ze sobą razem.

Sir Charles wszedł w jej tonację. Natychmiastowo jednak oprzytomniał i przerwał grę, pytając, czy też przypadkowo nie omylił się. Agata знаła z doświadczenia stałe jego błędy, więc poddała mu akord i grali dalej. Nie długo trwał ich koncert, gdy już zjawiała się Jane i usiadła, zaznaczając, iż prawdopodobnie nie będzie im przeszkadzała jej obecność. A jednak przeszkadzała im. Agata nie umiała pozbyć się wrażenia, że lady Brandon przybyła po to tylko, by ich nadzorować, sir Charles zaś był tego pewny. Poza tem całe zachowanie się pani Brandon nacechowane było stale niepokojem nawet wówczas, gdy nie istniała po temu żadna, wewnętrzna przyczyna. Muzyka nie pozwalała jej nawiązać rozmowy, a jakkolwiek trzymała w ręku otwartą książkę, nie mogła równocześnie czytać i czynić potrzebnych

spozrzezeń. Więc ziewała i przeciągała się przez poręcz kanapy, aż wkońcu o mało co nie straciła równowagi i dopiero przy pomocy gwałtownego ruchu zdołała powrócić do normalnej pozycji. Podłoga trzeszczała przy każdym jej poruszeniu się. Nie zdołała dłużej zachować milczenia.

— Święte niebiosa! — rzekła, ziewając głośno. — Co najmniej będzie już piąta godzina.

Agata obróciła się na swym tabureciku. Zrozumiała, że nie da się pogodzić uprawianie muzyki z obecnością lady Brandon. Sir Charles starał się przez wzgląd na gościa stłumić rozdrażnienie z napięciem całej swej woli.

— Możesz łatwo przekonać się na twoim zegarku, która godzina — zauważył.

— Dziękuję za wyjaśnienie — rzekła Jane. — Agato, czy nie wiesz, gdzie jest Gertruda?

— Pozwólże, Jane, w jaki możliwy na tym świecie sposób może objaśnić ci miss Wylie, gdzie jest Gertruda? Zdaje mi się, że uległaś dzisiaj pomieszaniu zmysłów.

— Najprawdopodobniej gra Gertruda z mr. Erskinem w bilard — odpowiedziała szybko Agata, by uniemożliwić wymianę zdań pomiędzy Jane a jej małżonkiem.

— Dziwi mnie niepomiernie, dlaczego Gertruda przez cały boży dzień siedzi z Chesterem w bilardowym pokoju — rzekła Jane z wyrazem niezadowolenia.

— Nie mogę się w tem dopatrzeć choćby najdrobniejszego nietaktu — rzekł sir Charles. — Jeżeli miss Lindsay, jako nasz gość, nie ma być wolną od uwłaczających jej przypuszczeń, w takim razie

dla nas to tylko wstyd. Co powiedziałaabyś gdyby ktoś inny pozwolił sobie na podobną uwagę?

— Ach, nonsens — odrzekła Jane kapryśnie. — Z powodu każdego drobiazgu uderzasz zaraz w wielki dzwon. Wcale nie twierdziłam, jakoby Gertruda miała zachowywać się niestosownie. Znajduję, że zachowanie się jej jest zanadto formalnie sztywne, by mózdz znaleźć pełną przyjemność w jej towarzystwie.

Sir Charles nie mógł już dłużej zapanować nad sobą. Z pochmurnem obliczem opuścił pokój, podczas gdy Jane wysłała za nim w pościg głośną salwę pogardliwego śmiechu.

— Nie popełnij nigdy podobnego głupstwa, jak zamążpójście — rzekła po odejściu męża. Mówiąc to, spojrzała w stronę Agaty i przeraziła się na widok swej koleżanki, siedzącej jak za dawnych szkolnych czasów, na wieku fortepianu i zabawiającej się swobodnem wywijaniem nogami.

— Jane — rzekła, obrzucając swą gospodynię mrożącym wejrzeniem — czy ty wiesz, co uczyniłabym w miejscu sir Charlesa?

Jane nie wiedziała.

— Wzięłabym gruby kij i sprąłabym cię, żebyś aż posiniała. Poza tem wtrąciłabym cię pod klucz — o chlebie i wodzie na przeciąg całego tygodnia.

Jane uniosła się z rozplomieniem, zagniewanem obliczem.

— Co — co takiego? — wykrztusiła i opadła bezsilna z powrotem na kanapę.

— Gdybym była mężczyzną, nie pozwoliłabym, powodując się czystą galanterią, by odnoszono się

do mnie, jak do natrętnego pieska. Tobie trzeba na leżytej porcyi różeg.

— Radabym ujrzeć tego, któryby na mnie podniósł rękę — rzekła Jane. Powstała i usiłowała wyprostować swą okazałą postać. Niebawem trysnęły łzy z jej oczu:

— Nie pozwolę, by mówiono mi podobne rzeczy w moim własnym domu. Jak ty się ośmielasz?

— Zasługujesz na to, albowiem jesteś o mnie zazdrosna — rzekła Agata.

Oczy Jane rozszerzyły się pod wpływem gniewu.

— Ja... ja!... Ja miałabym być zazdrosna o ciebie!

Oglądała się za przedmiotem, który mógłby jej posłużyć za pocisk. Ponieważ nie mogła znaleźć nic odpowiedniego, więc usiadła z powrotem i powtarzała głosem od łez zdławionym:

— Zazdrosna — za... zazdrosna o — ciebie, a to doskonale!

— A jednak posiadasz po temu wystarczający powód, gdyż mąż twój woli mnie od ciebie!

Kurcz wykrzywił usta Jane, oczy rozwarły się szeroko, zaledwie mogła zaczerpnąć powietrza, by odetchnąć. Agata zaś wywodziła w dalszym ciągu spokojnie:

— Jestem dla niego uprzejma, ty zaś nie jesteś nią nigdy. Gdy rozmawia ze mną, pozwalam mu dokończyć wygłaszane zdania i nie przerywam mu przez wtrącanie opinii, zabarwionych osobistem uprzedzeniem i prawdę powiedziawszy, nie zasługujących na wysłuchanie. Nie ziewam i nie mówię głośno wówczas, gdy on śpiewa lub gra. Jeżeli szuka

rozrywki w pogadance na temat sztuki czy literatury, w czem wyznaje się on więcej dwa razy ode mnie, a przynajmniej dziesięciokrotnie więcej od ciebie — w tem miejscu rozległo się głośne sapanie Jane, która znowu chwyciła powietrze, gdyż dławiło ją oburzenie — wówczas nie udzielałam mu żadnych zwaryowanych odpowiedzi, ani też nie zwracam się do sąsiada po drugiej stronie z uwagami, odnoszącemi się do stajni końskiej, czy też stanu pogody. Skoro okazuje on skłonność do rozrywki towarzyskiej, a okazuje ją prawie zawsze, wówczas staram się być zajmującą. I dla tego wszystkiego razem darzy mię on życzliwością.

— On wcale nie lubi ciebie. Odnosi się w podobny sposób do każdego niemal człowieka.

— Z wyjątkiem własnej żony. Lubi mnie on do tego stopnia, że poczułaś się spowodowana, jak najprawdziwsza gęś — którą skądinąd jesteś istotnie — wejść tutaj, by dopilnować nas w czasie koncertu. Przy tej sposobności byłaś tak nieprzyjemna, jak tylko stać cię na to, podczas gdy ja robiłam co mogłam, by okazać się miłą. Nieszczęsny małżonek musiał wstydzić się z tego powodu.

— Wcale tak nie było — przeczyła, łkając już, Jane. — Nic właściwie nie uczyniłam i nic nie powiedziałam. Nie pozwolę na podobne odnoszenie się do mnie. Podam się o rozwód. Chcę... —

— Natychmiastowo zmienisz twe zachowanie na lepsze, jeżeli nie pozbyłaś się dotąd jeszcze resztek zdrowego rozsądku — rzekła Agata bez cienia skruchy. — A nie wszczynaj obecnie lamentów, bo wejdzie kto jeszcze i zobaczy, co się dzieje, a w do-



datku ja będę zmuszona zeskoczyć z fortepianu, gdzie siedzi mi się bardzo wygodnie.

— Jesteś zazdrosna.

— Czy naprawdę, Jane? Otóż, powiem ci: nie upoważniłam dotąd jeszcze sir Charlesa do zakochania się we mnie, ale z łatwością mogę to uczynić. O co założysz się ze mną, że pocałuje mię on jeszcze jutro przed wieczorem?

— Gdyby to uczynił, byłoby to tylko dowodem twego prostactwa i nikczemności. Czy wyobrażasz sobie, że pozwoliłabym na zabawianie się moją osobą, jak dzieckiem?

— Nie jesteś jednak niczem innym, jak tylko dzieckiem — zawyrokowała Agata, zeskakując z fortepianu i zacierając ku drzwiom z zamiarem opuszczenia salonu. — Lekka chłosta od czasu do czasu wyszłaby ci na dobre.

— Wcale nie powinno cię to zajmować, czy ja żyję w dobrych stosunkach z moim mężem, czy też nie — wybuchnęła Jane ponownie gniewem.

— Jak długo sprzeczać się, gdy jesteście sami, jak to zresztą zwykły czynić pary, zaliczające się do ludzi dobrze wychowanych, tak długo nie zajmuje mnie to zupełnie. Z chwilą jednak, kiedy kłótnie wasze wszczynacie w mojej obecności, doznaję niesmaku i staram się temu przeciwdziałać w własnym interesie.

— Nie byłabyś tutaj wśród nas, gdybym była nie zaprosiła ciebie.

— Wyobraź sobie, Jane, tylko, jaka nuda panowała w tym domu beze mnie.

— Rzeczywiście? Przed twojem przybyciem

wcale nie było tu nudno. Gertruda zachowywała się zawsze przynajmniej, jak prawdziwa dama.

— Żałuję, że przykład jej nie podziałał na ciebie zupełnie.

— Nie zniosę już tego dłużej — skarżyła się Jane wśród żalosego płaczu i opadła na kanapę z taką mocą, że zadrżały kryształki u świecznika. — Nigdy w życiu nie byłabym zaprosiła ciebie, gdybym była mogła przewidzieć, że potrafisz być do tego stopnia zjadliwa. Więcej już nie zaproszę ciebie.

— A ja spowoduję, że sir Charles rozwiedzie się z tobą z powodu nieznośnego twego usposobienia i ożeni się ze mną. Wówczas cały ten dom będzie należał do mnie.

— Chwała Bogu nie można się rozwieść z tego powodu. Sama nie wiesz co pleciesz.

Agata parsknęła śmiechem.

— Pójdź Jane — rzekła dobrotliwie — i nie bądź starą oślicą. Umyj twarz zanim zauważy ktośkolwiek, że beczałaś i zastanów się nad tem, co ci powiedziałam o sir Charlesie.

— Bardzo to dotkliwie usłyszeć w własnym domu, że jest się oślicą.

— Bardziej dotkliwie, gdy ktoś odnosi się do drugiej osoby, jak do skończonego osła. A tak ty postępujesz z mężem. Poszukam go w pokoju bilardowym.

Jane zerwała się podbiegła do niej i chwyciła ją za rękaw.

— Agato — błagała — przyrzeknij proszę, że nie będziesz brutalna. Powiedz mi, że nie kochasz się w nim.

— Muszę jeszcze całą sprawę rozważyć — odrzekła Agata z doskonale udaną powagą w głosie.

Jane opadła z głośnem westchnieniem w krzesło, które zatrzeszczało pod jej ciężarem. Agata zatrzymała się na progu i spojrzała za siebie, a skoro zauważyła, że Jane wśród wybuchu wściekłości potrzęsa głową, zaciska oczy i uderza obcasami o podłogę, rzekła głośno:

— Oto nadchodzą państwo Waltons i państwo Fitzgeorges wraz z mr. Trefusisem. Jak się pani miewa mrs. Walton. Lady Brandon bardzo się ucieszy, widząc panią. Dobry wieczór, panie Fitzgeorge.

Jane podskoczyła jak oparzona, otarła szybko łzy i pobiegła do zwierciadła, poprawiając na prędce rękoma roztrzęsioną fryzurę. Ponieważ jednak nikt z gości nie nadchodził zrozumiała wkrótce, że znowu i to może już po raz setny z rzędu padła ofiarą szelmowskiego figla ze strony Agaty.

Agata zaś była zupełnie zadowolona, ponieważ poszczęściło się jej w zamiarze uzyskania dawnego panowania nad Jane. Nie mogła jeszcze uwierzyć w własne powodzenie, jakkolwiek spokój jej pozostał niezmienny. Zeszła na dół do biblioteki, gdzie siedział sir Charles pogrążony w ponurem rozmyślaniu i usiłujący napróżno znaleźć zapomnienie po przejściach domowych w lekturze dzieła z zakresu krytyki sztuki.

— Myślałam, że jest pan w sali bilardowej — rzekła Agata.

— Zajrzałem tylko przelotnie — odparł. — Zdaje się jednak, że zaszły tam rzeczy niezwykle i wobec tego uznałem za wskazane usunąć się stamtąd niespostrzeżony. I tak złożyło się, że przepędziłem cały ten czas w osamotnieniu.

Niezwykłe te wydarzenia, których dalszego

biegu nie chciał przerywać sir Charles, okazały się niczem innym więcej, jak tylko najzwyklejszą partią bilardową. Była to pierwsza sposobność nadarzająca się Erskinowi, by mógł sam na sam i w spokoju rozmówić się z Gertrudą. Nigdy jednak nie układała się ich pogawędka w sposób równie banalny, jak właśnie tym razem, Gertruda uprawiała grę w bilard z niemałym zamiłowaniem i grała dobrze, czyniąc od czasu do czasu obojętne uwagi. On grał źle i wbrew woli oraz najszczerzszym wysiłkom naprowadzał rozmowę na najbardziej płaskie tematy. Grali już półtorej godziny. Gertruda zapowiedziała ostatnią partycję. Erskine myślał z prawdziwą rozpaczą nad bliskim końcem gry, który nastąpi rychło, jeżeli będzie nieustannie wypuszczał kule. Omi nie go może ostatnia sposobność, której nie wykorzysta, a która nie wróci już więcej. Postanowił więc oświadczyć jej bez żadnych wstępów, że ją ubóstwia. Gdy już otworzył usta w tym celu, zamiast zamierzonego oświadczenia, wymknęło mu się zapytanie o perską metodę gry bilardowej. Gertruda nigdy nie była w Persyi, ale miała sposobność oglądać w indyjskim muzeum kije bilardowe, używane na Wschodzie. Czy nie uważa on, że Hindusi odznaczają się niezwyklei zdolnościami do wykonywania robót filigranowych, jak wskazują ich dywany i inne wyroby? Czy nie zgadza się z nią, że zbytnia zawilłość indyjskich wzorów dywanowych stanowi poniekąd ich stronę ujemną?

— Wiele ludzi udaje, że podziwiają właśnie tę zawilłość, a czy nie jest to właściwie głupia poza? Czy nowoczesna parkietowa posadzka z jednym dywanem w pośrodku nie wygląda przyzwoiciej od

starożytnego dywanu, rozpostartego po wszystkie cztery kąty pokoju? Zapewniam pana, że o wiele przyzwyczaj. Nieskończenie... Ale, ale... o czym pan właściwie myśli dzisiaj, mr. Erskine? Gra pan w tej chwili moją kulą?

— Myślę o pani.

— Co pan powiedział? — zapytała Gertruda, która nie pojęła jeszcze w pierwszej chwili powagi jego powiedzenia i szykowała swój kij do następnego uderzenia.

—Ależ gram dzisiaj równie niedobrze, jak i pan. Zdaje się, że było to w tej chwili najgorsze uderzenie, jakie kiedykolwiek miałam na sumieniu. Przepraszam, wszak powiedział pan coś przed chwilą?

— Już nie pamiętam... nic ważnego...

Westchnął z powodu nieposkromionego swego tchórzostwa.

— A więc może poniechamy gry — rzekła Gertruda. — Niema celu grać partyę do końca, skoro ręce nasze odmawiają nam niezawodnego posłuszeństwa. Przyznam się, że odczuwam potrosze zmęczenie.

— Najzupełniejsza zgoda według życzenia pani.

— Skoro pan jednak życzy sobie, możemy dograć do końca...

— Wcale nie. Pani życzenie jest równocześnie i życzeniem mojem.

Gertruda skinęła mu lekko głową i niedbałym uderzeniem kija roztrąciła kule. Oczy Erskine'a zaczęły błędzić w próżni, jego wargi poruszały się niespokojnie. Zdawał sobie jasno sprawę z niewzruszonego postanowienia, by oświadczyć się jej bez ogródek, od serca zapukać do serca. Odmalował sobie

sytuację z najdrobniejszymi szczegółami, jak to ujmie ją delikatnie za rękę i powie: „Gertrudo, kocham ciebie! Czy wolno mi zapewnić cię o tem na zawsze?”

Pomysł ten wydał mu się jednak w obecnej chwili niewykonalny.

— Miss Lindsay...

Gertruda, która pochyliła się była nad bilardem, spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

— Chwila obecna stwarza jedyną sposobność, by... — bo ja pragnę... powinienem... chcę...

— Powinien pan — powtórzyła Gertruda. — Czy studyował pan kiedy naukę o konieczności?

— Naukę o konieczności? — wypatrzył się na nią z nieprzytomnym zdziwieniem.

Gertruda popchnęła kulę w drugą stronę bilardu i podażyła za nią. Odgadnęła już, co ma nastąpić i postanowiła oczekiwać zdarzenia w korzystnej postawie. Wcale nie w tym celu, jakoby miała zamiar przyjąć oświadczyzny, lecz tylko dlatego, że zwykła — jak zresztą wszystkie inne w podobnych przejściach doświadczone damy — zbierać wysłuchane wyznania miłosne z ścisłością dzikich ludzi, obliczających swe zwycięskie skalpy.

— Przeżyliśmy w tym domu bardzo piękny okres czasu — wszczął Erskine, unicestwiając ważną naukę o koniecznościach, jako niezrozumiałą na razie. — Przynajmniej ja tak czuję.

— No więc — wtrąciła szorstko Gertruda, podejrzewając towarzysza o przymówkę do objawianego przez nią na każdym kroku niezadowolenia z pobytu w Brandon — ja również jestem tego zdania.

— Słowa pani uszczęśliwiają mnie prawdziwie, o wiele więcej, aniżeli mógłbym to wyrazić.

— Co pana obchodzi moje zadowolenie? — zagadnęła go surowo, dając upust wzbierającemu w niej gniewowi, który on sam wywołał bezwiednie. Posądzała go o wysiłki w kierunku zaznaczenia współczucia dla niej.

— Wolalbym, by mogło mnie to nie obchodzić. Szczęście złączone z całym moim pobytym tutaj zawdzięczam wyłącznie pani.

— Czy istotnie? — zapytała Gertruda poruszona do głębi. Uprzytomniły się jej w jednej chwili wszystkie te okropności, dotyczące jej osoby, o których nasłuchiwała się z ust Trefusisa, a wystąpiły w świadomości tem żywiej, iż stały w rażącej sprzeczności z niefortunnym pomysłem Erskine'a, by zaznaczać wobec niej ową władzę uszczęśliwiającą, jaką na nim wywiera.

— Przypuszczalnie nie dręcę pani — dopytywał się z niezwykłą powagą w głosie.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odrzekła i wyprostowała się nagle, zdradzając owładające ją zniecierpliwienie.

— Ulega pan widocznie złudzeniu, że jest rzeczą łatwą sprawić mi przykrość.

— O nie — zaprzeczył troskliwie i nie mógł opanować zmieszania, gdy zauważył, jakie wrażenie wywarły jego powiedzenia na uwielbianej. Usiłował usprawiedliwić się.

— Obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Jestem wielce niezgrabny. Może będzie lepiej, jeżeli już nic więcej nie powiem.

Gertruda usunęła się na bok i wzięła znowu do

rak kij bilardowy. Chciała przez ten manewr zaznaczyć, iż jest rzeczą Erskine'a rozważać osobiste jego właściwości i sposób zachowania się. Nie zdradzała najmniejszej ochoty do zastanawiania się nad tą sprawą i przerywania sobie miłego zajęcia. Gdy spojrzała znowu na niego, spostrzegła postać nieruchomą z wyrazem trwogi i o rozpacz graniczącego smutku w twarzy. Przypominał psa, którego ochota do karesów spotkała się z lekceważącą obojętnością. Naszło ją uczucie skruchy i współczucia, zrodziły się wątpliwości, czy zachowanie się jej wobec Erskine'a nie posiadało znamion niskich. Wpatrzyła się w niego przez dłuższą chwilę i nagle opuściła pokój.

Spojrzenie jej ocuciło go i poruszyło. Nie rozumiał tego wzroku i nie śmiał nawet zrozumieć. Ale spojrzenia tego rodzaju nie spostrzegł dotąd jeszcze nigdy ani w oczach Gertrudy ani też żadnej innej kobiety. Przedstawiło mu się całe zajście jako nagłe objawienie słownego zwrotu, którego użył ongi w „Narodowych męczennikach“: *rozkoszna tajemnica kobiecego serca*. W jednej chwili doszedł do przekonania, że obecnie nie wolno mu już oddawać się codziennym towarzyskim rozrywkom. Wybiegł z domu i podążył szybko aleją w dół ku szopie, w której stał jego rower. Kazał donieść do dworu, że wybiera się na wycieczkę i najprawdopodobniej nie powróci w porze obiadowej. Następnie siadł na żelaznego rumaka i pojechał w kierunku Riverside Road. W dwie minuty potem mijał już bramę domku Sallusta, gdzie o mało co nie przejechał starej kobieciny, dźwigającej kosz z węglami. Zdjęła kosz z pleców, a ulżywszy sobie w ciężarze, często-



wała go głośnemi wyzwiskami. Erskine usłyszał przekleństwa kobiety i wnet uprzytomnił sobie, że szalona szybkość jazdy wywoływa szereg niebezpieczeństw. Zwolnił więc w tempie, a wnet potem ujrzał Trefusisa, który rozłożył się nad brzegiem rzeki, oparł twarz o dłonie i czytał uważnie. Erskine ofiarował mu przed kilkoma dniami egzemplarz swych utworów p. t. „Narodowi męczennicy i inne poematy“, usiłował więc obecnie rzucić okiem na książkę, w której zagłębiał się właśnie Trefusis. W książce roiło się od niebieskich kolumn z kratkami wypełnionymi przez cyfry. Rozczarowany Erskine odjechał w dalszą podróż, a niezadowolony swe starał się złagodzić przez rozpamiętywanie twarzyczki Gertrudy.

Gościniec oddalił się nagle od rzeki i wspinał się na stromy szczyłek, gdzie zatrzymał się nasz podróżnik i skąd objął wzrokiem okolicę. Światło dzienne przybierało coraz bardziej różowe zabarwienie, a cienie stawały się coraz to dłuższe. Trefusis leżał dalej wyciągnięty w trawie, a kobiecinka dreptała, jak poprzednio, po polach, zbierając cykutę.

W pełnym rozpędzie zjechał Erskine z pagórka na dół i nie oglądał się już poza siebie dopóki nie dojechał o zachodzie słońca do małego miasteczka. Tutaj kupił sobie szklanekę piwa, oraz chleb z masłem, ale jadł bez większego apetytu, gdyż Gertruda wprowadziła go w stan podniecenia, który odbierał mu wszelką ochotę nawet — do jedzenia.

Ściemniło się i znajdował się o wiele mil oddalony od Brandon Beeches i nie znał nawet dokładnie drogi powrotnej. Nagle postanowił uzupełnić, urzeczywistnić oświadczenia, które właśnie tego dnia

o mało co nie przyszedł do skutku. Pędził z tą myślą na oślep i największa chyżość nie zdołała zaspokoić jego niecierpliwości. Usiłował skrócić sobie drogę, zboczył więc z gościńca, zabłąkał się i stracił całą niemal godzinę na odszukaniu należytego kierunku. Wkońcu przedostał się na stacyjkę kolejową i dopadł na szczęście swoje pociągu, który przywiózł go ku miejscu jego przeznaczenia.

Dźwignąwszy się z poduszek wagonowych, doznawał znużenia i dosiadł swego rumaka dosyć sztywnie. Postanowienie jego pozostało jednak niewzruszone. Gdy przybył na miejsce i ustawivszy rower z powrotem w budce, zmierzał ku dworowi po przez bukową aleję, spowitą w cienie nocy, słyszał jak gwałtownie uderzało mu serce. W pobliżu dworu doleciały go dźwięki znanej „*Crudel perche finora*“. Wszedł ostrożnie na trawnik, aby szelest jego kroków na szutrze ścieżki nie spłoszył psów, które przez ujadanie zagłuszyłyby piękną muzykę. Jakiś szelest w pobliżu zmusił go do zatrzymania się. Nadśluchiwał. Rozpoznał w ciemności stłumiony głos Gertrudy:

— Co miał pan na myśli, gdy rozmawialiśmy przed chwilą?

Niezwykłe uczucie ogarnęło Erskine'a, skłębione obrazy z krainy marzeń zapełniły jego wyobrażenie. Rozwiały się jednak szybko pod naporem rzeczywistości i przyszło gorzkie rozczarowanie, niby jawa po szczęśliwym śnie, gdy zabrzmiał głos Trefusisa, bardziej miękki i łagodny, aniżeli kiedykolwiek indziej:

— Pragnąłem mniej więcej zaznaczyć, że królestwo gwiazd, które migocą nad nami, nie jest bar-

dziej nieskończone od lekceważenia, jakie żywię dla miss Lindsay i nie mniej promienne od zaufania, jakie pokładam w Gertrudzie.

— Proszę bardzo, mr. Trefusis, dla pana pozostaję zawsze nikim innym, jak tylko miss Lindsay.

— Dla mnie nigdy nie może być pani panną Lindsay. Jest nią pani dla tych, którzy nie są w stanie zajrzeć w głąb jej duszy, która ma na imię Gertruda. Istnieją tysiące różnych miss Lindsay na świecie, które wszystkie są powierzchowne i nieprawdziwe. Gertruda jest jednak tylko jedna.

— Jestem bezbronna dziewczyna, mr. Trefusis i może mnie pan nazywać, jak się panu podoba.

Na chwilę przemknęła Erskinowi przez głowę myśl, że nadarzyła się odpowiednia sposobność, by wyskoczyć z ukrycia i podbić oko Trefusisowi, którego sylwetka zaledwie zarysowała się wśród ciemności. Ale wzdrygnął się tuż przed samem wykonaniem, a przekonanie o dobrej sposobności rozwiało się rychło.

— Bezbronna! — prawil dalej Trefusis. — Wszak ze wszech stron jest pani oparkaniona i na sto spustów zaryglowana przez obyczaje, przepisy i kłamstewka, które spłoszyłyby prawdę z ust każdego mężczyzny, zdolnego nie wierzyć tak silnie w Gertrudę, jak ja.

Proszę udać się do sir Charlesa i powtórzyć mu, co mówiłem do miss Lindsay. W przeciagu dziesięciu minut znalazłbym się poza bramą, a towarzyszyłoby mi ostrzeżenie, bym nie ośmielił się już więcej szukać zbliżenia do niego. Pozostaję tylko pod wpływem uroku Gertrudy, gdybym czuł się zależny od miss Lindsay, o wiele mniej miałbym do

powiedzenia. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dorozumiewa się Gertruda, jakkolwiek wyczuwa to niezbyt jasno, że miss Lindsay jest jej najzacieklejszą nieprzyjaciółką.

— Ależ śmieszne. Nie jestem złożona z dwóch osób, jestem jedna. Zresztą co mię to obchodzi, czy pogarda pana do mnie jest tak nieskończona, jak przestwór zasiany gwiazdami ?

— Ah, a więc przypomina pani sobie te słowa? Jeżeli usłyszysz pani kiedykolwiek jakiego mężczyznę rozprawiającego o gwiazdach, wówczas proszę być przekonaną, że jest albo astronomem albo idyotą. Niemniej jednak jest pani zdolna podobnie jak i piękna noc gwiazdzista z każdego człowieka uczynić idyotę.

— Nie rozumiem pana. Czynię w tym kierunku wysiłki, ale bezowocnie. Z chwilą zaś, kiedy coś już rozumiem, wówczas nie wiem doprawdy, czy mówi pan poważnie czy też nie.

— Mówię najpoważniej w świecie. Proszę pozbyć się raz na zawsze tych podejrzeń, jakobym żartował z panią, czy też jakobym pragnął przegawędzić godzinę wolnego czasu w sposób właściwy mężczyznom, którzy znajdują się w towarzystwie pięknych kobiet. Jak mówię, tak i myślę, niemal dosłownie i najzupełniej poważnie. Pani powątpiewa w szczerść moich wywodów, doprowadziliśmy przez właściwe nam zwyczaje towarzyskie do tego, że obdarzamy się wzajemną nieufnością. Prawda jednak wymusza na tych, którzy mogą ją pojąć, prędzej lub później wiarę w rzeczy zrozumiane. Obecnie wolno mi już zaapelować do miss Lindsay i przypomnieć jej, że przebywamy na polu od jakich mi-

nut dziesięciu i że gosposia nasza nie należy do rzędu kobiet, które zezwoliłyby nam na oddalenie się od towarzystwa bez szczególnych komentarzy.

— Wejdzmy do wnętrza domu. Dziękuję panu, że przypomniał mi, o czem mówił na ostatku.

— A ja dziękuję pani, iż zapomniała o tem.

Erskine słyszał, jak oddalał się odgłos kroków i niebawem ujrzał oboje ich wstępujących w snop światła, padający z otwartych drzwi sali bilardowej, przez którą skierowali się do dalszych pokojów. Trefusis, człowiek, który dzisiaj właśnie wyciągnął się był na ziemi dla wygody, a bez zainteresowania wobec istotnych rozkoszy, jakich używał jeden z najpiękniejszych widoków okolicznej przyrody, człowiek głuchy i ślepy na wszystko, co nie da się pociągnąć pod rząd cyfr, wpisywanych do ksiąg handlowych, ten sam człowiek stał się zwycięskim współzawodnikiem Erskine'a, jakkolwiek już po dźwięku głosu jego rozpoznać można łatwo, że nie kocha on Gertrudy, że kochać jej nie może. Na miłość dla niej zdobyć się może tylko poeta.

Trefusis nie jest poetą, tylko płaskim, trywialnym osobnikiem, mogącym obudzić zajęcie co najwyżej na jakim zgromadzeniu ludowem, a nie u kobiety, w żadnym zaś wypadku nie u kobiety tak subtelnej jak Gertruda. W dodatku odznacza się Gertruda niezwykłą dumą. A jednak pozwoliła temu prostakowi na wymyślenia i drwiny i przebaczyła mu tylko dlatego, że wypowiedział kilka grubych pochlebstw pod jej adresem. Erskinem oładnał gniew, nasuwały mu się na myśl zjadliwe uwagi. Zajście, którego przypadkowo był świadkiem, dotknęło do żywego jego poetyckie usposobienie. Zamiast tragicznego cierpienia, jakie-

go doznałby w podobnych warunkach każdy „narodowy męczennik“, nawiedziło go poczucie, iż zdrwiono sobie z niego, że go wyszydzono. Pierwotne, łatwo zrozumiałe przekonanie, że Trefusis jest człowiekiem stojącym na niższym poziomie umysłowym od niego, zatraciło dawną swą niezachwianą pewność.

Zatrzymał się wśród cienia drzew, aż po chwilę, kiedy zjawił się ponownie Trefusis w drodze powrotnej do domu. Człowiek ten zdaniem Erskine'a — obcasami swymi tak hałaśliwie stapał po żwirze, że cała gromada dobrze wychowanych ludzi nie zdołałaby go przygłuszyć w pochodzie.

Przystanął jeszcze przy budce wartownika, wypytując się o coś, poczem ruszył w dalszą drogę, a niebawem zamarły jego kroki wśród ciemności.

Erskine zaszczytniał, przeziął i doznawał uczucia, jakgdyby nabawił się jakiej złej choroby. Gdy wszedł już do wnętrza domu, doznał uczucia ulgi na wieść, że Gertruda odeszła już do swego pokoju i że lady Brandon kazała zostawić dla niego ciepłe jedzenie mimo niezłomne przekonanie, iż Erskine wśród ciemności zjechał z brzegu, wpadł do rzeki i utonął.

## XV.

Erskine znalazł obecnie dosyć sposobności do uprawiania swego nowego, bolesnego sportu. Zachowanie się Gertrudy wobec niego nosiło cechy takiej łagodności, iż posądzał ją o zaprzędanie serca jego rywalowi, oraz o chęć wywołania oświadczyń, któreby mogła odrzucić z miejsca.

Sir Charles, któremu opowiedział scenę, jaka się wydarzyła w alei, wyraził mu swoje współczucie, ale równocześnie i mimowoli zdradzał nie dające się poskromić zadowolenie, ponieważ wolno mu było ludzi się, iż poza uprzejmościami wyświadczanymi przez Trefusisa Agacie, nie kryją się żadne poważniejsze zamiary. Pod wpływem tych zajęć napisał Erskine trzy zgorzkniałe sonety na temat fałszywej przyjaźni i pokazał je sir Charlesowi, który, nie domyślając się, iż odnoszą się do niego, chwalił je niepomernie. Sir Charles pokazał je następnie Trefusisowi bez zezwolenia autora. Trefusis zauważył, że w zepsutem społeczeństwie uchodzą wyrazy niezadowolnienia u autorów za objaw wytwornego ich smaku, poza tem jednak nie chwalił on wierszy wcale.

— W jaki sposób przyszedł autor do tego rodzaju tematów? — zapytał. — Czy spotkało go w ostatnich czasach jakie bolesne rozczarowanie? — Czy może oświadczył się miss Lindsay i otrzymał kosza?

— Nie — odparł sir Charles zdziwiony śmiałem poruszeniem tematu, o którym nigdy dotąd nie rozmawiali z sobą. — I również wcale nie zamierza on oświadczać się miss Lindsay.

— Ale nosił się z tym zamiarem?

— Z pewnością zamierzał to uczynić, ale poniechał tej myśli.

— Dlaczego? — zapytał Trefusis i najwyraźniej niekorzystnie oceniał taką zmianę zdania, czy upodobania.

Sir Charles wzruszył ramionami i nie udzielił żadnej odpowiedzi.

— Prawdziwie mi przykro słyszeć o tem od pana — twierdził Trefusis.

— Bardzobym rad był, gdyby udało się panu nakłonić go do zmiany postanowienia. Jest to wspólniały okaz człowieka i mógłby prowadzić wcale porządny żywot, jakkolwiek jest on według waszych zapatrywań ubogi, co ułatwiłoby tylko miss Lindsay zupełnie bezinteresowne wyjście za mąż za niego. Będzie to dla niej połączone z prawdziwą korzyścią, jeżeli wyjdzie za mąż za kogoś, kto nie otoczy jej materyalnym dostatkiem. Będzie mogła wówczas bardziej szanować siebie. Jeżeliby bowiem wyszła za mąż nawet z samej tylko miłości, nie zabraknie jej środków do życia, a co się tyczy pochodzenia męża, nie miałyby w tym wypadku najmniejszego powodu do jakiegokolwiek dla niego pogardy. Spróbuj pan połączyć tę parę, skoro tylko to możliwe. Zajmuję się żywo osobą tej panny, charakter jej posiada cenne właściwości.

Po tej rozmowie obudziły się ponownie w sir Charlesie podejrzenia, że Trefusis nadskakuje Agacie. Zwierzył się z tą nową udręką Erskiniowi, który wpadł w stan rozdrażnienia wskutek okoliczności, że wiersze jego pokazywano czytelnikowi książeczek popularnych, a właściwie posądzał Trefusisa o ukrywanie poważnych zamiarów wobec Gertrudy. Sir Charles nie chciał dopuścić, by podobna myśl usadowiła się w mózgu Erskine'a, wobec czego przyszło między oboma przyjaciółmi do wcale gwałtownego starcia przy roztrząsaniu tej sprawy.

Po obiedzie, gdy się panie oddaliły, starał się sir Charles wpłynąć na Erskine'a, by porozmawiał z Gertrudą bez zwracania szczególniejszej uwagi na



zbyt szczere występy Trefusisa. Ale Erskine zdawał sobie sprawę z tego, że nie zdołałby przeżyć spokojnie możliwego kosza od Gertrudy i stąd nie śpieszył się zbyt z narażaniem siebie na podobne niebezpieczeństwo.

— Gdyby pan był słyszał drzenie jej głosu wówczas, kiedy pytała go, czy ma poważnie brać jego powiedzenia, nigdy nie doradzałby mi pan czegoś podobnego — rzekł z odcieniem zniechęcenia. — Dałbym dziś wiele za to, żeby Trefusis nigdy nie był tu się zjawił.

— Jeśli o to chodzi, nie na mnie spada wina drogi przyjacielu — odparł sir Charles. — Przybył on tutaj wbrew mojej woli. Ale obecnie, kiedy okazuje się, że w sprawie owego przechodu przez moją łąkę słuszność — przynajmniej prawna — jest po jego stronie, zamknięcie mu przystępu do naszego domu musiałoby uchodzić za objaw śmiesznej, płaskiej mściwości. Poza tem istotnie nie jest on złym człowiekiem. Gdyby tylko chciał zostawić dziewczęta w spokoju.

— Jeśli będzie nadal uprawiał tę swoją grę z miss Lindsay, zaproszę go do wspólnej przejażdżki przez kanał i będę się z nim strzelał na stałym łądzie.

— Nie przypuszczam, by zechciał podążyć za twojem wezwaniem — powątpiewał sir Charles. — Powtarzam: na pańskim miejscu bez namysłu spróbowałbym szczęścia z Gertrudą. Mimo wszystko, co dane było panu podsłuchać, nie uwierzę, by Gertruda wyszła za mąż za mężczyznę o jego pochodzeniu. Wprawdzie pieniądze jego stwarzają mu pomyślne

widoki, ale Gertruda dała już kosza niejednemu bogatszemu od niego konkurentowi.

—Chcę postąpić sobie wobec niego uczciwie — rzekł Erskine. — Może myślę się, albowiem wszyscy ludzie myślą się w osądzaniu siebie samych, ale wydaje mi się, że zdołałbym ją bardziej uszczęśliwić, aniżeli on.

Sir Charles nie był tego pewny, ale odpowiedział uprzejmie: Z pewnością. Zresztą nie jest on wcale dla niej odpowiedni, pan natomiast zupełnie. Wie on o tem sam.

— Pa h... h!... — wykrztusił Erskine i powstał. Udajmy się na górę .

—Należy nam odwiedzić Trefusisa jutro i oglądnąć dom jego oraz zbiory fotografii. Fotografie! cha... cha... cha!

— Licho niechaj porwie dom jego! — zawołał Erskine.

Następnego dnia udali się do domu Sallusta. Stał on w pośrodku czystego pola, które z wyjątkiem małego ogrodu warzywnego leżało ugorem. Budka wartownika przy wejściu stała pustką, a tuż przed bramą na oścież otwartą, leżały kupy śmiecia i opadłego listowia. Łatwo było przedostać się przez te gościnne podwoje dwom spłoszonym „pony“, jednej kozie i jednemu włóczędze, który rozłożył się na trawniku i spał. Żona włóczęgi siedziała w pobliżu i pilnowała męża.

—Najchętniej wróciłbym stąd — oświadczył sir Charles, spoglądając wkoło siebie z wyrazem obrzydzenia. — Haniebnie zaniedbane miejsce. — Spójrz pan tylko, ten drab wysypia się tutaj tuż pod samemi oknami.

— Podziwiam jego czelność — rzekł Erskine. — Nie można jednak zaprzeczyć, że wcale ładna para pony.

Dom Sallusta był czworoboczny, pomalowany na kolor jasnobrażowy. Powyżej gzymsu widniał żółty fryz przedstawiający figury tańczących dzieci, naśladownictwo obrazów Donatella w nader niezręcznym wykonaniu. Poza tem zasługiwał jeszcze na uwzględnienie nędzny przedsionek oparty o cztery kolumny, pomalowany na czerwono, oraz przyczółek pomalowany na żółto i pozbawiony wszelkich ozdób. Barwy, które miały odpowiadać barwom ścian w rzeczywistości kłóciły się ze sobą aż nader krzykliwie. Odnowienia dokonać musiał najwidoczniej artysta pozbawiony wszelkiego zmysłu dla barw.

Drzwi prowadzące do przedsionku stały otworem. Sir Charles zadzwonił, zjawiła się starsza kobieta. Zanim jednak mogła przemówić choćby jedno słowo, już nadszedł Trefusis w białej wełnianej kurtce malarskiej. Podążyli za nim w głąb domu, by stwierdzić, że przedstawia on wewnątrz — próżny czworobok, stanowiący rodzaj podwórza z kąpielą i studnią w pośrodku. Podwórze to, ongi pod gołemi niebem, dziś było nakryte brudnym dachem szklanym. Kamienna rura, z której dawniej sączyła się woda studni, uległa na poły zniszczeniu.

Basen kąpielowy był częściowo nakryty starymi deskami, w jednym kącie leżała kupa węgla, w drugim kupka kartofli, dalej beczka z piwem, kilka starych dywanów, płótno żaglowe i mocno uszkodzone czółno. Podłoga marmurowa sięgała aż po zewnętrzne ściany domu. Górne piętra stanowił rodzaj

sklepienia po bokach. Sklepienie podpierały żłobione, kamienne kolumny, które były brudne i potrząskane. Trefusis zaprowadził swoich gości ku szerokiej klatce schodowej, której ujęcie znajdowało się w tylnej ścianie domu; prowadziła ona do pokojów położonych na górze.

— Dom ten został wzniesiony w roku 1780 przez jednego z przodków mojej matki — objaśniał Trefusis. — Przodek ten uchodził za człowieka o wyrobionym smaku estetycznym. Życzeniem jego było, by dom na wieki wieków, — w testamencie swoim użył wyraźnie tych słów — mógł służyć jako siedziba rodowa. Zebrał on między innymi piękną bibliotekę, z której mogłem szczęśliwie korzystać, albowiem wszystkie książki przeszły w moje posiadanie w stanie wprost wzorowym, po większej części były nienaruszone i miały nawet nieporozcinane kartki. Istnieją ludzie, którzy płacą drogo za stare, nierozcięte wydawnictwa. Pewien antykwaryusz ofiarował mi za część tych zbiorów trzystapięćdziesiąt funtów szt. Odziedziczyłem również znaczną ilość talizmanów rodzinnych czyli tak zwanych pamiątek familijnych. A więc znalazł się miecz, który dzierżył w swej dłoni któryś z moich przodków pod Edgehil czy w innych bitwach za Karola I-szego. Walczyliśmy naturalnie po stronie wrogiej królowi, lecz nie przeszkodziło to, bym mógł uzyskać za miecz trzydziścić szylingów. Nie uwierzą zapewne panowie, że ofiarowywano mi stopięćdziesiąt funtów za złoty kubek, który wart był co najwyżej dwadzieścić funtów, a to tylko z tego powodu, że raz miała w nim zamaczać usta królowa Elżbieta.

A oto tutaj moja pracownia, wykonana poprzednio z przeznaczeniem na salę balową.

Weszli do sali o długości równającej się frontowi domu. Po jednej stronie znachodziły się cztery wysokie okna. Wśród nich wznosiły się graniaste pilastry z korynckimi kapitelami, które dźwigały gzyms i do połowy wgłębiały się w ścianę. Podobne pilastry znajdowały się po przeciwległej stronie, pomiędzy nimi jednak były rozmieszczone w miejsce okien nisze sklepieniowe. W niszach ustawiono gipsowe figury naturalnej wielkości, wszystkie prawie potłuczone i w niemożliwy sposób zniekształcone. Posadzkę stanowiły krzywo ułożone wąskie deszczułki parkietowe. Dywanu ani śladu. Strop zrobiony freskami, które natychmiastowo zajęły żywo sir Charlesa.

Ku wielkiemu swemu niezadowoleniu przekonał się on, że większa część malowideł w północnej stronie sali uległa zniszczeniu lub też zeszpeceniu przez wpuszczone dodatkowo nakrycie szklane. W innym znowu miejscu powbijano haki celem przytwierdzenia drążka lub innych przyrządów gimnastycznych. Ściany były pobielone, na wysokości zaś około czterech stóp od poziomu posadzki czerniło się brudne pasmo zapisków i drobnych szkiców, wyrytych ołówkiem na białym tle. Jeden kąt sali nie posiadał żadnych mebli i był przeznaczony na przechowanie jakiegoś przyrządu gimnastycznego, równocześnie służył jako ciemnica dla wywoływania fotografii. W samym rogu stała drabina, a tuż obok niej zwykły, tani stół, na którym ustawiono blaszanki z oliwą i garnki z rozpuszczonemi farbami. Przeciwległy kąt natomiast sprawiał wprost wytworne wrażenie.

żenie. Rozpierała się tutaj wielka szafa z książkami, stanowiąca zmyślne połączenie sekretarzyka z biurkiem, obok niej dźwigało wieszadło strzelbę, nad tą bronią rozmieszczono w krzyż złożone rapiery. Na stoliku rozłożono albumy w wielkim formacie; kilka wygodnych foteli i kanapek, oraz gruby dywan uzupełniały urządzenie. Tuż obok raziły zupełnie nieodpowiednia w tem miejscu stolarnia ze zwykłemi narzędziami, oraz stos desek o różnej grubości.

— Oto wygody w swoim rodzaju, na które pozwolić sobie może tylko człowiek bogaty — rzekł Trefusis, zwracając się do swych gości i chwytając ich na zamianie spojrzeń, znamionujących zdziwienie z powodu dziwnych jego upodobań.

—Utrzymuję najzwyklejszy salon dla przyjmowania gości, wobec których należy zachować konwencyonalne względy, zachodzę jednak do niego w przymusowych okolicznościach. Jak się podoba panom moja pracownia?

— Istotnie, Trefusis, odnoszę wrażenie, że pan nie jest przy zdrowych zmysłach — orzekł sir Charles. — Pokój wygląda tak, jak gdyby przetrwał jakie oblężenie. W jaki sposób dokonał pan zniszczenia tych posążków i tak potwornego zamazania ścian?

Trefusis wziął ze stołu do rąk gazetę i odczytywał:

— Proszę, posłuchajcie panowie: „Mimo niesprzyjającą pogodę, był wynik polowania cesarskiego i cesarskich gości w Brandenburgii wprost wspaniały. W ciągu trzech dni ubito pięćdziesiąt kozłów i siedmdziesiąt dziewięć jeleni z pojedynczych sztuców, albowiem cesarz zabronił używania

innej broni". — Posiadam wspólne z cesarzem zamiłowanie w strzelaniu, nie jestem jednak rzeźnikiem i pozbawiony jestem cesarskiego upodobania w rozlewie krwi zwierzęcej przy uprawianiu tego sportu. Obce mi jest zamiłowanie moich przodków do posągów. Dlatego więc...

Mówiąc to, otworzył Trefusis jedną z szuflad, wyjął z niej pistolet i wypalił do Heby, ustawionej w najbardziej odległej niszy.

— Celny strzał! — oświadczył oziębłe Erskine, gdy ostatni ułamek z gipsowej głowy Heby, ugodzonej pociskiem, spadł na ziemię.

— Nieużyteczny wysiłek — rzekł Trefusis. — Strzelam celnie, ale jaki stąd pożytek? Żaden. Udało mi się raz spotkać pewnego leśnego, metodystę. Był doskonałym mówcą, ale kiepskim strzelcem. Gdyby był mógł zamienić swe zdolności na moje, byłbym chętnie dołożył dziesięć tysięcy funtów szterlingów, jakkolwiek zyskałby on przez wymianę takie same korzyści, jak i ja. Nie pragnę i nie potrzebuję być lepszym strzelcem od króla angielskiego, czy też posiadacza nagrody za mistrzostwo w strzelaniu, lub innej śmiesznej drobnostki, a jednak nigdy jeszcze nie chybiłem celu w mem życiu... dzięki moim warunkom pozbawionym określonego przeznaczenia!

— Król angielski! — rzekł Erskine, śmiejąc się pogardliwie, by zaznaczyć wobec Trefusisa, że również inni ludzie cenią sobie wolność, podobnie, jak i on. — Czy nie jest to warte śmiechu, jeżeli naród jakiś szczyi się wolnością, której zażywa, a równocześnie znosi władztwo króla nad sobą?

— Och! do diabła z pańskim republikanizmem, Chester! — zaklął sir Charles, który w skrytości

ducha nie żywił dobrego mniemania o politycznym wyrobieniu twórcy narodowych męczenników.

— Pod tym względem nie zdoła nikt zmienić moich przekonań — upierał się Erskine. — Podziwiam człowieka, który zabija króla. Zapewne zgodzi się pan ze mną, panie Trefusis?

— Owszem, ale nie—odparł Trefusis.—W obecnych czasach nie jest król niczem innym, jak tylko lalką, ustanowioną po to, by odwrócić wybuchy namiętności od właściwych ciemieżców. Odrobina pieniędzy, którą może rozporządzać według własnego upodobania, jest niemal znikoma i nie pozostaje w żadnym stosunku do ryzyka, na jakie się naraża, do trosk jego i do trwałej osobistej niewoli, w jakiej życie mu upływa. Czy istnieje w Anglii wolny obywatel, któremu gorzej się dzieje, aniżeli konstytucyjnemu monarsze? Nie pozwala mu się na dowolne odosobnienie, nie może on żenić się z kim pragnąłby, nie może dobrać sobie towarzystwa według upodobania, nie może ubierać się stosownie do swego smaku, czy też przebywać w ulubionem miejscu. Zdaje mi się, że nawet jeść i pić nie może według swego gustu. Szczególny apetyt królewskiego podniebienia na wieprzowinę czy przyprawę cebulową, spowodowałby zażalenie ze strony rady koronnej. Narzucamy mu wszystko z wyjątkiem myśli i słów, a i te nawet musi zachować przy sobie, skoro zdaniem naszym nie odpowiadają jego wysokiemu stanowisku. Praca, do której go przymuszamy, jest równie znojna, jak każde najzwyczajniejsze zajęcie. Jest ona bezpłodna, wyczerpująca, jednostajna i sprowadza wprost udrękę nudy. Urząd królewski staje się dla niego kieratem, w którym podpędzamy go nieu-



stannie w kółko. Wkońcu, kiedy pozbawimy go już wszystkich tych wartości, jakie są każdemu człowiekowi niezbędne w życiu, otaczamy naszą pieczołowitością jego charakter, oraz charakter każdego człowieka, któremu okaże on swoją łaskę. Zmuszamy go do niesłychanych wydatków, udzielamy mu skąpych dochodów i utyskujemy na jego skąpstwo. Postępujemy z nim podobnie, jak ja tutaj z tymi posążkami — ustawiamy go na miejscu honorowem, by tem łacniej módz go bezcześcić, znieślawiać. Wysyłamy go na przejażdżki po naszych przeludnionych miastach i wmawiamy w ludzi, że on jest przyczyną wszelkiego dobra i zła w narodzie. On zaś wie, że większość ludzi w to wierzy, czuje on, że to zwykle kłamstwo, rozumie on, że nie jest w stanie skrócić dnia roboczego choćby o jedną godzinę, ani podwyższyć wynagrodzenia za pracę nawet o jednego grosza, że nie wolno mu obalić choćby najdrobniejszego wyroku sądowego, choćby miał wydać mu się najniesprawiedliwszy pod słońcem. Wie on dalej, że każdy górnik w królestwie umie sporządzić dynamit i że rewolwer można nabyć poniżej ceny jednego szylinga. Wie on, że nie jest opancerzony przed kulami i że niema prawie króla w Europie, do którego nie strzelanoby na ulicy przynajmniej raz jeden. Musi uśmiechać się słodko, łaskawie kłaniać się na wszystkie strony i przystroić oblicze w wyraz dostojnego zadowolenia podczas przemowy jakiegoś burmistrza, czy swoich doradców, przemowy, której co najmniej tysiąc razy w swem życiu wysłuchać musiał.

Nie wymagam od pana mr. Erskine, by pan był wiernym poddanym królewskim, ale spodziewam

się, iż zdoła się pan zdobyć z pobudek ludzkich na współczucie dla tej farsowej postaci, która nie może być bardziej odpowiedzialna za rozliczne niedostatki i potworności w swem państwie, aniżeli lord-major za kradzieże złodziei kieszonkowych, którzy uczestniczą w uroczystych pochodach w dniu świętego listopada.

Sir Charles przyjął z uśmiechem pobłażliwości na ustach żmudny wywód Trefusisa, zmierzający do wyraźnego ujawnienia swych na tę sprawę zapartywań i przemówił w tonie uspokajającym:

— Drogi przyjacielu, wierzaj mi, że królowie oswoili się już z tem wszystkim, nie oczekują niczego innego, a nawet znajdują do pewnego stopnia upodobanie w tym stanie rzeczy.

— I najprawdopodobniej nie odnoszą się do swego położenia pod moim kątem widzenia, lecz raczej pod tym powszechnym, właściwym szerokim masom — przyznał Trefusis.

— Jaka subtelna twarzyczka! — zawołał nagle Erskine, spojrzawszy na fotografię ustawioną w ciężkiej, złoconej, koralami wysadzonej ramce na miniaturowej, czerwonym pluszem obciążanej sztaludze. Trefusis odwrócił się szybko i objawił pozorne zadowolenie, kiedy do zachwytu Erskine'a dorzucił sir Charles okrzyk:

— Zachwycająca!

Dopiero po tym okrzyku spojrział mr. Brandon uważnie na podobiznę i dorzucił z wyrazem prawdziwego zdumienia:

— Rzeczywiście, niezwykle pociągające oblicze!

— Przed laty — zauważył Trefusis — kiedy po

raz pierwszy ujrzałem tę twarz, uległem podobnemu uczuciu, jakiemu dali wyraz obecnie panowie.

Nastało milczenie. Obaj goście przyglądali się fotografii, zaś Trefusis przyglądał się im.

— Niezwykła uroda — stwierdził sir Charles, przerywając kłopotliwe milczenie.

Trefusis roześmiał się nieprzyjemnie.

— Zapewne rozpoznaje pan w niej artystkę, zapaloną dyletantkę? — rzekł, otwierając szufladę biurka, z której wyjął zwój rysunków i rozłożył go przed gośćmi.

— Bardzo dobrze. Istotnie bardzo dobrze — ocenił sir Charles — pragnąłbym poznać tę damę.

— A już niejednokrotnie o mało co nie spaliłem tych dzieł — rzekł Trefusis. — Rysunki tkwią jednak w tej szufladzie po dziś dzień i najprawdopodobniej pozostaną w niej. Podobiznę tej damy podziwiają wszyscy, którym przyjdzie ją oglądać.

— A czy nie byłby pan skłonny zapoznać nas kiedy z oryginałem, dobry przyjacielu? — spytał Erskine.

— Na szczęście nie. Osoba ta nie żyje.

Niemile tknięci, spoglądali na niego przez chwilę z nieukrywaną odrazą. Po chwili odwrócił się Erskine z wyrazem współczucia i rozczarowania w stronę podobizny i rzekł:

— Biedne stworzenie. Czy była zameźna?

— Tak jest. Była moją żoną.

— Pani Trefusis! — zawołał sir Charles. — Wysokie nieba!

Erskine, który spotkał się z niezbitym dowodem, że i piękna dziewczyna mogła stać się żoną Trefusisa, pograżył się w ponurem milczeniu.

— Nieustannie stawiam sobie przed oczyma jej obraz, by zwalczać wrodzoną mą skłonność do uczuć miłosnych. Zakochałem się w niej i ożeniłem się. Od tego czasu kochałem się jeszcze raz czy dwa razy, ale jedno spojrzenie na podobiznę zmarłej Hetty leczy mię natychmiastowo z najłżejszych zapędów do zakładania rodzinnego gniazda.

Sir Charles zamilkł. Przyszło mu na myśl, że podobizna lady Brandon mogłaby posłużyć podobnym celom, gdyby już żywa jej istota w tym kierunku na niego oddziaływać nie mogła.

— O! ożeni się pan jeszcze po raz wtóry i to niebawem — zapewniał Erskine, przymuszając się do tej uprzejmej zachęty.

— Możliwe. Mężczyźni powinni żenić się, zwłaszcza bogaci. Zapewniam jednak pana, że chwilowo brak mi wszelkiej ochoty po temu.

Oblicze Erskine'a pokryło się chmurą zasepienia. Podeszedł do stołu, na którym leżały albumy.

— Oto zbiór fotografii, o którym wspominałem — objaśniał Trefusis, zbliżając się do stołu i otwierając jedną z tek. — Wielu zdjęć dokonałem własnoręcznie, przy czem miałem liczne trudności z należytem światłem—jedyna trudność, której nie można zawsze pokonać przy pomocy pieniędzy. Widzą panowie przed sobą podobiznę domu mego ojca, a raczej jednego z licznych jego domów. Dom ten kosztował siedmdziesiąt pięć tysięcy funtów szterlingów.

— Rzeczywiście bardzo piękny budynek — rzekł sir Charles, pełen utajonego wstrętu, ponieważ musiał zachwycać się podobizną zwykłej willi, jakie zazwyczaj posiadają spekulanci budowlani, i to z tej

tylko prostej przyczyny, że kosztowała ona siedm-  
dziesiąt pięć tysięcy funtów. Cena domu tego była  
uwidoczniona na podobieżnie.

— Oto pokój do przyjęć, a tu znowu jedna z naj-  
wygodniejszych sypialni. Na osobnym kartonie znaj-  
dą panowie zestawienie kosztów mebli, całego urzą-  
dzenia, bielizny i t. d. Wszystko w najlepszym ga-  
tunku.

— Bardzo zajmujące — stwierdzał sir Charles  
z ledwie ukrytym akcentem ironii.

— A tutaj znowu zdjęcie—jedna z moich pierw-  
szych prób — pokoju służbowego. Jest wygodny,  
przestronny i porządnie urządzone.

— Uważam.

— To są stajnie. Czy nie ładne?

— Pałac, istne salony.

— Wszelkie wygody, jakich domaga się piele-  
gnacya konia wraz z całym sztabem stajennych.  
Przypuszczalnie zauważa pan cyfry. Podają one  
koszta tej budowli, oraz roczny wydatek na każdego  
konia.

— Uważam.

— A oto front jednego z domów. Jak ocenia go  
pan?

— Jest bardzo malowniczy w swem zanie-  
dbaniu.

— Malowniczy? Czy zamieszkałby pan w tym  
budyńku?

— Co to, to nie — odparł Erskine. — Ja nie wi-  
dę nic malowniczego w tem zdjęciu. Co spowodo-  
wało pana do sfotografowania tej walącej się nory  
zbójeckiej?

— Proszę, oto zdjęcie najlepszej izby w tem

schronisku. Fotografia wiernie odtwarza zniszczoną podłogę i zalepione szyby w oknach, ale brud i zaduch w izbie panujące musi pan sobie wyobrazić. Niektóre plamy na ścianach pochodzą z deszczu przeciekającego z powały, inne znowu z wyziewów i brudu. Zarządca domu, wynajmujący to mieszkanie działa w interesie jednego z panów. Trzy rodziny mieszkały w tej izbie wówczas, kiedy robiłem to zdjęcie. Z obrachunków zanotowanych tutaj na rogu kartonu przekonają się panowie, że dom ten przynosi swojemu właścicielowi stosunkowo większe dochody, aniżeli przeciętnie wielki gmach w jednej z wytwornych dzielnic Londynu. — A teraz przejdźmy do piwnicy. — Wynajmuje ją jedna rodzina za tygodniową opłatą półtora szylinga, co uchodzi za tanią cenę. Słońce nie zagląda tam naturalnie nigdy. Zdjęcia dokonałem przy świetle magnezyowem. Do ceny wynajmu muszą panowie doliczyć konieczny wydatek na odpowiednią ilość złego piwa, które czyni wynajmującego nieczułym na brud i nędzę jego mieszkania. Piwo staje się rodzajem chloroformu, umożliwiającego robotnikowi przetrwanie ciężkiej operacji, dokonywanej na nim przez życie. Dlatego możemy, siedząc przy szklance wina, zapewniać się wzajemnie, że niedola wszystkich tych obdartusów pochodzi jedynie z nalogowego pijaństwa. Czynimy im z tego zarzut, gdyż moglibyśmy, gdyby robotnicy umieli wyrzec się piwa, zaoszczędzić te pieniądze, które musimy im dawać na piwo i w ten sposób zyskalibyśmy tańszego robotnika.

Jednem słowem bylibyśmy bogatsi, a oni byliby trzeźwiejsi. Tutaj znowu podwórzec. Stosunki nie do

opisania. Siedmiu z mieszkańców tego domu pracowało przed laty w przedzalni mego ojca, innemi słowy przyczynili się oni w lwiej części do nagromadzenia tych ogromnych sum pieniężnych, na które zwróciłem przed chwilą uwagę panów ku wielkiemu ich niezadowoleniu.

— Nie mojemu — zaprzeczył sir Charles nieśmiało.

— Mogą panowie osądzić, o ile gorsze jest położenie tych ludzi w porównaniu z warunkami, wśród których żyją konie mego ojca. Owych siedmiu ludzi dostało się wraz z trzystu innymi na bruk uliczny wskutek tego oto...

Mówiąc to odwrócił kartę albumu i pokazał fotografię skomplikowanej maszyny.

— Maszyna ta umożliwiła memu ojcu zwolnienie ich od dalszych usług i postawienie na ich miejsce kilku kobiet i dzieci. Zakupił on patent na maszynę za pięćdziesiąt funtów od wynalazcy, który znajdował się w ruinie materialnej wskutek wydatków na przygotowanie wynalazku i za gotówkę był skłonny wszystko poświęcić. Widzicie tutaj panowie portret mego ojca z odznaką wolnomularską. Wydawało mu się, że wolnomularze wszędzie wysuną się na pierwszy plan w świecie, a ponieważ głównym celem mego ojca było wysforować się w życiu, więc przyłączył się do nich i żądał odemnie, bym to samo uczynił. Nie chciałem jednak nic słyszeć o tych rzekomo tajnych stowarzyszeniach, o ich całym hokuspokus i odmówiłem. Łatwo panom z portretu wywnioskować, czem był mój ojciec—był to pełen godności i przedsiębiorczości zachłanny kupiec. Proszę przyjrzeć się bliżej fizygnomii czło-

wieka, który cieszył się powodzeniem kupca panującego na przestworach wszystkich oceanów ze swymi okrętami handlowymi, chlebobdawcy tysięcznych rzesz robotniczych, hojnego dobroczyńcy przy sposobności wszystkich publicznych akcyi na cele filantropijne, kuratora gminy kościelnej, posła do parlamentu, ofiarnego przyjaciela całej rodziny... Jego poczucie sprawiedliwości musiało nieustannie walczyć z wrodzoną niską żądzą złota. Proszę spojrzeć na nieświadomego a nienasyconego wyzyskiwacza cudzej pracy, na człowieka, który własne przekonanie i własną godność sprzedał za przepych i delikatesy (których nie mógł należycie spożywać dzięki swej grubej naturze), który je sprzedawał za towarzystwo ludzi, przypominających mu przy lada sposobności jego niskie pochodzenie...

— Na człowieka, któremu zawdzięcza pan wszystko, co posiada — wtrącił surowo Erskine.

— Posiadam bardzo niewiele. Wszystko, co mi pozostawił, wydałem już dawno z wyjątkiem kilku starych obrazów, ale i ten zużyty przezemnie majątek zdobyli jego niewolnicy, a nie on. Majątek mój obecny narasta z dnia na dzień, dzięki pracy wyędźniałych ludzi, którzy mieszkają w samych takich jaskiniach, jakie pokazałem panom przed chwilą, lub też dzięki kilku arystokratom robotniczym płatnym o jakie dziesięć szylingów tygodniowo lepiej, aniżeli ci pierwsi.

Niemniej jednak istnieje usprawiedliwienie dla mojego ojca. Razu pewnego dostałem się podczas walki wyborczej w sam środek zapasów. Jestem człowiek spokojny, ale ponieważ musiałem się bronić, o ile nie chciałem być powalony na ziemię



i zgnieciony nogami, więc tłukłem się z ludźmi, którzy najprawdopodobniej byli równie pokojowo usposobieni, jak ja, Ojciec mój, wydostawszy się na pole wolnego współzawodnictwa — a wolnem nazywam je w tym sensie, że walka jest dozwolona i nie zakazuje jej żadne prawo — miał więc mój ojciec do wyboru, albo stać się niewolnikiem, albo też drugich wziąć w niewolę. Wybrał to ostatnie, a ponieważ spotkał się z ogólnym poklaskiem i wyrazami uwielbienia, gdyż szczęściło mu się, więc któż ma prawo ganić go? Przynajmniej ja — nie. Zresztą przyznać trzeba, że działał cośkolwiek w tym kierunku, aby usunąć panującą anarchię, tę samą, która umożliwiła mu bezkarne wyzyskiwanie społeczeństwa, a mianowicie wyposażył mnie, stanowczego swego przeciwnika, w potężną broń, jaką stanowi mój ogromny majątek. W ten sposób rodzi nasz, na rzekomy rozwój przemysłu obmyślony, ustrój, niejednokrotnie kielki, z których wylęgają się burzyciele tego porządku społecznego. Czy lady Brandon używa do swych sukien dużo koronek?

— Ja... nie... to znaczy... ale do dyaska, skąd ja mam o tem wiedzieć, Trefusis? Co za dziwne pytanie?

— Mamy tutaj fotografię szkoły koronkarskiej. Była to brudna, dwanaście stóp kwadratowych mierząca izba. Podłoga wyłożona ceglami. Dzieciom nie wolno było chodzić w obuwiu, ażeby nie nanosiły błota i nie brudziły koronek. Ponieważ pracowało tam dwadzieścioro dzieci, same dziewczęta, przez piętnaście godzin dziennie, nie cierpiały one zbyt srogo wskutek zimna. Zepchnięto je w gromadkę na jednym miejscu i w ten sposób sprawę załatwiono.

Dzieci te przynosiły czułym rodzicom trzy lub cztery szylingi tygodniowo, albowiem małe te stworzonka mają zwinne palce i pracują pilnie, gdyż nadzorczyńni bije je za każdym razem, kiedy tylko ośmiela się podnieść głowę czy...

— Trefusis! — wezwał uroczyście sir Charles oddalając się od stołu — proszę o wybaczenie, ale nie odczuwam najlżejszej ochoty do żywienia się w tej chwili temi potwornemi historyami. Nie wymagaj pan koniecznie odemnie, bym szczegółowo oglądał pańskie zbiory. Są one niezaprzeczenie zajmujące, ale nie mogę wprost oglądać tych rzeczy. Czy nie posiada pan czegoś przyjemnego, by mi zgotować miłą rozrywkę.

— Tak! Wstrętem to pana przejmuję. W każdym razie uwzględnić należy, że jest pan jeszcze nowicyuszem, wobec czego resztę zachowamy do czasu, kiedy pan do wszystkiego już się przyzwyczai. Zdjęcia nie są wcale tak przerażające. Każda teka poświęcona jest innemu krajowi. Ta naprzykład zawiera obrazki z współczesnej cywilizacji w Niemczech, następna z Francji, inna znowu z Indji brytyjskich. A tu na odmianę może pan oglądać Zjednoczone Stany Ameryki, ojczyznę wolności, siedzibę powszechnego prawa głosowania, krainę bez królów i szlachty, strzeżoną przez cła ochronne, ostoję republikanizmu i radykalnych programów społecznych, tę Amerykę, w której wszystkich czarnych niewolników domowych przemieniono na niewolników zarobkowych (w niczem nie różniących się od niewolników mego ojca).

To wyzwolenie niewolników w Ameryce kosztowało ośmset tysięcy ofiar ludzkich i cały ogrom nie

dającego się obliczyć dobrobytu. Pan i ja jesteśmy żebrakami w porównaniu z wielkimi kapitalistami tego kraju, gdzie robotnicy walczą z Chińczykami, jak psy zagryzające się o kość.

Wielu tych wybitnych mężów obdarzyło mnie fotografiami swych jachtów i pałaców, a nawet przez myśl im nie przeszło, jaki zrobię użytek z uprzejmych podarunków. Oto kilka podobizn, które nie naruszają w niczem delikatnych uczuć pańskich. Tutaj widzi pan moją matkę, kobietę z dobrego rodu, w każdym calu typ naszej „lady“. A tam znowu dziewczę z Lancashire, córka zwykłego górnika. Dziewczyzna ta posiada cechy fizyczne bardzo zbliżone do mej z szlachty wywodzącej się matki — taką samą małą głowę, subtelne rysy twarzy itd. Śmiało mogłyby uchodzić za siostry. Ci zaś dwaj mężczyźni o twarzach łotrzyków wyglądają jak bliźnięta z tą tylko różnicą, że twarz tego po prawej stronie zdradza wesole usposobienie. Otóż ten dobroduszny jest flisakiem żeglującym po Lyvern-kanałe, drugi zaś należy do jednego z najstarszych rodów angielskich. Wykazują oni niezbiecie, że natura, jakkolwiek przeciwdziałają jej przez szereg generacji głód i nędza, nie stosuje się jednak do różnic i przegród sztucznie między ludzi wprowadzonych. Taka naprzykład grupa mężczyzn i kobiet, jaką tutaj pan widzi, wszystko, ludzie wcale inteligentni o twarzach myślących — to tak zwani wrogowie społeczeństwa, nihiliści, anarchiści, wyznawcy komuny, członkowie międzynarodówki i tym podobni. Tamci znowu nędzarze, udręczeni, zgnębieni, skrofuliczni, niezdarni, bezduszni i nawet pospolici — tylko tu i ówdzie odnaleźć można na poły przy-

stojną twarzą kobiecą — to europejscy królowie, królowe, wielcy książęta i inni dostojnicy. Dalej widzi pan kapitanów okrętowych, zbrodniarzy, poetów, uczonych, parów, chłopów, społeczników i przedstawicieli wszystkich możliwych zawodów. Przeznaczeniem zbiorów, jest wykazanie przyrodzonej różnorodności typów ludzkich w zestawieniu z błędnem zróżniczkowaniem sztucznym.

— Wygląda mi to na zbiór iście szatański, który ma służyć do ostatecznego zbałamucenia i pogwałcenia ludzkich pojęć o świecie — stwierdził Erskine. — Powinien pan nazwać tę tekę zbiorem odfotografowanych paradoksów.

— Mogłyby to być paradoksy w rozumnie uporządkowanym społeczeństwie, ale wobec tego, co jest, każdy dzień dowodzi ich prawdziwości zupełnie tak, jak sprawdzają się paradoksy Hamleta. Tecka jest zbiorem faktów niezaprzeczonych i stąd nie radbym jej nazywać określeniem fantastycznym. Pan nie lubi cyfr?

— Kocham sztukę.

— Ale, tutaj kilka cyfr, nie mających nic wspólnego ze sztuką. Oto bilans próby, dokonanej przeze mnie przed laty, by urzeczywistnić ideę międzynarodowego zrzeszenia robotników — tak zwanej popularnie międzynarodówki — zrzeszenia wszystkich robotników na całym świecie, celem obrony interesów pracujących. Proszę, oto wyniki: cztery tysiące pięćset funtów szterlingów wydatków. Datki robotników: dwadzieścia dwa funty, siedm szylingów i dziesięć i pół pensów.

Robotnicy angielscy okazali tyle zrozumienia dla moich wysiłków, zmierzających do wyzwolenia

ich, że zaskarżyli mię, jakobym usiłował wyzyskać zrzeszenia dla napełnienia mojej kieszeni. Lżyli mię i ciskali na mnie kamieniami. Obecnie dopomagam im tylko wtedy, kiedy spotykam się u nich ze skłonnością do samopomocy. Na razie zajmuję się po części wygotowaniem projektu, któryby zdołał spowodować przeobrażenie w naszych stosunkach przemysłowych, ale z czasem przystąpię do ataków na własną moją kastę, wraz z jej kobietami i wszystkimi właściwościami; uczynię zaś to podobnie, jak dzisiaj napastuję obu panów.

— Obawiam się, że wycieczki przeciwko nam rozminą się z pożądanym celem—oświadczył z godnością sir Charles.

— Nie rozminą się — odparł Trefusis pełen ufności. — Już dzisiaj nabrali panowie o naszej pyszałkowatej kulturze odmiennego przekonania które różni się wielce od zapatrywań, jakie żywił sir Charles w chwili, kiedy rozwaliłem mur jego i zaprosiłem fanatycznych zwolenników reformy agrarnej do przechadzki po jego zabawowem boisku. Zobaczyliście panowie w mojej tece rzeczy, o których przed godziną nie mieliście jeszcze pojęcia i wskutek tego nie jesteście już tymi samymi ludźmi, jakimi byliście jeszcze przed godziną. Moje zdjęcia tkwią żywiej i dłużej w pamięci, aniżeli rysunki panów czy też zamazane malowidła, w których szarzyźnie doszukujecie się subtelnych odcieni. Najbliższy dramat Erskine'a może znowu zajmować się ideą wolności, ale narodowi jego męczennicy znajdą już lepsze zajęcie aniżeli uprawianie bezsensownej gadaniny zwracającej się przeciwko królewskim lalkom, które przez cały przeciąg

swego życia nie uknuły potajemnie tyle tchórzowskich, zachłannych, okrutnych i tyrańskich pomysłów, ile uchwała ich publicznie przy każdorazowym półrocznym zebraniu, owo robactwo utrzymujące w zależności od siebie armie wynędzniałych najemnych niewolników dręczonych żmudną pracą przez szesnaście godzin na dobę.

— A jaki ostateczny rezultat i koniec tego wszystkiego? — dopytywał się zakłopotany sir Charles.

— Socjalizm, albo zupełna ruina. Socjalizm— o ile walka, prowadzona przez ten kierunek, zdoła rozwinąć wśród ludzi zdolności do uporządkowania ładu społecznego. Przeludnienie wzrasta, stosunki międzywarstwowe gmatwiają się coraz bardziej i jest rzeczą wprost niemożliwą, by społeczeństwo rozwijało się dalej według wskazań przypadkowego systemu, jaki wyrósł na gruncie prywatnej własności. Jeżeli nie odrodzimy społeczeństwa na zasadach socjalizmu — przedsięwzięcie z humanitarnego punktu widzenia bardzo wzniosłe i wprost wspaniałe, ze stanowiska gospodarczego bardzo proste i nader zdrowe — wówczas zniszczy wolny handel Anglię sam przez siebie, a ja nawet powiem panom dokładnie, w jaki sposób to się stanie. W czasie, kiedy ojciec mój zdobył swój majątek, wyprzedzała Anglia wszystkie inne narody pod względem rozwoju swego przemysłu i swych bogactw w pokładach rudy żelaznej i węgla. Inne narody kupowały nasze wyroby taniej, aniżeli zdołałyby je same produkować, a jednak o tyle drożej ponad naszą cenę produkcyi, że zarobek naszych kapitalistów płynął szeroką wezbraną falą. Kiedy

robotnicy zażądali przez swe związki zawodowe udziału w błogosławieństwach spływających na przemysłowców, a żądania swe sformułowali w postaci podwyżki wynagrodzenia za pracę, okazało się, że wyniesie to o wiele taniej, jeżeli uzna się ich skromne żądania, aniżeli gdyby przez powstrzymanie fali złota i odrzucenie postulatów, jakie ośmielili się oni postawić, usiłowano ich zwalczać i pokonać. Obecnie jednak przyjęli od nas dotychczasowi nasi odbiorcy nasze metody wytwórczości i obrotu przemysłowego we własnych swych krajach, a nawet ulepszyli je, oraz odkryli źródła, z których o wiele taniej pobierać można węgiel i żelazo, aniżeli dzisiaj z Anglii. Wyrabiają więc sami dla siebie, lub też uskuteczniają zakupy, które czynili poprzednio u nas, gdzieindziej. Nasz zarobek zmniejsza się, maszyny ustają w pracy, nasi robotnicy dostają się na bruk. Dzisiaj opłaca się często zamknięcie fabryki i zwalczanie lub rozbijanie związków zawodowych, jeżeli robotnicy wszczynają strejk nie na rzecz podwyższenia cen płacy, ale przeciwko niższości tej ceny. Obecnie, kiedy związki te niejednokrotnie muszą poddać się i bezsilne chylą się zwolna do upadku i to w tym stopniu, w jakim szeregi ich zwiększają się przez wzrastającą liczbę pozbawionych pracy, obecnie odnosi się do nich nasza klasa nader łaskawie i wychwała je — co stanowi znak niewątpliwy, że nie mogą one już czynić postępów w kierunku głównego swego zadania, a mianowicie nie mogą nas zniszczyć. Drobnymi kapitalistami osadza odpływ na brzegu, wielcy podążają za prądem przyplływów i budują swe warsztaty tam, gdzie siła parowa, wodna, czy robotni-

cza, oraz transport towarów są tańsze, aniżeli w Anglii, w tej Anglii, która do niedawna była pod tymi względami najtańsza. Robotnicy wywędrują razem z fabrykami, ale zawsze będą oni bardziej się mnożyli, aniżeli emigrowali i spotkają się z zarzutami, że wskutek nienasyconych żądań o podwyżkę wynagrodzenia za pracę, wypędzają, wywożą nasze kapitały za granicę. I tak będzie dalej toczyła się sprawa swoją koleją, jak długo znajdą się jacy Chińczycy czy Hindusi, pozbawieni pracy. Z chwilą, kiedy nastąpi zamknięcie angielskich fabryk, na miejscu ich wyrosną wille. Okolice przemysłowe przemienią się na wytworne miejsca pobytu dla kapitalistów, żyjących z zysków, jakie dostarczać im będą zagraniczne ich przedsięwzięcia. Majątki chłopskie i gospodarstwa rolne ulegną zniszczeniu i zostaną przeistoczone na tereny myśliwskie. Wszelkie artykuły, które w jakikolwiekby sposób mogą być wytworzone w innem miejscu, aniżeli miejsce ich użycia, sprowadzać się będzie z zagranicy. Stanowiąc one będą pewien rodzaj zapłaty za używanie terenów myśliwskich przez zagranicznych łowców-amatorów lub też za dywidendy kapitalistów, żyjących w Anglii. Ponieważ kapitaliści ci posiadają przedsiębiorstwa za granicą, nie zostanie przywóz wyrównany przez wywóz, albowiem nie będzie istniała wartość, opłacająca dzierżawę i czynsze. Tych nieuniknionych następstw nie chcą przewidzieć zwolennicy handlu wolnego, czy też nie chcą ich przyznać, jakkolwiek stanowią one klucz do całej tajemnicy ich przeciwników.

Żądać się będzie gwałtownie ochrony cłowej. Nikt jednak nie zechce uciec się do środków, któ-



rych bezsensowność da się łatwo wykazać, a które w pierwszym rzędzie wywołują zwyżkę cen, a dopiero w dalszej konsekwencji podwyższenie wynagrodzeń za pracę i które nigdzie w niczem nie mogą przyczynić się do polepszenia położenia robotników. Zastosowanie znajdzie tylko zajęcie tego rodzaju, które natychmiastowo, na miejscu może być wykonane, jak wypakowanie i posortowanie artykułów importowanych, usługiwanie panów właścicieli przez ich niewolników domowych, przedstawienia teatralne, wygłaszanie kazań, brukowanie ulic, oświetlanie ulic i t. d. A nawet i w tych zawodach coraz to mniej ludzi znajdzie zatrudnienie, ponieważ z czasem przyjdą również i kapitaliści do przekonania, że przesadna wystawność niema nic wspólnego z wytwornością. Wówczas i oni będą prowadzili życie nader skromne. Niezmierzone masy proletaryatu, wylęgłe z tych pierwszych rzesz robotniczych zatrudnionych ongi przy przemyśle przeznaczonym na wywóz, znajdą się stale bezrobotne. Będą one żądały dopuszczenia ich do udziału w posiadaniu gruntu oraz maszyn, ażeby mózdz wytwarzać przedewszystkiem dla siebie. Nikt nie uwzględni tego ich żądania. Wówczas rozbiją oni parę szyb, tłumne ich zgromadzenia zostaną rozpedzone. Przywódcy ich otrzymają napomnienie i przestrozę. Niemniej jednak podpalą robotnicy kilka domów, zamordują jednego czy też dwóch policyantów. Następuje przykładne ukaranie tych, do których wystosowano przestrozę, ci zaś wywołują rozruchy, zjawiają się z konieczności karabiny maszynowe, strzela się, uśmierca, skazuje na wygnanie z kraju, niszczy się w jakikolwiek bądź spo-

sób. Wszystko zaś przewiduję w najbliższej przyszłości lub widzę już obecnie częściowo, ponieważ klasy posiadające nie myślą nawet o tem, ani też nie uznają możliwości, by w jakikolwiek bądź sposób uwzględnić słuszne żądania robotników. Pan sam, panie Brandon, wpłaciłeś ze zbytnią łatwością pięćdziesiąt funtów do pomienionego funduszu emigracyjnego, ale przywołałby pan natychmiast na pomoc policję, wojsko i ochronę prawną, gdyby ludzie przybyli gromadnie do Brandon Beeches i domagali się od niego, by wyruszył pan razem z nimi i zapracował na codzienne utrzymanie.

Z chwilą, kiedy niepotrzebny proletaryat ulegnie wytepieniu, pozostanie ludność złożona z samych kapitalistów, żywiących się z przywozu, na który nie będą pracowali, usługiwanych przez niezadowolone zastępy sługusów. Pewnego dnia ustanie przywóz może z powodu wybuchu rewolucyi za granicą, lub też wielkich bankructw państwowych, albo może dlatego, że opadła zbytnio stopa procentowa, albo znowu z powodu przejścia przedsiębiorstw za marne pieniądze na własność rządową, podczas gdy zabraknie odpowiednich lokacyi na pozostałe kapitały, lub z jakiego innego powodu.

Stowarzyszenia kapitalistów zostaną skazane na resztki ostatniej dywidendy, którą zużyją wcześniej, zanim dane im będzie odbudować zniszczone maszyny, ażeby utrzymać się przy życiu przez własną pracę. Konie, psy, koty, szczury, maliny, grzyby i ludzkie mięso jako artykuły spożywcze odsuną na przeciąg czasu widmo ponurego końca...

— Cha! cha! cha! — śmiał się głośno sir Charles. — Na honor, Trefusis, myślałem z początku, że

mówi pan poważnie. Ale obecnie przyznaj się już wkońcu, kochany chłopie, że to było żartem z pańskiej strony. Blizki już byłem podejrzenia, że jesteś pan cokolwiek — pomyłony.

Porozumiewawczo błysnął oczyma w stronę Erskine'a.

— To, co przedstawiłem dotąd, jest nieuniknionym wynikiem naszej dzisiejszej polityki wolnego handlu, nie opartej o nowoczesne zasady socjalistyczne. Teorya wolnego handlu da się zastosować jedynie do systemu wymiany produktów, nie zaś do systemu wzajemnego wyzysku. U nas panuje system wyzysku i jeśli go nie poniechamy, powrócimy do ceł ochronnych, albo niebawem zginiemy marnie mniej więcej w ten sposób, jak to starałem się przed chwilą wyłuszczyć. A więc przede wszystkim powinien był Cobenklub, zanim zwolennicy ceł ochronnych wszczęli swe tryumfalne podboje, raczej potrudzić się w najszersze masy ludowe i pouczyć robotników, że cła ochronne zmuszają angielskich pracodawców do zatrudniania niewolników, którzy mieszkają w Anglii i stąd najprawdopodobniej — jakkolwiek niekoniecznie — należeć muszą do narodowości angielskiej. Wyjaśnienia te otworzyłyby wreszcie ludowi oczy na okoliczność, że naród angielski wcale nie jest rzeczywistym właścicielem Anglii. Skoro szerokie masy należycie to zrozumieją, nie omieszkają one postarać się, by Anglia przeszła w ich posiadanie. Anglia zaś jako wspólna własność zamieszkującej ją ludności — to Anglia socjalistyczna. Sztuczna stanowa i klasowa nierówność zniknie wobec zupełnej swobody w zawieraniu umów i zasiąganiu zobowią-

zań. Swoboda na polu współzawodnictwa, współubieganie się bez przeszkód popchną nas naprzód i wówczas odpowie wolny handel pokładanym w nim nadziejom i oczekiwaniom.

— Zaś wszelkiego rodzaju leniuchy i wałęgi? Co z nimi się stanie? — zapytał Erskine.

— Pan i ja — odparł Trefusis — musielibyśmy naturalnie zginąć z głodu, gdybyśmy nie chcieli raczej imać się jakiej pracy lub też gdyby nie udzielono nam wsparcia przez wzgląd na złe wychowanie, jakie otrzymaliśmy.

— Przypuszcza więc pan, że zostaniemy ograbieni z tego, co posiadamy? — dopytywał się sir Charles.

— Zdaje mi się, że przedewszystkiem odbiorą nam raz na zawsze możliwość ograbiania drugich. Jeżeli robotnicy dotąd jeszcze żywią pewne wątpliwości, czy można nas ogolić do samej koszuli, lub jeżeli nie podcinają nam gardel, kiedy stawiamy im choć najłżejszy opór, okazują nam oni — mojem zdaniem — więcej miłosierdzia, aniżeli my zdołali okazać kiedykolwiek wobec nich. Proszę sobie tylko uprzytomnić do czego byliśmy zdolni, byle tylko wydobyć odpowiednie procenty z Irlandyi i Szkocyi lub też nasze dywidendy z Egiptu, o ile zapomnieli panowie o wymownych przykładach oglądanych na moich fotografiach, a zdaje się, że wystarczająco pouczających o wrodzonej nam skłonności do okrucieństwa. Czy nie tępimy wprost wielkich, błędnych rzesz robotniczych przez nakładanie na nich pracy przerastającej ich siły, przez ucisk? Przeciętna długość ich życia nie dochodzi nawet do połowy naszej, jakkolwiek natura ich ludzka w niczem nie ró-

żni się od naszej. Jeżeli zdołamy przeciwstawić się ich naporowi, jeżeli uda się nam wprowadzić z powrotem „ład i porządek“, jakto zwykliśmy nazywać ich bezlitośnie za nieprawomyślność i bunt zupełnie tak samo, jak to uczyniliśmy w roku 1871 w Paryżu, gdzie pouczyliśmy ich ponadto, jak nieroztropną jest rzeczą udzielać pardonu pokonanemu wrogowi. Jeżeli jednak oni odniosą nad nami zwycięstwo, wówczas my otrzymamy zasłużone cięgi. Wobec tego byłoby wskazane już obecnie wykazać należytą roztropność i dążyć do uniknięcia rozlewu krwi. Czy nie słusznie Erskinie?

Erskine zastanawiał się właśnie nad odpowiedzią, jakiej udzielić mu przyjdzie, gdy przerwał jego skupienie sam Trefusis, który zadzwonił na służbę. Niebawem zjawiła się starsza kobiecina popychająca przed sobą podłużny stół, który podobnie jak ręczne wózki poruszał się na kółkach przytwierdzonych do nóżek.

— Dziękuję — rzekł Trefusis i odesłał ją z powrotem.

— Oto moi panowie dobre wino, świeża woda, smaczne owoce i zdrowy chleb. Wiem, że jesteście przyzwyczajeni do wina, jako do dobrego powszechnie uznanego środka wzmacniającego działanie serca. O ile chodziłoby o mnie, przyznać muszę, że uznaję je jako szkodliwe na równi z innymi zatruwającymi ludzki organizm napojami wysokowymi, których nie używam nigdy. Dla mnie istnieje woda jako napój służący do uspokojenia nerwów, podczas gdy wino pobudza je tylko. We mnie samym odnajduję wystarczającą ilość źródeł pobudliwości, nie zbywa mi na nich nigdy

i jeśli czego mi trzeba, to tylko uspokojenia. Tymczasem — zajął się odkorkowaniem flaszki — jeden kieliszek tego płynu wprowadzi panów na przeciąg co najmniej pół godziny w nastrój prawdziwie niebiański. Czy napijemy się na pomyślność nawrócenia się panów na wiarę socjalistyczną?

Sir Charles odmownie potrząsał głową.

— Jakto, więc sir Donovan Brown, wielki artysta malarz może być socjalistą, a pan nie mógłby stać się nim?

— Donovan Brown? — krzyknął sir Charles, zaskoczony zniecka. — Czy możliwe? Znasz go pan osobiście?

— Posiadam rozliczne listy od niego. Może pan je przeczytać. Już sam rękopis meża tej miary może być zajmujący.

Sir Charles wziął do ręki listy Browna i odczytywał je z nabożnem skupieniem, podczas gdy Erskine, powodowany zaciekawieniem, usiłował dojrzeć cośkolwiek z poza pleców przyjaciela.

— Zgadzam się najzupełniej z wszystkim, nad czem on się tutaj rozwodzi — zauważył sir Charles. — Wszystko niezaprzeczenie słuszne.

— A więc rzecz naturalna, że zgadza się pan i ze mną. Donovan Brown, jako powaga artystyczna, zwerbował mi jednego rekruta, powaga zaś pana jako baroneta, zjedna mi jeszcze więcej zwolenników.

— Ależ...

— Ależ co? — zapytał Trefusis, szybko otwierając tekę, zawierającą podobiznę owej odrażającej swym wyglądem izby robotniczej. — Nie zgadza się pan na to, nieprawdaż? Donovan Brown zwraca

się przeciw temu porządkowi i ja również. Pod każdym względem może pan żywić odmienne przekonania, mimo to jednak jest pan naszym człowiekiem. Czy może inaczej?

— To, co pan pokazuje na fotografii może być prostym skutkiem opilstwa, opieszałości, lub też...

— Dochody mojego ojca były pięćdziesiąt razy większe od zarobku Donovana Browna. Czy myśli pan stąd, że Donovan Brown pięćdziesiąt razy więcej ulegał pociągowi do pijaństwa, czy lenistwa aniżeli mój ojciec?

— Z pewnością nie. Nie przeczę również, że wiele z tego, co pan mówił, jest słuszne i sprawiedliwe, ale wymaga pan równocześnie odemnie, bym uczynił krok bardzo ważny w mem życiu.

— Wcale nie. Nie dopraszam się wcale, ażeby pan czy to przez swój podpis, czy deklarację przystąpienia, czy też wkońcu przez porękę materyalną, stawał się członkiem jakiego zrzeszenia politycznego, czy też współuczestnikiem jakiego sprzysiężenia. Chciałbym mieć tylko prawo wymieniania pańskiego nazwiska wobec tych wszystkich tchórzów, którzy uznają zasady socjalistyczne za zupełnie słuszne, ale do socjalizmu przyznać się obawiają, gdyż uważają, że kierunek ten społeczny nie cieszy się należytyym szacunkiem. Kiedy usłyszą, że zasady społeczne dzieli z nimi również pewien baronet, nie będą się już więcej wstydzili swych przekonań. Widzi pan więc, że i socjalizm przynosi już panu drobną korzyść, a mianowicie nadaje pańskiemu skądinąd bezwartościowemu tytułowi rzeczywistego znaczenia.

Sir Charles zarumienił się cokolwiek i uświa-

domił sobie, że bardziej podziałał na niego przykład ulubionego malarza, aniżeli trafić mu mogły do przekonania dowody Trefusisa.

— Jak pan uważa, Chester — zapytał. — Czy i pan przyłącza się?

— Erskine jest już znany jako orędownik sprawy społecznej wolności, a to dzięki ogłoszonym swym utworom — wtrącił Trefusis. Trzy broszury, umieszczone na pobliskiej półce, przytaczają narodowych męczenników.

Erskine poczerwieniał z radości, albowiem schlebiało mu to niepomiernie, że go cytowano, do-  
tąd spotkał się z uwzględnieniem raz tylko jedyny dzięki pewnemu krytykowi, który sprawozdanie swoje poświęcił wyłącznie wykazaniu, że narodowi męczennicy zostali napisani niedbale.

— Więc? — zagadnął Trefusis. — Czy mam napisać Donovan Brownowi, że listy jego spotkały się ze szczerem uznaniem i objawami sympatyj ze strony sir Charlesa Brandona?

— Ależ naturalnie, naturalnie. To znaczy o tyle, o ile nieznaczne nazwisko moje zdoła wzbudzić jakiegokolwiek zainteresowanie u tego wybitnego męża.

— A więc dobrze! — rzekł Trefusis, napełniając wodą swoją szklanę. — Traćmy się w kielichy z nowym naszym towarzyszem, socjalnym demokratą.

Erskine zaśmiał się głośno, ale wymuszenie.

— Jakiż z pana osioł, panie Brandon! — oświadczył wkońcu. Pan ze swojemi rozległemi posiadłościami ziemskimi i worami złota, z kapitałami ulokowanymi w akcyjach kolejowych, pan — pan jako socjalny-demokrata! Czy zechcesz pan wszyst-



ko sprzedać i rozdzielić według słów: „Sprzedaj wszystko, co masz i rozdziel między biednych“.

— Ani grosza — odpowiedział Trefusis szybko za sir Karola. W tym kraju człowiek nie może być chrześcijaninem. Próbowałem i przekonałem się, że nie może nim być tak ze względu na obowiązujące ustawy, jak i ze względu na panujące stosunki. Jestem kapitalistą i właścicielem ziemskim. Mam akcye kolejowe, kopalniane, budowlane, bankowe i inne wszelkiego rodzaju i one mi przysparzają największych trosk. Ale akcye te nie są istniejącym w rzeczywistości majątkiem. Są tylko listem zastawniczym na pracę nieurodzonych generacyi robotników, którzy pracować muszą, aby ja i moi mogli prowadzić życie pełne nudów i pełne zbytku. Jeśli je sprzedam, czy ów list zastawny stanie się nieważny, a nieurodzone generacye będą uwolnione ze swej niewoli? Nie! Przejdą tylko w ręce innego kapitalisty, a z mojej ofiarności klasa pracująca nic nie skorzysta. Sir Karol nie może pójść za słowami Chrystusa. Niechby tylko spróbował! On może swoje dobra darować na park publiczny, ale z niego będą mogły korzystać tylko klasy bogatsze. A gdyby go założył nawet tuż obok mieszkań biedaków, aby przynajmniej świeżem powietrzem odetchnąć mogli, to podniesie tylko cenę domów sąsiednich i wypędzi z nich biedaków. Jeśli wybuduje szkołę dla biednych na wzór Eton lub Christo Hospital, to bogaci zabiorą te szkoły dla swoich dzieci, tak, jakby to uczynili w dwóch powyżej wymienionych wypadkach. Sir Karol nie chce pielęgnować ubóstwa, lecz pragnie je znieść. Obojętne jest, ile kto da biednym, wszystko, z wyjątkiem najkonieczniejszych środków

ków do życia, będzie im gwałtem z powrotem odebrane. Wszelkie mowy o praktycznym chrześcijaństwie, lub nawet o prostej sprawiedliwości, są dziś tylko niepotrzebnym marnotrawieniem słów. Jak możesz pan wyznaczyć robotnikowi sprawiedliwą płacę, jeśli dzięki ogólnemu zwyczajowi okradania jego pracy, nie można wcale wartości jej oznaczyć? Wiem to z własnego doświadczenia. Chciałem zapłacić odpowiednią cenę za nagrobek mojej żony, ale nie mogłem wypośredkować jego wartości, nie będę mógł nigdy tego uczynić. Zasada, według której my nasz przemysł narodowy wydzierzawiamy do wyzysku poszczególnym jednostkom, które odszkodowania za płacony czynsz dzierżawny poszukują przez wymuszenia, tak nas popsuła i zrobiła złymi, że nie możemy być już więcej uczciwi, nawet gdybyśmy chcieli. A przyczyną dlaczego tak spokojnie znosimy jest to, że bardzo mała liczba osób pragnie, aby było inaczej.

— Muszę w istocie zająć się studyowaniem tej rzeczy — rzekł sir Charles niespokojnie i znów napełnił swój kubek. Czy możesz mi pan polecić jaką dobrą książkę o tych sprawach?

— Wystarcza każda dobra rozprawa o ekonomii politycznej — rzekł Trefusis. W nauce ekonomii wszystkie drogi prowadzą do socjalizmu, chociaż w dziewięciu na dziesięć wypadkach uczący się nie poznaje swego celu i ściąga na siebie przekleństwo, jakie Jeremiasz rzucił na tych, którzy za nagrodę biorą złe w obronę. Wyszukam panu jedną lub dwie książki. I gdy pan na przyszły raz, skoro będzie w Londynie odwiedzi Donovana Browna, to jestem pewny, że on tem bardzo się ucieszy. Spotyka on

bardzo mało ludzi, którzyby się godzili z jego zapatrywaniami społecznymi i artystycznymi.

Oczy sir Karola zabłyszczały, gdy Trefusis wspomniał o Donovanie Brownie.

— Wizytę u niego będę poczytywał sobie za wielki zaszczyt — rzekł. Nie miałem pojęcia, że jest on przyjacielem pańskim.

— Byłem bardzo czynnym, młodym socjalistą, gdy go po raz pierwszy spotkałem — rzekł Trefusis. Gdy Brown był jeszcze nieznany i człowiekiem bardzo ubogim, matka moja na prośbę jednego z jego przyjaciół, kupiła z litości jeden z jego obrazów za trzydzieści funtów; był bardzo zadowolony, że pieniądze te dostał. Po dziesięciu latach, gdy moja matka już nie żyła, a Brown stał się sławny, ofiarowano mi ośmset funtów za ten obraz, który, mojem zdaniem, jest zupełnie zły. Wówczas więc, gdybym był nawet odliczył zwyczajne, zgoła nie usprawiedliwione procenty od tych trzydziestu funtów za przeciąg lat dwunastu, które mniej więcej ułynęły, sprzedawszy obraz, miałbym jeszcze zysk w kwocie siedmset pięćdziesiąt pięć funtów, a więc wzbogaciłbym się niezasłużenie o sumę, do której nie miałem właściwie prawa.

Mój adwokat, któremu o tej sprawie wspominałem, radził, że z najzupełniejszą słusnością mogę wsadzić do kieszeni tych 755 funtów. Moja matka zasłużyła je sobie przez litość, jaką okazała, kupując obraz bezwartościowy nieznanego malarza. Nie przekonał mnie atoli o tem, że ja mam prawo kazać sobie płacić za cnoty mojej matki, chociaż obaj zgadzaliśmy się na to, że ani ja, ani moja matka, nie mieliśmy żadnego odszkodowania w formie zado-

wolenia, gdyśmy patrzyli na ten obraz, gdyż zaraz po jego kupnie wskutek spełnienia farb, popsuł się bardzo. Wkońcu poszedłem z tym obrazem do atelier Browna. Powiedziałem mu, że obraz ten nie ma dla mnie żadnej wartości, że go uważam za obraz zły i niepiękny, i że może go mieć z powrotem za połowę pierwotnej ceny, tj. 15 funtów. Odpowiedział mi natychmiast, że od każdego handlarza więcej dostanę, niż on mnie dać może. Ale powiedział mi także, że nie mam prawa prowadzić handlu jego pracą i ofiarował mi pierwotną cenę, tj. 30 funtów. Wziąłem je, a do niego posłałem owego człowieka, który mi za ten obraz dawał 800 funtów. Ku memu zmartwieniu Brown wogóle wzbraniał się sprzedać ten obraz, ponieważ uważał, że obraz ten nie jest wart jego nazwiska. Ów człowiek dawał mu już 1500 funtów, ale Brown oparł się stanowczo i tak spostrzegłem, że nie tylko nie wetknąłem mu do kieszeni 770 funtów, lecz owszem, wyrwałem mu z niej 30 funtów. Oświadczyłem więc, że zwrócę mu tych 30 sztuk złota.

Brown odczuł tę propozycję jako obrazę osobistą i nie chciał ze mną dalej rozmawiać. Ja obstawałem przy oddaniu tej sprawy do rozpatrzenia sędziemu polubownego i żądałem 1.500 fut. jako pełną wartość tego obrazu. Wszyscy sędziowie uznali moje żądanie za niesłychane, poczem ja oświadczyłem, że godzę się już na to, iż nie chcą mi przyznać prawa do handlowej wartości tego obrazu, ale podniosłem, że w takim razie powinni uznać moje prawa do użytkowej jego wartości. Sędziowie na to się zgodzili, ale wyrok odroczyli na dwa tygodnie, aby przeczytać Adama Smitha a dowiedzieć się, co ja

rozumiem pod wartościami handlowemi i wartościami użytkowemi. Później udowodniłem, że obraz nie przedstawia dla mnie żadnej wartości używania, bo go nie lubiłem, że dlatego nie mam do niczego żadnego prawa i że Brown musi przyjąć owych 30 funtów. Sprawilo im to przyjemność, że mogli tym razem ze mną się zgodzić, gdyż byli wszyscy zwolennikami sztuki Brown'a i nie życzyli sobie, aby przy handlu on coś stracił, chociaż w duchu ten obraz tak samo, jak ja, uważali za zły. Następnie ja i Brown staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Z początku godził się na moje towarzystwo, aby nie wyglądało, jakoby był obrażony za to, że ja obniżyłem wartość jego dzieła. Później atoli podzielił moje zapatrywania tak właśnie, jak to pan teraz uczyniłeś.

— To jest bardzo interesujące — rzekł sir Karol. — Jak to po pańsku — odrzucać 1.500 funtów. Zapewne byłyby się mu przydały.

— Wprost bohaterstwo według pojęć o istocie bohaterstwa w dziewiętnastym wieku. Pozbyć się sposobności do zarobienia pieniędzy bez przymusowych okoliczności! Czyż nie męczeństwo non plus ultra? Małżonka Browna była oburzona na niego za ten postępek.

— Historia zajmująca, a w każdym razie mogąca z powodzeniem uchodzić za taką — rzekł Erskine. — Wywołuje pan jednak zupełny zamęt w mej głowie przez te wywody o wymianie wartości czy innych podobnych nonsensach. Wszystko sprowadza pan do zagadnień liczbowych.

— Pochodzi to stąd, iż nie jestem poetą — odparł Trefusis. — My socjaliści powinniśmy bardziej wykształcić romantyczną stronę naszego ruchu, by

móźdz pewniej zjednywać sobie kobiety. Jeżeli chce pan dokonać jakiejś wielkiej rzeczy, staraj się pan wzbudzić dla tej sprawy zainteresowanie u kobiety. Mężatki lub te, które lada dzień staną się niemi zjednane dla pańskiej sprawy będą przeciwstawiały się swym mężom przy pomocy strzępów naszej argumentacyi. Przychodzi do wymiany słowa, syn takiej pani będzie przysłuchiwał się sprzeczce i zacznie myśleć, skoro tylko posiada przyrodzone warunki do tej funkcyi. W ten sposób zaszczepia się nasze idee w mózгах ludzkich. Niejedną już młodą dziewczynę udało mi się nawrócić. Przeważna ilość nie posiada dokładniejszych wiadomości z zakresu socjalistycznych teoryi ekonomicznych od pańskich wyobrażeń o Chaldei, ale już nie obawiają się one samej nazwy „socjaliści“ i nie potępiają jej. Ach — zapewniam pana, że mężczyźni mogą zdziałać na tem polu bardzo wiele, ale tylko ci mężczyźni, którzy nie tchórzą wobec kobiet i rozporządzają odpowiednim czasem, by spokojnie wyczekiwać kielków swej siejby.

— Miej się pan na baczności! Kiedyś któryś z niewieścich pańskich prozelitów uzyska nad panem przewagę. I Sidney Trefusis może się stać małżonkiem, któremu będzie przeciwstawiała się jego żona. Cha, cha, cha!

Sir Charles wychylił drugi kielich wina i był cokolwiek podniecony a stąd zachowywał się głośno.

— Nie, bronił się Trefusis — wystarczająco wykorzystałem już miłość i nie należę już do rzędu mężczyzn, którzy mogą wzbudzić uczucie. Kobiety lekceważą mężczyzn, dla których wszystko — jak to określa pan Erskine — jest problemem cyfro-

wym. Dawniej uprawiałem flirt z damami, obecnie zaś pouczam je i gardzę flirtem mężczyzny jeszcze bardziej, aniżeli flirtem kobiety. Może pozwoli pan jeszcze wina? Nie może pan dopuścić, by w tej flasce marnowały się resztki.

— Uważam, że trzeba nam już pójść, Brandon — zauważył Erskine, w którym wzrastała nieufność wobec Trefusisa. — Obiecaliśmy, że wrócimy przed drugą.

— Niezawodnie dotrzymają panowie obietnicy — uspokajał Trefusis. — Minał zaledwie kwadrans po pierwszej. Zresztą nie pokazałem panom jeszcze ulubionego dokumentu Donovana Browna z projektem przebudowy stosunków społecznych. Oto projekt. Ogromna petycja, która domaga się, by uznano za ciężką zbrodnię każde uszczuplenie robotnikowi wartości jego pracy. Oto wszystko.

Erskine dotknął się z lekka sir Charlesa porozumiewając się z nim w ten niemy sposób. Sir Charles oświadczył więc pośpiesznie.

— Dziękuję uprzejmie, ale wolę nic nie podpisywać.

— Baronet miałby podpisywać podobną petycję! — z udanem oburzeniem zawołał Trefusis. — Wcale nie przyszło mi na myśl prosić pana o to. Pokazuję panu to pismo jako ciekawy historyczny dokument, na którym umieszczone są podpisy niektórych artystów i poetów. Tu naprzykład widzi pan podpis Donovana Browna. On był nawet duchową sprężyną tej petycji, która nie wiele może dobrego uzyskać, ponieważ sprawa ta nie da się przeprowadzić tą drogą. Tymczasowo jednak obiecałem Brownowi zebrać możliwie sporą ilość podpisów.

Dlatego powinienby pan przynajmniej, panie Erskine umieścić swój podpis. Odezwa nie zawiera wprawdzie żadnych wspomnień na temat świętego obowiązku, który każe mordować tyranów i nie jest pisana białym wierszem, stanowi ona jednak jeden krok naprzód po właściwej drodze. Wszak nie będzie pan żywił żadnych wątpliwości w tej tak drobiazgowej sprawie — czy też może lęk pana ogarnia na myśl o możliwych krytykach? Zbliź się pan do mnie i racz umieścić pańskie nazwisko i pański adres.

Erskine potrząsnął głową.

— Czy żywi pan rewolucyjne uczucia tylko wówczas, kiedy spodziewa się, że dzięki nim pozyska sławę jako poeta?

— Nie podpiszę z tej prostej przyczyny, że zbywa mi na ochocie po temu — odparł Erskine w podnieceniu.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł Trefusis prawie serdecznie — nie może chwiać się w swych najistotniejszych przekonaniach człowiek, który posiada żywe sumienie. Czytałem gdzieś w pańskiej książce, że tchórzem i niewolnikiem jest mężczyzna, który nie przeleje własnej krwi w obronie wolności swego bliźniego. Czyż nie mógłby pan wobec tego przelać kilku kropli atramentu — i to w dodatku mojego atramentu — w obronie praw pańskich braci? Z początku nie przykładałem zbytnej wagi do zbierania podpisów pod tę petycję, gdyż z równym skutkiem mógłbym dopraszać się od tygrysa, by podzielił się ze mną swą zdobyczą, jak domagać się od klas panujących, by wyrzekły się zysków, jakie ciągną z ukradzionej pracy drugich. Ale Donovan Brown rzekł do mnie:



— Nie pozostaje panu inna droga do wyjścia. Albo jest pan przekonany, że robotnikowi należą się wszystkie owoce jego pracy, lub też nie wierzy pan w to. Skoro jednak wierzy pan, wówczas należy śmiało i otwarcie wyznać swą wiarę, nawet w tym wypadku, kiedy zeznanie to miałyby być równie nieużyteczne, jak umywanie rąk od wszelkiej winy przez Piłata. Wobec tego umieściłem mój podpis.

— Donovan Brown miał rację — oświadczył sir Charles. — Podpiszę. — Starannie wpisał swe nazwisko.

— Brown będzie zachwycony — rzekł Trefusis. — Napiszę dziś do niego, iż udało mi się znowu uzyskać jeden dobry podpis.

— Dwa podpisy — rzekł sir Charles. — Powinien pan podpisać Erskine. Niech mię kaci porwą, jeżeli pan nie uczyni tego wkońcu. Wszak odezwa zwraca się jedynie przeciwko tym niegodziwcom, którzy umykają, nie płacąc swym robotnikom.

— Lub też opłacają ich częściowo, niewystarczająco — poprawił Trefusis z tajemniczym uśmiechem na ustach. — Lepiej jednak, by pan nie podpisywał, skoro nie ma ochoty po temu.

— Chester, jeżeli nie położysz pan swego podpisu tuż pod moim, będę uważał pana za zwykłego niezdarę i nudziarza — oświadczył sir Charles.

— Nie mam pojęcia, co to wszystko razem znaczy, nie znam się na żadnych petycyach — bronił się już słabo tylko Erskine.

— Odnosi się ta petycja wprost do tego, o czem wspomina. Nie można jej czynić odpowiedzialną za zapatrywania, które nie zostały w niej wyrażone — odparł Trefusis. Ale poniechajmy już dalszych ar-

gumentacyi. Pan nie dowierza mi, jak z tego wynika, przynajmniej cokolwiek i wolałby nie mieć nic wspólnego z mojemi odezwaniami. Skoro pan jednak pozna mię bliżej, nabierze również lepszego przekonania o tem wszystkim. Chwilowo niema najmniejszego powodu do pośpiechu. Proszę niechaj pan nie podpisuje jeszcze w tej chwili.

— Nonsens! Ani na chwilę nie wątpię, że pańskie przekonania są szczerze i uczciwe — zapewniał pośpiesznie Erskine i zaprzeczył, jakoby powodował się podejrzeniem, które jednak wzbudziło się w nim, jakkolwiek nie umiał wynaleźć dla niego należytego uzasadnienia.

— Oto podpis — rzekł, kreśląc równocześnie nazwisko.

— Bardzo dobrze! — dziękował Trefusis. Uszczęśliwi Browna ten fakt na przeciąg całego miesiąca.

— Czas najwyższy dla nas do odejścia — zauważył zakłopotany Erskine.

— Proszę odwiedzać mnie panowie o każdej porze dnia. Jesteście pożądanymi gośćmi i nie potrzebujecie pod żadnym względem zważać na formalności towarzyskie — zapraszał Trefusis.

Pożegnali się, a przy odejściu zapewniał sir Charles Trefusisa, że nigdy jeszcze w życiu nie przeżył tak zajmującego przedpołudnia. Trzykrotnie, kordyalnie dłoń mu uściśnął. Erskine milczał aż do chwili, kiedy razem z przyjacielem zeszli ku Riverside Road, gdzie nagle wybuchnął:

— Co to do dyabła ma znaczyć, że pan o pierwszej w południe pije aż dwa kieliszki tak zdradliwego trunku i to na dobytek jeszcze w domu tak

niebezpiecznego jegomościa, jak nasz dzisiejszy gospodarz? Prawdziwie żałuję, że odwiedziłem tego człowieka. Już poprzednio żywiłem pewne obawy, które obecnie zjawia się z powrotem i utrwała we mnie.

— Jak to? zapytał sir Charles, cofając się ze zdumieniem o krok wstecz.

— Wyprowadził nas po prostu w pole. Prawdziwy ze mnie głupiec, że podpisałem ów świstek papieru a pan również mądry jak i ja. Wszak po to tylko nas zaprosił.

— Głupstwa! mój drogi chłopcze. Przecież nie była to jego odezwa, lecz Donovaną Browną.

— Co do tego powątpiewam mocno. Prawdopodobnie wymusił on na Brownie owe hasło przez swe paplanie w sposób podobny jak i na nas podpisy. Drogi, któremi ten pan chadza, są równie kręte, jak zagmatwane są jego zapatrywania i poglądy. Czy słyszał pan, jak on kłamał na temat miss Lindsay?

— O ho! co do tego myli się pan srodze, nie zwracał on wcale uwagi na nią, czy też na zdanie wyrokujące innych osób.

— Dobrze, ale skoro pana to zadowala, nie musi koniecznie dziać się ze mną rzecz podobna. Wcale nie znajdowałby się pan obecnie w równie dobrem usposobieniu, gdyby pan był wypił tak mało wina, jak ja to uczyniłem.

— Tak! Jest pan przezabawny. Doskonale było to wino. Czy podejrzywa mię pan może, że podchmieliłem sobie?

— Nie. Ale w każdym razie nie byłby pan był podpisywał odezwy, gdyby nie drugi kieliszek wina. Gdyby nie nacisk, jaki pan wywarł na mnie — mu-

siałem poniekąd podążyć za przykładem pana — wolałbym raczej oglądać tego pana na stryczku, aniżeli trudnić się choć przez chwilę jego petycyami.

— Nie rozumiem, jakie ujemne skutki może pociągnąć za sobą ta sprawa — rozmyślał głośno sir Charles i tłumił przemocą wzmagające się w nim zaniepokojenie.

— Nigdy więcej nie wejdę na próg jego domu — odgrażał się mrukliwie Erskine. Przypominaliśmy dzisiaj dwie muszki w siatce pajęczej.

Tymczasem pisał Trefusis stosownie do tego, co zapowiedział, swój list do Donovanana Browna.

#### Dom Sallusta.

Kochany Brown, spędziłem przedpołudnie na łowieniu na wędkę dwóch jeszcze bardzo młodych rybek i wydostałem je wkońcu na brzeg, z większym nakładem pracy i wśród większych wysiłków, aniżeli zasługują one na to w istocie. Jedna z nich — to rasowe zwierzę. Baronet i miłośnik sztuk pięknych. Wszystkie moje argumenty oraz małe moje fotograficzne muzeum zupełnie nie oddziaływałyby na niego, gdy jednak wymieniłem nazwisko pańskie i obiecałem, że zapoznam go z panem, natychmiastowo chwycił za przynętę. Był napół pijany, kiedy podpisywał odezwę, a ja nie byłbym mu pozwolił dotknąć się papieru piórem, gdyby nie poprzednio zdobyte przekonanie, że odruch tego człowieka był uczciwy i że wino moje uwolniło lepszą jego naturę od codziennej tchórzliwości i powodowania się przesadami. Musimy ogłosić w możliwie wielu gazetach, że on podpisał naszą wielką petycę.

Zwabi to innych tak samo, jak nazwisko pańskie

zwabiło jego. Drugi nowonawrócony Chichester Erskine to młody poeta. Nie na wiele on się nam przyda, jakkolwiek uchodzi za bojownika o wolność w nierymowanych wierszach i poświęca swe poematy Mazziniemu i innym. Podpisał niechętnie. Wogóle ich wzdryganie się przed podpisem jest przejawem niepewności, która pochodzi z braku zrozumienia dla samej sprawy. Nie odnaleźli jeszcze prawdy i nie mogą się odważyć na pełne zaufanie do mnie, ponieważ chodzi tu o rzeczy, w których nikt nikomu zaufać nie może.

Poznałem tutaj piękną młodą damę, która mogłaby panu posłużyć za model do pańskiej Hypatyi. Naszpikowana jest ona wszelkimi możliwymi przesadami szlacheckimi, ale usiłuję wyleczyć ją z tego. Uparłem się, by ją wydać za mąż za Erskinea, on zaś zazdrosny z powodu mnie, albowiem wydaje mu się, że staram się o jej względy. Pogoda tutaj piękna, prowadzę życie wcale wesołe przyczem zauważam, że zanadto próżnuję itd. itd.

## XVI.

W słoneczne przedpołudnie siedziała Agata na progu domu tuż przed cieplarnią pogrążona w lekturze. Na cień jej jedwabnej parasolki spadła nagle niepokojąca plama, a gdy wejrzała, spostrzegła przed sobą wyprostowanego Trefusisa.

— Ach!

Nie skinęła nawet głową z pozdrowieniem w stronę jego, gdyż umówili się między sobą, że będą unikali, o ile to tylko możliwe, wszelkich pozdrowień i ceremonii. On nie śpieszył się z nawią-

zaniem rozmowy, dopiero ona wszczęła pogawędkę po dłuższej chwili milczenia: „Sir Charles...”

— Udał się do miasta — objaśnił. — Erskine wyjechał na kole. Lady Brandon i miss Lindsay pojechały powozem do wsi, pani zaś wyszła na świeże powietrze, by użyć sierpniowego słońca i opalić się. Jak widzi pani, znam już wszystkie możliwe nowości pozostające w związku z towarzystwem pani.

— Jest pan jak zawsze przemądry i myli się pan, jak zazwyczaj. Sir Charles nie poszedł do miasta, lecz udał się z powodu jakichś urzędowych papierów na stację kolejową, skąd powróci jeszcze przed obiadem. Kto udziela panu tych wszystkich ścisłych wiadomości.

— Stałem na dachu mojego domu zaopatrzony w doskonałe szkła polowe. Widziałem, jak pani wyszła z domu i zasiadła tu w tym miejscu. Następnie przesunął mi się przed oczyma sir Charles, po nim Erskine. Wkońcu lady Brandon, która pędziła przed siebie z wielkim rozmachem, stwarzając przez to uderzający kontrast do wyniosłego spokoju, jakim odznaczają się ruchy Gertrudy.

— Gertruda! Prostu podoba mi się pańska wścibskość.

— Chciała pani powiedzieć, że nie podoba się jej zuchwałość, z jaką pozwałam sobie wypowiadać nieproszone moje krytyczne uwagi.

— Nie, uważam, że wścibskość jest stosowniejszym określeniem w tym wypadku aniżeli zuchwałość, oraz przyznaję otwarcie, że podoba mi się ona, że mię poniekąd bawi.

— Rzeczywiście? Co czyta pani obecnie?

— Czytam rzecz nonsensową, zaś z tego rodzaju, jak to pan potrafi prawić dość często. Czytam romans.

— Ach więc skłamane dzieje dwojga ludzi, którzy nigdy nie istnieli i którzy zachowaliby się zgoła inaczej, gdyby żyli istotnie.

— Słusznie.

— Czy nie potrafiłaby pani wymyśleć sobie sama dla siebie przynajmniej równie zajmującej historii?

— Możliwe, ale kosztowałoby mię to w każdym razie zawiele trudu. Zresztą przygotowywanie potraw pozbawia kucharza rozpędu do jedzenia. Nie umiałabym należycie rozkoszować się historyjkami, które powstałyby z pod mojego pióra.

— Który tom czyta pani w tej chwili ?

— Trzeci.

— W takim razie zbliża się już chwila, kiedy bohater i bohaterka zamierzają się połączyć?

— Szczerze powiedziawszy, trudno mi przewidzieć. Jest to jeden z najsprytniej ułożonych romanów. Wolałabym tylko, żeby osoby działające nie rozprawiły tak wiele.

— O, to sprawa podrzędna. W każdym razie dwoje tych osób kocha się w sobie?

— Tak. Inaczej nie byłoby romansu.

— Czy wierzysz Agato — pozwalam sobie nazwać panią po imieniu, gdyż pragnę obecnie mówić bardzo poważnie, czy zdołasz uwierzyć w głębi najistotniejszych twych przekonań, że istniały już kiedykolwiek dwie ludzkie istoty, które zdołały wyzbyć się samolubstwa do tego stopnia, by móż

kochać na wzór i podobieństwo romansowych formułek?

— Naturalnie, że wierzę, a przynajmniej przypuszczam, że tak jest. Nigdy jednak nie zastanawiałam się głębiej nad tą sprawą.

— Powątpiewam. Moje przekonanie powiada mi, że niema dzisiaj mężczyzny, któryby wierzył w niezmierzoną głębię swego uczucia dla kobiety, oraz w niezniszczalną wierność tej miłości. A mimo to nie wątpi on w szczerość jej wyznań, ukrywa przed nią nieuczciwość własnych swych wynurzeń po części ponieważ się wstydzi, po części zaś, ponieważ lituje się nad słabszą od siebie istotą. Kobieta zaś odgrywa tę samą komedycę z swej strony.

— Mnie się zdaje, że postępują tak mężczyźni, ale nie kobiety.

— Czyżby tak? A proszę tylko przypomnieć sobie, jak pani udawała swego czasu, że kocha się we mnie, ale kiedy...

Agata zapłonila się i oparła się jedną ręką o próg z zamiarem powstania. Po chwili jednak opnowała się i rzekła:

— Hola! mr. Trefusis. Jeżeli rozpocznie pan mowę na ten temat, oddalę się natychmiast. Nieustannie muszę zdumiewać się nad panem. Czy nie posiada pan żadnego poczucia taktu?

— Najmniejszego. Ja zaś strona obrażona podówczas... już... już... stój niewiasto! nie odchodź. Już nie wspomnę o tem ani słówkiem. Z dnia na dzień zaczynam obecnie obawiać się pani coraz bardziej, podczas gdy poprzednio pani miała niemały respekt przedemną.

— O tak, bo pan usiłował mię zastraszyć. Wo-



góle stało się to poniekąd przyzwyczajeniem pańskim napawać lękiem kobiety, które są wystarczająco słabe, by móżdż żywić jakiekolwiek obawy przed panem. Jest pan rozsądniejszy aniżeli ja i wie pan więcej, a jednak nie obawiam się pana nic a nic.

— Nie posiada pani po temu powodów, nie posiada ich pani dzisiaj tak samo, jak nie miała ich przedtem, Gdyby Henryeta żyła, mogłaby zaświadczyć, że jedyną wadą, jaka cechuje moje odnośnienie się do kobiet, jest przesadna uprzejmość. Mógłbym kobiecie tylko w tym wypadku odmówić spełnienia szczerego jej życzenia, gdyby pragnęła dłoń moją spętać węzłem małżeńskim. Jak długo ród niewieści nie objawia tych zapędów, może rozporządzać mną do woli.

— Cóż za okrutnik z pana! Myślałam, że pan jest, jak to mówią, po słowie z Gertrudą.

— Cóż za pospolite pojmowanie zwykłej przyjaźni między mężczyzną i kobietą. Nigdy o żadnych zaręczynach z Gertrudą nie myślałem i jestem przekonany, że jej również nic podobnego na myśl nie przyszło. Nie stanęliśmy nawet na poły tak poufnej stopie w stosunku wzajemnym, jak pani i sir Charles.

— A, co do tego, to nie wolno zapominać, że sir Charles jest żonaty. Wogóle radziłabym panu, by się ożenił, jeżeli nie chce wywoływać nieporozumień przez swe związki przyjazne.

Trefusis osłupiał. Zamiast odpowiedzi wysłał w jej stronę przerażone spojrzenie, a z kolei wpastrył się bez wyrazu w własny swój palec wskazujący.

— Zlituj się pan nad nieszczęsnym rodem niewie-

ścim — prawila dalej złośliwie Agata. — Jest pan taki bogaty, taki rozumny, a wygląda pan tak przystojnie, że powinien pan koniecznie ożenić się z kimś. Uszczęśliwiłby pan bardzo Gertrudę.

Trefusis uśmiechnął się i zaprzeczył niedowierzającym ruchem głowy.

— Co do mnie, wydaje mi się, że nie mogłabym mieć żadnych widoków — stwierdziła z akcentem patetycznym Agata.

— Co do mnie, przyznać muszę, że czułbym się szczęśliwym — odparł Trefusis z udaniem zakłopotaniem, ale z równoczesnym błyskiem w oczach, który zdawał się tylko czyhać na sprzyjającą odpowiedź i niezawodnie byłby odstraszył Agatę, gdyby go była zauważyła.

— Ożeń się pan ze mną, mr. Trefusis! — błagała go, składając nabożnie ręce w uniesieniu owładającej ją złośliwości. — Proszę, uczynić pan to!

— Dziękuję pani — rzekł Trefusis zdecydowanym głosem. — Uczynię to.

— Jestem pewna, że nie uczyni pan tego — rzekła Agata po krótkiej, niedowierzania pełnej chwili milczenia. Następnie zerwała się na równe nogi i pochwyciła swe okrycie z gestem, który wskazywał, że lada chwila zamierza uciec.

— Ale pan nie wyobraża sobie, żebym choć chwilę poważnie myślała, o czem teraz mówiłam?

— Niewątpliwie wyobrażam sobie, że pani myślała seryo. Ja również myślę o tem poważnie.

Agata zawahała się przez chwilę i nie wiedziała, czy Trefusis przypadkowo nie igra z nią w sposób podobny, jak ona z nim czyniła przed chwilą.

— Miej się pan na baczności — rzekła. — Mo-

głabym zmienić moje zamiary i wziąć rzecz również poważnie. I coby pan wówczas począł mr. Trefusis?

— Uważam, że wśród zmienionych okoliczności powinnyby pani raczej nazywać mię po imieniu: Sidney.

— Ja zaś uważam, że należałoby nam już skończyć z żartami. Był to wysoce niesmaczny pomysł z mej strony i właściwie nie powinnam była pozwolić sobie na tego rodzaju wybryk.

— Ach jako żart równałoby się to wprost okrucieństwu i dlatego nie mam zupełnie zamiaru uznać całej sprawy za żart. Biorę panią za słowo Agato. Czy kocha się pani we mnie?

— Nic a nic. Ani trochę. Nie znam na całym świecie drugiego człowieka, w którym kochałabym się mniej i mniej mogła się zakochać, aniżeli pan.

— W takim razie musi pani wyjść za mnie za mąż. Gdyby pani kochała się we mnie, uciekłbym za dziesiątą górę. Moja droga zmarła Henryeta ubóstwiała mnie a ja okazałem się niegodny jej uwielbienia, jakkolwiek schlebiało mi ono niezmiernie.

— O tak, zrozumiałe zupełnie. Ale w każdym razie sposób, w jaki odnosił się pan do pierwszej swej żony, powinien wystarczyć każdej pannie jako należyte ostrzeżenie przed tem, by miała się stać drugą pańską żoną.

— Słusznie, powinien odstraszyć każdą dziewczynę, która kochałaby się we mnie. Ale pani nie kocha mnie, a gdybym umknął, spotkałaby panią prawdziwa przyjemność, że udało się pani uwolnić odemnie. Nasza umowa małżeńska może być w ten sposób sporządzona, że zabezpieczy ona pani na

każdy wypadek posiadanie połowy mojego majątku.

— Nigdy nie udałoby się panu uciec odemnie.

— Nie pragnąłbym tego wcale. Nie jestem już dziwakiem z lat poprzednich i nie przypuszczam, bym chciał uciekać od pani.

— Ja również nie przypuszczam.

— A więc dobrze. W takim razie kiedy pobierzemy się?

— Nigdy — odrzekła Agata i chciała uciec. Zanim zdołała jednak uczynić choćby jeden krok, chwycił ją wpół, przytrzymując na miejscu.

— Proszę, nie czyni pan tego — błagała, oddychając ciężko. Usuń pan swe ramię, jak pan śmie zachowywać się w ten sposób?

Puścił ją, zamykając równocześnie drzwi prowadzące do oranżeryi.

— Jeżeli pani zechce uciekać będzie musiała pobiedz w puste pole.

— Jest pan wprost bezczelny. Proszę pozwolić mi odejść natychmiast.

— Czy pozwala mi pani prosić o jej rękę, skoro uzyskałem już właściwie zgodę nieoficyalnie?

— Wszak żartowałam tylko. Nie zajmuję się panem nic a nic, proszę wiedzieć o tem — rzekła stanowczo i oglądała się bacznie wokoło, szukając za swobodnem wyjściem.

— Agato — rzekł, tłumiąc wzbierające w nim niezadowolenie — przed pół godziną nawet nie zaświtała mi w głowie myśl o ożenku z panią, myślałem o tem tyle, co o podróży na księżyc. Z chwilą jednak kiedy pani sama uczyniła mi tę propozycyę, wówczas uczułem nagle cały urok, jaki się kryje

w tym pomyśle i nie mnie już odtąd na świecie nie zadowoli dopóki pani nie wywiąże się z rzuconego nieobowiązującego słowa. Z pomiędzy wszystkich kobiet, które znam, jest pani jedyną niewiastą, która nie jest zupełną idyotką.

— Byłabym zupełną idyotką, gdybym...

— Gdyby pani wyszła za mnie, chce pani powiedzieć. Nie przychyłam się jednak do zdania pani. Ja jestem jedynym mężczyzną z pośród znajomych pani panów, który nie jest skończonym osłem. Znam wartość zarówno moją jak i pani. Kochałem panią już dawno, jeszcze wówczas, kiedy nie miałem po temu najmniejszego prawa.

Agata zmarszczyła brwi.

— Nie — rzekła — dalsza rozmowa na ten temat nie doprowadzi nas do żadnego wyniku. Niema powodu zastanawiać się dłużej nad tą sprawą.

— Proszę jednak nie być tak mściwą. Byłem bardziej szczery od pani. Na nowo nawiązanej znajomości naszej użyła pani do tego, by nieustannie unikać mej osoby, czynić mi gorzkie wyrzuty, z jednej strony wydrwiwać mię, a równocześnie wabić mię ku sobie. Okaż się pani raz wspaniałomyślną i zgódź się dobrowolnie na nasz związek.

— Nigdy nie wabiłam pana — gniewnie zaprzeczła Agata. — Nie uczyniłam tego nigdy, to nieprawda.

Nie odpowiedział ani słowem, tylko wyciągnął dłoń swoją ku niej na znak porozumienia.

— Nie chcę, proszę odejść, nie chcę — broniła się.

Pozostał niewzruszony, a ona poczuła równo-

cześnie, jak słabnie w niej siła i chęć oporu. Więc lęku pełna zaczęła mówić pośpiesznie:

— Niema najmniejszego sensu dręczyć mię. Nie udziele panu dzisiaj żadnej odpowiedzi.

— Proszę przyrzec mi na honor, że zgodzi się pani jutro, do tego czasu pozostawię panią w zupełnym spokoju.

— Nie chcę.

— Licho niechaj porwie cały ród niewieści! — zaklął z rozpaczy. — Zna pani moje postanowienie, a ja muszę stać tu i czas tracić zabawiając się w kokietowanie pani tylko dlatego, że pani nie wie sama, czego właściwie chce. Gdybym przywiązywał wagę do osobistych wygod, pozostałbym na zawsze wdowcem.

— Radzę panu, by to uczynił — odrzekła, skradając się niespostrzeżenie ku drzwiom. — Zajmujący z pana wdowiec. Żona pozbawiłaby pana tego wdzięku. Poza tem proszę uprzytomnić sobie, jakie nieprzyjemności pociąga za sobą utrzymywanie domu.

— Lubię nieprzyjemności. Dodają one siły! — Aha!

Chwyciła za kłamkę, on jednak położył dłoń swoją na jej ręce i przytrzymał ją.

— Proszę jeszcze nie oddalać się, jeżeli wolno mi prosić. Czy nie umie pani rozmówić się ze mną, jak kobiecie przystoi — raczej tak, jakby to uczynił mężczyzna? Maksowi może pani pokazać kość i kazać mu przysiąść na tylnych łapach i wdziękzyć się, ze mną jednak nie należałoby postępować, jak z psem. Proszę szczerze, otwarcie zgodzić się i proszę nie pozwolić na to, bym prosił dłużej.

— Dlaczego właściwie chce pan ożenić się koniecznie ze mną?

— Ponieważ jestem do tego stworzony, by dźwigać ciężar kłopotów domowycli i chcę też to uczynić.

Pragnę uczynić, co może okazać się dla mnie najlepsze i nigdy już więcej nie nadarzy mi się sposobność do tak odpowiedniego wyboru. Poza tem nie mogę myśleć o czem innem, sam nie wiem dlaczego. Oto pełna prawda. Zresztą gdzieś kiedyś wyjdzie pani wkońcu zamaż...

Zaprzeczyła przez poruszenie głową.

— Z pewnością uczyni to pani. Dlaczego nie chce pani wyjść za mąż za mnie?

Agata przygryzła wargi, zrozpaczonym wzrokiem utonęła w zieleni trawnika, aż odezwała się wkońcu po dłuższem milczeniu:

— A więc dobrze, niechaj będzie. Proszę jednak zastanowić się nad tem, co pan czyni i proszę wiedzieć, że popełnia pan głupstwo. Jeżeli później nastąpi rozczarowanie, proszę nie czynić mi żadnych wyrzutów.

— Przyjmuje odpowiedzialność za ten mój czyn — rzekł Trefusis, uwalniając równocześnie jej rękę ze swego uścisku. Następnie wyjął z kieszeni notatkę i oparł ją o drzwi.

— Pani nie potrzebuje przyjmować odpowiedzialności za swój postępek, a spodziewam się, że los, jaki panią spotka, nie będzie gorszy od mojego. Dzisiaj jest siedemnasty czerwca. Który dzień przed dwudziestym czwartym lipca odpowiada pani najlepiej?

— Ma pan na myśli zapewne 24 lipca w przyszłym roku?

— Nie, proszę pani, w roku bieżącym. Muszę tego dnia jako człowiek żonaty, lub też jako wdowiec wyjechać za granicę, by wziąć udział w pewnej konferencji w Genewie. Pragnąłbym wziąć panią ze sobą, by pokazać jej mnóstwo rzeczy, których pani dotąd nigdy jeszcze nie widziała. Pani prawem oznaczyć termin ślubu, ale pani nie ma żadnych poważnych i wiążących ją zajęć, ja zaś mam je.

— Ależ pan nawet pojęcia nie ma o tem, jak wiele zajęć mię czeka. I dlatego będzie lepiej, jeżeli odłoży pan ślub po czas jego powrotu ze stałego ładu.

— Nie potrzeba starać się o nic poza mieszkaniem i wyprawą. Wyprawa to jednym słowem wielkie głupstwo, a Jansenius wie skądinąd, jak szybko umiem urządzać mieszkanie. W przeciągu sześciu tygodni byłem zupełnie przygotowany do żeniaczki.

— Tak, ale proszę nie zapominać, że ja nie jestem Henryetą — zauważyła surowo Agata.

— Nie, ale wcale nie, chwała Bogu! — przyznał uspokajająco Trefusis.

Agatę nawiedziły wyrzuty sumienia.

— Bardzo to brzydko, że odezwałam się w ten sposób — wyznała ze skruchą. — A pan również nie znalazł się ładnie.

— Jeżeli chodzi o prawdę, należy ją wyznać bez względu na to, czy to wyda się komuś brzydkie lub ładne. Ale, czy chce pani wyjechać ze mną do Genewy w dniu dwudziestym czwartym lipca?



— Ależ — naprawdę nie miałam czasu zastanowić się... nie chciałam wcale powiedzieć... ja...

— Wiem, wiem, pani pojedzie chętnie wówczas, kiedy już pobierzemy się.

— Tak, kiedy się pobierzemy.

— I właśnie dlatego szybko weźmiemy ślub. Proszę nie pisać ani do pani matki, ani do Janseniusa, zanim nie poproszę panią o to.

— Nie mam najmniejszego zamiaru. Nie wiedziałabym nawet, co mam pisać o tem wszystkim.

— Urwisz z pani. A proszę nie być zazdrosną, jeżeli schwyta mnie pani, gdy będę nadskakiwał pani Brandon. Czynię to zazwyczaj, gdyż ona oczekuje tego ode mnie.

— Proszę nadskakiwać komu się panu żywnie podoba. Wcale mnie to nie obchodzi.

— Właśnie nadjeżdża powóz, wiozący lady Brandon i Ger... i miss Lindsay. Nie wolno mi jej już obecnie nazywać Gertrudą w obecności pani. Zanim przybysze zdołają nam przeszkodzić, pozwolę sobie przypomnieć pani raz jeszcze trzy najważniejsze punkty naszej umowy. Kocham panią. Pani nie kocha mnie. Pobierzemy się przed dwudziestym czwartym przyszłego miesiąca. Obecnie muszę śpieszyć, by pomódz pani domu przy wysiadaniu z powozu.

Podbiegł w stronę drzwi wchodowych, przed którymi właśnie zatrzymał się powóz. Agata była zmieszana i obawiała się podążyć na powitanie przyjaciółek. Udała się więc przez cieplarnię do swego pokoju, w którym zamknęła się.

Trefusis poszedł w towarzystwie Gertrudy do biblioteki, podczas gdy lady Brandon zatrzymała

się jeszcze w przedsionku, by zdjąć rękawiczki i wystosować kilka pytań w stronę nadbiegających pokojówek. Za chwilę podążyła za nimi i zastała ich oboje stojących we framudze okna. Gertruda przysłuchiwała się jego wywodom z niecierpliwym wyrazem twarzy, który stale przybierała, kiedy on rozprawiał. Trefusis miał minę uśmiechniętą, nie mniej jednak zauważyła Jane, że zdradzał pewien niepokój.

— Właśnie brałem rozpęd — rzekł Trefusis — by opowiedzieć miss Lindsay o niezwykle wydarzeniu, jakie zaszło podczas nieobecności pań.

— Wiem już — zawołała Jane z akcentem przedwczesnej pewności — zepsuł się zapewne przyrząd do ogrzewania cieplarni.

— Możliwe — odparł Trefusis — ale jeżeli wypadek ten wydarzył się istotnie, muszę wyznać, że nic nie słyszałem o nim.

— Nic nie szkodzi — zauważyła z niechęcią Jane — jeżeli przyrząd nie zepsuł się dotąd, w takim razie zepsuje się w najbliższej przyszłości.

Po chwili jednak przymusiła się lady Brandon, by okazać zainteresowanie dla nowinek Trefusisa i dorzuciła niedbale:

— A więc cóż to takiego wydarzyło się w międzyczasie?

— Gawędziłem poprzednio z miss Wylie i nagle wpadliśmy oboje na niezwykle pomysł. Omawialiśmy go przez czas dłuższy, a wynikiem naszej narady jest postanowienie, że pobierzemy się jeszcze przed upływem przyszłego miesiąca.

Jane spłonęła i wpatrzyła się z osłupieniem w niego. On wytrzymał spojrzenie z wyrazem nieugię-

tej stanowczości. Gertruda nie zmieniła na sekundę — jakkolwiek nikt na nią chwilowo nie zwracał uwagi — swego spokoju, uszczęśliwionego wyrazu, ale odcień zielonawo-szary pokrył jej oblicze.

— Czy chce pan oznajmić, że żeni się z Agatą? — zapytała lady Brandon z niedowierzaniem po krótkiej przerwie milczenia.

— Tak. Nie żywiłem tego zamiaru wówczas, kiedy po raz ostatni widziałem się z panią, gdyż w przeciwnym razie byłbym uwiadomił ją o tem już wówczas.

— Czegoś podobnego nie słyszałam jeszcze nigdy w życiu. A więc zakochaliście się w sobie w przeciągu pięciu minut?

— Wysokie nieba, wcale nie! Nie kochamy się wcale. Czy przypuszczasz pani, że żeniłbym się z tak błahego powodu, jakim jest miłość? Nigdy w świecie. Pomysł przyszedł nagle, a obustronne korzyści tego rodzaju małżeństwa narzuciły się wprost same przez siebie. Udało mi się szczęśliwie przekonać o tem Agatę.

— Zapewne musiał pan wyrzucić na nią silny nacisk, skoro się zgodziła.

— Nie ulega wątpliwości! — zauważyła Jane, rzucając znaczące spojrzenie w stronę Gertrudy, która uśmiechała się bez wyrazu.

— Pozwalają mi panie domyślać się — wtrącił Trefusis — że opór Agaty był jedynie pozorny. Prawdopodobnie czuła się aż nadto szczęśliwa, że udało się jej pozyskać tak powabnego męża. Jeżeli tak miało być istotnie, przyznać muszę, że musiała ukryć istotne swe usposobienie po mistrzowsku.

Gertruda zdjęła kapelusz i opuściła pokój — nie mówiąc ani słowa.

— Oto zemsta moja za to, że oddała pani swą rękę Brandonowi — rzekł Trefusis i zbliżył się do Jane.

— Ach tak, zapewne — odparła, siląc się na ironię — naturalnie wierzę panu na słowo.

— Proszę: najlepszym dowodem na prawdziwość mych twierdzeń, oraz wszystkich tych drobiazgów, które wyznaję przed panią, jest — mówiąc to, wskazał ręką na zwierciadło, odbijające postać Jany w naturalnej wielkości.

— Nie widzę tutaj nic, co mogłoby zasługiwać na podziw — rzekła Jane, przyglądając się sobie z niemałym zadowoleniem.

— Co najwyżej podziwiać pan może mój wzrost, o ile wogóle zdolny pan jest do podziwów.

— Jest rzeczą wprost niemożliwą, osiąść nadmiar wszelkich dobroci. Obecnie zaś nie wolno mi już baczniej przyglądać się pani. Jakkolwiek Agata wyznaje szczerze, że nie kocha się we mnie, to jednak nie jestem pewny, czy byłoby jej przyjemnie, gdyby zauważyła, że w czyjąś stronę zwracam miłosne spojrzenia.

— Ona tylko tak mówi, że nie kocha pana! Proszę jej nie wierzyć. Dosyć trudu zadała sobie, by schwytać pana.

— Schlebia mi pani. Pani samej udało się schwytać mnie bez najmniejszego wysiłku, a jednak nie byłaby pani chciała pozyskać mnie dla siebie na stałe.

— Należy dziewczynie czekać na zapytanie, do niej wystosowane. Mam wrażenie, że postąpił pan

sobie z Gertrudą bardzo brzydko, spodziewam się, że nie gniewa się pan na mnie za te szczerze słowa. Najsurowiej jednak muszę oceniać postępowanie Agaty. Jest to nawskróś fałszywe stworzenie.

— Dlaczego? — dopytywał się ze zdziwieniem Trefusis. — A w jakim związku z tą sprawą pozostaje miss Lindsay?

— Wie pan o tem jak najlepiej.

— Zapewniam panią, że nie wiem. Gdyby pani wspomniała była o sobie, mógłbym być zrozumieć.

— O, już to pan potrafi wywinać się chytrze z każdej opresyi, jak zresztą każdy niemal mężczyzna. Mnie jednak nie wprowadzi pan w błąd. Nie powinien pan być zachowywać się w ten sposób, jakoby kochał się w Gertrudzie, jeżeli na seryo zamierzał ożenić się z Agatą. Ona zaś, stwarzająca wszelkie pozory flirtu z sir Charlesem, pozory, jakoby on do tego wielką przywiązywał wagę...

Trefusis przybrał wyraz zakłopotania na twarzy.

— Spodziewam się jednak, że miss Lindsay nic podobnego...

— Tak? nie miała żadnego powodu? Zresztą przekona się pan o tem niebawem osobiście.

— Fałszywie oceniała pani nas oboje, pani Brandon. Miss Lindsay rozumie wszystko o wiele lepiej. A poza tem proszę uwzględnić, że oświadczyły moje dzisiejsze nie leżały poprzednio w sferze moich zamiarów. Jeszcze dzisiaj rano zbywało mi zupełnie na wszelkich miłosnkowych porywach w kierunku jakiegokolwiek osoby z niewieściego rodu — z wyjątkiem jednej, której niestety wymienić nie mogę.

— Ach! same frazesy. Obecnie już niema żadnego celu trudnić się ich wygłaszaniem.

— Nic już więcej nie powiem. Muszę zresztą zjechać do wsi, by zatelegrafować do mojego adwokata. Jeżeli spotkam Erskine'a, podzielę się z nim moją pomyślną nowiną.

— Będzie nią zachwycony, albowiem on również, jak i my wszyscy byliśmy przekonani, że pan zamierza odsunąć go od Gertrudy.

Trefusis uśmiechnął się, potrząsnął głową i rzucając spojrzenie pełne uwielbienia dla wdzięków Jany, wyszedł z pokoju. Jane przyglądała się sobie chwilę w zwierciadle dopóki służąca nie wezwała jej, by udała się do małego Karolka i równie małej miss Fanny. Po schodach przedostała się do pokoju dzieciennego, gdzie synek jej i córeczka ubiegali się ze sobą o palmę pierwszeństwa w dręczeniu trzeciego z rodu najmłodszych Brandonów, niemowlęcia w powijkach. Wejście matki przeraziło chwilowo dzieciaki, ale wcale nie podziałało na nie uspokajająco. Lady Brandon karciała, schlebiała, groziła małym robaczkom, starała się je ująć serdecznymi słowami, cytowała doktora Wattsa, błagała o pomoc piastunkę, a następnie zwymyślała ją, wkońcu postawiła dzieciom zasadnicze pytanie, czy kochają się nawzajem i czy kochają matkę, lub też czy domagają się może odpowiedniej porcyi różeg. Ponieważ w żaden sposób nie zdołała przywrócić ładu i porządku, wypadła z równowagi i dała się unieść wrodzonej porywczosci. Wzięła krzyczące w niebogłosy maleństwo na ręce i wychodząc z założenia, że dzieciak hałasuje bez powodu i że należałoby mu udzielić rzeczywiście przyczyny do dalszego uprawiania

wrzasków, wymierzyła mu dotkliwego klapsa, dwojgu zaś starszym rozkazała udać się natychmiastowo na spoczynek do łóżeczka.

Młody master Charles przerażony losem, jaki spotkał braciszka w powijkach, postawił wniosek kompromisowy, w którym zobowiązywał się być nadal grzecznym, o ile odwiedzi go miss Wylie, by się z nim pobawić, za co zazdrosna matka wymierzyła mu z miejsca policzek tak silny, iż chłopak wśród rozdierającego płaczu poleciał aż w kąt pokoju. Dokonawszy tych operacyi wyszła lady Brandon z pokoju, zapowiadając jeszcze raz od progu, że jeżeli najdrobniejszy odgłos doleci dziś jeszcze do jej uszu, wówczas nastąpią wypadki nader groźne. Kiedy zgrzana i zapłoniona od gniewu znalazła się z powrotem w bawialni, zastała tam samą Agatę. Spoglądała ona przez okno z wyrazem, który zdawał się mówić, iż krajobraz dostarcza jej widoku szczególnie źle usposabiającego.

— Samolubne małe zwierzątko! — wykrztusiła Jane.

— Karolek to istny dyabełek. Cały czas spędza na wymyślaniu sposobów, jakimi by mógł mi najbarziej dokuczyć. Ach tak! Istny sobowtór swego ojca.

— Dziękuję ci uprzejmie, skarbie ty mój! — rzekł sir Charles nadchodząc właśnie podczas enuncyacji żony.

Jane uśmiechnęła się z lekka.

— Wiedziałam, że jesteś w pobliżu — odparła żona.

— Gdzie jest Gertruda?

— Wyszła — objaśnił sir Charles.

— Nonsens. Przed chwilą wróciła razem ze mną z przejażdżki.

— Nie wiem do czego zmierzasz przez użycie doborowego określenia nonsens — rzekł podrażniony sir Charles. — Widziałem ją jednak zdołającą wzdłuż Riverside Road. Właśnie przechodziłem przez wieś i ona nie mogła mnie zauważyć. Odniosłem wrażenie, że śpieszyła się bardzo.

— Spotkałam ją na schodach i przemówiłam do niej, ale nie odpowiedziała mi ani słowem — dorzuciła Agata.

— Spodziewam się, że nie pobiegła do rzeki, by się utopić — zauważyła zjadliwie Jane. Następnie zwracając się w stronę męża, zapytała go: — Czy słyszałeś już o najnowszej nowinie?

— Jedyłą nowością, o której słyszałem, jest wiadomość w tym dzienniku — rzekł sir Charles i wyciągnął numer gazety, którą rzucił na stół. Tu w jednym z artykułów piszą, iż przyłączyłem się do piekielnego związku socjalistycznego, a nadto słyszałem, że w „Timesie“ zamieszczono artykuł o rozszerzaniu się socjalizmu, a w artykule tym wymieniono moje nazwisko. Zawdzięczam to wszystko Trefusisowi i sądzę, że spletał mi ohydny figla. Powiem mu to, gdy go spotkam.

— Powinieneś namyśleć się nad tem, jeśli chcesz coś powiedzieć o nim w obecności Agaty — zauważyła Jane. O nie irytuj się, Agato, wiem wszystko. Opowiedział nam w bibliotece. Wyjeżdżałyśmy dziś rano — Gertruda i ja — a gdy wróciliśmy, zastaliśmy Trefusisa i Agatę u wejścia do ciepłarni, rozmawiających bardzo żywo ze sobą. Właśnie się zaręczyli.



— W istocie! — rzekł sir Charles zmieszany i niezadowolony i usiłował uśmiechnąć się. — A więc mogę pani pogratulować, miss Wylie.

— Zupełnie nie potrzebujesz pan składać mi swych gratulacyi — rzekła Agata, usiłując utrzymać swą powagę o ile mogła. To był tylko żart. Przynajmniej żartując doszliśmy do tego. On nie ma prawa mówić, że jesteśmy zaręczeni.

— Głupstwo! Niemądre wymówki! — rzekła Jane. Tak nie idzie Agato. On odszedł, aby zatelegrafować do swego zarządcy. On traktuje tę sprawę zupełnie seryo.

— Jestem wielkim osłem — rzekła Agata. Usiadła i bezradnie załamała ręce. Sądzę, że coś powiedziałam, ale naprawdę, to nic przy tem nie myślałam. Zmusił mnie do mówienia, zanim wiedziałam, co powiedziałam. Nawarzyłam sobie pięknego sosu.

— Cieszy mnie, że przecie i ciebie ktoś przemądrzył — rzekła Jane ze złośliwym uśmiechem. Nigdy nie miałaś dla mnie żadnej litości, jeśli natychmiast nie mogłam znaleźć odpowiednich słów.

Agata nie zważała na ukłucie tych szpilek. Patrzyła naokół, a wreszcie wzrok swój zwróciła na sir Charlesa i zapytała błagalnie: Co mam teraz robić?

— No, miss Wylie — odpowiedział z powagą — jeśli nie miałaś ochoty wyjść za niego za męża, to nie powinnaś była czynić mu żadnych przyrzeczeń. Nie chciałbym pozostać obojętny w tej całej sprawie, ale wiem, że bardzo ciężko pozbyć się Trefusisa, jeśli powziął jakiś zamiar; mimo to...

— Zostaw ją w spokoju — przerwała Jane. Ona

pragnie, aby to było wszystko na seryo, tak jak tego on również chce.

Byłabyś bardzo nieszczęśliwa, gdyby on uciekł, pomimo twoich wszystkich interesujących wzdragań się.

— Tak nie jest w istocie — rzekła Agata poważnie. Chciałam, aby mi pozostawił czas do namysłu. Teraz już opowiedział on to wszystko całemu światu.

— A więc możemy uważać całą sprawę już za rozstrzygniętą? — zapytał sir Charles.

— Naturalnie, że możesz to tak uważać — odpowiedziała Jane pogardliwie.

— Proszę cię, Jane, pozwól niech miss Wylie sama za siebie mówi. Nie pojmuję, dlaczego pani ma jeszcze jakieś wątpliwości — jeśli pani rzeczywiście zgodziła się na to.

— Sądzę, iż oświadczyłam, że zgadzam się — rzekła Agata. Zdaje mi się, jakbym miała jakieś złe myśli, ale nie wiem już więcej, co to było. Pragnęłabym, abym go nigdy była nie widziała.

Sir Charles był bardzo wzburzony. Nie rozumiem — mówił — postępowania kobiet w podobnych rzeczach. Ponieważ teraz zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pani i Trefusis jesteście zaręczeni, to nic mu takiego nie powiem, coby mu jego tu wizyty uczyniło nieprzyjemne. Ale muszę zauważyć, że on — łagodnie się wyrażając — wobec mnie postępował bardzo lekkomyślnie. W domu jego podpisałem dokument z tem atoli wyraźnem zastrzeżeniem, że dokument ten jest ściśle prywatny. A on tymczasem o dokumencie tym roztrząbił na cały świat i publicznie nazwisko moje złączył nie tylko ze

swojem, ale także z nazwiskami osób, o których wiem tylko, że z nimi nigdy nic nie chciałbym mieć do czynienia.

— Co to szkodzi? — zapytała Jane. Do tego nikt żadnej nie przywiązuje wagi.

— Ja przywiązuję do tego wagę — odparł Charles z gniewem. Żaden rozumny człowiek nie może zrobić mi zarzutu, abym przeceniał swoją własną godność, jeśli przeciw temu protestuję, że nazwiska mego publicznie użyto do poparcia tych usiłowań, na które się nie godzę.

— A może w tem nie było ręki Trefusisa — rzekła Agata. Dzienniki przecież ogłaszają to, co im się żywnie podoba.

— Masz słuszność — przerwała Jane z ironią. Nie pozwól nikomu źle o nim mówić.

— Nic złego nie mówię o nim — rzekł sir Charles, zanim jeszcze Agata mogła odpowiedzieć. Jest to tylko przypuszczenie i nie wspominałbym o niem, gdybym był wiedział o tej zmianie stosunku między miss Wylie a nim.

— Proszę bardzo, niech pan nie mówi o tem — rzekła Agata. — Najprzyjemniej byłoby mi, gdybym mogła odjechać najbliższym pociągiem.

Tymczasem Erskine powrócił z porannego spaceru; we wsi spotkał się z Trefusisem, obok którego chciał przejechać, skinąwszy mu głową. Ale Trefusis zawołał go, Erskine zatrzymał się i z widoczną niechęcią zsiadł z kozła.

— Chciałem tylko powiedzieć, że żenię się — rzekł Trefusis.

— Z — ?. Erskine nie mógł wymówić imienia Gertrudy.

— Z jedną z pańskich przyjaciółek. Zgadnij pan z którą?

— Z miss Lindsay zapewne!

— Któż do dyabła nakładł wam do głowy, że ja i miss Lindsay mamy się ku sobie? — zawołał Trefusis. Dla miss Lindsay uważałem zawsze pana za odpowiedniego męża. Ja żenię się z miss Wylie.

— Tak! zawołał Erskine z uczuciem, jakby nagle po silnym mrozie nastąpiła odwilż.

— Naturalnie! A teraz panie Erskine masz pan tę korzyść że jesteś człowiekiem biednym. Nie pozwól, aby ta dziewczyna wydała się za męża dla pieniędzy. Jeśli — jak dotąd — będziesz dalej zwlekał, to wtedy uczynisz nieszczęśliwym siebie i ją.

Skinął mu głową i odszedł. Erskine stanął i patrzył długo za nim.

— Jeśli ją oszukał, to jest łotrem — rzekł. — Żal mi, że mu tego nie powiedziałem.

Wsiadł na koło i jechał powoli ku Riverside Road. Podejrzywał początkowo Trefusisa, że chciał go zwieść, ale następnie, rozmyślając, począł mu wierzyć i postanowił na każdy wypadek usłuchać jego rady co do Gertrudy. Rozmowa, którą podsłuchał w alei, nagle mu stanęła w pamięci. Nie mógł jej ani rusz pogodzić z oświadczeniem Trefusisa, że nie żywił żadnych zamiarów co do Gertrudy.

Na kole dojechał po cichu do miejsca, gdzie rosła cykuta i ujrzał tam Gertrudę siedzącą na niskim wale, który oddzielał drogę od pola. Jej kobiałka z nożyczkami wewnątrz, leżała obok niej. Splotła palce, a ręce oparła na kolanach. Twarz jej była zupełnie bez wyrazu i okazywała tak mało poważnej

miny, że Erskine zaśmiał się, gdy obok niej zeskończył z koła.

— Czy pani jesteś zmęczona? — zapytał.

— Nie, odpowiedziała spokojnie, wcale nie zdziwiona tem nagłym zapytaniem i uśmiechnęła się mechanicznie, co z jej strony było niezwykłym ustępstwem.

— W marzeniach zatopiona?

— Nie. — Usiadła nieco na boku i przykryła kosz suknią.

On zaczął się obawiać, że nie wszystko jest w porządku.

— Czy to jest możliwe, aby pani znów odważyła się wejść między te trujące rośliny — zapytał. Czy pani jest chora?

— Zupełnie nie — odpowiedziała i podniosła się nieco. Troska pańska jest zupełnie zbędna. Mam się zupełnie dobrze.

— Proszę o przebaczenie — rzekł zmartwiony. Sądziłem — czy pani nie uważasz za niebezpieczne siedzenie na tym wilgotnym wale?

— On nie jest wilgotny; z posuchy kurz się rozpada. Nienaturalny uśmiech, którym zakończyła te słowa, potwierdził tylko, iż w jej wnętrzu wrzała burza.

Erskine zaczął zdanie, ale wstrzymał się i aby zyskać na czasie, postawił swoje koło w naprzeciw leżącym rowie. Ona patrzyła na niego niecierpliwie, gdy spostrzegła, że on chce tu pozostać i z nią mówić. Pierwsza jednak przemówiła, ale uczyniła to z taką wielką obojętnością, że on się przestraszył.

— Czy słyszałeś pan już o nowinie?

— O jakiej?

— O panu Trefusisie i Agacie. Zaręczyli się!

— Trefusis mówił mi o tem. Spotkałem go we wsi. Byłem bardzo uradowany, usłyszawszy o tem.

— Naturalnie.

— Ale ja miałem specjalny powód, aby być uradowanym.

— Tak?

— Znajdowałem się — zanim mi prawdę powiedział — w rozpaczliwej obawie, że on ma inne zamiary, a mianowicie takie, które zniweczyłyby moje najdroższe nadzieje.

Gertruda zmarszczyła czoło, a zmarszczenie to podnieciło Erskine'a.

Stracił panowanie nad sobą, które już było zachwiane przez jej dziwne zachowanie się.

— Pani wie, że panią kocham, miss Lindsay — rzekł. — Być może, że nie jest to miłość zupełna, ale po ludzku powiedziawszy, jest ona miłością wierną. Chciałem pani powiedzieć to już wówczas, gdyśmy byli razem w pokoju bilardowym. Ale owego wieczora dopuściłem się czynu wielce niehonorowego. Gdy pani rozmawiała w alei z Trefusisem, ja przystanąłem blisko was i podsłuchiwałem.

— To pan słyszałeś, co on mówił — krzyczała Gertruda gwałtownie. — Słyszałeś, jak przysięgał, że myśli na seryo.

— Tak jest — odpowiedział Erskine, drżąc cały. — I ja sądziłem, że on panią w istocie kocha. Za to nie możesz pani czynić mi żadnego zarzutu. Byłem sam zakochany, a miłość jest ślepa i zazdrosna. Zaniechałem wszelkiej nadziei do chwili, gdy mi powiedział, że ożeni się z miss Wylie. Czy mogę te-

raz z panią mówić, gdy wiem, że pomyliłem się, albo, że pani nabrała innego przekonania.

— Albo lepiej pan powiedz, że on nabrał innego przekonania — rzekła Gertruda ironicznie.

Erskine, który znów począł się o nią obawiać, wzdrygnął się. Jej duma była mu droga i on widział, że jej zawód zrobił ją obojętną dla całej sprawy.

— Niech pani mi nic nie mówi, miss Lindsay, aby pani...

— Co powiedziałam? Co mam powiedzieć?

— Nic, oprócz moich własnych spraw. Kocham panią z całego serca.

Gertruda poruszyła się niecierpliwie, jakby to dla niej było rzeczą zupełnie obojętną.

— Spodziewam się, że pani mi wierzy — rzekł bojaźliwie.

Gertruda czyniła usiłowania, aby odzyskać na powrót swą równowagę wielkiej damy, ale energia jej prysła, zanim jeszcze podniosła głowę. Popadła na powrót w swą zupełną obojętność i uczyniła słaby ruch wzdragania się.

— Przecież to nie może być dla pani obojętne, że jesteś kochana — rzekł Erskine i stał się niecierpliwym i bardziej natarczywym. — Pani jesteś całym moim szczęściem. Ofiarowuję pani swoje usługi i szacunek. Nie proszę pani o żadną nagrodę. — Mówił teraz bardzo szybko i tak cicho, że go prawie słyszeć nie można było. — Możesz pani przyjąć moją miłość, wcale na nią nie odpowiadając. Nie chcę osiągnąć żadnych korzyści. Jeżeli pani potrzebujesz przyjaciela, to możesz na mnie tem pewniej polegać, że pani wie, iż ją kocham.

— O, tak pan teraz sądzi — przerwała miss

Gertruda. — Wkrótce jednak zawiedziesz się. Nie należę do tego rodzaju kobiet, w których mężczyźni mogą się zakochać. Wkrótce zmienisz pan swe uczucia.

— Pani nie jesteś tego rodzaju? O, jak pani wiesz mało — rzekł, stając się bardzo wymowny. — Miałem aż zanadto dużo czasu, aby zmienić swe uczucia, ale mimo to trwam przy nich tak silnie, jak przedtem. Jeśli pani wątpi o tem, to niech pani poczeka i wystawi mnie na próbę. Ale niech pani nie traktuje mnie tak surowo. Zadajesz mi pani większy ból, niż pani sądzisz, jeśli pani jesteś gwałtowna albo obojętna. Mówię zupełnie seryo.

— Ha! ha! To łatwo powiedzieć.

— Tak, ale nie mnie. Zmieniałem swoje sądy o ludziach, stosownie do swego usposobienia, ale ja stanowczo wierzę w pani dobroć i piękność — jakbyś pani była aniołem. Miłość moją do pani traktuję tak poważnie, jak miłość mego własnego życia, które udoskonalić mogę przy pomocy pani i pod jej wpływem.

— Mylisz się pan bardzo, jeżeli sądzisz, że jestem aniołem.

— Nie ma pani racyi, nie ufając sobie samej. Ja jednak myślę o tem, co jestem winien pani, a nie o tem, czego mogę oczekiwać od pani, jeśli ją nazwę aniołem. Wiem, że dla siebie samej nie jesteś aniołem. Dla mnie atoli pani nim jesteś.

Ona siedziała, milcząc uporczywie.

— Nie chcę pani zmuszać teraz do odpowiedzi. Jestem zadowolony, że pani znasz teraz moje uczucia. Czy chce pani wrócić razem ze mną?

Ona obejrzała się zwolna i spojrzała na cykute,



a ponad nią poza rzekę. Następnie wzięła swoją ko-  
białkę, wstała i gotowała się do odejścia.

— Czy pani chce trochę cykuty? — zapytał. —  
Chętnie pani jej narwę.

— Chcę, aby mnie pan samą zostawił — rzekła  
nagle pełna gniewu. — Potem nieco zawstydzona,  
dodała: — Głowa mnie boli.

— Bardzo mi przykro — rzekł Erskine prze-  
rażony.

— Nie lubię, jeśli się ze mną mówi, bo boli mnie  
głowa jeszcze więcej, gdy muszę słuchać, co do  
mnie mówią.

Ruchem pokornym sięgnął po rower spoczywa-  
jący w rowie i wydobywszy go, jechał w milczeniu  
tuż obok niej aż do Beeches. Poprzez cieplarnię  
przedostali się do pokoju jadalnego, gdzie rozstali  
się ze sobą. Gertruda jednak rzekła przed odejściem  
na pożegnanie z odcieniem skruchy:

— Nie miałam wcale zamiaru dotknąć pana, mr.  
Erskine.

Zarumienił się, wymamrotał jakieś nieuchwytne  
słowa i usiłował pocałować ją w rękę. Ale ona  
wyrwała ją i szybko odeszła. To zmartwiło go, sta-  
nął więc oniemiały i męczył się myślami. Wejście  
służącej wyrwało go z tych myśli. Dowiedział się  
od niej, że sir Charles jest w pokoju bilardowym.  
Poszedł więc do niego i zapytał go tonem obojęt-  
nym, czy słyszał już o nowinie.

— O miss Wylie? — zapytał sir Charles. —  
Sądzę, że wie już o tem wójt i cała gromada, cho-  
ciaż jeszcze nie minęły trzy godziny od chwili, gdy  
się zaręczyli. Czy pan to widziałeś?

To mówiąc, położył kilka dzienników na stoliku. Erskine musiał ochłonąć, zanim mógł czytać.

— Byłeś pan głupcem, gdy podpisywałeś ten dokument — rzekł. — Wówczas to już powiedziałem panu.

— Polegałem na tem, że ten człowiek jest gentlemanem — rzekł sir Charles wzburzony. — Nie sędzę, abym był głupcem. Widzę tylko, że jest on człowiekiem nieoheblowanym, a z powodu sprawy z miss Wylie, chciałbym mu wyczytać paternoster. Powiem panu tylko tyle, Chester, że z miss Lindsay grał on w ciuciubabkę. Na górze jest całe piekło. Ona mówiła właśnie do Jane, że musi natychmiast powracać do domu. Miss Wylie oświadcza, że nie chce mieć nic do czynienia z Trefusisem, bo miss Lindsay ma dawniejsze prawa, a Jane jest oburzona, że on cały świat podziwia, tylko jej nie. Dobrze mi się stało. Mój instynkt już od samego początku ostrzegwał mnie przed tym człowiekiem.

Właśnie podano jedzenie. Gertruda nie zeszła do pokoju jadalnego. Agata była milcząca i zła. Jane usiłowała wyciągnąć od Erskina szczegóły o jego spotkaniu się z Gertrudą, ale on zawiódł jej oczekiwania i nie zadowolił jej ciekawości, bo ze swego opisu opuścił wszystko, co nie było zwykłą konwencyonalną rozmową.

— Uważam jej zachowanie się za dziwne — rzekła Jane. — Ona obstaje przy tem, aby odjechać pociągiem o godzinie 4-tej. Uważam to za niegrzeczność z jej strony wobec mnie, tembardziej, że zawsze tak chełpiła się swem wychowaniem. Coś takiego nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło!

Po obiedzie poszli razem do pokoju bawialnego,

a za ledwie tam weszli, zameldowano Trefusisa. Wszedł do pokoju, zanim zdołano ukryć zdziwienie, jakie malowało się na twarzy obecnych z powodu jego przybycia.

— Przychodzę, aby się pożegnać — rzekł. — Muszę pociągiem o godzinie 4-tej odjechać do miasta, aby osobiście uporządkować swoje sprawy. Telegramy, które otrzymałem, mówią tylko o odwłóce. Czy pan czytał „Timesa“?

— Naturalnie, że czytałem — odpowiedział sir Charles z naciskiem.

— O panu piszą także inne gazety, w ciągu najbliższych dwóch tygodni jeszcze długi szereg innych pisać będzie. Ludzie, którzy wypowiadają jakieś zapatrywanie, mają ciągle kłopoty z gazetami, jedni z tego powodu, że one o nich nie piszą, inni zaś dlatego, że ich nie chcą wypuścić ze swej opieki. Gdybyś pan wydał grzmiący manifest rewolucyjny, żaden z dzienników nie odważyłby się o tem wspomnieć. Niema większego tchórzostwa, jak to z Fleetstreet. Muszę się śpieszyć. Mam jeszcze wiele do czynienia przed swoim odjazdem, a to dochodzi już trzecia godzina. Adieu, lady Brandon i inni państwo.

Uściskał rękę Jane, skinął innym głową, przy czem nie zrobił wyjątku na rzecz Agaty i szybko wybiegł. Oni patrzyli przez pewien czas za nim, poczem Erskine wybiegł za nim, zbiegł po schodach, przeskakując po dwa schody naraz. Mimo to, musiał pobiedz aż do alei, aby dopędzić Trefusisa.

— Trefusisie — rzekł prawie bez tchu — pan nie możesz odjechać pociągiem o godzinie 4-tej.

— Dlaczego?

— Bo tym samym pociągiem jedzie do miasta miss Lindsay.

— Tem lepiej, mój kochany młodzieńcze, tem lepiej. Teraz przecież nie jesteś pan zazdrosny o mnie?

— Słuchaj pan, panie Trefusis. Nie wiem i nie pytam się o to, co zaszło między panem, a miss Lindsay. Ale zaręczyny pańskie wyprowadziły ją z równowagi i jedynie dlatego ucieka do Londynu. Jeśli się dowie, że pan jedzie tym samym pociągiem, będzie czekała do jutra, a sądzę, że zwłoka ta będzie dla niej bardzo nieprzyjemna. Czy chce pan dodać jej jeszcze i tego kłopotu?

Trefusis był początkowo zmieszany i patrzył z powątpiewaniem na Erskine'a, namyślając się przez chwilę.

— Sądzę, że w tej sprawie jesteś pan na fałszywej drodze — rzekł. — Moje stosunki z miss Lindsay nic nie mają z uczuciem wspólnego. Czy mówiłeś jej pan co — w swojej własnej sprawie?

— Mówiłem z nią o obu sprawach i wiem, z jej własnych ust, że ja mam słuszość.

Trefusis zagwizdał lekko.

— Nie jest po raz pierwszy, że o tej sprawie mam jasne pojęcie. Proszę pana, panie Trefusis, niech pan sprawę tę traktuje poważnie. Przebac mi pan, jeśli panu powiem otwarcie, że pana tylko zupełny brak uczucia usprawiedliwia ze sposobu, w jaki z nią postępowałeś.

Trefusis zaśmiał się.

— Za to przebac mi pan moją ciekawość — rzekł. — Co odpowiedziała ona panu na pańską propozycję?

Erskine wzdrygnął się, a całym swym zachowaniem się okazywał, że według jego zdania Trefusis nie miał prawa do postawienia takiego zapytania.

— Nic nie odpowiedziała — odpowiedział.

— Hm! — rzekł Trefusis. — Dobrze. Co się tyczy pociągu, to możesz pan na mnie polegać. Tu moja ręka.

— Dziękuję panu — rzekł Erskine gorąco.

Uściskali sobie ręce i rozeszli się. Trefusis odszedł, strojąc grymasy, które wcale nie mogły wzbudzać zaufania.

## XVII.

Gertruda, która nie zdawała sobie z tego sprawy, że wszystkim zdradzała swój zawód co do Trefusisa, sądziła, że wszyscy uwierzą, iż tylko troska o zdrowie jej ojca jest przyczyną jej nagłego odjazdu. Dla niej było wprost niemożliwe mówić z Agatą lub znajdować się w jej obecności. Gwałtowna wściekłość ogarniała ją, gdy myślała o tych rodzajach współczucia, jakimi traktuje się opuszczone dziewczęta. Najbardziej atoli przerażała ją obawa przed spotkaniem się z Trefusisem. Od pewnego czasu uważała go za mężczyznę gentlemiana, który jak najgoręcej nią się interesował. Ale chociaż wychowanie jej było stosunkowo postępowe, nigdy nie przeszła jej przez myśl możliwość, aby jakiś mężczyzna mógł się interesować kobietą, nie pragnąc równocześnie jej poślubić. On w poważniejszych chwilach swego humoru usiłował wytłumaczyć jej, że jej społeczne zapatrywania są zupełnie

powierzchowne, płytkie, jak innych ludzi, ale przytem i pochlebiał jej, wpajając w nią przekonanie, że ona jest zdolną do lepszego, wyższego życia. Do tego przyczyniła się jego niepoprawna galanterya, której jego humor i jego pełne rycerskości postępowanie wobec kobiet, jakie mu się podobały, nadawały czar i sympatycznej odmiany. Rozmawiając z nim, nieraz sądziła, że on ciągle jeszcze mówi zupełnie seryo, chociaż on już od dawna bujał w sferach romantyzmu; ulegała więc często niebezpiecznej ułudzie. On nie uznawał żadnych wyrzutów sumienia z powodu swej niebezpiecznej gry, ponieważ nie uważał się za ładnego mężczyznę, którego kobiety mogłyby kochać. Z drugiej strony Gertruda nie wiedziała, że jej piękność każdej godzinie, którą z nią spędzano, dodawała czar, któremu nie mogli się oprzeć mężczyźni pełni fantazyi i uczuć. Ona, która po opuszczeniu ław szkolnych, ciągle przebywała na targu małżeńskim, miłostki uważała za coś najpoważniejszego na świecie. Dla niego były one tylko przyjemną zabawką, której czar podnosił cichy żal, że tak mało one dają.

Najprzykrzejszem dla niej było to, że żegnając się, będzie musiała pocałować się z Agatą. Już w szkole była o nią zazdrosna, chociaż uważała się za coś lepszego i wyższego od niej. Ale to przekonanie nie zadowalało jej, tem bardziej, że mimo wszystko musiała podziwiać jej spryt, jej odwagę, jej zmysł wynalazczy, jej zdolności, jej szybkość myślenia i oryentowania się w każdej najtrudniejszej okoliczności, co wszystko razem dawało jej moc panowania nad wszystkimi. Dziś zazdrość jej z powodu tych przymiotów Agaty jeszcze się spotęgowała,

gdyż czuła, iż one właśnie czynią Agatę bliższą Trefusisowi, niż ją samą. Mało ją to obchodziło, jak wychodzi ona w porównaniu z Agatą, natomiast obchodziło ją to, że Trefusisowi przedstawiała się jako powolna, sztywna, zimna, sztuczna, a nie mogła go o tem przekonać, jaką jest w istocie. Jedyną zaletą, która, jak się wydawało, górowała nad Agatą, było to, co nazywała dobrem wychowaniem, ale teraz właśnie pod wpływem Trefusisa i o tem powątpiewać zaczęła tak bardzo, że poczęło się jej zdawać, że jest to jej brak największy.

Nie mogła ani słowa wymówić, gdy ścisnęła swą przyjaciółkę z ławy szkolnej, a język Agaty również był sparaliżowany. Uczucie żalu i jakiejś wzajemnej nieufności przytłumiło ich słowa, a milczenie ich byłoby wywołało przykre wrażenie, gdyby Jane nie była za wszystkich mówiła. Sir Charles siedział już w powozie na dworze i czekał, aby Gertrudę odwieźć na dworzec, a Erskine zatrzymał ją przez chwilę w sieniach, gdy wychodziła. Powiedział jej, że będzie mu bardzo smutno po jej odjeździe i prosił ją, aby go zachowała w swej pamięci. Jego prośba wcale jej nie wzruszyła, zauważyła tylko, że wyraz tej wymownej prośby, jaką wypowiedziały jego ciemne oczy, widziała już raz u kangurów w ogrodzie zoologicznym.

Gdy Gertruda wsiadała do powozu, sir Charles zajął się pilnie końmi, aby być uwolnionym od przykrej rozmowy o nagłym wyjeździe swego gościa. W ciągu jazdy uczynił kilka uwag o płochliwości młodych koni, o pogodzie, a wkrótce ujrzeni piękny budynek stacyjny, który stał w czystym polu; z peronu roztaczał się piękny widok na rzekę.

Przed stacją stały dwa powozy i dwaj tragarze. W poczekalni za bufetem siedziała przekwitła piękność. Sir Charles zatrzymał się przy okienku kasowym, aby kupić bilet dla Gertrudy, która poszła wprost na peron. Pierwszym człowiekiem, którego tam ujrzała, był Trefusis. Stał tuż obok niej.

— Gertrudo, jadę tym samym pociągiem do miasta — rzekł szybko. — Jestem na usługi pani. Mam coś pani powiedzieć, gdyż między nami powstało nieporozumienie, któremu musimy położyć koniec. Pani...

W tej chwili właśnie nadszedł sir Charles i stanął zdziwiony, widząc ich rozmawiających.

— Jadę przypadkowo tym samym pociągiem — rzekł Trefusis. — Będę opiekował się miss Lindsay.

— Miss Lindsay ma ze sobą swoją pokojówkę — rzekł sir Charles, jaskając się prawie i spojrzawszy na Gertrudę, której atoli wyraz twarzy był zupełną zagadką.

— Możemy wsiąść do wagonu pullmanowskiego — rzekł Trefusis. — Będziemy tam tak swobodni, jak w kąciku przepelnionego ludźmi salonu. Mogę przecież z panią jechać, nieprawdaż? — rzekł, gdy ujrzał wielce zdziwiony wzrok sir Charlesa i zwrócił się do niej o pozwolenie.

Ona czuła, że gdy mu odmówi, to odtrąci od siebie ostatnią nadzieję szczęścia. Mimo to postanowiła to uczynić, choćby nawet miała podczas drogi do Londynu umrzeć z bólu. Gdy jednak podniosła głowę, aby mu energicznie zabronić jazdy z sobą, spotkała jego wzrok poważny i pełen oczekiwania. Na chwilę straciła panowanie nad sobą i rzekła:

— Tak, będzie mi bardzo przyjemnie.



— Jeśli tak, to dobrze — rzekł sir Charles tonem, jakby jego sympatyę dla Gertrudy wyrwała mu z serca jakaś straszna zbrodnia. — Wobec tego niema celu moje tu dalsze czekanie. Pozostawiam panią pod opieką mr. Trefusisa. Adieu, miss Lindsay.

Gertruda cofnęła się. Było jej przykro, że takim niechętnym tonem żegnał ją człowiek, który był dla niej zawsze tak przychylnie usposobiony. Chciała mu milcząco podać rękę, gdy Trefusis rzekł:

— Poczekaj pan, póki nie odjedziemy. Gdybyśmy przypadkowo w ciągu podróży zginęli — o co na kolejach angielskich bardzo łatwo — to robiłbyś pan sobie wyrzuty, że nie zostałeś dłużej i nie widziałeś nas jeszcze w ostatniej chwili. Oto nadchodzi już pociąg, więc dużo czasu pan nie stracisz. Powiedz pan Erskinowi, że mnie tu widziałeś, że ja nie zapomniałem o mojem przyrzeczeniu i że może na mnie polegać. Proszę, niech pani wsiada, miss Lindsay.

— Moja pokojówka — rzekła Gertruda z pewnem wahaniem, gdyż nie chciała za nią tak wiele płacić. Ona...

— Ona wsiądzie z nami i będzie uważała na mnie. Mam dla wszystkich bilety, rzekł Trefusis i pomagał miss Lindsay przy wsiadaniu.

— Ale...

— Proszę wsiadać — zawołał konduktor. Czy pan także jedzie?

— Adieu sir Charles. Pozdrów pan odemnie serdecznie lady Brandon i Agatę i kochane dzieciaki. Ja również dziękuję za bardzo przyjemne...

Pociąg odjechał, a sir Charles już ochłonał z pierwszego impetu. Uśmiechnął się i począł powiewać kapeluszem, gdy wtem nagle ujrzał twarz Trefusisa, która miała tak szatański wyraz, że sir Charles nagle jakby skamieniał, zatrzymał się w swych gestykulacjach, a ze swoją wyciągniętą ręką wyglądał jak telegraf optyczny.

Powrót uspokoił go nieco, ale był bardzo zdumiony, gdy w pokoju bawialnym w Beeches zastał Agatę, swoją żonę i Erskina. W chwili, gdy wszedł do pokoju, zawołał zaraz:

— Pojechała z Trefusisem!

Erskine, który czytał, zerwał się z miejsca i porwał książkę tak, jakby chciał na kogo rzucić. Następnie krzyknął:

— Co, on był w pociągu?

— Tak i pojechał z nią do miasta.

Erskine rzucił gwałtownie książką o ziemię.

— W takim razie jest on łotrem i kłamcą — rzekł.

— Co się stało? — spytała Agata, podnosząc się z miejsca, podczas gdy Jane z otwartą gębą patrzyła na Erskina.

— Proszę panią o przebaczenie, miss Wylie, zapomniałem zupełnie o pani. Zapewniał mnie pod słowem honoru, że tym pociągiem nie pojedzie. Ja...

Nie dokończył i wybiegł z pokoju. Sir Charles pobiegł za nim i dobiegł go na schodach.

— Dokąd pan idziesz? Co chcesz zrobić?

— Chcę dopędzić pociąg i schwytać go na najbliższej stacyi. Mogę to uczynić na mem kole.

— Czyś pan zwaryował? Pociąg odszedł już

przed trzydziestu pięciu minutami, a robi przecież 45 mil na godzinę.

Erskine usiadł na schodach i patrzył bezmyślnie na przeciwległą ścianę.

— Pan go zapewne nie zrozumiał — rzekł sir Charles. Mam panu od niego powiedzieć, że on nie zapomniał o swem przyrzeczeniu i że pan możesz na nim polegać.

— Co się właściwie stało? — zapytała Agata, która z lady Brandon zeszła z góry.

— Miss Wylie — rzekł Erskine, zrywając się z miejsca — on, gdy mu powiedziałem, że miss Lindsay pojedzie tym pociągiem, dał mi słowo, że nie pójdzie na dworzec i tym pociągiem nie pojedzie. Tymczasem słowo złamał i skorzystał ze sposobności, bo ja byłem tak głupi i łatwowierny, że mu o tem powiedziałem. Gdybym był na pańskim miejscu, panie Brandon, byłbym go udusił, albo rzucił pod koła lokomotywy, a nie pozwoliłbym mu z nią pojechać. Jak przy każdej sposobności, tak i teraz okazał się oszustem, człowiekiem krętych dróg, intrygantem, samolubem bez serca, bezdennym cynikiem...

Zatrzymał się, aby zaczerpnąć oddechu, ale tymczasem wpadł mu w słowa mr. Charles:

— Pan irytujesz się, a sam nie wiesz, po co i dlaczego. Przecież jadą oboje z pokojówką i wielu innymi ludźmi w wagonie pullmannowskim, a ona wyraźnie pozwoliła mu, aby jechał z nią razem. Pytał ją głośno o to w mojej obecności, a ja przyznam się, iż nigdy nie myślałem, aby się na to zgodziła. Ale się zgodziła, a ja naturalnie nie mogłem mu przeszkodzić w jeździe do Londynu, skoro mu

się tak podobało. A więc nie rób pan żadnych scen, stary młodzieńcze. Nie możemy już tego zmienić.

— Bardzo mi to przykro — rzekł Erskine i spuścił głowę. Nie chciałem żadnych scen robić. Proszę o przebaczenie.

Odszedł do swego pokoju, nie rzekłszy więcej ni słowa. Sir Charles poszedł za nim i usiłował go pocieszyć. Ale Erskine chwycił go za rękę i prosił, aby go zostawił samego. Sir Charles powrócił więc do pokoju bawialnego, gdzie jego żona zaambarasowana wielce, zdołała zaledwie wypowiedzieć, iż o czemś podobnem nigdy w życiu nie słyszała.

Agata milczała. Oddawna już przyszła do przekonania, że ona i Trefusis są jedynymi wśród osób bawiących w Beeches, którzy mają zdrowy rozum. Dlatego też nie uwierzyła, aby w tej sprawie Trefusis nie miał słuszności, a miał ją Erskine. Agata bardzo łatwo tych ludzi, których zwyczaje i myśli były inne, niż jej, nazywała osłami. Z całego rodzaju mężczyzn, nieznanego poeta najbardziej ucieleśniał jej zapatrywanie o człowieku osłem, a Erskine, chociaż w rzeczywistości był pięknym mężczyzną, dobrym i dobrze wychowanym, był według jej mniemania nic wartym poetą i dlatego wybitnym osłem. Trefusis zaś był ostatni ze znanych jej mężczyzn, któregoby uważała za w istocie pięknego mężczyznę i gentlemana czcigodnego. Ale nie był osłem, chociaż tak uporczywie trzymał się swych mrzonek socjalistycznych. Podejrzывała go, że ma prawdziwie osłą słabość do Gertrudy, ale w stosunku do kobiet wszyscy mężczyźni są osłami, od chwili zaś, gdy celem jego słabości stała się ona, Agata, nie trzeba już było dla niego żadnego usprawiedliwienia. Ale teraz

gdy uspokoiła się już z powodu afery Erskina, z którym współczuła, uważała podróż Trefusisa z Gertrudą za zamach na jej nabyte teraz prawo do jedyne go posiadania jego osoby. Gertruda miała pewien wyraz arystokratycznej damy, czego jej Agata dawniej zazdrościła i obawiała się, że Trefusis może to uważać za pewien rodzaj szlachectwa umysłu i finezyi życiowej. Agata nie myślała, że jej gniew, jest tem zwykłym uczuciem, które nazywa się zazdrością, gdyż uważała się zawsze jeszcze za naturę wyjątkową, a mimo to, miała uczucie, że jest zmartwiona, co wcale nie przyczyniało się do polepszenia jej humoru.

Obiad był bardzo nudny. Lady Brandon mówiła tonem tak przyciszonym, jakby w sąsiednim pokoju leżały zwłoki na katafalku. Erskine cierpiał, przekonawszy się, że stracił głowę i działał bardzo głupio. Sir Charles nie ochłonął z tej niepewności, jaką wszyscy żywili z powodu podróży Trefusisa z Gertrudą. Jadł i pił, ale nic nie mówił. Agata, która była zła na siebie i na Gertrudę, a nie wiedziała, czy ma się gniewać na Trefusisa, czy też zupełnie mu zaufać, szła za przykładem gospodarza. Po obiedzie akompaniowała mu, gdy odśpiewał kilka pieśni Schuberta, Ale śpiew ten uczynił ogólny nastrój jeszcze cięższy. Sir Charles śpiewał pieśni pełne melancholii, bo jego usposobieniu tylko takie pieśni odpowiadały. A ponieważ jego muzykalne zapamiętania, jak u większej części Anglików na tem się zasadały, co w swych latach dziecięcych słyszał w kościele, przeto śpiew jego był nieprzyjemnie monotony. Agata skorzystała z pierwszej nadarzającej się sposobności i odeszła od fortepianu. Sir Char-

les czuł, że jego koncert nie udał się mu i zauważył, zakaszlawszy kilka razy, że zaziębił się, wracając z pociągu. Erskine siedział z głową spuszczoną na sofie, oparłszy splecione ręce na kolanach. Agata stała przy oknie i patrzyła na ostatnie błyski zachodzącego słońca. — Jane ziewała, a następnie rzekła do Agaty:

— Masz taki sam wzrok, jak ongi w szkole. Wydaje mi się tak, jakbyśmy znów były w sali szóstej.

Agata poruszyła głową.

— Czy wyglądam kiedy tak, jak wyglądałam wówczas? — zapytała Jane.

— Nigdy — rzekła Agata z naciskiem, odwróciwszy się, i obrzuciwszy wzrokiem całą postać Jane.

— Ależ dlaczego nie? — zapytała Jane. Nie wiem dlaczego nie miałabym być taką. Przecież tak nie zmieniłam się.

— Stałaś się nadzwyczaj piękną kobietą, moja Jane — rzekła Agata poważnie, poczem sama nie wiedząc dlaczego, zwróciła swój wzrok na sir Charlesa, który stał się bardzo niespokojny i wyszedł. W minutę przerwy powrócił, mając w ręku dwa telegramy.

— Jeden telegram dla pani, miss Wylie — rzekł — drugi dla Erskina.

Erskine zerwał się i zbladł, nie wiedząc, co go czeka. Agata również zbladła, ale wnet odzyskała pewność siebie, gdy zaczęła czytać:

„Przybyłem zdrów i śmiesznie szczęśliwy. Niech pani czyta tysiące rzeczy między wierszami. Jutro napiszę. Dobrej nocy“.

— Możesz to przeczytać — rzekła Agata, podając depeszę Jane.

— Bardzo pięknie — zauważyła Jane. — Akurat za szylinga uprzejmości — dokładnie, jak obszyl, dwadzieścia słów. Zupełnie słusznie uważa siebie za dobrego gospodarza.

Nagle Erskine począł się śmiać w tak dziwny, kraczący sposób, że wszyscy zwrócili się ku niemu i poczęły patrzeć na niego z podziwem.

— Co za głupstwo — rzekł, rumieniąc się. — Co to za człowiek! — Nie przywiązuję do tego najmniejszej wartości.

Agata chwyciła telegram za róg i poczęła go ciągnąć ku sobie.

— Nie, nie — rzekł Erskine, trzymając telegram silnie w ręku. — To za śmieszne! Nie wierzę, abym ja...

Agata wyrwała mu z rąk telegram i odczytała głośno treść jego. Telegram był od Trefusisa.

„Przebaczam panu pańskie myśli od chwili powrotu Brandona. Napisz pan do niej jeszcze dziś wieczorem, a jutro pojedź pan osobiście za swym listem, aby otrzymać odpowiedź potakującą. Przyrzekłem panu, że możesz na mnie polegać. Ona kocha pana“.

— Coś podobnego nie słyszałam jeszcze w życiu — rzekła Jane.

— To rzeczywiście rzadki człowiek — rzekł sir Charles.

— Ja zaś jestem zadowolona, że nie jest taki czarny, jak go malują — rzekła Agata. — Możesz pan wierzyć każdemu słowu depeszy, mr. Erskine.

Uczyń pan to, co on panu zaleca. On wie zupełnie dobrze, że się nie myli.

— Ba! — rzekł Erskine, zmiął telegram i wsadził go do kieszeni. Wkrótce potem wymknął się z pokoju i więcej nie powrócił. Gdy wszyscy mieli zamiar pójść do łóżka, sir Charles zapytał się pokojówki, gdzie jest Erskine.

— W bibliotece — odpowiedziała — pisze list.

Wszyscy popatrzyli się na siebie porozumiewawczo i poszli spać, nie przeszkadzając mu.

### XVIII.

Gdy Gertruda razem z Trefusisem znalazła się w wagonie, zdziwiła się, jak się to stać mogło, że ona wbrew swemu postanowieniu i wbrew swej woli, jedzie z nim razem w wagonie. W wagonie były jeszcze dwie panie, które patrzyły na nich z wielką nieufnością, dalej jakiś pan, który siedział dość daleko z boku, pokojowa Gertrudy, która czytała gazety Trefusisa, a siedziała tak daleko, iż nie mogła słyszeć, co jej pani mówi; jakiś obywatel wiejski, który obojętnie patrzył przez okno; jakiś kupiec z City, który zagłębiany był w „Ekonomiście“ i jakaś bardzo ugrzeczniona dama, która ich obserwowała. Gertruda czuła, że w obecności tych ludzi nie może robić żadnych scen, ale wiedziała o tem, że oboje nie znaleźli się tu razem po to, aby prowadzić ze sobą konwencyjonalną rozmowę. Pod tym względem nie była też długo w niepewności. On rozpoczął natychmiast mówić i bez ogródek rozpoczął od jądra sprawy.



— Co pani sądzi o moich zaręczynach? — zapytał.

Pytanie to wyprowadziło ją z równowagi.

— Co mnie to obchodzi? — zapytała niechętnie. — Nic, a nic.

— Nic? To w takim razie pani nie jest moją przyjaciółką. A ja zawsze uważałem panią za swego najlepszego przyjaciela.

Zrobiła ruch, jakby chciała spojrzeć na niego. Ale namyśliła się. Zaciśnęła usta i patrzyła nieruchomo na puste przed nią miejsce. Nie mogła znaleźć słowa, aby mu uczynić wyrzut, na który, zdaniem jej, zasłużył.

— Ciągle jeszcze żywię to przekonanie, chociaż miss Lindsay z taką obojętnością odnosi się do moich spraw. Ale muszę się przyznać, że nie wiem, w jaki sposób mógłbym na panią wpłynąć, abyś miała więcej dla mnie współczucia i przyjaźni. Po pierwsze, pani nigdy nie byłaś zamężną, a ja byłem już żonaty. Potem, jesteś pani o wiele młodsza, niż ja i to nie tylko latami. Prawdopodobnie zapatrywania pani na te rzeczy pochodzą z przeczytanych romansów, w których przewidziany jest zawsze szczęśliwy koniec powikłań, choć w życiu zupełnie inaczej się zdarza. Jeśli pani przyjaźń byłaby jednym rozdziałem z jakiegoś romansu, to jakiby mógł być jej koniec? Musiałbym więc albo z panią się ożenić, albo przez moją niewierność złamać jej serce.

Gertruda poczęła się rozglądać naokół, jakby miała zamiar uciec.

— Ale nasze stosunki są takie, jakie daje prawdziwe życie i dlatego o wiele delikatniejsze, niż te

z romansów. Nigdy mi się to nawet nie śniło, abym się miał żenić z panią. Zdobyłem przyjaźń pani, nie szukając w tem dla siebie żadnego interesu. Pani również wobec mnie nie ma na myśli żadnych zamiarów i nie myśli o tem, aby miała sobie łamać serce. Sądzę jednak, że pani jest tem obrażona, iż ja, czyniąc tak ważny krok, jak zaręczenie się z Agatą, nie zwierzyłem się z tem przedtem przed panią. A za karę mówi mi pani, że to jej nic nie obchodzi, że jest to pani zupełnie obojętne. Ale ja nad tym krokiem przedtem nie namyślałem się, nie mogłem więc zataić go przed panią. Trwało to mniej, niż jedna minuta, gdy powziąłem swój zamiar. Chociaż moje pierwsze małżeństwo było głupią historią życiową i błędem, to jednak zawsze zdawałem sobie z tego sprawę, że muszę się powtórnie ożenić. Kawaler jest człowiekiem, który usuwa się od każdej odpowiedzialności i od każdego obowiązku. Ja jednak szukam tej odpowiedzialności i tych obowiązków i uważam za swoją powinność, przy moim wielkim majątku, nie dawać wzrastać bardzo moim skłonnościom. Przy tem wszystkiem nie było przyuczyny do pośpiechu. Było tyle rzeczy, które mnie zajmowały, kochałem wolność mego kawalerskiego życia, a nadto nieraz nie wiedziałem, czy słusznie jest przyczyniać się do wydania na świat więcej jeszcze próżniaków, których żywić muszą robotnicy.

Do tego przyczyniła się jeszcze zwykła trudność: wyszukanie odpowiedniej panny. Nie chciałem mieć żadnej pomocnicy, bo sam sobie dam radę. Również nie oczekiwałem miłości z oddaniem się. Ród ludzki nie wydał jeszcze żadnego męż-

czyzny, którego kochanoby nawet przy bliższem poznaniu. Nawet moja miłość własna nie jest ani głęboka, ani trwała. Chciałem mieć wesołą towarzyszkę w codziennem życiu domowem i nagle przyszło mi na myśl, że może Agata najodpowiedniejsza byłaby z tego towaru, który mogę znaleźć na targowisku małżeńskim. Ciężko bowiem jest znaleźć coś tu odpowiedniego, a gdy człowiek, łudząc się nadzieją, że znajdzie coś lepszego, za długo się ociąga, wówczas inni wyłapują mu najlepsze kaski z przed ust. Podziwiam odwagę i zdolności Agaty. Sądzę, że potrafię zjednać jej przywiązanie do mnie, a wówczas nasz związek stanie się silny, jak to jest konieczne dla dwu różnych istot. Być może, że mylę się i mam fałszywe pojęcie o jej charakterze, gdyż nie znam jej tak jak pani i nie mam do niej tyle zaufania, abym mógł z nią mówić o takich poważnych rzeczach, jak z panią. A mimo to wchodzi tu w grę i żywioł romantyczny, co mi właśnie dodaje odwagi. Agata ma w sobie coś czarującego. Czy pani tego nie zauważyła?

Ruchliwość Gertrudy zniknęła. Odpowiedziała z cichą pogardą:

— To w istocie jest bardzo romantyczne. Agata jest bardzo szczęśliwa.

Trefusis zaśmiał się, a równocześnie westchnął i był bardzo uradowany tem, że okazał tyle panowania nad sobą.

— To tak się mówi — a może to nie jest nic innego, jak tylko egoistyczne wyrachowanie zawiedzionego wdowca. Pani z pewnością takich oświadczeń nie ceniłabyś i nie zazdrościłabyś tej, która je przyjęła.

— Nie — rzekła Gertruda z lekceważeniem.

— A mimo to poza wszystkimi oświadczeniami ukrywa się interes i zimne wyrachowanie. My że-  
nimy się, aby uczynić zadość naszym skłonnościom,  
a im one są rozsądniejsze, tem więcej mamy wido-  
ków, że w istocie będą one zadowolone. Widzę, że  
pani rozczarowałaś się do mnie. Obawiałem się te-  
go. Pani należysz do tego rodzaju kobiet, które w  
sprawie małżeństwa mają tylko jedno usprawiedli-  
wienie — miłość, czystą miłość, która ślepa jest  
wobec każdego rozsądnego rozumowania.

— W rzeczywistości nie interesuję się...

— Nie mów tego, Gertrudo. Z trwogą śledzę  
każdy krok, który pani czyni i nie sądzę, aby pani  
było obojętne to, czy ja zgodnie z honorem postę-  
puję. Wierz mi pani, że miłość jest namiętnością  
przecenioną. Już dawnoby stracono do niej wszel-  
kie zaufanie, gdyby nie młodzi ludzie i autorzy ro-  
mansów, którzy żyją z tych głupstw i mają w tem  
interes, aby to zaufanie ciągle odświeżać. Żaden  
związek, który obejmuje sobą różnorakie obowiązki  
i stałe współżycie dwóch ludzi, nie może opierać się  
tylko na miłości. Nie można jednak miłości nie do-  
ceniać. Znam człowieka, który panią tak kocha, jak  
ja, według pani mniemania musiałbym kochać Aga-  
tę, ale jak jej nie kocham.

Wzburzenie Gertrudy ożyło i poczerwieniała.

— Pan nie masz teraz prawa mówić mi coś po-  
dobnego — zauważyła.

— Dlaczegoż nie mam wstawić się za kim in-  
nym? Mówię o Erskynie.

Gertruda zbladła, a on mówił dalej:

—Bardzobym był rad, gdyby pani wyszła za

niego. Jako kobieta zameżna, będzie mnie pani lepiej rozumiała, a nasza przyjaźń, która teraz otrzymała ciężki cios, pogłębi się tylko. Teraz bowiem, gdy pani nie może mnie nie rozumieć, mogę przecież pani powiedzieć, że nie jest mi na świecie droższą żadna istota kobieca, niż pani. To jest właśnie powód, dla którego zapominam o swym egoizmie. Erskine jest człowiekiem ubogim, ale to jego ubóstwo — proszę przebaczyć mi wyrażenie — zupełnie uwolni panią od podejrzenia, jakoby pani przez małżeństwo chciała zyskać majątek i znaczenie. Dla panien ze sfery pani takie podejrzenie jest ciąglem niebezpieczeństwem. Inne panny ubiegają się o to, pani atoli nie może tego uczynić. Erskine jest człowiekiem szlachetnym i kocha panią. Jest młody, zdrow i dobrze wychowany. Czy pani sądzi, że świat może dać pani jeszcze więcej?

— Spodziewam się o wiele więcej! Znacznie więcej!

— Obawiam się, że nazwanie przeze mnie rozmaitych rzeczy po imieniu nie będzie romantyczne. On jest poetą. Być może, że byłby bohaterem, gdyby to dziś mężczyźnie było możliwe. Wiek dziesiętnasty będzie zapisany w historyi jako czas bardzo obrzydliwy, w którym panowanie człowieka nad przyrodą służyło tylko do tego, aby zaostrzyć u ludzi pożądlivość mienia, a jako otwarty środek walki proklamować wygłodzenie bliźnich. Erskine nie jest graczem, ani też bezpośrednim zwolennikiem niewolnictwa ludzi. Jak żyje z wyzysku pracy innych, to tak samo, jak ja, nie może tego zmienić. Niech pani nie mówi, że spodziewała się o wiele więcej. Ale niech mi pani powie, jeśli może, jakie

wogóle pani ma widoki na przyszłość. Nie pytam pani, czego sobie pani życzy, bo my wszyscy, mamy życzenia wygórowane. Pytam pani, co pani więcej osiągnąć może?

— Nie uważam p. Erskine'a za takiego podziwu godnego człowieka, jak go pan przedstawia.

— On jest właśnie tylko człowiekiem. Czy znasz pani wogóle kogo, ktoby był godzien podziwu?

— Zresztą i moja rodzina nie zgodziłaby się na to.

— To jest prawdopodobne. Jeśli pani chciałabyś zadość uczynić życzeniom rodziny, to musiałabyś się sprzedać jakiemuś wampirowi fabrycznemu lub właścicielowi wielkich dóbr. Jeśli dziś panna na wydaniu chciałaby tak zastosować się do woli rodziców, aby oni byli zadowoleni, to musi wyzbyć się wszelkiej własnej godności.

— Nie rozumiem tego, dlaczego pan chcesz mnie tak gwałtem wydać za kogo innego.

— Za kogo innego? — zapytał Trefusis zdziwiony.

— Nie myślę za kogo innego — rzekła Gertruda szybko i zarumieniła się. — Po co ja właściwie mam wychodzić za męża?

— Dlaczego wogóle za męża się wychodzi? Dlaczego ja się żenię? Bo to jest zadanie, które każdy spełnić musi. Jeśli pani zawczasu nie wyjdzie za męża z własnej woli, to uczyni to pani pod naciskiem swych wielbicieli i swych rodziców, albo uczyni to pani, zmęczona niepewnością swego teraźniejszego życia. Niech pani ma odwagę zawierając małżeństwo! Niech pani nie rzuca się w nie bez-

rozumnie, ani niech pani się nie sprzedaje. Niech pani siebie daruje. Erskine ma tyle do stracenia, co pani, a mimo to oddaje się pani cały.

Gertruda dumnie podniosła głowę.

— Tak jest — mówił Trefusis dalej, który z niezadowolaniem spostrzegł ten ruch — że on o pani ma większe mniemanie, niż pani na to zasługuje, pani natomiast nie docenia go. Gdy pani wyjdzie za niego, to musi mu pani oszczędzić przykrego rozczarowania, i wznieść się istotnie na to wysokie stanowisko, jakie w jego wyobraźni zajmuje. Będzie to wymagało trochę trudu, a trud ten robi pani tylko dobrze.

Gertruda uczyniła ruch pełen zniecierpliwienia.

— Co? — zapytał szybko. — Mój długi apel do rozumu pani miałby być pani nieprzyjemny? Sądzę, że mówię wbrew swej woli, bo ostatecznie jestem zazdrosny o tego chłopca. Ale mówię seryo. Chciałbym, aby pani wyszła za męża, chociaż zawsze będę czuł utajony żal do tego człowieka, który z panią się ożeni. Agata będzie mnie podejrzewała o niewierność, jeśli pani tego nie uczyni. Erskine będzie rozczarowany. Pani sama będzie zła, zgryźliwa — i starą panną.

Twarz Gertrudy oblał rumieniec, gdy usłyszała słowa zazdrosny, a potem po raz drugi, gdy Trefusis wymienił imię Agaty.

— A jeśli to uczynię — rzekła z goryczą — to co potem?

— Jeśli pani to uczyni, to Agata będzie zadowolona, a Erskine szczęśliwy. Pani uczynisz ze siebie ofiarę i znajdziesz to szczęście, które jest zawsze udziałem ludzi ofiarnych.

— Pan jesteś tym, który uczynił ze mnie ofiarę — rzekła Gertruda, przerywając milczenie. Równocześnie spojrzała na niego po raz pierwszy od czasu, gdy zaczęli rozmawiać.

— Wiem o tem — rzekł on półszepetem i pochylił się ku niej. — Czyż rezygnacya nie jest początkiem i końcem wszelkiej mądrości? Poświęciłem panią, bo nie chciałem świętokradzko znieważać świętości naszej przyjaźni, aby pani dzieliła ze mną moje życie. Do tego pani się nie nadaje i dlatego zawrę inny związek. Ale proszę, niech pani pójdzie za moim przykładem, abyśmy nie byli zmuszeni do uczynienia razem kroku, któryby wkrótce udowodnił, jaką mam słuszność, gdy mówię, że pani nie jest dla mnie odpowiednią parą. Nie pozwoliłem pani nigdy przejść przez wszystkie pokoje mego uczucia, ale dla pani zarezerwowałem kącik najświętszy i chcę go na zawsze dla pani zachować. Nawet Agata nie będzie miała klucza do tego pokoju. Ona musi zadowolić się innymi pokojami — pokojem bawialnym, pracownią, jadalnią i t. d. Wszystkie te pokoje nie odpowiadałyby pani, pani nie lubiłaby ani urządzenia, ani bawiących w pokojach gości, a po pewnym czasie nawet gospodarza. Czy chce pani zadowolić się tym najświętszym kącikiem?

Gertruda przygryzła wargi, łzy pokazały się w jej oczach. Patrzyła na niego błagająco. Gdyby byli tylko sami, byłaby mu się rzuciła w ramiona i prosiła go, aby zapomniał o wszystkim oprócz jej wielkiej miłości.

— A czy zachowa pani dla mnie kącik w swem sercu?



Spojrzała na niego z poddaniem się.

— Czy pani chce być dzielną i poświęcić się dla człowieka, który ją kocha? On uchroni panią przed bezpożyteczną samotnością i przed małżeństwem powierzchownym tylko — nie mógłbym znieść tej myśli, że jedno albo drugie los pani przeznaczył.

— Erskine wcale mnie nie obchodzi — odpowiedziała Gertruda. — Wyjdę atoli za niego, jeśli pan sobie tego życzy.

— Życzę sobie tego, Gertrudo.

— To masz pan moje przyrzeczenie — rzekła i znowu głos jej zabrzmiał utajonym bólem.

— Ale o mnie pani nie zapomni? Erskine będzie miał wszystko oprócz tego cichego wspomnienia.

— Czyż mogę uczynić więcej niż to, co przyrzekłam.

— Być może, ale ja jestem za wielkim egoistą, abym mógł zrozumieć, iż może być coś jeszcze większego i wspanialszego. Nasze obopólne wyrzeczenie się zwiąże nas silniej, niż mogłoby to zrobić nasze pobranie się.

Patrzyli długo na siebie. Następnie on wyciągnął zegarek, spojrział na godzinę i zaczął mówić o jeździe, która trwa tak długo, ale na szczęście już się kończy. Gdy przybyli do Londynu, pierwszą osobą, którą ujrzeni na peronie, był mr. Jansenius.

— A, więc pan otrzymał mój telegram! — zawołał Trefusis. — Dziękuję bardzo panu za przybycie. Niech pan poczeka chwilkę, póki tej damy nie odprowadzę do jej powozu.

Gdy powóz zajechał i Gertruda usiadła w nim

razem z pokojówką, Trefusis szepnął jeszcze szybko do Gertrudy:

— Mimo wszystko na sercu ciąży mi to kamieniem.

Mówiąc to, wskazał na serce.

— Pani jesteś dzielna, a ja byłem rozumny. Nie odpowiadaj mi pani, ale pamiętaj, że my na zawsze jesteśmy wiernymi przyjaciółmi.

Uścisnął ją za rękę, a zwróciwszy się do furmana, powiedział mu gdzie ma jechać. Gertruda, gdy powóz ruszył, usunęła się w kąt. Trefusis odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu spadł właśnie z serca wielki ciężar i podszedł ku Janseniusowi.

— Oto tam pojechała prawdziwa kobieta — rzekł. — Namawiałem ją, aby uczyniła najlepszy krok, jaki był dla niej możliwy. Jako człowiek uczciwy począłem z nią rozumnie rozmawiać i mężczyłem się przez pół godziny, ale nie chciała mnie słuchać. Potem przez pięć minut wygłaszałem rozmaite romantyczne głupstwa najpowszedniejszej sorty, a ze łzami w oczach przytakiwała mi i na wszystko się zgodziła. Weźmiemy ten powóz. Jechać na Avenue Belsize. Tak, z kobietami trzeba niekiedy mówić po kobiecemu, tak samo, jak z waryatem trzeba mówić po waryacku. Czyś pan kiedy nad tem myślał, panie Jansenius, czy ja jestem niezwykle uczciwy człowiek, czy też najgorszym wyrzutkiem tego społeczeństwa, które całą siłą swej mocy chce zniszczyć, czy krótko powiedziawszy jestem dyabelnym łotrem.

— Ależ co pan mówi — rzekł Jansenius. — Ja dziwię się tylko, jak człowiek o takich zdolno-

ściach, jak pan, może tak działać i mówić, jak to pan czyni.

— Spodziewam się, że można usprawiedliwić tej trochę szczerości, jeśli jej używa się jako chloroformu, aby wyleczyć kobietę z bólów zawiedzionej próżności. Zresztą w najbliższym urzędzie pocztowym muszę nadać dwa telegramy. Jak już panu doniosłem — ożenię się z Agatą. W Brandon Beeches wśród bawiących tam ludzi był tylko jeden jeszcze wolny mężczyzna i jedna tylko jeszcze panna, a teraz i oni są oboje tak dobrze, jak poślubieni.

I dlatego:

Jaś dostaje swą Marynę,  
Każdy bierze swą dziewczynę,  
Każdy ma, co mu znaczone,  
Skoro znalazł sobie żonę.

The first part of the paper is devoted to a general discussion of the  
 subject. It is shown that the problem is of great importance in  
 the theory of differential equations. The second part is devoted to  
 the study of the particular case of the problem. It is shown that  
 the problem is solvable in this case. The third part is devoted to  
 the study of the problem in the case of a general differential  
 equation. It is shown that the problem is solvable in this case.  
 The fourth part is devoted to the study of the problem in the case  
 of a general differential equation. It is shown that the problem is  
 solvable in this case. The fifth part is devoted to the study of  
 the problem in the case of a general differential equation. It is  
 shown that the problem is solvable in this case. The sixth part  
 is devoted to the study of the problem in the case of a general  
 differential equation. It is shown that the problem is solvable in  
 this case. The seventh part is devoted to the study of the problem  
 in the case of a general differential equation. It is shown that  
 the problem is solvable in this case. The eighth part is devoted  
 to the study of the problem in the case of a general differential  
 equation. It is shown that the problem is solvable in this case.  
 The ninth part is devoted to the study of the problem in the case  
 of a general differential equation. It is shown that the problem is  
 solvable in this case. The tenth part is devoted to the study of  
 the problem in the case of a general differential equation. It is  
 shown that the problem is solvable in this case.

---

## DODATEK

**zawierający dwa w przekładzie opuszczone  
fragmenty powieści.**

Przekład niniejszej powieści Shawa jest przedrukiem z felietonów jednego z dzienników lwowskich. Redakcja tego dziennika — o czym nas tłumacz zaniedbał uprzedzić — uważała za stosowne w dwóch miejscach powieści usunąć z tekstu dłuższe ustępy, które się wydawały zbyt rażącym i zbyt radykalnym wypowiedzeniem poglądów bohatera na ustrój ekonomiczny i stosunki społeczne. O tem ocenzurowaniu dzieła przekonawszy się niestety już po wydrukowaniu znacznej części powieści, nie mieliśmy możliwości dokonanego wandalizmu naprawić. Mając jednak niepłonną nadzieję, że wśród czytelników naszych znajdziemy więcej zasobów bezstronnej i przedmiotowej ciekawości wobec autorów tej, co Shaw, miary, oraz więcej tolerancyi wobec przekonań cudzych — wszak chodzi o bohatera powieści nie zaś o ludzi żywych — uważamy za swój obowiązek, zdefektowany tekst książki dodatkowo na tem miejscu uzupełnić.

Otóż ustęp pierwszy jest fragmentem rozmowy Trefusisa z jego żoną Henryetą, który wstawić należy w miejsce ustępu na str. 113, od wiersza 15 z dołu, zaczynającego się od słów: „Ale cóż za sens...” do słów ostatniego wiersza: „I dlatego tu pozostaję.” włącznie.

Brakujący ten fragment brzmieć ma jak następuje:

Z pustym żołądkiem, drżąc z wycieńczenia z głodnemi żonami i dziećmi, znaleźli się na łasce Opatrzności w kraju, który nazywali własną ojczyzną, w którym jednakże każdy strzęp ziemi i wszystkie możliwe źródła pożywienia były w szczelnie obwarowanym posiadaniu innych pod zbrojną

strażą wojska i policji. Beznadziejność położenia zmuszała tych głodomorów żebrać o dostęp do fabryki z surowcem bawełny i poprzestać na byle czem, aby jeno wyżyć z dnia na dzień. Mój ojciec pozwolił im wspaniałomyślnie na użycie swej fabryki, swych maszyn i swej bawełny pod jednym atoli skromniutkim warunkiem. Musieli długo i ciężko od wczesnego rana do późnego wieczora harować, aby jego surowej bawełnie, przerabiając ją na tkaninę, przysporzyć nowej wartości. Z tej wytworzonej przez nich nadwartości musieli mu przedewszystkiem złożyć opłatę za wszystko, czego im dostarczył, za lokal, dach nad głową, gaz, wodę, maszyny i bawełnę, a potem wynagrodzić go jeszcze za własne jego czynności, jako dyrektora, kierownika i kupca. Pod tym względem nie żądał nic ponad to, co mu się ściśle należało. Skoro jednak wszystkie te pozycje były już opłacone, pozostała jeszcze kwota, którą oni wyłącznie swojej już tylko zawdzięczali pracy. „Z sumki tej“, orzekł mój papa, „otrzymać powinniście w sam raz taką porcyę, aby was głód nie dobił, resztę zaś dacie mi w nagrodę za to, że umiem pieniądź tak zręcznie gromadzić. Oto interes, jaki wam proponuję. Jest on, mojem zdaniem, bardzo dla was korzystny i doskonale potrafi budzić wśród was zmysł oszczędności. Jeśli sprawa ta przedstawia się wam w odmiennem świetle, możecie sobie sami sprawić fabrykę i bawełnę. Moja nie będzie wam potrzebna“. Innemi słowy, wolno im było iść do czarta i zdychać z głodu, wedle gustu, gdyż wszystkie inne fabryki były w rękach równie zanych mężów, którzy podawali warunki nie lepsze. Ludzie w Manchester nie umieli jednak przywyknąć do śmierci głodowej i przykro im było patrzeć, jak dzieci ich z głodu marły, przyjęli zatem ofiarowane im warunki i wstąpili do fabryki. Jak się domyślasz, na takich warunkach nie mogli oni uzbierać sobie na zapas pieniędzy, jak to on umiał robić. Stwarzali więc ogromne bogactwa, a żyli bardzo nędznie, tak, że nadwyżka, którą za nic składali memu ojcu, była nader pokaźna. Kupował za nią jeszcze więcej bawełny, jeszcze więcej maszyn i jeszcze więcej fabryk. Zatrudniał coraz więcej ludzi, którzy stwarzali mu majątek i widział, jak jego mienie wraasta z szybkością staczającej się kuli śniegowej. Wzbogacił się olbrzymio, ale robotnicy jego choć nie mieli się lepiej niż dawniej, nie śmieli być natrętni i z pieniędzy, jakie wytwa-

rzali nie mogli więcej żądać, gdyż na ulicy czyhało wciąż dosyć głodnych włóczęgów, którzy na dawnych warunkach gotowi byli w każdej chwili miejsca ich zająć. On za to miewał częste kłopoty z kryzysem, wtedy na przykład, kiedy w zapale powiększania składu kazał ludziom swym przerobić więcej bawełny niż jej publiczność potrzebowała. Albo kiedy nie mógł dostać surowej bawełny, jak się trafiło podczas amerykańskiej wojny domowej. Wówczas przystosowywał się do okoliczności i odprowadzał tyle robotników, ile tego mniejszy zbyt czy zapas bawełny wymagał. Wydaleni morzyli się naturalnie głodem albo stawali się ciężarem publicznej dobroczynności. Podczas wojny domowej krążyła imponująca lista składek na rzecz tych nieszczęśliwców, a ojciec mój ofiarował sto funtów mimo znacznych, jak mówił, strat własnych. Potem kupił nowe maszyny, a ponieważ przy nich kobiety i dzieci pracować mogły równie składnie, jak mężczyźni, a były tańsze i powolniejsze rozkazom, wysadził mniej więcej siedemdziesiąt z każdej setki swych rąk, jak nazywał robotników, na bruk i zastąpił je ich żonami i dziećmi, które prędzej od nich robić dla niego umiały pieniądze. W tym czasie dawno już przestał sam fabrykami swemi zarządzać i zdolnym ludziom, którzy własnego majątku nie mieli, płacił po parę setek funtów rocznie, aby go w tem wyręczali. Nabył też akcye innych przedsiębiorstw, urządzonych wedle tych samych zasad. Zgarniał dywidendy, pochodzące z okolic, których nigdy nie zwiedził i z pracy ludzi, których nigdy nie widział. Kupił sobie od biednych i przekupnych wyborców mandat do parlamentu i był pomocny w obronie ustaw, które go wielkim zrobiły. Później, kiedy rozgłos jego bogactwa coraz bardziej się szerzył, nie miał potrzeby już nikogo przekupywać, gdyż ludzie nowocześni czczą bogatych jak bogów i wybierają kandydata z tego prostego powodu na swego przewodcę, że jest milionerem. Małpował szlachtę, miał pałac w Kensington i kupił sobie kawał Szkocyi na rewir myśliwski. Nie jest to wcale trudno urządzać rewiry, gdyż drzewa zgoła do tego są zbędne. Wygania się poprostu chłopów, burzy ich chałupy i robi pustynię z kraju. Mój ojciec polował wprawdzie nie wiele, ale wydzierżawiał zazwyczaj podczas sezonu prawo polowania innym, którzy w tej zabawie się lubowali. Sprawił sobie żonę z krwi szlacheckiej — a mało pocieszający rezultat tego mał-

żeństwa stoi właśnie przed tobą. W ten sposób udało się Imci panu Jesse Trefusis, ubogiemu kramarzowi, zostać plutokrata i właścicielem ziemskim. I w tento sposób ja również, który w życiu swoim najdrobniejszej choćby pracy nigdy nie przedsięwziąłem, jestem przeladowany bogactwem, podczas gdy synowie mężów, których dziełem jest całe moje bogactwo, pełnią dalej jak ich ojcowie pracę niewolników, jeśli nie mra z głodu, nie tłuką się w poniewierce po domach poprawczych, lub nie wałęsają po zaułkach, Bóg raczy wiedzieć gdzie i za czem. Co myślisz o tem, najdroższa?

— Ale cóż za sens dręczyć się tem wszystkim, Sydney! Wszak nie jesteś w stanie nic w tem zmienić. Zresztą ojciec twój jeśli oszczędził pieniądze, gdy inni o nie nie dbali, zasłużył sobie na to, aby zrobić majątek.

— Masz rację! Tylko, że on właśnie nie robił żadnego majątku. Brał tylko majątek, który robili inni. W Cambridge uczono mię, że bogactwa jego są nagrodą oszczędności — tej oszczędności, która mu umożliwiła tak wiele odkładać. Uspokajało to moje sumienie, póki dziwić mnie nie zaczął fakt, że ktoś może sobie drugim kazać płacić za cnotę. Wtedy pojawiło się pytanie: na czem oszczędza mój tatuś? Robotnicy oszczędzali na jedzeniu, pićiu, świeżem powietrzu, dobrej odzieży, przyzwoitem mieszkaniu, na świątkowaniu i wydatkach, na obcowaniu z rodziną, na wszystkim prawie, co czyni życie wartem życia. To było może przyczyną, dlaczego mniej więcej o dwadzieścia lat wcześniej umierali, niż ludzie z naszej sfery. Ale nikt ich nie nagradzał za ich oszczędność. Nagrodę odbierał mój ojciec, który żadnej sobie z tych rzeczy nie odmawiał a przeciwnie używał ich sobie do syta. Zresztą, jeżeli pieniądz byłby istotnie nagrodą oszczędności, musiałby mój ojciec, jakby logicznie wynikało, dziesięćkroć więcej oszczędzać wobec pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznego dochodu niż gdyby go miał tylko pięć tysięcy. Trzeba było wyszukać coś takiego, na czem mój ojciec oszczędzał, a w czem robotnicy byli rozrzutni, coś, na czem on w miarę bogacenia się coraz więcej oszczędzał. Jedyną taką rzeczą, która ściśle tak postawionemu założeniu odpowiadała, była właśnie tylko ciężka praca, a ponieważ nigdy jeszcze nie widziałem człowieka rozumnego, któryby drugiemu za jego próżnowanie coś płacił, zacząłem pojmować, że prawdziwe do-



chody mego ojca były gwałtem wymuszane. Aby mu oddać sprawiedliwość nigdy on sam oszczędnością swą się nie chełpił. Uważał się za męża ciężko pracującego a w majątku swym widział nagrodę za ryzyko, kalkulacye, troski i podróże, które zmuszony był przedsiębrać o każdej porze dnia i roku. To uspokoiło mnie nieco, póki nie przyszło mi na myśl, że gdyby był żył o jedno stulecie wcześniej, gotówkę swą włożył w jednego konia i w parę pistoletów a został rabusiem byłby miał zgola te same intencye — wydzierałby również drugim owoce ich pracy, nie dając im nic równowartościowego w zamian — a ryzyko jego byłoby wówczas znacznie większe, gdyż narażałby się przytem na szubienicę. Nieustanna praca z grożącymi mu wciąż funkcjonaryuszami władzy na karku i obliczenia, czy też ma pocztę do Dover jadącą obrabować, kosztowałyby go aż nazbyt wiele zachodu i kłopotów. I wogóle gdyby członek parlamentu, p. Jesse Trefusis, który zmarł jako milioner w swym pałacu na Kensington był rabusiem ulicznym, nie mógłbym odczuwać głębszej odrazy wobec urzędzeń społecznych, które podobną jak jego karierę nie tylko umożliwiają, lecz czynią jeszcze godną czci w oczach współżyjących. Większość ludzi obiera sobie za cel dążyć w jego ślady w nadziei dojścia w ten sam sposób do życia bogatego i próżniaczego. Dlatego odwracam się do nich tyłem. Nie mogę zasiadać przy ich biesiadach wiedząc, ile one nędzy ludzkiej kosztują i widząc, jak mało szczęścia ludzkiego przynoszą. Jakież jest twoje o tem zdanie, mój skarbie?

Henryeta zdawała się być nieco umęczoną. Mdło się uśmiechając rzekła pieściwym tonem:

— Nie jesteś temu nic winien Sydney. Ja ci nie biorę tego za złe.

— Święte moce! — zawołał, zrywając się na równe nogi, z błagalnem spojrzeniem ku niebu. — Ta oto tu niewiasta sądzi, że jedyną sprawą, jaka mnie na rzeczy tej obchodzi, jest dobra lub zła jej o mnie osobiście z tego powodu opinia!

— Nie, nie, Sydney. Nie tylko ja jedna, nikt o tobie z tego powodu nic złego nie myśli.

— Całkiem słusznie — odparł z uprzejmą wściekłością. Nikt w tem nic złego nie widzi. To jest właśnie najgorsze w całej tej sprawie.

— A zresztą — zauważyła z naciskiem — matka twoja pochodzi z jednego z najstarszych rodów w Anglii.

— I czegoż więcej człowiek może żądać niż bogactwa i szlacheckiego pochodzenia! Czyż może być ktoś szczęśliwszy niż jabym być powinien, skoro pochodzę od kogoś, który posiadał monopol wszystkich źródeł dobrobytu i wszystkich środków produkcyi, ziemi i maszyn? Ten właśnie grunt i ta ziemia, na której tu stoimy, była własnością ojca mojej matki. A przynajmniej prawo pozwalało mu używać jej jako takiej. Kiedy był jeszcze chłopcem mieszkała tu gromada chłopów, jako tako szczęśliwych, którzy orali glebę, płacąc mu pewną rentę za to, że laskawie im to czynić pozwalano. Zbierali tyle, ażeby uczynić zadość jego wielkim pretensyom i swoim małym potrzebom, nie zapracowując się przytem na śmierć. Ale mój dziadek było maż chytry. Zrozumiał, że bydło i owce z mięsa i wełny więcej dochodu przynoszą niż chłopci ze swą rolną gospodarką. Oczyszczył więc drogi w okolicy. Wypędził po prostu chłopów z chałup zgoła tak samo, jakto nieco później uczynił mój ojciec na swych rewirach myśliwskich. Czyli, jak to wryto na jego nagrobku, odkrył dla swej ojczyzny nowe źródła dobrobytu. Nie wiem, co stało się z jego chłopami. W każdym razie i on o tem nie miał pojęcia a nie sądzę też, aby się o to był kiedy zatroszczył. Prawdopodobnie starzy dostali się do domów pracy, a młodzi tłumili się po miastach, pracując w fabrykach podobnych do fabryk mego ojca. W dawnych ich siedzibach rezydowało teraz bydło, a opłacało się ono za dostarczaną mu paszę tak znakomicie, że dziadek mój mógł na warunkach manchesterskich wynająć robotników, którzy kanał tutaj wykopali. Mój ojciec jako akcyonaryusz brał udział w tem przedsiębiorstwie. Gdy kanał był gotów, ustanowiono opłatę za żeglugę po nim, które spadkobiercy ich dziś jeszcze ściągają. A synowie robotników, którzy go wykopali i inżyniera, który plan jego rysował, płacą te daniny, ilekroć przypadkowo nim jeżdżą lub towary przewożą. Dziadka mego przypominam sobie bardzo dobrze. Było dostojny mężczyzna doskonały dżentelman w obejściu. Ale na ogół sądzę, że był gorszy od mego ojca, który raz ugrzązłszy w mechanizmie wadliwego systemu musiał albo sam rabować innych, albo być przez nich rabowanym. Ale mój dziadek — stary wyga! — nie był w położeniu tak kłopotliwym. Był on

panem i władcą na swojej części starej wesołej Anglii, nikt nie był w mocy zrobić go niewolnikiem, powinien był zatem żyć i innym żyć dając swobodnie. Mój ojciec poszedł wprawdzie za jego przykładem, kiedy sobie rewiry myśliwskie zakładał, ale to też był szczytowy punkt jego szkodnictwa, podczas gdy dla dziadka było punkt wyjścia. Jakkolwiekbaż jednak rzecz się ma i komukolwiek z nich palma należy się pierwszeństwa, oni obaj są naszymi wzorami, które my wszyscy asilujemy naśladować.

— Nie wszyscy, Sydney. My dwoje przecież bynajmniej. Nienawidzę przedsiębiorców i właścicieli dóbr. My należymy do klas kulturalnych, do warstwy artystów i możemy się zdala trzymać od handlarzy.

— Tak, a tymczasem możemy błogo spożywać wielokrotnie tysięcy funtów renty i odsetek. Nie, mój skarbie, tak robią ludzie którzy sami żyją w niebie i nie chcą aby im przypomniano o piekle, nie mają atoli nic przeciwko temu, aby ono poza ich świadomością w pełni istniało. Mam dla ojca swojego więcej szacunku — to jest myślę, że mniej nim się brzydzę, bo wyzysk i grabież sam własnoręcznie uprawiał — niż dla tych czułościowych próżniaków i tchórzów, którzy mu powierali pieniądze, aby zapomocą nich innych wyzyskiwał i ograbiał i których nic zgoła nie obchodziło, byleby im tylko odsetki punktualnie wypłacał. Co się zaś tyczy przyjaciół twych, artystów, ci są ze wszystkich najgorsi.

— Och, Sydney, uwziąłeś się na to, aby we wszystkim widzieć brzydotę. Artyści nie prowadzą przecie fabryk.

— To prawda, ale fabryki są też tylko częścią w mechanizmie całego systemu. Jego podwaliną jest tyrania siły mózgu, która wśród ludzi cywilizowanych jest w mocy działać podobnie jak siła mięśniów pośród młodzieży szkolnej i dzikich. Chłopcy ze szkoły mówią: „Jestem silniejszy od ciebie musisz więc oddać się na moje usługi. Rozkaz dorosłych brzmi: „Jestem przebieglejszy niż ty, musisz więc być na moje usługi“. Stosunki te, którym się poddajemy, są same w sobie już dość przykre, stają się atoli nie do zniesienia, jeżeli tępi i mniej niż przeciętni potomkowie takich chytrych spryciarzy roszczą sobie prawo do dziedziczenia ich przywilejów. Tymczasem nikt tak uparcie nie jest przywiązany do nieograniczonych praw geniuszu i talentu jak twój artyści. Wielki malarz nie

zadawała się tem, że go poszukują i podziwiają, bo ręce jego, jak się rzecz ma istotnie, umieją więcej niż ręce zwyczajne—nie, chce on jeszcze tak być karmiony, jakby żołądek jego, co już wcale nie jest zgodne z prawdą, wymagał więcej pokarmu niż żołądki zwyczajne. Praca dzienna jest dzienną pracą, ani więcej ani mniej, i kto przez cały dzień pracuje, konieczne mu jest na utrzymanie, sen i wypoczynek, czy chłopem jest czy malarzem. Ale taki hultaj jeden z drugim malarz, poeta, lub powieściopisarz lub inny jakiś podobnie zbytkowne zajęcie mający nie czuje się dość zadowolonym, że pod względem powszechnego poważania wyżej stoi od chłopca, chce on jeszcze i pieniędzy mieć więcej, jak gdyby dzień miał więcej godzin w pracowni lub w bibliotece, niż na wolnym polu. Jak gdyby do wykonania swej pracy potrzebował więcej pokarmu od chłopca. Mówi o wyższości swego rodzaju pracy, jak gdyby to wyższe jej szacowanie było własną jego zasługą — jak gdyby miał prawo mniej sąsiadowi swemu świadczyć, niż on jemu świadczy, jak gdyby chłop nie obchodził się łatwiej bez niego niż on bez chłopca — jak gdyby wartość najsłynniejszych malowideł nie była wątpliwsza od prostej skiby ornej— jak gdyby nie trzeba było równie wiele lat nauki do wykształcenia ręki i oka murarza czy kowala jak artysty — jak gdyby, krótko mówiąc, dżentelman taki był naprawdę bóstwem, jak go o tem fantazyujący wielbiciele sztuki od lat zapewniają. Artyści są arcykapłanami nowoczesnego Molocha. Dziewięć dziesiątych wśród nich są to chore stworzenia, które tyle jeszcze tylko mają rozumu, że na swym rozstroju nerwowym umieją robić interes. Jedynym ich przymiotem, który budzi we mnie odrobinę szacunku, jest pewien wzniosły egoizm, który im każe raczej samemu morzyć się głodem i głodzić rodzinę niż robić coś, co im nie przypada do smaku.

— Naprawdę, nie masz zgoła racyi, Sydney. W szkole slöjdu kolegowałam z dziewczyną, która z rysunków utrzymywała matkę i dwie siostry. Zresztą, cóż możesz uczynić? Świat jest już takim i zmienić go nie jesteś w stanie.

— Tak dzięki naiwności ludzi jestem właścicielem ziemskim i kapitalistą, i oni tylko mogliby mi odebrać wszystko to, co posiadam. Ja sam natomiast nie mam możliwości wydobyć się ze swego położenia. Musiałbym chyba odstąpić moich niewolników ludziom, którzy nie lepiej postępowaliby z nimi.

aniżeli ja to czynię. Sam zaś musiałbym stać się niewolnikiem, co znowu zgoła mi się nie uśmiecha. Nie, moja droga, dla mego i twego dobra, muszę już nogę trzymać na ich karku. Ale ty nie wiele dbasz o te nudne historie. Sumienie mnie dręczy, że cię, mój aniele, nabawiłem zmartwienia. Chcesz wiedzieć, dlaczego ja pustelnik, przebywam w dwóch izbach tej chaty, zamiast używać w Londynie rozkoszy życia towarzyskiego u boku swej pięknej i ubóstwianej małżonki.

— Ależ nie zechcesz chyba przecież Sydney, nadal tu pozostać?

— I owszem, i powiem ci również, dlaczego to czynię. Chcę robotnikom z Manchester, którzy byli niewolnikami mego ojca dopomagać do wyzwolenia. Aby to osiągnąć, muszą wszyscy ich współniewolnicy na całym świecie złączyć się w jeden, wielki, międzynarodowy związek. Muszą ślubować, że zarówno pracę całego świata jak i jej wytwory rozłożą sprawiedliwie, nie dadzą żadnemu dorosłemu a krępkiemu leniuchowi czy symulantowi złamanego szeląga i uważać będą w społeczeństwie każdego za pasorzyta, kto zechce mieć więcej ponad udział z ogólnego dorobku mu przypadający, w pracy zbiorowej mniejszy biorąc współudział. Przeprowadzić to będzie bardzo trudno, gdyż i robotnicy, jak wszyscy ludzie, którym chce się dopomódz, własnych nie dostrzegają korzyści i pomagają często swym ciemniejszom własnych swych wybawców wyganiać przy lubych dźwiękach Rule Britannica lub innej, podobnie niedorzecznej bredni. Musimy najpierw głowy ich od tego wyzwalać a tymczasem pilnie pracować nad budową międzynarodowego związku robotniczego. Trudnię się teraz propagandą tych zasad. Pochodowi naszej idei rychłoby drogę zagroził kapitalizm, zorganizowany rzekomo celem rządzenia, w rzeczywistości jednak zmierzający do ujarzmienia narodu, gdyby istotę naszych zamiarów zrozumiał. Przypuszcza jednakowoż, że zajmujemy się knuciem zamachów i spiskami na głowy koronowane i podczas gdy policja w sposób niezdarny szuka na to dowodów, prawdziwe dzieło nasze spokojnie rozwija się dalej bez przeszkód. Czy ja sam istotnie sprawę popycham naprzód, nie jestem w mocy napewno tego twierdzić.

\* \* \*

Drugi zgoła niewinny przez cenzurę redakcyjną inkryminowany ustęp powieści jest fragmentem historii nagrobka żony Trefusisa i wstawić go należy między 14 i 15 wiersz z góry na str. 201 tekstu.

Opuszczony ten fragment brzmi:

Trefusis natrafił teraz na pewną trudność. Postanowił czeladnikowi zapłacić ściśle za wartość jego pracy, ani mniej ani więcej. Nie dało się to atoli obliczyć. Jedynym, jaki miał miernikiem była cena targowa, a tę, jako wynikającą wyłącznie z współzawodnictwa kapitalistów, z góry odrzucał. Wszak przedsiębiorcy zysk swój osiągnąć tylko mogą, dostając od robotników więcej wytworów pracy, niż za nie zapłacili — odbiorców zaś swych kuszą do kupna, zapomocą opustu ceny, zrzekając się na rzecz ich pewnej części niezapłaconej pracy. Przedsiębiorcy dostarczyli wszak robotnikom nieodzownych środków życia i pracy pod tym tylko warunkiem, że oni znów próżnującej klasie przedsiębiorców zapewnią stosowne utrzymanie, sami zadowolając się znacznie niższą stopą życiową. Sprawiedliwe wyznaczenie zatem wartości zamiennej i uczciwa zgoda między nimi jest wręcz nieosiągalna. Trefusis był ostatecznie zmuszony zapytać kamieniarza, coby on za wykonanie projektu musiał zażądać jako zapłaty przyzwoitej, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że jeszcze mniej od niego jest on w możności kwestyę tę należycie rozwiązać. Gdyby bowiem był nawet zażądał tyle, ile spodziewał się dostać, żądanie było przecież uwarunkowane jego ubóstwem i konkurencją z właścicielem przedsiębiorstwa kamieniarskiego. Trefusis załatwił sprawę w ten sposób, że ofiarował dwa razy tyle, jak przedsiębiorca pierwotnie żądał, stawiając jedynie jako warunek, że kamieniarz musi całą pracę sam wykonać i nie wolno mu liczyć na żaden zysk uboczny z najmowania innych robotników.

Ku zdumieniu rysownika sam projekt atoli miał być jeszcze osobno wynagrodzony. Kamieniarz wahał się długi czas między żądaniem dwóch funtów i dziesięciu szylingów, a pięciu funtów, aż mu jeden z towarzyszy pracy przy traktamencie grogiem wpoił odwagę zażądania wyższej kwoty. Trefusis wypłacił ją natychmiast i zabrał się do obliczenia, ileby też podobny projekt dzieła wybitnego profesora aka-

demii był kosztował. Zasięgnawszy w tym celu opinii pewnego dżentelmana na takim właśnie stanowisku, którego przypadkowo znalazł osobiście, dowiedział się, że prawdopodobny koszt wynosiłby pięćset do tysiąc funtów. Trefusis nie tail się z wypowiedzeniem przekonania, że żądanie kamieniarza wydawało mu się rozsądniejsze, na co mu jego przyjaciel artysta z pewnem rozdrażnieniem przypomniał, ile lat akademii sztuki poświęcić musi rzeźbiarz zanim wykształci do tak wysokiego stopnia swą biegłość artystyczną. Trefusis zarzucił, że czas nauki czeladnika kamieniarskiego trwa równie długo, jest zaś dwakroć tak żmudny, nie będąc w połowie tak miły. Artysta wmawiał sobie dotąd, że sympatyzuje z socjalistycznymi poglądami Trefusisa, teraz jednak zaczął się w nich dopatrywać czegoś równie brzydkiego, jak niebezpiecznego. Zapytał, czy za talent nie należałoby się nic płacić, na co gwałtownie odparł Trefusis, że talent właściciela swego nic nie kosztuje i jest dziedzictwem całego gatunku, które przypadkowo dostaje się jednemu człowiekowi. Jeśli więc ten człowiek monopolu swego używa na to, aby innym wyciągać pieniądze, nie zasługuje na nic lepszego, jak na szubienicę. Artysta stracił wreszcie cierpliwość i zauważył, że Trefusis jeśli już nie umie odczuć, iż przywileje sztuki są pochodzenia boskiego, zdoła przynajmniej pojąć, że żaden malarz nie będzie tak głupi, aby za pięć funtów projektować nagrobek, skoro za malowanie portretu dostaje ich pięć tysięcy. Trefusis odpowiedział, że już sam fakt, iż ktoś płaci tysiąc funtów za portret, dowodzi, że pieniędzy tych nie zapracował i że musi być złodziejem lub żebrakiem. Zwyczajny robotnik, który na podarowanie swej bogdance taniej fotografii poświęca ze swej tygodniowej płacy sześć pensów, lub który płaci cały szilling za parę oleodruków czy figurynek gipsowych z Delft, aby je ustawić na swym kominku, ponosi gwoli nabycia dzieła sztuki uszczerbek grubo wyższy niż właściciel dóbr czy akcyonaryusz, który jest zbyt bogaty, aby odczuwać ubytek tysiąca funtów wydanych na zakupno takiego obrazu jak Hogartha Jack Sheppard, obrazu zatem, który interesować może tylko ludzi studyjących fizyonomie kryminalne. Tu powstał żywy spór. Trefusis wytykał bezmyślność artystom, którzy wmawiają sobie, że są kastą kapłańską, będąc tylko pasorzytami i protegowanymi niewolnikami klasy posiadającej.

Przyjaciel zaś, który stał się w mig jego wrogiem, drwił za to niemiłosiernie z wyrównywaczy, którzy wszystko sprowadzić usiłują do poziomu niższego, nie umiając go podnosić. Wreszcie znużyli się obaj kłótnią i wstydząc się wzajemnie swych ostrych przymówek spożyli razem po przyjacielsku kolację.



J-25.694





okc. 604/72K.

<http://rcin.org.pl>



30.-  
556576/6972



T

25.694